

JACK DU BRUL

Cykl Philip Mercer 04

ZAGŁADA

MAJ 1937 ROKU

Po trzech samotnych dniach w ciasnej kabynie szalencie siedział na wąskim łóżku i kołysał się na boki. Wbijał wzrok w matowe drzwiczki podróżnego sejfu, trawionym gorączką ciałem wstrząsały dreszcze. Nie wiedział, kiedy olbrzymi statek przeleciał nad Atlantykiem; nie zwracał uwagi na wibracje silników obracających czterema wielkimi śmigłami, luksusową obsługę czy następujące po sobie dni i noce. Wszystkie siły poświęcił na to, żeby nie spuszczać oczu z opancerzonej szafki.

Od kiedy opuścił Europę, z kabiny wychodził tylko późno w nocy, by skorzystać ze wspólnej toalety. Lecz nawet jeśli w czasie takiej pośpiesznej wycieczki usłyszał głosy współpasażerów albo członków załogi, uciekał do swojej kajuty. Pierwszego wieczoru po starcie i przez cały kolejny dzień steward pukał raz po raz do jego drzwi z pytaniem, czy może napiłby się herbaty, koktajlu albo zjadł kilka krakersów, które przyniosą ulgę żołądkowi, jeśli kołysanie sterowca przyprawia go o mdłości. Mężczyzna za każdym razem odmawiał poczęstunku, walcząc z narastającym gniewem. A drugiej nocy, przy kolejnym pytaniu o posiłek, pasażer kabiny 8a wpadł w szal; wrzeszczał i przeklinał Boga ducha winnego kelnera w trudnej do zrozumienia mieszance angielskiego, greckiego i jakiegoś afrykańskiego narzecza, którego uczył się przez kilka ostatnich miesięcy.

W miarę jak trzeci dzień podróży zbliżał się ku wieczorowi, tajemniczy mężczyzna coraz słabiej panował nad swoim umysłem. Ale nie dbał o to. Od domu dzieliły go już nie dni czy tygodnie, lecz godziny. Pokonał ich wszystkich. Sam.

Brakowało mu okna, bo dostał kabine wewnątrz gondoli. Pomieszczenie oświetlała lampka przymocowana do małego biurka i eleganckie kinkiety nad piętrowym łóżkiem. Wszystkie sprzęty wykonano z błyszczącego perforowanego aluminium, nadając im futurystyczne kształty. Kiedy wszedł na pokład, pomyślał o statkach z powieści Verne'a czy Wellsa. Sejf ustawił w jedynym wolnym kącie, a steward, który pomógł mu go wnieść, nieco zbyt długo czekał na napiwek. Nie wiedział, że mężczyzna nie ma pieniędzy. Tylko połowa miejsc na pierwszy lot w sezonie została sprzedana, bo ceny rejsu przez Atlantyk były wyższe niż kiedykolwiek.

Gdyby nie presja czasu albo gdyby miał pewność, że prześladowcy nie zdążą go dopaść, wybrałby tańszy środek transportu. Mogło jednak się okazać, że droga kajuta na tę podróż była jednym z jego najgenialniejszych posunięć. Ci, którzy go ścigali, nigdy nie przypuszczali, że ucieknie ich własnym okrętem flagowym, którym tak się chępli.

Wyciągnął rękę i dotknął sejfu. Drżącą dłonią powiódł po chłodnej, chropowatej powierzchni. Rozkoszował się myślą, że spełnienie jego życiowych ambicji znajduje się wewnątrz. Zadrżał, czy to z wyczerpania, czy to z gorączki. Na ścianie po drugiej stronie kabiny wisiało niewielkie lustro. Spojrzał na siebie, starannie omijając oczy, jeszcze niegotowy na to, co mógłby w nich zobaczyć. Miał długie potargane włosy, przyprószone siwizną, która pojawiła się całkiem niedawno. Od kilku tygodni wypadały w zastraszających ilościach. Kiedy przesunął dłonią po głowie, czuł, jak wyrывa je z

cebulkami, zahaczone o połamane paznokcie. Skóra na twarzy straciła jędrność i pomarszczona zwisała, jakby było jej za dużo. Broda, niegdyś zawsze starannie przystrzyżona, teraz przypominała splątany zarost bezdomnego.

Wykrzywił usta w grymasie, który miał być uśmiechem, odsłaniając zęby i czerwone spuchnięte dziąsła. Domyślał się, że krwawiły, bo od wyjazdu z New Jersey nie jadł zdrowych posiłków.

Z tego samego powodu bardzo stracił na wadze. Nigdy nie był atletą, a teraz tak wychudł, że wyglądał niemal jak szkielet. Każdy ruch sprawiał mu ból. Od jakiegoś czasu nie potrafił opanować drżenia rąk i skupić wzroku, jakby zanikające mięśnie karku nie mogły znieść ciężaru głowy.

Przez drzwi kabiny przebił się podekscytowany dziewczęcy głos:

- Pospiesz się, Walterze! Zaraz będziemy nad Nowym Jorkiem. Chcę mieć dobre miejsce na pokładzie widokowym!

Najwyższy czas, pomyślał. Spojrzał na zegarek. Zbliżała się piętnasta. Mieli dziewięć godzin spóźnienia.

Wbrew swoim zasadom postanowił na chwilę wyjść. Musiał zobaczyć na własne oczy, że jest już prawie w domu. Potem wróci do mikroskopijnej kajuty i spokojnie poczeka na lądowanie.

Chwiejnie ruszył do drzwi. W wąskim korytarzu stała dziewczynka, na oko dwunastoletnia, i czekała na brata, który kuczał obok i wiązał buty. Sapnęła gwałtownie, widząc nieznanego mężczyznę; ten niekontrolowany spazm strachu sprawił, że jej twarz zbladła. Wytrzeszczając oczy, po omacku znalazła rękę brata i przyciągnęła go do siebie. Chłopiec chciał krzyknąć, ale gdy uniósł głowę, sam zamarł z otwartymi ustami. Po chwili jak na komendę oboje odwrócili się i pobiegli w dół korytarza. Dziewczynka zadarła spódniczkę, żeby nie spowalniała jej ruchów.

Niewinne spotkanie przyprawiło go o skurcz żołądka. W gardle poczuł kwaśne wymiociny. Przelknął gwałtownie, zamknął drzwi i ruszył w kierunku klatki schodowej na prawej burcie. Na pokładzie B przy panoramicznych oknach stało kilku członków załogi, a jakiś samotny pasażer przyciskał nos do szyby. Za ich plecami znajdowało się wejście do toalety dla personelu. Kiedy mężczyzna podszedł do okna, z ubikacji wyszedł oficer, ciągnąc za sobą delikatny obłoczek smrodu. Zapach nie był gorszy, ba, może nawet nieco lepszy niż ten, który rozsiewał wokół siebie tajemniczy pasażer. Od ucieczki z Kairu ani razu się nie mył i nie zmieniał ubrań.

Mężczyzna położył dłonie na parapecie i poczuł wibracje silników niosące się po metalowej konstrukcji gondoli. Zbliżył twarz do szyby i spojrzał na strzeliste budynki Manhattanu wynurzające się z burzowych chmur.

Linia obsługująca sterowce szczyła się zerową liczbą wypadków. Uśmiechnął się, spoglądając na coraz wyraźniej widoczne miasto w dole. Zgodnie z zapowiedzią podróż z Niemiec przebiegła bez niespodzianek; już wkrótce okręt flagowy przedsiębiorstwa Deutsche Zeppelin Reederei obniży lot i zacumuje przy maszcie na lotnisku Lakehurst w New Jersey.

Ciężkie burzowe chmury rozstały się nad gigantycznym cielskiem „Hindenburga”, a słońce uformowało wokół niego jasną aureolę. Cień sterowca przesunął się jak ciemna plama po wąwozach ulic Nowego Jorku, pogrążając w chwilowym mroku wszystko z wyjątkiem górującego nad okolicą Empire State Building. Zeppelin, znacznie większy od większości morskich

liniowców i cztery razy od nich szybszy, potrzebował zaledwie trzech dni na przebycie Atlantyku. Cztery mocarne diesle Mercedesa bez wysiłku popychały dwieściepięćdziesięciometrowego potwora z prędkością niemal osiemdziesięciu węzłów.

Na tarasie widokowym Empire State Building stali ludzie i machali w ich kierunku. Mężczyzna przez chwilę miał ochotę odmachać - impuls, który dał mu nadzieję, że może pewnego dnia na powrót stanie się częścią społeczeństwa. Gdy tylko skończy swoją misję.

Zamiast tego obrócił się na pięcie i popędził do swojej kabiny. Gardło ścisnęło mu strach, który zniknął, dopiero kiedy mężczyzna się upewnił, że sejf jest bezpieczny. Cały spływał potem. Usiadł na łóżku i znów zaczął się kołysać.

Będzie tak siedzieć do samego lądowania. Majestatyczny sterowiec pod dowództwem kapitana Maxa Prussa zmierzał przez okno w burzowych chmurach do bazy lotnictwa marynarki wojskowej w Lakehurst. Przed piątą ktoś zapukał do drzwi. Mężczyzna nie miał pojęcia, kto to może być. Onieśmieleni jego zachowaniem stewardzi pukali raczej cicho, delikatnie, jakby zmieszani, że znów muszą mu przeszkodzić. Tym razem uderzenia były głośnie i energiczne. Poczuli, że znów oblewa się potem.

- O co chodzi? - zapytał szorstkim, chropowatym głosem. Już nie pamiętał, kiedy ostatnio wypowiedział pełne zdanie.

- Panie Bowie, nazywam się Gunther Bauer. Jestem oficerem. Czy mógłbym zamienić z panem słowo?

Chester Bowie rozejrzał się nerwowo po maleńkiej kabinie. Wiedział, że nie ma dokąd uciec, lecz nie potrafił powstrzymać tego odruchu. A już prawie mu się udało. Zabrakło kilku godzin, by zszedł bezpiecznie na ląd i umknął nazistom... Do diabła, musieli jakoś wpaść na jego trop. Ale to nie jego ścigali. On był już zbędny. To, co jak magnes przyciągało prześladowców, spoczywało w sejfie.

Zbyt daleko zaszedł, żeby zgodzić się na takie zakończenie. Miał tylko jedno wyjście. Wiedział, że musi to zrobić, i czuł irytację.

- Tak, oczywiście - odpowiedział. - Za moment.

- Oficerowie i załoga martwią się, że mógł pan odnieść błędne wrażenie o poziomie obsługi klientów - kontynuował Bauer zza drzwi. Mówił dość płynnym angielskim, wyraźnie zmuszając się do uprzejmości, lecz Chester nie dał się zwieść. - Dlatego pozwoliłem sobie przynieść panu kilka drobiazgów. Ołówki i papeterię. Prezenty na pamiątkę wspólnego lotu.

- Proszę zostawić je pod drzwiami - odparł Bowie, napinając mięśnie. Wiedział, że kilka najbliższych sekund będzie decydujących.

- Wolałbym wręczyć je panu osobiście...

Cóż, spodziewał się tych słów. Chcieli wejść do jego kabiny i ukraść sejf. Zanim przebrzmiało ostatnie słowo, Chester szarpnął klamkę przesuwanych drzwi i złapał Niemca za kłapy czarnego munduru. Zignorował plik kartek i ołówki, które rozsypały się po podłodze, i wciągnął oficera do środka.

Ten tylko jęknął. Nawet nie próbował się bronić. Bowie rzucił nim o drabinkę na górne łóżko, a kiedy Bauer się od niej odbił i zaczął osuwać na podłogę, skoczył mu na plecy. Z impetem wbił kolano między łopatki, tuż poniżej karku. Obaj upadli, a ich połączony ciężar wystarczył, by złamać

Niemcowi kręgosłup między czwartym a piątym kręgiem. Bauer zwiotczał, po raz ostatni wypuścił powietrze z płuc i znieruchomiał.

Bowie zamknął drzwi. Nie pozwolą mu zejść z pokładu. Zgubił ich, uciekając z Afryki, i ten drobny sukces uspił jego czujność. Powinien był wiedzieć, że wcześniej czy później wpadną na jego trop. A przecież decyzja, by ukryć się w ich kraju i wrócić do domu na pokładzie ich największej dumy, była zaiste genialna. Nikt by nie przewidział takiego ruchu. Jednak podjęli trop. Oni są źli. Przekleci. Jak wszystkowiedzące gorgony, które znają człowiecze kroki.

Ciało oficera zajmowało prawie całą podłogę. Chester musiał nad nim przejść, żeby wziąć z biurka notatnik. Potem podniósł jeden z ołówków upuszczonych przez Bauera. Nie miał pojęcia, ile czasu minie, zanim kapitan wyśle kolejną osobę. Albo - co bardziej prawdopodobne - całą grupę. A z grupą w żaden sposób sobie nie poradzi.

Zaczął szybko pisać. Ołówek śmigał po papierze, jakby sam wiedział, jaki ślad ma zostawić, a człowieka potrzebował tylko po to, by zapewnił właściwą siłę nacisku. Chester wpatrywał się zaskoczony we własną dłoń, wędrującą od prawej do lewej, nie do końca świadomy słów, które notował. Po kwadransie wypełnił drobnym, ledwo czytelnym pismem osiem stron. Nikt nie pukał, więc zapisał jeszcze dziesięć, opowiadając swoją historię najdokładniej, jak potrafił. Wiedział, że tylko to pozostanie z obsesji, której poświęcił życie - słowa na papierze i próbka w sejfie. Ale to wystarczy. Podążył ścieżką, którą przed nim szedł tylko największy geniusz i władca starożytności - i nikt poza nimi dwoma.

Kiedy skończył pisać, otworzył sejf i włożył kartki do środka. Przy okazji spojrzął na przedmiot, który przywiózł z Afryki. Po raz ostatni w życiu. Próbka przypominała kulę armatnią - była idealnie okrągła. Kształt pomógł jej nadać kowal w Chartumie. Zamknął masywne drzwiczki, na tekturowej okładce notatnika drukowanymi literami zapisał krótką informację, a następnie wyrwał pozostałe kartki. Przez spiralę z drutu przewłókł sznurowadło i przywiązał kartonik do klamki sejfu. Nie pozostało mu już nic poza modlitwą, by znalazca sejfu przekazał go adresatowi z tekturowej etykiety.

Nie było potrzeby podawać adresu. I tak wszyscy go znali.

Chester Bowie wsunął ciało Gunthera Bauera pod dolne łóżko, starając się nie zwracać uwagi na nienaturalny kąt, pod jakim odstawała głowa. Gdy skończył, chwycił za krawędź sejfu. Początkowo nie mógł go ruszyć, lecz desperacja dodała mu sił i już po chwili pięćdziesięciokilogramowa szafka znalazła się przy drzwiach. Otworzył je i rozejrzał się po korytarzu. Nie dostrzegłszy nikogo, wytaszczył sejf z kabiny i z mozołem zaczął pchać go w kierunku klatki schodowej.

Na razie nikt go nie zauważył, ale wiedział, że na pokładzie poniżej pasa żerowie i załoga obserwują wybrzeże New Jersey.

- Czy mógłbym panu pomóc, sir?

Bowie zamarł. Znał głos, który rozległ się za jego plecami. Tylko skąd? Wspomnienia wirowały mu w głowie. Kair? Chartum? Może gdzieś w dżungli? Odwrócił się, gotowy do walki i zobaczył młodego stewarda, na którego nawrzeszczał drugiego dnia podróży.

Werner Franz z najwyższym trudem pohamował się, by nie uciec na widok szaleństwa w oczach pasażera. Wyglądał jak szczur zapędzony w ślepy zaułek. Miał zaledwie czternaście lat, lecz mimo to uważał się za do

świadczonoego członka załogi i żaden wariat na pokładzie nie mógł tego zmienić.

- Może panu pomożę? - zapytał z profesjonalną uprzejmością.

- Ja... tak, no cóż, dziękuję bardzo - wyjąkał Chester. Ten dzieciak nie mógł być pomocnikiem nazistów wysłanym, żeby ukraść mu sejf. Kapitan wybrałby raczej mechanika czy oficera, potężnego mężczyznę, który by go pobił i ukrył ładunek do wieczornego wylotu z powrotem do Frankfurtu.

- Słyszałem, jak kapitan rozmawiał z jakimiś ludźmi - powiedział Werner, ciągnąc sejf. - Mówił, że pogoda jest dość dobra i już możemy lądować. Przy odrobinie szczęścia będziemy na miejscu kilka minut po siódmej. Pewnie nie może się pan już doczekać, kiedy znów postawi stopy na ziemi, herr Bowie?

Kilkadziesiąt metrów nad mokrym od deszczu polem kartonik, który tak pieczołowicie przymocował do klamki, zerwał się z uwięzi. Przez kilka godzin wiatr ciskał nim coraz dalej i dalej. W końcu jego strzępy spadły rozrzucone nad dwoma hrabstwami.

Krople deszczu spływały po gumowanym płaszczu mężczyzny, który przez niemal dziewięć godzin pozostawał w ukryciu. Nawet mrugał rzadziej niż normalnie. Z miejsca na dachu hangaru wyraźnie widział lądowisko i oddalony o osiemset metrów maszt do cumowania sterowców. Z tej odległości stalowa konstrukcja kratownicy wyglądała jak miniatura wieży Eiffla.

Cel miał już dwanaście godzin spóźnienia, co było nieco zabawne, wziawszy pod uwagę pośpiech, z jakim po otrzymaniu pilnego zlecenia pędził na miejsce.

Poruszając się bardzo ostrożnie, zbliżył oko do wizjera strzelby. Luneta celownicza była jego trofeum z wielkiej wojny. Przystosowywał ją do każdej broni, jakiej używał. Teraz patrzył na obsługę naziemną, przesuwając celownik po głowach nieświadomych ludzi. Właśnie wrócili na lądowisko po gwałtownej ulewie. Oceniał, że jest tam ponad dwustu mężczyzn, ale to przecież nic nadzwyczajnego. Gdyby w czasie lądowania zawiął mocniejszy wiatr, byłoby ich i tak za mało. Przypatrywał się odległym twarzom, aż w końcu znalazł szefa obsługi Charlesa Rosendahla. Mężczyzna obok niego to na pewno Willy von Meister, przedstawiciel firmy Zeppelin na Amerykę. Mimo podmuchów wiatru jednym strzałem mógł położyć każdego z nich i to niezależnie, którym okiem by celował. Nieco dalej stali dziennikarz radiowy i operator kamery. Obaj sprawdzali sprzęt, czekając na przybycie spóźnionego „Hindenburga”.

Już miał opuścić ciężki karabin snajperski, kiedy wszyscy na lądowisku zwrócili się w jedną stronę. Niektórzy uniesionymi rękoma wskazywali coś w oddali; z jego miejsca wyglądało to jak pozdrowienie nazistów. Spojrzał w górę. Spomiędzy szarych chmur wynurzyło się potężne cielsko sterowca.

Odległość nie odbierała nic z wrażenia, jakie robił. „Hindenburg” był niewyobrażalnie wielki - w zamyśle twórców miał stać się symbolem odradzającej się potęgi Niemiec. Z obłogo jak torpeda kadłuba wyrastały stabilizatory i stery, znacznie większe niż skrzydła największych bombowców. W najszerszym miejscu miał średnicę czterdziestu dwóch metrów, a przestrzeń między duraluminiowymi kratownicami wypełniały zbiorniki z gazem, mieszczące ponad dwieście tysięcy metrów sześciennych wybuchowego wodoru. Na sterach wymalowano wysokie na dwa piętra swastyki, a cztery silniki Diesla zostawiały za sobą cieniutkie wstążki spalin.

Im był bliżej, tym większą część nieba przysłaniał. Zewnętrzna powłoka pokryta srebrną farbą połyskiwała nawet w czasie niepogody. „Hindenburg” przesunął się dwieście metrów nad bazą lotnictwa marynarki wojennej. Snajper obserwował twarze pasażerów na przeszkłonych pokładach, którzy wychylali się, usiłując zawołać członków swoich rodzin czekających na lądowisku. Sterowiec potrzebował piętnastu minut, by zawrócić i podejść do lądowania od zachodu. Kilkaset metrów od masztu cumowniczego silniki nagle zawyły ze zdwojoną mocą, tym razem spowalniając kolosa, a spod pełnego wodoru cygara runęły trzy kaskady wody balastowej, co miało przywrócić sterowcowi właściwe wyważenie.

Ktoś na lądowisku miał megafon, przez który płynęły słowa podekscytowanego dziennikarza radiowego:

- „Oto i on, panie i panowie, już się zbliża! Wszyscy stoimy na murawie przed hangarami i podziwiamy ten wspaniały widok! Niesamowity! Doprawdy, niezapomniany. Spływa ku nam z nieba, jest już blisko”.

Strzelec uniósł do oka karabin .375 Nitro Express, przywodzący na myśl raczej polowanie na grubego zwierza niż finezyjne narzędzie snajpera - i zamarł w oczekiwaniu. Pierwsza z ciężkich lin cumowniczych opadła ku ziemi. Przesunął wizjerem po oknach. Załoga uwolniła drugą cumę. Obsługa złapała obie i z mozołem zaczęły przeciągać potężny statek w kierunku masztu. Z daleka wyglądali jak stadko mrówek targających opierającego się słońca.

- „Już niemal stoi w miejscu - kontynuował spiker z coraz większym podnieceniem. - Z dziobu zrzucono liny, które chwycili mężczyźni licznie zebrani na lądowisku...”

Snajper przesunął lufę o kilka centymetrów w górę i znalazł cel.

- Znów zaczęło padać, choć nieco słabiej niż wcześniej... Pociski w karabinie były jego produkcji. Miał tylko jedną dobę, by je przygotować, i jeszcze mniej czasu na próby - w starej żwirowni użył zaledwie dwóch. Chociaż oba zadziałały prawidłowo, nie był do końca pewien, czy i tym razem spełnią swoje zadanie.

Głos Herba Morrisona, zwielokrotniony przez głośniki, stał się niemal piskliwy. Spiker nie potrafił opanować ekscytacji.

- „...silniki na rufie działają tylko na tyle, by zapobiec...” Strzelba ożyła. Odrzut brutalnie wbił mu kolbę w ramię.

Kula przy prędkości niemal tysiąca metrów na sekundę potrzebowała jednej i dwóch dziesiątych sekundy, by dosięgnąć celu. Ta chwila musiała starczyć, by spłonął specjalny płaszcz okrywający rozgrzany teraz do białości rdzeń płonącego magnezu. Inaczej niż pociski smugowe, które palą się przez cały czas, znacząc w powietrzu drogę, ten pozostawił po sobie ślad na ułamek sekundy przed uderzeniem.

Wodór do zapłonu potrzebuje powietrza. Przypadkowa iskra nie spowodowałaby pożaru w gigantycznych zbiornikach. Gdyby natomiast gaz zmieszał się wcześniej z powietrzem, rozpalona kula snajpera mogłaby go zapalić - ale nie takie było jej zadanie. Przynajmniej nie bezpośrednio.

Ukryty strzelec celował wzdłuż szkieletu „Hindenburga”. Żar płonącego magnezu przepalił powłokę sterowca, a pocisk popędził dalej. Kiedy dosięgnął sterów, na tyle stracił impet, że nie przebił kolejnej aluminiowej belki, tylko w niej utkwiał. Magnez się wypalił, rozżarzając srebrną farbę wyprodukowaną

z mieszaniny nitrocelulozy i pyłu aluminiowego. Impregnat poszycia okazał się łatwo palną mieszaniną, wykorzystywaną jako paliwo raketowe. Po chwili żar zmienił się w otwarty ogień, obejmujący coraz większe połacie płótna. Wirujące fragmenty materiału przyklejały się do zbiornika z wodorem. Płomienie uwolniły gaz, który zmienił rufę statku w płonące inferno. Herb Morrison zapiszczał przerażonym dyszkantem:

- „...płomienie! Statek objęły płomienie! Spada! Płonie i spada! Uważajcie, ludzie, uciekajcie stamtąd, on spada!”

Niebo pokryła czerń, jakby całe światło spłonęło w eksplozji statku. Majestatyczny „Hindenburg” zmienił się w kulę ognia, a rozedrgane sekundy popłynęły jak szalone.

- „Sterowiec płonie! Płonie coraz mocniej! - darł się Morrison. - To przerażające! Mój Boże! Co za tragedia! Statek jest cały w ogniu, czerwone jęzory strzelają w górę, a on spada na maszt cumowniczy i... o mój Boże!... na ludzi na lądowisku! To naprawdę straszne, chyba najgorsza katastrofa w dziejach! Płomienie są coraz większe, sięgają ponad sto metrów w górę!”

Statek zamarł na kilka sekund zawieszony w powietrzu, a w tym czasie piekielny żar topił i wyginał aluminiowy szkielet. Poszycie kadłuba spuchło, by po chwili zająć się ogniem. Ogłuszający ryk płonącego gazu i intensywny żar sprawiały, że ludzie na murawie czuli się, jakby stali u otwartych wrót wielkiego pieca. Sterowiec opadał rufą w dół. Ogarnięty paniką personel naziemny ruszył biegiem, byle dalej od śmierci w płomieniach. Jeden z mężczyzn był zbyt wolny i kiedy zeppelin dotknął ziemi, zniknął w powodzi ognia i topiącego się aluminium.

W kabinie na pokładzie A siedział Chester Bowie. Czuł, jak statek osuwa się w dół, słyszał krzyki z pokładu widokowego i rumor przesuwających się mebli. Sufit nad jego kabiną zapłonął czerwono-pomarańczowym światłem, kiedy eksplodowała mieszanina wodoru i powietrza. Sterowiec spadał, a huk płonącego gazu zagłuszał przerażające skrzypienie gnącego się metalu.

Uświadomiwszy sobie ironię tego wszystkiego, Chester nie mógł powstrzymać śmiechu. Wiedział, że to nie był wypadek. Niemcy byli gotowi zniszczyć symbol swojej dominacji, byleby tylko Stany Zjednoczone nie weszły w posiadanie jego odkrycia. Ścigali go przez pół świata i wreszcie odważyli się na sabotaż „Hindenburga” - ale on znów był krok przed nimi. Na myśl o tym roześmiał się jeszcze głośniejsze. Śmiał się jak szalony. Nie mógł się opanować.

Wtedy przyszła fala gorąca - taran otwierający drogę dla płomieni. Bowie zginął w ułamku sekundy, słysząc własny śmiech zamiast odgłosu ognia, który błyskawicznie strawił jego ciało.

Snajper przyglądał się dziełu zniszczenia. Wspaniałe sterowiec opadł na ziemię, łamiąc aluminiowy kręgosłup. Potężne zwłoki gięły się i zapadały w sobie, by po chwili zmienić się w stos dopalających się resztek poprządkanych sterczącymi kratownicami.

- „To potworny wypadek, panie i panowie. Płomienie szaleją, a statek spada, niedaleko masztu... - głos Morrisona stał się ostry, poruszający. Do dziś wywołuje łzy. - Och, co za tragedia...”

**REPUBLIKA
ŚRODKOWOAFRYKAŃSKA
CZASY WSPÓŁCZESNE**

Cali obudził odgłos karabinów maszynowych.

Otwarte okna zwielokrotniły huk wystrzałów. Kobieta zamarła, czekając na nieodzowną odpowiedź z dżungli. Tym razem zamiast niej usłyszała cię żkie dudnienie deszczu i wybuch pijackiego śmiechu. Żołnierze z jednostek oddelegowanych do nadzorowania ewakuacji Kivu nie trzeźwieli, od kiedy zjawili się w mieście. Jedyne oficer był prowodyrem, a sześciu Belgów w niebieskich hełmach Organizacji Narodów Zjednoczonych nawet nie próbowało powstrzymać wojsk rządowych przed piciem alkoholu i paleniem wyjątkowo silnej odmiany marihuany, zwanej tutaj bhang.

Cali nie wstała z podłogi, na której spała. Bardzo szybko zorientowała się, że łóżko jest domem dla znacznie większej ilości robactwa niż skóra jakiegoś zwierzęcia rozciągnięta na ziemi.

Pchły, wszy i rozmaite inne paskudztwa były gotowe pożreć ją żywcem. Kiedy dotarła tu wczoraj, w hotelu nie było wody. Czowała zapach potu, brudu i DEET. Niespokojny sen nie przyniósł ulgi jej ciału obolałemu po torturze jazdy ze stolicy kraju, Bangui. Przewróciła się na plecy. Spała w szortach, podkoszulku i lekko zasznurowanych butach. W pierwszej chwili miała wrażenie, że język przysechł jej do podniebienia, a kiedy go odkleiła, przesunęła koniuszkiem po lepkich, nieumytych wieczorem zębach.

Świt powoli brał miasto we władanie. Pierwsze promienie wschodzącego słońca już rozpraszały zmrok, wyławiając z ciemności zarysy drzew za oknem. Cali wiedziała, że światło może wydać się pijanym żołnierzom doskonałym celem, więc latarkę zostawiła przy pościeli. Zarzuciła na ramiona koszulę khaki i ostrożnie podeszła do okna.

Miasto leżało przyklejone do błotnistych brzegów Chinko, która dalej łączyła swój bieg z Ubangi, by razem zasilić wody potężnej rzeki Kongo. Kivu wyrosło na skraju dawnych francuskich plantacji, które od lat systematycznie pochłaniała dżungla. Większość budynków stanowiły okrągłe chatynki z gliny, jednak dumą miasta były dwa murowane domy przy centralnym placu: opuszczona siedziba władz, w której obecnie stacjonowali żołnierze, oraz jej hotel, któremu ktoś z poczuciem humoru nadał nazwę Ritz - dwupiętrowa smutna bryła, poryta kulami z karabinów w toczącej się od dziesięcioleci wojnie domowej. Pół kilometra w górę rzeki znajdował się pas startowy, który, o dziwo, wciąż mógł przyjmować samoloty.

Kivu było małą wysepką otoczoną zewsząd zielonym morzem dżungli - nieprzebytej plataniny drzew, lian, krzaków i mokradeł, które mogłyby rywalizować z Amazonią. Od kiedy uciekł właściciel jedyne sklepu i przy okazji jedyne generatora, w mieście nie było prądu, nie działała kanalizacja, a do domów nie docierała woda. Łączność ze światem zewnętrznym zapewniał tylko telefon satelitarny w jej plecaku. Kivu prawie się nie zmieniło przez ostatnie sto lat i nic nie wskazywało na to, by najbliższe stulecie przyniosło jakąś rewolucję. Pod warunkiem, oczywiście, że miasto przetrwa najbliższy tydzień.

Dwa tygodnie wcześniej stolicę zelektryzowały raporty, że spora grupa partyzantów przekroczyła granicę z Sudanem, by odciąć wschodnią część kraju. Z braku dokładniejszych danych zakładano, że pierwsze boje Armii Ludowej Rewolucji Caribe'a Dayce'a znajdują się już tylko cztery dni od Kivu. Stąd mieliby tylko pięćdziesiąt kilometrów do rzeki Ubangi i granicy z Kongiem. Rząd Republiki Środkowoafrykańskiej przygotowywał się do obrony przed rebelią, rozmieszczając swoje siły wokół Rafai, ale tylko nieliczni

wierzyli, że oddziały rządowe zdołają obronić miasto. A po konfrontacji wszyscy pozostali w regionie znajdują się pod władzą watażki, który jako swoich głównych idoli wymieniał Idi Amina i Osamę bin Ladena.

Cali zakłęła półgłosem.

Republika Środkowoafrykańska była krajem, w porównaniu z którym inne najbiedniejsze państwa Trzeciego Świata wydawały się potentatami gospodarczymi. Dochód narodowy Republiki był niższy niż roczne przychody większości średnich firm amerykańskich. Przeciętny mieszkaniec zarabiał poniżej dolara dziennie. Kraj był niemal pozbawiony zasobów naturalnych, infrastruktury i nadziei. Po co ktoś miałby zajmować jedną trzecią takiego tworu? Odpowiedź wymykała się logice. Caribe Dayce wkrótce zostanie władą a kilkunastu tysięcy kilometrów kwadratowych pustkowiec.

Deszcz wymywał z powietrza delikatną mgiełkę. Z ciemności powoli wyłaniały się kształty glinianych chat i sylwetki pierwszych mieszkańców, którzy wyglądali jak duchy wracające do swoich grobów. Kierowca z organizacji charytatywnej otworzył drzwi wielkiej ciężarówki i uruchomił silnik. Za jakieś pół godziny pierwsza grupa uchodźców będzie już w drodze.

Przy odrobinie szczęścia, pomyślała Gali, jeszcze rano uda mi się pokonać te kilkanaście kilometrów do miejsca, gdzie rzeka Scilla wpada do Chinko. Tam sprawdzi swoją teorię i jak najszybciej, może jeszcze przed południem, będzie mogła wracać do Bangui.

Odwróciła się od okna, zapięła koszulę i gumkę, którą nosiła na nadgarstku, związała w koński ogon gęste rude włosy.

Krótsze kosmyki przy skroniach przykryła czapką bejsbolową. Umyła zęby i przepłukała usta wodą z butelki. Z ciasnej toalety wołała nie korzystać; w takich miejscach potrzeby fizjologiczne załatwia się, kucając nad sedesem, żeby nawet przelotnie nie dotknąć skórą brudnej kłapy. Umyła się nawilżanymi chusteczkami z plastikowej torebki, bo nie chciała tracić cennych zapasów czystej wody. Na koniec sięgnęła po kosmetyczkę i zerkając w małe lusterko, nałożyła szminkę z dodatkiem kremu przeciwsłonecznego z faktorem 30. Chociaż jej włosy miały głęboki odcień miedzi, cera była bardzo jasna i poznaczona piegami.

Przyglądała się przez chwilę swojemu odbiciu i z satysfakcją stwierdziła, że mimo trudnych warunków wciąż wygląda na kilka lat mniej niż wynikające z paszportu trzydzieści siedem. Przez osiem ostatnich miesięcy musiała pracować poza domem, i to w miejscach, w których nie zawsze mogła najeść się do syta. Pewnie dzięki temu zdołała zachować szczupłą sylwetkę bez regularnych wizyt w klubie fitness.

Szczupłą, pomyślała, lekko się krzywiąc. Metr osiemdziesiąt dwa, miseczka B, brak bioder i płaska pupa. Nawet nie miała zielonych oczu, jak rude wampy z romansidel. Jej były ciemnobrazowe. Owszem, duże i szeroko rozstawione, ale nie zielone. Za to jej siostra miała zielone oczy. A oprócz nich pełne piersi, zgrabną pupę i wszystkie pozostałe atrybuty kobiecości, które działały na facetów jak magnes.

Cali przypadły w udziale tylko usta.

Kiedy była nastolatka, jak większość dziewcząt w jej wieku nie chciała się wyróżniać. Tymczasem nie dość, że jej marchewkowa czupryna działała jak latarnia morska i że była wyższa niż wszyscy chłopcy w jej klasie, to na dodatek miała wielkie usta, które wyglądały, jakby były cały czas opuchnięte.

Dzieci śmiały się z tego od czasów przedszkola, ale w pierwszej klasie liceum złośliwości nagle się skończyły. Podczas wakacji jej twarz dojrzała, pojawiły się wystające kości policzkowe i cudowne zaokrąglenia, które zmieniły usta z przerośniętych w wyjątkowo zmysłowe. Od tej pory te pełne usta zaczęły roztaczać aurę pełną seksualnego napięcia. Do dziś tak działały.

Cali wrzuciła kosmetyczkę do plecaka, sprawdziła, czy niczego nie zapomniała z pokoju, i ruszyła do hotelowego foyer. Recepcja znajdowała się w dużym holu podzielonym na kilka części. Szeroka lada pełniła też funkcję baru, a obok znajdowały się drzwi do kuchni. Pod przeciwległą ścianą, na kamiennej podłodze, stała zbieranina niedopasowanych krzeseł i stołów. Przez wysokie okna widać było centralny plac z ubitej ziemi, który ulewny deszcz zmienił w prawdziwe trzęsawisko. Przy pacy ciężarówki tłoczyła się grupka miejscowych, czekających na swoją kolej w exodusie. Ich skromny dobytek mieścił się zazwyczaj w kilku workach, które nieśli na głowach.

Cali usiadła przy stoliku pod ścianą.

- O, wcześniej pani dzisiaj wstała - zagaił właściciel hotelu. Pochodził z Libanu tak jak właściciele wielu przedsiębiorstw w zachodniej i centralnej Afryce.

- Tylko dzięki budzikowi marki Kałasznikow. - Cali uśmiechnęła się i sięgnęła po podaną filiżankę kawy, spoglądając wymownie na właściciela.

- Tak, tak, oczywiście. Woda była przegotowana, zapewniam panią. - Zerknął w okno i dodał: - Żołnierze rządowi wcale nie są lepsi od bandytów Caribe'a Dayce'a. Zresztą gdyby ONZ nie przysłało obserwatorów, rząd nawet by palcem nie kiwnął, żeby nas ratować.

- Wczoraj byłem w Bangui - odparła Cali. - Tam jest tak samo jak tutaj. Kto mógł uciec z kraju, już dawno to zrobił.

- Wiem, mam tam kuzyna. Wielu uważa, że jeśli Dayce zajmie Rafai, nic go nie powstrzyma przed atakiem na stolicę. Jutro spotkam się z rodziną, a pod koniec tygodnia razem uciekamy do Bejrutu.

- Wróci pan, jak to wszystko się skończy?

- Oczywiście. - Był wyraźnie zaskoczony pytaniem. - Dayce w końcu przegra.

- Jest pan pewien?

- Proszę pani, to jest Afryka. Tutaj wcześniej czy później wszyscy przegrywają - podsumował i ruszył w stronę kierowcy ciężarówki, który, ociekając deszczem, wszedł do kabiny.

Cali zjadła dwa banany, które dostała z kawą, i wstała, kładąc na stoliku dziesięć dolarów. Dla zwykłych mieszkańców Kivu Libańczyk był bogatym człowiekiem, lecz mimo to zostawiła duży napiwek, jakby chciała w ten sposób pokazać, że los wszystkich obywateli tego ogarniętego wojną kraju nie jest jej obojętny.

Wynajęty landrover stał pod wiatą na obskurnym podwórku za hotelem. Cali biegła, starając się omijać co większe kałuże, więc podniosła głowę, dopiero gdy znalazła się pod blaszanym dachem. Cztery dziury po kulach w przedniej szybie nie były problemem. Ani rozbite światła. Jedna przestrzelona opona też nie mogłaby jej zatrzymać, bo na tylnych drzwiach miała koło zapasowe. Niestety, przestrzelone były dwie.

Ogarnęła ją wściekłość. Rozejrzała się, szukając okazji do rozładowania złości. Plac wypełniał się ludźmi, którzy chcieli jak najszybciej opuścić zagro

zony region. Kilku żołnierzy usiłowało zaprowadzić jako taki porządek, a reszta chowała się przed deszczem. Nikt nie zwracał na nią uwagi.

- Sukinsyny! - warknęła sfrustrowana. Nikogo nie złapała za rękę, ale winni byli wszyscy. Zresztą znalezienie sprawcy nic by nie zmieniło, a bez samochodu była równie bezradna, jak uchodźcy.

Zanim wyjechała ze Stanów, ktoś bardzo doświadczony powiedział Cali coś, co początkowo wydawało jej się dziwne. Ale im dłużej tu była, tym lepiej rozumiała jego słowa. Afryka cię pokona. Libański hotelarz miał to samo na myśli - tutaj wszyscy przegrywają. Jeśli nie za sprawą pogody, to przez zarazę, korupcję albo głupotę pijanych żołnierzy, którzy użyli jej wozu jako tarczy. Gdyby nie tragizm sytuacji, pewnie by się roześmiała. Zupełnie jak w komedii Bustera Keatona, który co krok nabijał sobie guza.

Teraz chociaż wiem, dlaczego strzały, które mnie obudziły, były takie głośne, pomyślała, oceniając zniszczenia. Zapasowe koło nad tylnym zderzakiem było jak ironiczny uśmiech.

W całym Kivu na pewno nie ma drugiego. Jedyny sposób, żeby takie zdobyć, to zabrać się z uchodźcami do Rafai. Było to miasto znacznie większe i chronione przez znacznie mocniejsze siły rządowe, więc tylko nieliczne firmy i sklepy przestały działać. Gdyby szybko zdobyła drugą oponę, zdążyłaby na pustą ciężarówkę wracającą do Kivu po kolejną grupę uchodźców.

Ale straciłaby kolejny dzień, a nie była pewna, czy może sobie na to pozwolić.

Gdy przed dwoma dniami wylądowała w Republice Środkowoafrykańskiej, zakładała, że ma przynajmniej tydzień na wykonanie zadania. Potem usłyszała o Caribie Dacie i jego błyskawicznym ataku. Niezwłocznie wyruszyła do Kivu, modląc się, by dotrzeć tam jak najszybciej i, co ważniejsze, wydostać się stamtąd, zanim będzie za późno. Czy ma jeszcze jeden dzień? Czy ludzie Dayce'a nie podeszli na tyle blisko, by mogła przeciągnąć wszystko o kilkanaście godzin, których potrzebowała?

Nie wiedziała. Wiedziała jednak, że musi zaryzykować. Przy odrobinie szczęścia zdoła wrócić do Kivu jeszcze dziś wieczorem. Wtedy oceni, jak wygląda sytuacja, i zdecyduje, czy jechać dalej na północ, czy wracać. A raport zda przez telefon satelitarny z ciężarówki. Sięgnęła do plecaka po portfel, wyjęła z niego dwa pięćdziesięci dolarowe banknoty i schowała je do kieszeni szortów.

Schylona wyskoczyła spod wiaty i pobiegła z powrotem do hotelu. Czowała, jak z każdym krokiem jej buty pokrywa coraz grubsza warstwa błota. Kierowca ciężarówki właśnie jadł śniadanie. Wpychał do ust potężne porcje jedzenia i łykał je, prawie nie gryząc. Na siedzeniu obok niego stały dwa puste talerze i leżał karton marlboro. Najwyraźniej właściciel hotelu nie zamierzał niczego zostawiać Dayce'owi i jego ludziom. Sprzedawał wszystko za półdarmo.

Cali już miała podejść do kierowcy, gdy na plac wjechała kolejna ciężarówka. W przeciwieństwie do pierwszej, ta przyjechała z północy. Na otwartej platformie siedziało kilkudziesięciu uciekinierów, osłaniających się przed deszczem plastikową plandeką. Kiedy ciężarówka stanęła przed hotelem, ludzie na platformie siłą bezwładności przesunęli się do przodu, a plandeka razem z nimi. Litry wody runęły na dach szoferki i na kierowcę, który właśnie wyskakiwał z kabiny. Kaskada deszczówki zmoczyła go od stóp

do głów. Spojrzał na swoich pasażerów i chyba zrobił jakąś śmieszoną minę, bo rozległ się śmiech dzieci.

Cali patrzyła, jak mężczyzna strzepuje wodę i ochlapuje maluchy, wywołując jeszcze większą ich radość. Pierwszy raz od przybycia tutaj usłyszała śmiech dzieci. Sądząc po skromnym dobytku, ci ludzie w pośpiechu uciekli z domów, a mimo to kierowcy udało się rozśmieszyć ich dzieci. Pewnie pracuje dla jakiejś organizacji charytatywnej i musiały go znać już wcześniej.

To zaś oznacza, że kierowca wie, co się dzieje na północy kraju.

Spojrzała na kierowcę pierwszej ciężarówki. Miał jeszcze sporo jedzenia, postanowiła więc porozmawiać z tym z drugiej. Podeszła do niego, ale nie zauważył jej, bo pomagał zeskakiwać na ziemię kolejnym pasażerom. Podawał niemowlaki czekającym matkom i podtrzymywał starców, by uniknęli ponizającego upadku w błoto. Był kilka centymetrów wyższy od niej, a mokra koszulka lepiła mu się do ciała, uwydatniając muskulaturę. Nie groteskowe sploty mięśni kulturysty, ale gibką i silną sylwetkę kogoś, kto nigdy się nie bał ciężkiej pracy.

Musiał wyczuć jej obecność, bo nagle się odwrócił. Cali zamarła. Jego spojrzenie podziało na nią jak grom z jasnego nieba. Mężczyzna był przystojny, owszem, ale to jego oczy, stalowoszare jak burzowe chmury, robiły piorunujące wrażenie. Nie wiedziała, że w ogóle istnieje taki kolor oczu, a już tym bardziej nie miała pojęcia, że może być aż tak atrakcyjny.

- Cześć - powiedział z ujmującym uśmiechem.

- Cześć - odpowiedziała, wciąż oszołomiona. - Przyjechaliście z północy.

- Tak - potwierdził. - Znalazłem tych ludzi jakieś trzydzieści kilometrów stąd. Wyszli z dżungli, z całym dobytkiem na plecach. Nie mogłem ich tam zostawić.

- Nie jesteś pracownikiem żadnej organizacji charytatywnej?

Jakiś mężczyzna podał kierowcy klatkę z kurami, a on przekazał ją Cali, włączając kobietę w żywy łańcuch.

- Nie. Jestem geologiem - wyjaśnił i wyciągnął rękę. - Mercer. Nazywam się Philip Mercer.

Cali ujęła wyciągniętą dłoń i zamarła na chwilę. Mimo ulewnego deszczu ręka mężczyzny była chropowata jak kora; zgrubienia na skórze drapały wnętrza jej dłoni. W tym krótkim uścisku wyczuła siłę... i coś jeszcze. Pewność siebie, uprzejmość, szczerłość. Nie była pewna, która cecha promieniuje najmocniej, uznała więc, że wszystkie po trochu. Kiedy wreszcie puściła jego dłoń, dalej patrzył jej w oczy.

- A ty...?

- Co? Ach tak, przepraszam. Cali Stowe. Z Centrum Kontroli Chorób w Atlancie. Zwykle pracuję w terenie.

- Tu raczej nie będziesz miała wiele do roboty, bo choroby to ostatnia rzecz, jakiej ci ludzie się teraz boją. - Musiał być Amerykaninem, ale mówił z lekkim akcentem, którego Cali nie mogła rozpoznać.

- Już to zauważyłam - odparła. - Nie obrazisz się, jeśli spytam, co tu robisz?

Mercer zdjął z ciężarówki ciężki żeliwny kociołek i postawił go na ziemi.

- Poszukuję. Roześmiała się.

- Zawsze wyobrażałam sobie poszukiwacza jako brodatego mężczyznę w spłowiałych dżinsach i znoszonym podkoszulku, z łomem na ramieniu i opierającym się mułem na krótkim postronku.

- Nie potrzebuję muła. A tak na serio, wyświadczam przysługę przyjacielowi.

- Moje przyjaciółki proszą mnie najwyżej o wspólne zakupy albo najnowsze plotki. Chyba musisz nauczyć się asertywności.

Tym razem Mercer się roześmiał.

- Celne.

- To może zdradzisz, czego szukasz?

- Koltanu, czyli kolumbitu i tantalitu - odparł. Cali musiała mieć nietęgą minę, bo szybko dodał: - Stosują to w elektronice i AGD. A przede wszystkim w telefonach komórkowych.

- Nie zrozum mnie źle, ale mam nadzieję, że niczego nie znalazłeś. Na świecie jest już i tak za dużo tych paskudnych urządzeń.

- Racja - przyznał Mercer. - I nie martw się, moje poszukiwania zakończyły się fiaskiem. Finansowało je ONZ. Pewien urzędnik z biura rozwoju gospodarczego w Bangui słyszał, że jakiś myśliwy trafił na koltan w rzece Chinko. Prawdopodobnie ten myśliwy wcale go nie znalazł, tylko przemycił z Ugandy albo z Konga. Urzędnik uznał jednak, że to szansa na stworzenie nowych miejsc pracy w regionie, i machina ruszyła.

- A że on się wykazał, niewątpliwie na tym zyska.

- Pewnie tak. Ostatnie sześć tygodni spędziłem, przerzucając tony bezużytecznego błota i mułu, a kiedy rozpoczął się okres polowań na ludność cywilną, zwinąłem się z stamtąd. Oczekałem do ostatniej chwili, potem odprawiłem robotników, spakowałem się i ruszyłem z powrotem, a po drodze spotkałem tych biedaków.

- W takim razie może mi coś doradzisz. Chciałam jutro jechać na północ. Jak tam jest?

Mercer przerwał rozładunek ciężarówki i spojrzął na Cali.

- Podejrzewam, że skoro to zapomniane przez Boga i ludzi miejsce nie znalazło się w żadnym przewodniku, robisz tu coś naprawdę ważnego. Nie będę więc cię namawiał, żebyś dała spokój, ale jeśli koniecznie chcesz jechać na północ, zrób to dzisiaj. Najlepiej zaraz.

- Nie dam rady - stwierdziła ponuro. - Dziś rano jakiś pijany żołnierz użył mojego wozu jako tarczy strzelniczej. Muszę pojechać do Rafai, żeby kupić oponę.

- W takim razie nie ryzykuj - rzekł. Nie był protekcyjny ani źle nastawiony. Po prostu stwierdził fakt. Całkiem neutralnie. Była mu za to wdzięczna, musiała jednak zignorować jego radę.

- Gdybym tylko mogła... ale nie mam innego wyjścia. Mercer odgarnął mokre włosy z czoła. Cali pomyślała, że zastanawia się nad ceną, za jaką zgodzi się wynająć ciężarówkę.

- Jak daleko?

- Słucham?

- Jak daleko na północ musisz pojechać?

- Niecałe dwa kilometry od miejsca, gdzie Scilla wpada do Chinko, jest niewielka wioska. Tam muszę się dostać.

- To prawie sto pięćdziesiąt kilometrów. Masz tam naprawdę ważną rzecz do załatwienia?

Cali nie zwlekała z odpowiedzią.

- Jeden z naszych analityków, opracowując różne dane, trafił na raporty sporządzone w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku przez misjonarzy. Dziwne, że dotychczas nikt się nimi nie zainteresował, bo wskazują, że w tamtym rejonie jest najwyższy na świecie współczynnik zachorowalności na nowotwory. Nasi naukowcy doszli do wniosku, że przyczyna może tkwić w genach mieszkańców. Gdyby udało się wyizolować odpowiedzialny za to fragment DNA... resztę sam sobie dopowiedz.

- Antynowotworowa terapia genowa? Skinęła głową.

- I może także leczenie. Ale do tego potrzebne są próbki krwi i tkanek.

- A jeśli nie zdobędziesz ich przed przybyciem Dayce'a, mieszkańcy wioski albo skończą martwi...

- Albo rozproszą się po dżungli i nigdy ich nie znajdę - dokończyła. - Dlatego przyjechałam najszybciej, jak tylko się dało.

- Nie zamierzałem jechać aż tak daleko, ale co tam, podwoję cię.

- Chcesz tam wrócić? - Cali nie mogła uwierzyć.

- A jak myślisz, dlaczego rozładowuję ciężarówkę? Minałem znacznie więcej ludzi, niż mogłem zabrać na platformę. Rząd im nie pomoże, więc ktoś powinien. - Nagle spoważniał. - Ale umówmy się co do jednej rzeczy: zwracamy przy pierwszych oznakach kłopotów.

Cali nie zamierzała protestować. To była doskonała i, co więcej, jedyna okazja.

- Oczywiście.

- Więc umowa stoi. Ruszamy, jak tylko zatankuję tę bestię.

- Dziękuję - powiedziała. Uśmiechnął się.

- Nie dziękuj, dopóki nie wrócimy. Jeśli chcesz, możesz poczekać w szoferce. Przynajmniej schowasz się przed deszczem.

Mercer patrzył, jak Cali podchodzi do drzwi kabiny. Nie wiedział, co o niej myśleć, ale był pewien, że gdyby nie zaproponował jej pomocy, i tak by tam pojechała, tyle że sama. Nie miał najmniejszych wątpliwości, Cali Stowe wierzy w to, co robi, i nic nie jest w stanie jej powstrzymać. Podziwiał tę cechę, bo znał tylko kilka osób o podobnej determinacji.

Kiedy zaczął wlewać ropę do baku, podszedł do niego jeden z uchodźców i wcisnął mu w dłoń dwa pomidory. Wzruszył go ten gest. Mężczyzna właśnie stracił dom, w którym pewnie mieszkał od dziecka, a mimo to chciał jakoś się odwdziżyć - prawdopodobnie wszystkim, co miał do jedzenia. Mercer obejrzał pomidory i zatrzymawszy dorodniejszego, drugiego oddał. Gdyby oddał oba, darczyńca niewątpliwie uznałby to za obrazę. Mężczyzna skinął głową. Żona, stojąca za nim, uśmiechnęła się z wdzięcznością i przytuliła gromadkę dzieci.

Mercer wrócił myślami do Cali. Jako terenowy pracownik Centrum Kontroli Chorób musiała odwiedzić wiele niespokojnych rejonów, ale chyba jeszcze nie trafiła w takie bagno jak tutaj. Mimo to poszatkowanie samochodu kulami z karabinu maszynowego nie zrobiło na niej wielkiego wrażenia. Wątpliwe, żeby nabrała takiej odporności, pracując w Centrum. Więc gdzie? Jej przeszłość musi skrywać coś specjalnego, uznał. Na przykład przeszkolenie wojskowe.

Tak czy inaczej, na pewno nie spanikuje, gdyby on podczas jazdy na północ musiał użyć swojej ulubionej beretty 92. Zresztą był gotów się założyć, że Cali też nie wybierze się nieuzbrojona na taką wycieczkę.

Wyobraził ją sobie, jak stoi z pistoletem gotowym do strzału. Zestawienie zdolności do przemocy z jej delikatną kobiecością i zmysłowymi ustami przyprawiło go o szybsze bicie serca. Musiał przyznać, że jest bardzo pociągająca i atrakcyjna. Nie pomyślał w taki sposób o żadnej kobiecie od czasu, kiedy zmarła jego ukochana.

Znów zaczęły go nękać wyrzuty sumienia. Nie zdążył wyznać, że ją kocha, dopóki nie było za późno, dopóki takie wyznanie nie niosło już ze sobą żadnych konsekwencji. Wciąż nie miał pojęcia, co to oznaczało i czy w ogóle miało jakiegokolwiek znaczenie. Rady szukał u najlepszego przyjaciela. Harry stwierdził, że przez jakiś czas powinien nosić po niej żałobę i wspominać ją do końca życia, ale nie może pozwolić, by poczucie winy zmieniło ją w kogoś, kim nigdy nie była. Rozmowa z Harrym o kobietach była jak pytanie wegetarianina, gdzie serwują najlepsze steki w mieście, lecz tym razem staruszek miał rację. Znał Mercera lepiej niż ktokolwiek inny i wiedział, że nic tak nie wpływa na jego zachowanie, jak poczucie winy.

A Mercera dręczyły wyrzuty sumienia; świadomość, że mógł zrobić więcej, a nie zrobił. Żeby je zagłuszyć, rzucił się w wir spraw zawodowych. Paraliżowała go obawa, że nie będzie mógł spojrzeć w lustro, jeśli coś mu się nie uda, a mimo to każde kolejne zadanie, jakiego się podejmował, było trudniejsze od poprzedniego. Nie musiał wracać na północ. Gnało go tam pragnienie udzielenia pomocy tym, którzy sami nie mogą sobie pomóc. Tak jak on.

W prywatnym życiu, jak wielu mężczyzn, unikał wszelkich głębszych emocji. Zaledwie kilka dni po pogrzebie Tisy Nguyen wrócił na Arktykę Kanadyjską, gdzie pracował dla DeBeers. Potem dwa miesiące spędził w Brazylii jako szef ekipy badającej na zlecenie rządu nielegalne kopalnie złota w tropikalnych lasach Amazonii; sześć tygodni w Johannesburgu jako doradca i kilka miesięcy w ośrodku zarządzającym mogiłnikami na odpady radioaktywne w górach Nevady. Przekonał się, że nawet zajęć wcale nie leczy ran. Ale upływ czasu sprawia, że nie są już tak bolesne, i chyba dzięki temu teraz mógł patrzeć na Cali Stowe jak na atrakcyjną kobietę.

Gdy fontanna ropy trysnęła z przepełnionego zbiornika, Mercer, wyrwany z zamyślenia, zakręcił kurek. Rozejrzył się zakłopotany. Ludzie dookoła walczą o przeżycie, a on odkrywa na powrót swoje libido.

Umocował wąż na hakach obok beczki z paliwem i wskoczył do szoferki. Zdjął przemoczoną kurtkę i wepchnął za swoje siedzenie. Cali w międzyczasie zdażyła zmienić koszulę na suchą i poprawić makijaż maskujący cienie pod oczami. Była dobrze po trzydziestce, ale piegi dawały jej urok nastolatki. Uśmiechnął się.

- No tak - powiedziała. - Pewnie myślisz, że kobieta nigdzie się nie ruszy bez makijażu. Powiem ci, że już pięć lat pracuję dla Centrum Kontroli Chorób i byłam w miejscach, przy których to wygląda jak kurort. Moja kosmetyczka waży wprawdzie tylko dwieście gramów, ale nigdzie się bez niej nie ruszam.

- Przy twojej karnacji to chyba rozsądne. Cali spojrzała na niego z zaskoczeniem.

- Dzięki. Nie uwierzyłbyś, jak bardzo denerwowało to mężczyzn, z którymi pracowałam.

- Spędzam poza domem jakieś siedem, osiem miesięcy w roku - odparł Mercer - więc dobrze wiem, jak ważne są drobne przyzwyczajenia. W Kanadzie pracowałem z pewnym gościem, który wszędzie zabierał ze sobą pilota do telewizora. Twierdził, że gdy go trzyma, czuje się, jakby siedział w swoim salonie. Nie muszę chyba mówić, jak bardzo wkurzał tym żonę i dzieci.

Cali się roześmiała.

- A ty? Co wozisz ze sobą, żeby dodać sobie humoru? Mercer zrobił się poważny.

- To mi pomaga - powiedział, wyciągając zza paska beretkę i kładąc ją na siedzeniu obok siebie. - Pomyślałem, że lepiej, żebyś wiedziała, że mam broń.

Pokiwała głową.

- Miejmy nadzieję, że nie będzie nam potrzebna. Dżungla zaczynała się pół metra za ostatnim budynkiem; łuki zielonych gałęzi i lian nad błotnistym traktem dawały wrażenie jazdy przez żywy tunel. Przez pierwsze pół godziny mijali co pewien czas grupki wymizierowanych uchodźców, zmierzających na południe, do Kivu. Mercer za każdym razem zatrzymywał się i obiecywał, że jeśli, wracając, będzie miał jeszcze miejsce, pomoże im się dostać do miasta, ale żeby mimo to nie zwlekali. Żaden nie widział ani nie słyszał jeszcze armii Dayce'a, lecz to nie uspokajało Mercera i Cali. Jechali na północ skupieni i uważni.

Deszcz zaczął słabnąć, ale chociaż wycieraczki przy każdym ruchu wydawały zgrzyt podobny do drapania gwoździem po tablicy, Mercer ich nie wyłączał, bo z mokrych drzew kapąco dużo wody. Jeśli miał zauważyć ewentualną zasadzkę, potrzebował dobrej widoczności.

Dwie godziny później i niemal godzinę, od kiedy minęli ostatnią grupkę uchodźców, dotarli do rzeki Scilli. Brązowa od niesionego mułu, miała nie więcej niż dwadzieścia metrów szerokości, i to przy ujściu do Chinko. Jedynym sposobem, by dostać się na drugą stronę, był prom z pustych metalowych beczek powiązanych drutem i przykrytych stalowymi płytami. Mercerowi ulżyło, kiedy zobaczył, że właściciel, uciekając, zatopił prom przy samym brzegu. Jeśli Caribe Dayce podąża z Sudanu wzdłuż Chinko - a według pogłosek tę drogę wybrał - będzie musiał nadłożyć ponad dwadzieścia pięć kilometrów, żeby dotrzeć do najbliższego brodu.

- Wioska, do której jedziemy - Cali odezwała się po raz pierwszy od pół godziny - leży półtora kilometra stąd.

Mercer spojrział na dżunglę. Teren wokół ujścia Scilli był względnie płaski, ale wcześniej rzeka pokonywała liczne wąwozy wyłobione we wzgórzach, a jej brzegi były strome i niestabilne. Zatrzymali się w miejscu, gdzie kończyła się dobra droga; dalej prowadziła już tylko wąska ścieżka. Mercer cofnął się żarówkę, stanął koło porzuconej chatki właściciela promu i zgasił silnik. Przez chwilę oboje wsłuchiwali się w ciszę. Dopiero po kilkunastu sekundach usłyszeli szum rzeki, kapiącą z drzew deszczówkę i pojedyncze krzyki dzikich ptaków.

- Gotowa? - zapytał Mercer. Spojrzała na niego.

- Bierzesz ze sobą pistolet?

- Tak.

- To jestem gotowa.

Idąc ku wiosce, minęli na szczycie jednego ze wzniesień pozostałości po czymś, co przypominało niewielką kopalnię odkrywkową. Całość wyglądała jak labirynt połączonych ze sobą przejść i wykopów, gęsto przecinających ponad hektar powierzchni. Od strony rzeki stare wyrobisko zamykała ściana zatrzymująca brudną wodę w kanałach. Mercer oszacował głębokość wykopów na co najmniej trzy metry, ale że były zalane, równie dobrze mogły być głębsze. Zatrzymał się i stanął na krawędzi. Za plecami miał ściany i stromy brzeg rzeki. Uklęknął, nabrał garść wilgotnej ziemi i pozwolił jej wysypać się spomiędzy palców. Cali uważnie przyglądała się wyrobisku. Potem wyjęła z plecaka mały aparat cyfrowy i zrobiła kilkadziesiąt zdjęć okolicy.

Oceniając po erozji brzegów, Mercer uznał, że kopalnia powstała jakieś pięćdziesiąt lat temu lub nieco wcześniej. Na tyle niedawno, że powinno udać się ustalić okres, kiedy była użytkowana, kto w niej pracował i być może wyjaśnić wysoki odsetek zachorowań na raka w okolicach. Jeszcze raz uważnie się rozejrzył i jakby na potwierdzenie swoich przypuszczeń zobaczył, że przeciwległy brzeg rzeki zbudowany był z ciemnego granitu, a ten, na którym stali, głównie z bazaltu.

- Chyba możesz zapomnieć o swojej teorii z genami. - Mercer wstał i wytarł zapiaszczone dłonie w spodnie.

Cali spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Skąd taki wniosek?

- Jeszcze nie wniosek, zaledwie przypuszczenie. Musimy pogadać z miejscowymi. Najlepiej z jakimiś starszankami.

- Daj mi chwilę - poprosiła. - Muszę przypudrować nos.

- Przypudrować nos... ojej, przepraszam. Oczywiście. Leć, ja tu poczekam. Został na brzegu kanału, a Cali zniknęła wśród splątanej roślinności.

- Nie oddalaj się za bardzo! - krzyknął za nią.

- A fe, fetyszysto! - odkrzyknęła. - Lubisz słuchać, jak kobiety siusiają?

Mercer wiedział, że tylko się z nim droczy.

- Wolę patrzeć.

- Nie martw się, nie pójde dalej, niż to naprawdę konieczne.

Po pięciu minutach Mercer ją zawołał.

- Jeszcze minutkę! - odpowiedziała z irytacją. - Chryste, nie wiedziałam, że zemsta Montezumy dosięgnie mnie w Afryce!

Mercer starał się, żeby nie usłyszała zaniepokojenia w jego głosie.

- W Indiach nazywają to Hindu Tush. W Egipcie kłutwą Tutenchamona. Republika Środkowoafrykańska pewnie skorzystała ze sprawdzonych rozwiązań.

- No to ładnie. - Tym razem była pewniejsza siebie, a minutę później wyszła z zarośli. Nie wyglądała na kobietę po przejściach.

- I jak, już w porządku?

- Tak. Na szczęście mam strusi żołądek i szybko wracam do siebie. Nie chcę być dosłowna, więc kończymy temat.

- Pomóc ci nieść torbę?

Cali poprawiła pasek na ramieniu.

- Nie, dzięki. Poradzę sobie.

Z wioski, znajdującej się na szczycie kolejnego wzniesienia, roztaczał się fantastyczny widok na rzekę. Dwa i pół hektara dżungli zostało wykarczowane pod poletka, na których uprawiano głównie maniok. Między chatkami kręciło się kilka na wpół dzikich psów, a dwie uwiązane kozy o sierści równie skołtunionej, jak brody, spoglądały beznamietnie na zbliżającą się parę. Dopiero kiedy minęli centralny plac, na ich drodze pojawiła się pierwsza osoba - kilkuletnia dziewczynka ubrana w za dużą koszulkę Manchester United. Z chatynki wyjrzała kobieta w kolorowym stroju i zawołała dziecko. Chwilę później w wejściu pojawiła się staruszka. Miała twarz tak przeoraną zmarszczkami, że nie widać było jej oczu, tylko odbicie światła od skrytych w głębi źrenic. Opierała się na lasce zrobionej z długiego korzenia, a bezkształtna szata skrywała jej zgarbioną figurę. Odezwała się w narzeczu, którego Mercer nie znał, ale z jej tonu wynikało, że ma o coś pretensję. Głos staruszki był pełen naturalnej mocy, która poderwała ptaki z okolicznych drzew, a zabiedzony pies podwinął ogon i czmychnął za najbliższą chatkę.

- Pardon, madame - Mercer odezwał się po francusku. - *Parlez-vous francais?*

Przez chwilę stała nieruchomo jak posąg, przyglądając się z zaciekawieniem dziwnej parze białych ludzi, a potem krzyknęła coś w stronę domu. W wejściu stanęła matka dziewczynki, z drugim dzieckiem na rękach.

- Ja mówię po angielsku - powiedziała z wahaniem.

- Wspaniale. - Mercer uśmiechnął się serdecznie. - Jesteśmy Amerykanami.

Staruszka powiedziała coś do młodszej kobiety. Ta postawiła dziecko na ziemi i wróciła do środka. Kiedy znów się pojawiła, niosła niski stół, który podsunęła staruszce. Mercer uznał, że musi to być jej matka albo nawet babka. Kobieta usiadła z westchnieniem, całkowicie zakrywając drewniany mebel obfitą pupą.

Mercer i Cali podeszli kilka kroków i przykucnęli na wyciągnięcie ręki od bosych stóp staruszki, która roztaczała wokół siebie zapach dymu z ogniska i nawozu. W wejściach pozostałych chat pojawiły się zaciekawione twarze - niemal samych kobiet w podeszłym wieku.

- Gdzie są wszyscy młodzi? - zapytała Cali.

- Uciekli do dżungli - wyjaśnił Mercer. - Tak jest zawsze. Wszędzie tam, gdzie toczy się wojna. Dayce jest coraz bliżej, więc wszyscy zdolni do marszu schowali się w dżungli, a w wioskach zostali tylko starcy, dzieci i chorzy.

- Mój Boże, to jest...

- Tak, wiem.

Młoda matka została, by zająć się swoją babką, ale Mercer nie mógł zrozumieć, dlaczego nikt nie zabrał jej starszego dziecka. Uważnie przyjrzał się dziewczynce i wszystko zrozumiał. Na karku miała guz wielkości pomarańczy - odrażającą, krwistoczerwoną narośl, która nieleczona szybko zacznie ją dusić. Rak. Dlaczego ktoś miałby spowalniać ucieczkę, ratując dziecko, które i tak niedługo umrze?

- Jesteś bardzo dzielna. Nie każdy by został - Mercer mówił bardzo powoli.

Kobieta nie odpowiedziała, ale jej wielkie oczy wypełniły się łzami.

- Niedaleko promu na Chinko zostawiłem ciężarówkę. Mogę was zabrać do Rafai. - Tak samo szybko jak łzy, w oczach kobiety błysnęło szczęście. -

Powiedz wszystkim, żeby się przygotowali do drogi - dodał. - Odjeżdżamy za kilka minut.

- Jesteście z rządu?

Mercer wolał jej oszczędzić świadomości, że rząd zostawił mieszkańców rejonu na północ od Kivu na pastwę ludzi Dayce'a.

- Tak.

Kobieta coś zawołała i nagle zaroiło się od starszków. Wysłuchawszy jej, wrócili do chat, by spakować wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, a czego uciekający młodzi nie wzięli ze sobą.

- Czy wiesz coś o kopalni na wzgórzu nad rzeką? - spytał Mercer. Kobieta nie odpowiedziała, więc wyjaśnił, o co dokładnie chodzi. - Rowy w górze. Czy wiesz, kto je wykopał?

Młoda Murzynka zapytała o coś babkę, a ta udzieliła jej długiej odpowiedzi, zakończonej atakiem mokrego kaszlu.

- Kiedy moja babcia była dzieckiem, do wioski przybył biały człowiek. - Mercer szybko obliczył, kiedy mniej więcej mogło się to dziać. - Zapłacił naszym mężczyznom, żeby kopali dziury w ziemi; potem wyjechał ze skrzyniami pełnymi kamieni. Minał jakiś czas i przybyło jeszcze więcej mężczyzn. Oni nie płacili, tylko zmuszali, żebyśmy wykopali dla nich nowe dziury w ziemi. Kiedy odchodzili, mieli jeszcze więcej skrzyń.

- A niedługo potem ludzie z wioski zaczęli chorować, tak? - Mercer dotknął szyi w miejscu, w którym dziewczynka miała narodzić się.

Młoda matka mimowolnie ścisnęła dłoń córki.

- To właśnie powiedziała babcia. Wiele dzieci zmarło i wiele urodziło się z... - Nie potrafiła znaleźć właściwych słów, by opisać horror narodzin zdeformowanych ciałek, z których większość zapewne nawet raz nie nabrała powietrza do płuc.

Mercer spojrzał na Cali.

- Prawdopodobnie znaleźliśmy miejsce, w którym Stany Zjednoczone pozyskiwały uran w czasie II wojny światowej.

- A ja myślałam, że to było Kongo - zdziwiła się. - Z uranu robi się bomby atomowe, prawda? Jakiś miesiąc temu widziałam na kanale historycznym film o „Projekcie Manhattan”. Mogłabym przysiąc, że twierdzili, że nasz uran pochodził z Konga.

- Może tak, a może nie - odpowiedział Mercer. - Ale ktoś musiał tutaj coś wydobywać. Sądząc po wieku tej kobiety, stawiabym na okres II wojny. Krótco potem mieszkańcy wioski zaczęli cierpieć na coś, co przypomina chorobę popromienną. A teraz okazuje się, że to miejsce ma też najwyższy odsetek zachorowalności na raka. Gość odpowiedzialny za raport medyczny musiał uznać kopalnię za system nawadniający albo coś podobnego, w każdym razie nie połączył ze sobą tych dwóch faktów. Zazwyczaj blenda uranowa nie jest niebezpieczna, a żeby wywołać chorobę popromienną, trzeba ją oczyścić. Najwyraźniej tutaj naturalne stężenie uranu U-235 było na tyle wysokie, by powodować uszkodzenia płodów i raka.

Stara kobieta wydała wnuczce jakieś polecenie i ta zniknęła na chwilę we wnętrzu chatynki. Gdy wróciła, wyciągnęła rękę, by podać coś Mercerowi, ale tajemniczy przedmiot wysunął jej się z palców. Mercer pochylił się i podniósł z ziemi metalową menażkę w płóciennym pokrowcu nasączonym jakimś impregnatem. Oliwkoszary materiał był już słaby i wyblakły, ale metal, z

którego wykonano menażkę, wciąż błyszczał. Wyglądała jak standardowe wyposażenie wojskowe. Kiedy wyjął menażkę z pokrowca, ze środka wypadła niewielka karteczka. Wykaligrafowane na niej słowa brzmiały: „Własność Chestera Bowiego”.

- To może być amerykańskie nazwisko - powiedział Mercer, podsuwając Cali kartkę. - Chyba jednak kanał historyczny niezle namieszał.

Kobieta zaczęła tłumaczyć słowa babki.

- Pierwszy mężczyzna. Dał to mojemu pradiadkowi. - Staruszka chwyciła rzemyk, który nosiła wokół szyi, i wyciągnęła spod bluzki małą zawieszkę. W zrobionej z drutu niewielkiej klance znajdował się kawałek miedzi. - Ludzie, którzy przyszli później, dali jej to.

Podala naszyjnik Mercerowi. Na skórzanym pasku kołysał się splaszczony pocisk. Amerykanin spojrzał zaskoczony na staruszkę. Ta uniosła lekko kolorową tunikę, odsłaniając łydkę. Od czarnej skóry wyraźnie odcinała się niewielka blizna. Kobieta odwróciła nogę i oczom Mercera ukazała się blizna po otworze wylotowym, duża, poszarpana na brzegach i wciąż szara i napięta, choć od postrzału musiało minąć wiele lat.

- Kiedy skończyli kopać, zabili wielu pracowników - tłumaczyła wnuczka. - Strzelali z karabinów maszynowych, więc tylko niewielu udało się uciec do dżungli. Ojciec mojego dziadka i wszyscy jego bracia zginęli.

Cali spojrzała na Mercera.

- Nie rozumiem. Po co Amerykanie mieliby zabijać najemnych pracowników? Żeby ukryć to, co robili?

- Jakoś nie chce mi się w to wierzyć - odparł, mimo że w rękę trzymał dowód. - Owszem, cały projekt był wielką tajemnicą, ale po prostu nie mieści mi się w głowie, żebyśmy mogli posunąć się do mordowania niewinnych ludzi, którzy w dodatku wcześniej nam pomagali.

- Ale jeśli nie my, to...

Mercer nie dał jej dokończyć pytania, bo podświadomie zarejestrował, że pół sekundy wcześniej zamilkły odgłosy dżungli. Nie czekał, co się stanie. Rzucił się na Cali, przewrócił ją na ziemię i przykrył własnym ciałem. Zanim zdążyła zareagować, powietrze przecięły serie z karabinów maszynowych.

Kobiety z wioski znalazły się na linii ognia. Staruszkę dwa pociski trafiły w pierś i zrzuciły z ławki. Kolejne kule przyszyły brzuch oraz głowę wnuczki i prawnuczki. Obie były martwe, zanim ich ciała upadły na ziemię.

Rozległo się przerażające wycie i z dżungli wypadli renegaci z armii Caribe'a Dayce'a. Mercer zobaczył wśród nich chłopca z kałasznikowem większym od siebie. Kiedy strzelał, cały drżał, jakby trzymał przewód pod napięciem.

W pierwszej chwili Mercer chciał ratować wszystkich, ale dysponując siłą ognia jednego pistoletu, nie miał żadnych szans w konfrontacji ze zgrają rebeliantów wyposażonych w karabiny automatyczne. Zdecydował się realizować plan B, czyli ratować siebie i Cali. Ciężarówka czekała półtora kilometra w dół rzeki, a morderczy amok rebeliantów zapewne potrwa jeszcze przynajmniej kilka minut. Była szansa, że nikt nie zauważy, jak się wmykają.

Sturlał się z Cali, złapał jej plecak i zaczął ciągnąć w kierunku najbliższego domostwa. Szybko zrozumiała jego zamiary i ruszyła za nim. Gliniane ściany pozwalały im się ukryć przed wzrokiem napastników, ale nie dawały

zasłony przed kulami. Kiedy znaleźli się w środku, Mercer poderwał się z ziemi. Spojrzał na Cali, żeby sprawdzić, czy nic jej się nie stało, po czym podbiegł do tylnej ściany i silnym kopniakiem wybił w niej otwór. Za chatą było niewielkie poletko, które kończyło się ostrym spadkiem prosto do rzeki. Przez chwilę rozważał ucieczkę wodą, ale zrezygnował z tego pomysłu, bo na pustym zboczu byłiby przez jakiś czas całkiem odsłonięci. A nawet gdyby jakimś cudem dobiegli do rzeki, tam też nie mieliby się za czym schować. Byli więc uwięzieni między bojówką a Scilla. Złapał Cali za rękę i wyprowadził na zewnątrz do płotku. Nawet nie wiedział, kiedy w jego dłoni znalazła się odbezpieczona beretta, z nabojem wprowadzonym do lufy. Puścił swoją towarzyszkę, żeby mieć wolne obie ręce.

Atak rozpoczął się od góry rzeki, więc Mercer popchnął Cali przed siebie. Uznał, że gdyby ktoś ich teraz zauważył, jego pierwszego dosięgną kule, a ona może zdoła ująć z życiem. Poruszali się schyleni, kryjąc się, za czym się dało. Mercer hamował Cali, która cały czas wrywała do przodu. Gwałtowne ruchy i paniczny bieg przyciągnęłyby uwagę nawet najsłabiej wytrenowanego żołnierza.

Wpadli w obłok dymu buchającego z podpalonej przez rebeliantów strzechy jednej z lepianki. Chociaż dom płonął jak pochodnia zanurzona w benzynie, ze środka wciąż dobiegały krzyki. Ustały gwałtownie, kiedy strawiona ogniem konstrukcja nie wytrzymała i zapadła się do wewnątrz, wyrzucając w powietrze snopy iskiei. Napastnicy ani na chwilę nie przestawali strzelać. Kiedy jeden karabin cichł, natychmiast odzywał się następny, wypluwając pociski w kolejne cele.

Mercer nie odważył się spojrzeć za siebie. Zbyt wiele razy widział podobne obrazy. Kiedyś w takim ataku, niecałe tysiąc kilometrów dalej, stracił rodziców.

Pięćdziesiąt metrów za wioską zaczynała się dżungla. Oboje przykucnęli w cieniu drzew i Mercer dopiero wtedy się obejrzał. Kilka chat stało w ogniu, a między płomieniami biegali ludzie. Jedni strzelali z karabinów, inni padali na ziemię. Wydawało się, że nikt nie patrzy w ich kierunku. Najwyraźniej Dayce zakładał, że po błyskawicznym ataku nie będzie potrzeby otaczać wioski ani wystawiać straży na obrzeżach.

Sto metrów dalej znajdowały się pierwsze kanały kopalni, które niczym okopy stanowiły doskonałą kryjówkę. Tuż za nimi ciągnęła się dżungla, zielona i nieprzenikniona. Mercer przyjrzał się otwartej przestrzeni, którą mieli do przebycia, by wybrać najbezpieczniejszą trasę, a część jego umysłu walczyła z nadmiarem adrenaliny we krwi. Cali wydawała się znacznie spokojniejsza.

- Uda się - szepnęła, poprawiając plecak, żeby nie przeszkadzał w biegu.
- Musi - powiedział pewnym głosem.

Ruszyli schyleni jak zawodowi żołnierze. Pokonywali kolejne metry wilgotnej ziemi, a kiedy byli już w połowie drogi, Mercer zauważył w oddali dwóch rebeliantów z karabinami, którzy właśnie przeskakiwali przez rów oddzielający kopalnię od zbocza. Więc Dayce jednak wysłał straże. Młodzi żołnierze samozwańczej armii biegli, nie mogąc się doczekać udziału w rzezi. Nie było możliwości, żeby przeoczyli dwójkę Amerykanów pośrodku puste przestrzeni.

Mercer po mistrzowsku posługiwał się beretta, wiedział jednak, że z tej odległości nie ma najmniejszych szans na celny strzał. W dodatku w pobliżu nie było niczego, za czym mogliby się schować. Nie miał więc wyboru; uniósł pistolet. Poczul suchość w ustach. Patrzył, jak się zbliżają - dwaj chłopcy z pasami z amunicją skrzyżowanymi na wątych klatkach piersiowych, w sandałach ze starych opon i z kałasznikowami zmęczonymi życiem, ale wciąż sprawnymi. Mieli do pokonania jeszcze jakieś trzydzieści metrów, kiedy jeden z nich w końcu zauważył dwoje białych ludzi rozciągniętych płasko na ziemi. Stał i rozdziawił usta. Sekundę później zauważył ich jego kompan. Błyskawicznie uniósł karabin i złożył się do strzału.

Mercer pierwszy pociągnął za spust. Partyzant upadł. Kolejny strzał rozległ się ułamek sekundy później i chociaż Mercer był pewien, że spudłował, drugi chłopiec też upuścił AK-47, kurczowo przycisnął dłoń do przestrelonego ramienia i zwinął się, wyjąc z bólu.

Cali i Mercer poderwali się do biegu. Pędzili ramie w ramie jak sprinterzy na zawodach, z każdym krokiem oddalając się od ogarniętej chaosem wioski. Huk wystrzałów karabinowych za ich plecami trwał na tyle długo, by zdążyli dotrzeć do dżungli, zanim rebelianci skierują lufy w ich stronę.

Pierwsze pociski zaczęły ich gonić, kiedy przebyli kilkadziesiąt metrów. Powietrze przecięły ze świstem serie z kałasznikowów, wyrzucając fontanny mokrej ziemi. Jeden z pocisków uderzył w coś twardego w plecaku Cali, a impet trafienia ocalił jej życie. Ułamek sekundy po tym, jak wylądowała na ziemi, kolejna seria przecięła powietrze dokładnie w miejscu, gdzie przed chwilą znajdowała się jej głowa.

Mercer chwycił ją pod ramię, podniósł i niemal wrzucił do rowu, który zaczynał się trzy metry dalej. Przetoczyła się przez krawędź i wpadła do brudnej wody na dnie, a on przeskoczył nad nią. Z rozpędu wyrzwał w przeciwny brzeg, po czym spadł w cuchnącą breję obok Cali.

- Nic ci nie jest? - sapnął, wykrztuszając brudną wodę. Cali zdjęła plecak, obejrzała dziurę po kuli i skinęła głową na znak, że wszystko w porządku. Wciąż nie mogła uspokoić oddechu, a jej twarz płonęła z wysiłku.

- Musimy ruszać. - Mercer wziął ją za rękę i zaczęli brodzić w głębokiej do połowy łydki wodzie. Zbirów Dayce'a dzieliło od kopalni kilkadziesiąt sekund i dokładnie tyle mieli czasu, żeby ukryć się gdzieś w gąszczu wykopów i z dala od luf kałasznikowów szukać bezpiecznej drogi ucieczki.

Nogi ślizgały im się na błotnistym dnie, a gdzieś tam znacznie wyższy poziom wody zmuszał ich do ucieczki w pław. Mercer nie miał pojęcia, ilu rebeliantów ruszy za nimi w pościg, ale miał nadzieję, że nawet jeśli wszyscy, będzie ich i tak za mało, by obstawić wszystkie drogi ucieczki.

Wydrażone w ubitej ziemi ściany mimo upływu lat były proste. Z miejsca, w którym się znajdowali, niebo wyglądało niczym niebieska wstążka ograniczona krawędziami wykopów - zupełnie jakby krążyli po pomniejszonej replice nowojorskich ulic zabudowanych drapaczami chmur. Kiedy szli do wioski, Mercer nie przyjrzał się kopalni dość dokładnie, by zapamiętać, jak się z niej wydostać. Jednak dzięki zmysłowi orientacji w przestrzeni, doskonalonemu podczas długich lat pracy w sieciach podziemnych tuneli w kopalniach węgla, złota i diamentów oraz słońcu przeświecającemu przez deszczowe chmury mógł określić kierunki świata i biec tam, gdzie planował.

Po kilku minutach brodzenia w błocie uznał, że pokonali już jedną czwartą drogi. Gdzieś z tyłu rozległy się niezrozumiałe okrzyki - to rebelianci dotarli w końcu do wyrobiska. Nie widział ich, ale słyszał na tyle wyraźnie, żeby odruchowo przyspieszyć. Któryś z prześladowców wypuścił serię z karabinu; pozostali krzyczeli coś bezładnie. Nie mieli zielonego pojęcia, gdzie szukać uciekinierów.

- Wiesz, dokąd będziemy? - zapytała Cali po kolejnej minucie.

- Nie do końca - przyznał się Mercer. - Ale wiem, że musimy oddalić się od rzeki, bo Dayce na pewno ustawił strażę wzdłuż głównego wyrobiska. Próbuję przeprowadzić nas na drugą stronę kopalni, tę blisko dzungli. Miejmy nadzieję, że gdy tam dotrzemy, zdołamy uciec między drzewa.

- Wszystko w twoich rękach.

Niektóre wykopy były długie i szerokie, inne kończyły się nagle stromą ścianą albo rozgałęziały w liczne mniejsze kanaliki. Mercer zerkał raz po raz na ich krawędzie, obawiając się, że żołnierze mogli jakoś przedostać się górą na środek wyrobiska i teraz lustrować kanały bez schodzenia do nich. Minęli kolejny zakręt.

- Cholera!

- Co się stało?

- Widzisz tę gałąź pod lewą ścianą? Mijaliśmy ją minutę temu. Czyli biegamy w kółko. - Spojrzał za siebie, a potem znów na niebo. Chmury zrobiły się tak gęste, że nie widział już, w którym miejscu znajduje się słońce. Na dodatek zaczęło padać.

Zawrócił i poprowadził Cali drogą, którą tu przybiegli. Wyczuł w jej ruchach wahanie, ale nie winił jej za to.

Chłopak z kałasznikowem zabił dziś już troje ludzi, ale wciąż było mu mało. Jego przyjaciel Simi mógł zrobić sześć nowych nacięć na poznaczonej kolbie. Jakoś przeskoczył nad zewnętrznym wykopem i popędził na skos, wypatrując uciekinierów. Nagle dostrzegł, że w miejscu, gdzie woda zwykle stała nieruchomo, teraz drobnymi falami uderza o brzegi. Musieli być blisko. Przyspieszył, gnając zaledwie centymetry od krawędzi rowu. Skręcił i zobaczył ich. Z pochylonymi głowami biegli w jego stronę, rozbryzgując błotnistą breję.

Zatrzymał się gwałtownie i już miał pociągnąć za spust, kiedy coś uderzyło go w ramię. Zachwiał się, stracił równowagę, ale jakimś cudem upadł na brzuch i zanim zsunął się do rowu, zahaczył palcami o krawędź. Bezuszyteczny kałasznikow boleśnie wbijał mu się w pierś, a stopy rozpaczliwie szukały jakiegoś podparcia, by wygrzebać się z powrotem na górę.

Mercer uniósł pistolet, ale się zawahał. Nie potrafił strzelić do bezbronnego rannego dziecka. W tej chwili nie miało znaczenia, ilu ludzi chłopak zabił, ile kobiet zgwałcił i ile zadał cierpienia. Po prostu nie mógł go zastrzelić, ot tak, z zimną krwią. Podbiegł, chwycił mocno za chudą kostkę i nie zważając na wrzaski chłopaka, jednym ruchem ściągnął go na dół.

Małoletni żołnierz wpadł plecami do wody i zanim zrozumiał, co się dzieje, Mercer wyrzucił go prawym prostym w twarz. Złamany nos i kilka wybitych zębów unieszkodliwiły dzieciaka przynajmniej na kilka godzin. Mercer ułożył nieprzytomnego żołnierza tak, żeby się nie utopił, po czym wsunął berettę do kabury przy pasku i sięgnął po zdobyczny AK-47.

Ciekawe, kto go postrzelił? - zastanawiał się. Czyżby w okolicy znajdowały się jednak jakieś oddziały rządowe? Może to ten sam człowiek, który załatwił pierwszego napastnika, kiedy leżeli z Cali na otwartej przestrzeni przed kopalnią?

Kątem oka zauważył nad sobą jakiś cień. Odwrócił się, strzelając z biodra. Pierwsze dwie kule wyrzuciły fontanny ziemi z brzegu wykopu, a kolejne trzy czerwonej krwi z piersi drugiego żołnierza. Sekundę później trzeci dzieciak z karabinem wychylił głowę znad krawędzi. Szybko się cofnął i nie celując, wystrzelał w ich kierunku cały magazynek.

Był jednak za słaby, żeby trzymać stabilnie podskakującą broń, więc kule latały we wszystkie strony. Mercer i Cali schowali się za zakrętem. Po kilku sekundach rozległ się przerażony krzyk, bo dzieciak odważył się wychylić i zajrzeć do rowu. Pierwsze, co zobaczył, to wielka plama krwi wokół kolegi, którego przed chwilą poszatkował ze swojego automatu. Wściekły zeskoczył do wykopu, a za nim trójka jego towarzyszy i wszyscy natychmiast rzucili się w pogoń za białymi.

Cali i Mercer uciekali w pogmatwanym labiryncie przejść, ale Mercer nie łudził się, że długo zdołają zwozić pogoń -ich ślad był wyraźniejszy, niż gdyby znaczyli przebytą drogę okruszkami chleba. Za kolejnym zakrętem popchnął Cali naprzód, a sam przywarł plecami do ściany. Żołnierze nawet nie starali się zachować ciszy; rozbryzgiwali wodę i chlupali błotem jak w ściekle krokodyle. Mercer odczekał jeszcze chwilę, a potem wyskoczył z za rogu.

Miał przewagę zaskoczenia i karabin przy biodrze. Pierwszy napastnik zginął, zanim zdążył się zorientować, że wpadł w pułapkę. Drugi padł chwilę później, a trzeci sam zanurkował pod wodę. Mercer wystrzelił dwa ostatnie pociski w miejsce, w którym zniknął. Na powierzchnię wypłynęło ciało z dwiema dziurami po kulach. Mercer odrzucił bezużyteczną broń i pobiegł za Cali.

Dogonił ją, kiedy mijala kolejny zakręt. Wpadli na prostą i zamarli, bo dwadzieścia kroków przed nimi stał następny rebeliant, tyle że zamiast karabinu trzymał w dłoniach miotacz granatów. Mercer i Cali rzucili się naprzód w chwili, kiedy odrzut granatnika wstrząsnął ciałem młodego żołnierza. Ciągnąc za sobą długi ogon ognia i dymu, pocisk popędził przez wykop i wbił się w przeciwległą ścianę. Ułamek sekundy później granat eksplodował, wrywając czterometrową dziurę w tamie oddzielającej zalane korytarze od stromej zbocza.

Mercer wynurzył się spod wody z pistoletem gotowym do strzału. Kiedy tylko mógł cokolwiek zobaczyć, pociągnął za spust. Dwie kule przeszły pierś terrorysty. Mercer stracił równowagę, ale jeszcze zanim upadł na plecy, zorientował się, co się dzieje. Wysadzona granatem tama otworzyła zastalą wodzie drogę do rzeki. Masy brudnej mazi ruszyły z impetem w dół zbocza, w ciągu kilku sekund powiększając co najmniej dwukrotnie wyrwę w zaporze. Nurt miał taką siłę, że on i Cali nie mogli nic zrobić. Nie pomagało ani wbijanie pięt w śliskie dno, ani czepianie się rękami wszystkiego, co mogło stanowić jakieś oparcie. Woda spychała ich w stronę wyrwy.

Mercer zaklął głośno, a Cali przywarła do jego ramienia i tak wypadli na zewnątrz kopalni. Pierwszą część drogi, która wydawała się nie mieć końca, przebyli w powietrzu. Potem wyrznęli w rozmyty stok i popędzili dalej, kozio

łkując, popychani lawiną błota i wody z wyrobiska. Mercer nawet nie zauważył, że zgubił beretę.

Wpadli do rzeki z takim impetem, że momentalnie znaleźli się na samym środku, ale ogłuszeni i zdezorientowani, nie byli w stanie wykorzystać szansy danej im przez los. Krztusząc się i plując brudną wodą, zawrócili do brzegu. Mercer pomógł Cali wydostać się na ląd, a potem sam wyczołgał się z wody. Żadne z nich nie spojrzęło w górę.

Mężczyzna był potężny. Miał przynajmniej metr dziewięćdziesiąt, szerokie bary i okrągłą łysą głowę. Nosił spodnie w maskujących kolorach i nowe buty wojskowe. Umięśniony tors częściowo przykrywała kamizelka z cętkowanej skóry jakiegoś zwierzęcia. Wyraz jego twarzy był zimny i nieprzyjemny, a w szklach dużych ciemnych okularów odbijały się postaci dwójki uciekinierów. W kaburze na szerokim pasie mógłby zmieścić działo kolejowe. Wyjął spomiędzy zębów zgaszone cygaro i roześmiał się szyderczo.

- Witam w piekle, mister CIA. - Terrorysta zdjął ciemne okulary i spojrzał na nich głęboko osadzonymi oczami. - Teraz należycie do mnie, generała, a już wkrótce cesarza Caribe'a Dayce'a.

REPUBLIKA ŚRODKOWOAFRYKAŃSKA

Żołnierze związali im ręce i zaciągnęli z powrotem do wioski. Tam zamknęli jeńców w jednej z kilku ocalałych chatynek. Zanim zostali sami, zabrano im wszystko, co mieli w kieszeniach, szczególnie dokładnie rewidując piersi Cali i okolice jej krocza. Zachowanie zbiorów Dayce'a nie pozostawiało żadnych wątpliwości co do losu, jaki ją czeka.

Przed wejściem zostało dwóch wartowników, a pozostali wrócili do plądrowania wioski.

- Wszystko będzie dobrze - szepnął Mercer, przysuwając się po klepisku do Cali. Mieli przemoczone ubrania i mimo tropikalnego upału na zewnątrz czuł, że kobieta się trzęsie.

- Zwariowałaś? - Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczyma. - Za godzinę, najdalej za dwie wpakują ci kulę w głowę, a mnie będą gwałcili, aż umrę!

- Nie, nie, posłuchaj. Wydaje mi się, że nie jesteśmy tu sami. Dzieciak, który wpadł do kanału, został trafiony w plecy, a drugiego, a właściwie pierwszego, tego, który zginął, zanim dobiegliśmy do kopalni, też nie ja postrzeliłem. Ktoś inny ich sprzątnął. Może to oddziały rządowe?

- Wybacz, ale nie chce mi się w to wierzyć - odparła. - Stawiałabym raczej na to, że oberwali przypadkowo od swoich. A teraz daj mi chwilę, bo muszę pomyśleć.

Mimo że Mercer zamilkł, Cali nie udało się skupić, bo do ciasnego wnętrza wtoczył się potężny Caribe Dayce. W jego obecności temperatura wydawała się spadać o przynajmniej dziesięć stopni. W lepiance panował półmrok, ale watażka nie zdjął ciemnych okularów. Kłęby cuchnącego dymu z cygara maskowały stęchliznę biedy.

Z ostrza noża, który trzymał w ręku, kapłała krew, formując na klepisku niemal czarną kałużę. Dayce stał bez ruchu i patrzył na spętanych jeńców.

- CIA chyba nie uważa mnie za zagrożenie, skoro wysłała tylko dwóch agentów, w tym jedną kobietę - powiedział po angielsku, a z jego głosu przebijały pycha i władczość.

- Nie jesteśmy z CIA - wyjaśniła Cali, zanim Mercer zdążył odpowiedzieć mu po francusku, żeby zyskać trochę czasu. - Pracuję dla Centrum Kontroli Chorób.

- No proszę. - Dayce zachowywał się, jakby słyszał o tej organizacji. - To agenda CIA, która zajmuje się roznoszeniem chorób i zarażaniem ludzi w Afryce. Udają, że za damo szczepią nasze dzieci, a wstrzykują im śmiertelne wirusy.

- Nasze Centrum nie ma żadnych związków z CIA - zachnęła się Cali. - Jestem tu, żeby zapobiegać chorobom. Chciałam ratować wasze dzieci.

Dayce uderzył ją w twarz wierzchem dłoni. Mercer napiął się, ale zanim zdążył cokolwiek zrobić, pistolet watażki boleśnie uderzył go między oczy.

- Następnym razem użyję pięści. Jesteś tutaj, żeby roznosić AIDS. Miałaś zarazić mnie AIDS, tak jak CIA chciała zabić towarzysza Fidela, zasypując Kubę świniami!

Mercer dopiero po dłuższej chwili zrozumiał sens słów Dayce'a, który najwyraźniej wierzył, że inwazja w Zatoce Świń polegała na wypuszczeniu na wyspę tysięcy tych zwierząt. W innych okolicznościach wybuchnąłby śmiechem.

- Jesteście zamachowcami, którzy mają mnie zabić i stłumić moją rewolucję. - Zwrócił się do Cali: - Przynosisz mi chorobę, tak? Myśleli, że będą cię chciał, bo jesteś biała. A kiedy skończymy, powiesz mi, że mam adidasa.

- Właśnie tak - potwierdziła z powagą i zrobiła minę, która mogła świadczyć albo o nadludzkiej odwadze, albo o skrajnej głupocie. - Przybyli

śmy tu jako zamachowcy. Roznosimy chorobę, która zabija niepostrzeżenie przez długie lata.

- A ty - Dayce spojrział na Mercera, nawet na chwilę nie zmniejszając nacisku lufy na jego czoło - jaką chorobę ty mi przywozisz?

Mercer przez odsuniętą zasłonę zobaczył białego człowieka. Miał na sobie wojskowy mundur i karabin maszynowy zawieszony na ramieniu. Poruszał się z lekkością i profesjonalną elegancją między zgliszczami spalonych chat. Pewnie należał do kontyngentu belgijskiego wysłanego z Kivu na północ, żeby przyspieszyć ewakuację. A żołnierze z sił pokojowych ONZ nigdy nie poruszali się sami. Mercer przeniósł wzrok na Dayce'a i nie zdradzając żadnych emocji, odpowiedział na jego pytanie:

- Optymizm.

Watażka zakolysał się na piętach i roześmiał.

- W Afryce wszyscy są odporni na tę chorobę.

- Niestety.

Dayce wstał, ale chatka była zbyt niska, żeby mógł się wyprostować. Schował broń do kabury.

- Nie będę ryzykował użerania się z wami. Uznaję, że jesteście szpiegami na usługach CIA, i skazuję was na śmierć. Egzekucja nastąpi o zachodzie słońca.

- Też go widziałeś? - zapytał Mercer, kiedy tylko Dayce znalazł się poza zasięgiem głosu.

Cali opuściło napięcie. Zwiotczała i oparła się o jego plecy.

- Tak. Chryste, oczywiście, że tak! Kto to był?

- Chyba ktoś z sił ONZ. I na pewno nie jest tu sam. Możliwe, że właśnie zajmują pozycje do ataku. Przygotuj się do ucieczki, jak tylko rozpęta się piekło. Dasz radę uwolnić ręce?

- Ja ich nawet nie czuję, nie mówiąc już o uwalnianiu się.

- Dobra, nieważne. Gdy tylko rozpocznie się atak, wybijamy dziurę w tylnej ścianie i staramy się uciec do rzeki. Ciężarówka czeka półtora kilometra stąd. Wystarczy trzy minuty przewagi i już nas nie dogonią.

Odsunęli się od wejścia i oparli stopy o glinianą ścianę. Jeden czy dwa mocniejsze kopniaki powinny wystarczyć na otworzenie drogi ucieczki. Stromy brzeg rzeki zaczynał się zaledwie kilka metrów dalej. Przez kilka pierwszych minut oczekiwania na atak Mercer czuł buzującą w żyłach adrenalinę. Kiedy minęło pięć, zeszło z niego napięcie i zaczął się zastanawiać. Żołnierze ONZ musieli widzieć, jak zostali pojmani. Nie powinni czekać z rozpoczęciem odbijania jeńców do ostatniej chwili, bo coś może pójść nie tak. Nawet jeśli nie ma ich zbyt wielu, Mercer już wyeliminował sześciu rebeliantów, a pozostali nie byli ani właściwie przeszkoleni, ani odpowiednio uzbrojeni. Pewnie wachali w życiu sporo prochu, lecz to nie przekładało się na umiejętności. Możliwe, że ci z ONZ nie chcą otwarcie atakować sił Dayce'a, ale w takim razie powinni spróbować ich dyskretnie uwolnić.

Po kolejnych kilku minutach Cali opuściła nogi i się zgarbiła.

- Już po nas - powiedziała drżącym głosem.

- Nie możesz tracić nadziei.

Wyprostowała się i ze zmęczonym uśmiechem zaczęła naśladować głos Dayce'a.

- W Afryce nie zarazisz nikogo optymizmem. - Spojrzała na Mercera. - Jeśli w okolicy naprawdę są jakieś siły ONZ, to zaczekają z atakiem do zachodu słońca. Ja w każdym razie tak bym zrobiła na ich miejscu. A dla nas to trochę za późno.

Pewność, z jaką analizowała arkana taktyki wojskowej, zupełnie nie pasowała do tego, co wcześniej mówiła mu o sobie. Mercer znów pomyślał, że musi mieć za sobą jakieś szkolenie militarne.

- Kim naprawdę jesteś?

- Już ci powiedziałam. Pracuję dla Centrum Kontroli Chorób.

- Ale ile czasu przedtem spędziłaś w wojsku?

- Skąd wiesz...

- Nikt, kto nie widział prawdziwej bitwy, nie zachowuje się tak spokojnie.

Spuściła wzrok.

- Zostałam pojmana przez partyzantkę sunnicką w Bagdadzie w 2005 roku. Nie mogli ze mnie zrobić drugiej Jessiki Lynch, bo nikt nie wiedział o moim porwaniu.

- Co tam robiłaś?

- Byłam ratownikiem medycznym w Gwardii Narodowej. Odłączyłam się od mojej grupy tuż przed tym, jak wpadli w zasadzkę. Trzy dni zajęło naszym wyciąganie hummera, którym wtedy jechaliśmy. Dopiero wtedy zorientowali się, że żadne z czterech zwęglonych ciał w środku to nie ja. Potem spędziłam w niewoli jeszcze pięć dni. W końcu siły specjalne zdołały mnie zlokalizować i odbić.

Mercer już chciał zapytać, dlaczego żadne media o tym nie doniosły, ale ugryzł się w język. Wojskowa cenzura i tak by tego nie puściła. Prawdziwe powody leżały zdeponowane w bezpiecznym archiwum i w jej sercu.

W chatce zapanowała pełna napięcia cisza. Wydawało się, że cała wioska zamilkła.

- Nie zgwałcili mnie - odezwała się Cali minutę później.

- Słucham?

- Powiedziałam, że nie zostałam zgwałcona. Irakijczycy mnie nie tknęli. Chciałam, żebyś to wiedział. Teraz boję się jak cholera i prawdę mówiąc, nawet się cieszę, że ludzie Dayce'a nie położą na mnie swoich brudnych łap.

- Tak, to jakieś pocieszenie - nic innego nie przyszło Mercerowi do głowy.

Mimo bólu związanych nadgarstków sięgnął, żeby chwycić Cali za rękę. Odpowiedziała mu uściskiem i oboje zamarli w takiej pozycji, czekając na ratunek, który z każdą sekundą wydawał się coraz mniej prawdopodobny.

Gdy jakieś pół godziny przed zachodem słońca do chaty wszedł biały żołnierz, którego widzieli wcześniej, stracili resztki nadziei. W blasku latarki, którą miał ze sobą, widać było, że jest wysoki i potężnie zbudowany jak Caribe Dayce. Rysy twarzy wskazywały na wschodnioeuropejskie pochodzenie. Miał rzadkie blond włosy, grube usta, a jedno oko skrywała czarna opaska, zbyt mała, by ukryć szeroką bliznę biegnącą od czoła do samego nosa. Drugie, sprawne oko, było bladoniebieskie, lecz czaiła się w nim mroczna wrogość. W jakikolwiek sposób stracił oko, uszkodzenie musiało naruszyć kanaliki łzowe, bo opaska była cała wilgotna. Mężczyzna otarł ją wierzchem dłoni i beznamietnie przyjrzał się jejcom.

Mercer znał ten typ ludzi, bo spotkał kilku takich w życiu. Mężczyzna przeszedł szkolenie w siłach specjalnych wojsk Układu Warszawskiego, a

potem został najemnikiem. Porzuceni przez kraje, które zrobiły z nich bezwzględnych zabójców, byli członkowie elitarnych jednostek zaczęli sprzedawać swoje usługi na wolnym rynku, a Zachód dbał jedynie, by na ten rynek nie trafili naukowcy z tajnych ośrodków jądrowych. Najemnicy ze Wschodu zajęli się szkoleniem płatnych zabójców i terrorystów. I tak doszło do sytuacji, w której kraje Zachodu drżały przed zagrożeniem związanym ze sprzedażą broni jądrowej na czarnym rynku, a prawdziwie niebezpieczne okazały się organizacje terrorystyczne dysponujące bojownikami wyszkolonymi jak najlepsi komandosi.

Do chatki wszedł Caribe Dayce i klepnął najemnika w ramię. Mężczyzna odwrócił się gwałtownie, a watażka odskoczył. Chociaż miał całą armię zbirów i morderców, cieszył się wątpliwą sławą brutalnego i okrutnego człowieka, a pewności siebie dodawała mu potężna postura - wyraźnie obawiał się jednookiego blondyna.

- Co ci powiedzieli? - najemnik mówił ze słowiańskim akcentem, głosem równie głębokim jak Dayce.

- Nic nowego - odparł watażka z cieniem szacunku. - Ale tak jak obiecałem, znajdziemy to, czego szukamy.

- Nie podoba mi się, że znaleźli się w wiosce w tym samym czasie co my.

- Mnie też nie, Poli - zgodził się Dayce. - Moi ludzie twierdzą, że przyjechali na chwilę przed atakiem. Czegokolwiek się tu dowiedzieli, zabiorą to ze sobą do grobu.

- Nie wiemy, kto ich przysłał.

- Są Amerykanami. Czyli pracują dla CIA.

Najemnik przyjrzał się Mercerowi, a potem równie uważnie zlustrował Cali. Wydawało się, że to, co zobaczył, nie zrobiło na nim wrażenia.

- Nie sądzę, żeby pracowali dla Agencji.

- Weź nas na tortury, popieprzony idioto, to się wszystkiego dowiesz! - Wybuch Cali wprawił w osłupienie wszystkich trzech mężczyzn. Mercer ścisnął mocniej jej dłoń, żeby ją uspokoić, ale bez efektu. - Nie wierz ę, że tego nie robicie! Wbijcie nam drzazgi bambusa pod paznokcie. Zakopcie nas w rozżarzonych węglach. Róbcie, co chcecie. Ale i tak dowiecie się tylko tego, co powiedzieliśmy wam po dobroci. Ja pracuję dla Centrum Kontroli Chorób w Atlancie, a Mercer jest tutaj z ramienia ONZ. Gdybyście zapomnieli, wasza rebelia spowodowała kryzys, który zabił Bóg wie ilu niewinnych ludzi, a tysiące zmusił do opuszczenia domów i ucieczki.

Poli patrzył przez chwilę, jak wzburzona Cali usiłuje uspokoić oddech, po czym wyszedł bez słowa. Dayce ruszył za nim, a kilka minut później do chaty wpadło czterech chłopców z karabinami. Cali i Mercer wiedzieli, co ich teraz czeka, lecz mimo to byli zaskoczeni. Ona krzyknęła, a on kopniakiem wytracił broń jednemu z bandytów i rzucił się na drugiego. Powalił go i przygniótł całym ciałem, wyciskając z jego płuc powietrze cuchnące alkoholem i zepsutym mięsem. Mocnym uderzeniem czołem pozbawił chłopaka przytomności i już miał wstać, kiedy towarzysz ogłuszonego wziął zamach i kolbą kałasznikowa rąbnął Mercera w nerkę.

Przeszywający ból niemal pozbawił go zmysłów. Partyzant, zadowolony z efektu, uniósł broń, by ponowić atak, ale Mercerowi jakimś cudem udało się przeturlać w bok, tak że uderzenie spadło na tył łydki, pozbawiając go czucia w nodze. Nie przestawał się turlać, a żołnierz młócił karabinem jak kijem

bejsbolowym. W końcu Amerykanin nie miał już dokąd uciekać. Dotoczył się do ściany i gwałtownymi kopnięciami próbował wybić w niej dziurę. To był prawdziwy test na wytrzymałość pokrytej gliną przeszkody oraz jego odporności na ból. Wreszcie wątpła chatynka zwyciężyła, bo silne uderzenie w potylicę pozbawiło Mercera przytomności.

Rebeliant na wszelki wypadek jeszcze raz wyrzucił go karabinem w głowę, a potem z kolegą złapali nieprzytomną ofiarę pod pachy i postawili na nogi. Cali nie mogła pomóc Mercerowi, bo kiedy zaczęło się zamieszanie, jeden z żołnierzy osadził ją na miejscu ciosem kałasznikowa, który niemal rozerwał jej pęcherz.

Rebelianci zawlekli jeńców na centralny plac, gdzie czekało kilkunastu podnieconych zbirów. Ze wszystkich chatek ocalały tylko dwie; pozostałe zamieniły się w dymiące kupki popiołu. Przy jednej stała gromadka mężczyzn. Śmiali się, żartowali i niecierpliwie przebierali nogami, czekając na swoją kolej w środku z kobietami, które przeżyły masakrę.

Za kamiennym obeliskiem z udeptanej ziemi sterczały dwa drewniane pale. Mercer, który powoli dochodził do przytomności, spojrzał na intrygujący słup. Miał niemal dwa metry wysokości i gładką powierzchnię, więc na pewno znalazł się tu za sprawą ludzi. Nie zdążył mu się dobrze przyjrzeć, bo kiedy tylko znaleźli się w pobliżu drewnianych pali, został brutalnie pchnięty i przywiązany do jednego z nich. Żołnierz, który prowadził Cali, pchnął ją tak silnie, że wylądowała na ziemi. Rebeliant podbiegł do niej, szarpnięciem postawił ją na nogi, przyciągnął do słupa i z pomocą kolegi związał jej ręce w nadgarstkach. Mercer próbował się uwolnić, ale więzy trzymały zbyt mocno.

Dayce podszedł do nich wolnym krokiem, przyglądając się czubkowi zapalnego cygara w dłoni. Nigdzie w pobliżu nie było widać jednookiego najemnika.

- Ostatnie życzenie? Tylko nie proście o cygaro, bo i tak wam nie dam. Ale któryś z moich ludzi może was poczęstować papierosem.

- Generale Dayce - zaczął Mercer. Chciał błagać o darowanie im życia, ale się powstrzymał. Na twarzy watażki pojawił się szeroki uśmiech, świadczący, że był już w takiej sytuacji wiele razy, a mimo to żebranie o łaskę wciąż go bawi. Mercer postanowił nie dawać mu tej satysfakcji. Jeśli już musi umrzeć, to z godnością. - Chciałbym sam wydać rozkaz do oddania strzału.

Watażka spojrzał na niego zaskoczony, a potem roześmiał się chrapliwie.

- Widzę, że masz jaja. Szanuję to.

Krzyknął coś do czterech ludzi z karabinami. Pluton egzekucyjny. Jeden z nich z uznaniem popatrzył na jeńca i uniósł kciuk.

- W porównaniu z tobą i tak jestem nikim - powiedział Mercer.

- W takim razie życzę przyjemnego umierania, panie Nikt. - Dayce poklepał Mercera po policzku.

- Co ty, do cholery, wyprawiasz? - zapytała nerwowo Cali, kiedy watażka nie mógł ich już usłyszeć.

- Gdy zaczniesz się strzelanina, natychmiast siadaj na tyłku.

- Co?

- Po prostu zrób, co mówię.

- Myślisz, że damy radę uchylić się przed kulami? Jak w Matrixie?

- Diabli wiedzą, ale warto spróbować.

Czwórka żołnierzy uformowała równą linię. Caribe Dayce stanął po prawej stronie, nieco z tyłu. Wyciągnął z kabury potężny pistolet, gotów dobić więźniów, gdyby salwa z karabinów ich nie zabiła. Poli pojawił się kilkanaście metrów za partyzantami i mechanicznym ruchem wytarł łzę spływającą z uszkodzonego oka.

- Możesz zaczynać odliczanie.

Karabiny rebeliantów były wycelowane w ziemię, ale ich oczy płonęły chęcią zabicia jeszcze dwojga ludzi. Mercer spojrzął na Cali. Była spięta i oddychała ciężko.

- Mercer - wychrypiała. - Ja nie chcę umierać!

- To padnij na ziemię. - Spojrzął w dal, za żołnierzy i najemnika, w miejsce, gdzie dżungla rozpoczynała się cienistą ścianą.

- Zaczynaj, panie Nikt, albo wydam rozkaz za ciebie.

- Gotów! - ryknął Mercer, starając się włożyć w rozkaz cały swój autorytet.

Czterej rebelianci posłusznie unieśli kałasznikowy. Zewsząd obserwowali ich koledzy. Większość z nich zostawiła swoje karabiny oparte o chatkę, w której gwałcili pojmane kobiety.

Cali zaczęła jęczeć.

Mercer czekał. Cały czas wpatrywał się w Dayce'a, obserwując oznaki jego wyczerpującej się cierpliwości. Kiedy watażka już otwierał usta, by odebrać mu kontrolę nad swoimi ludźmi, Mercer szepnął do Cali:

- Pamiętaj, co ci powiedziałem. - Potem krzyknął na cały głos: - Cel!

Lufy karabinów uspokoiły się, palce powędrowały na spusty. Mercer jeszcze raz spojrzął na skraj dżungli, a potem przeniósł wzrok na Dayce'a. Otworzył usta i wydał rozkaz.

Serie z karabinów maszynowych poleciały w ich kierunku ze wszystkich stron. Czterech mężczyzn wybranych do plutonu egzekucyjnego zostało ściętych jak zboże. Caribe Dayce padł przeszyty dwiema seriami. Jego ciało eksplodowało pod naporem kul. Mężczyźni, którzy zrezygnowali z oglądania egzekucji na obcokrajowcach i zostali w kolejce przed chatką, padli chwilę później, gdy nagle za ich plecami zmaterializowała się ubrana na czarno postać i strzałami z pistoletu rozwaliła im głowy. Napastnik wśliznął się do lepianki, skąd po następnej chwili dobiegły jeszcze dwa strzały.

Każdy, kto trzymał w rękach broń, stawał się kolejnym celem. Tylko jeden rebeliant zdołał otworzyć ogień, ale zanim wycelował, połowa jego głowy zamieniła się w czerwoną mgiełkę. Potem przyszła kolej na tych, którzy rzucili się po swoje kałasznikowy. Jedni padali na ziemię i czołgali się, szukając schronienia, a inni, spanikowani, biegli, przeskakując nad ciałami towarzyszy. Żadna taktyka nie była skuteczna. Niewidoczni zamachowcy systematycznie eliminowali rebeliantów. Ci, którzy próbowali uciec do dżungli, ginęli trafieni w plecy. Inni padali na kolana, by błagać o litość - i ginęli trafieni w twarz lub pierś.

Poli, który w chwili rozpoczęcia ataku stał dość daleko od żołnierzy Dayce'a, zamiast rzucić się do ucieczki, spokojnie położył się na ziemi i bez zwracania na siebie uwagi zaczął się czołgać w kierunku brzegu rzeki. Pełzał tak wolno, że w świetle zachodzącego słońca można go było pomylić z trawą poruszającą się na wieczornym wietrze. Kiedy dotarł do stromego brzegu, ostrożnie przeturlał się przez krawędź i zsunął w dół, rozłożywszy ręce i nogi,

by jak najbardziej spowolnić spadanie. Wśliznął się do wody bez najmniejszego plusku, nabrał tyle powietrza, ile tylko pomieściła jego potężna klatka piersiowa, zanurkował i popłynął.

Wynurzył się spory kawałek dalej, obok powalonego drzewa. Spokojnie wyszedł na brzeg i ruszył przed siebie z cierpliwością krokodyla skradającego się do ofiary. Chociaż wciąż był odsłonięty i miał świadomość, że dobry strzelec z noktowizorem może go w każdej chwili położyć jednym pociskiem, nie przyspieszał. Wreszcie dotarł do skraju dżungli i zniknął wśród zieleni. Kiedy strzelanina w wiosce ucichła, był już ponad kilometr dalej i z każdym krokiem zwiększał dystans.

Mercer nie wspomniał Cali o zamaskowanych postaciach, które, chowając się za drzewami, okrążały wioskę, bo sam nie był do końca przekonany, czy coś mu się nie przywidziało. Ani razu nie zobaczył ich dokładnie - byli jak powiew wiatru, bezcieleśni - a nie chciał wzbudzać w Cali płonnych nadziei, że mają jeszcze szanse. Jego ostatnie życzenie było próbą nawiązania kontaktu z wybawicielami, gdyby okazało się, że naprawdę istnieją.

W chwili, kiedy pierwsze kule poszatkowały członków plutonu egzekucyjnego, Mercer opadł na ziemię i pochylił się, by stanowić jak najmniejszy cel. Nie był w stanie przekrzyczeć kakofonii ognia, ale z ulgą dostrzegł, że Cali posłuchała jego rady, a nawet zdołała się położyć, mocno wyginając spętane dłonie.

Jednostronny ogień trwał niecałe pięć minut i skończył się równie nagle, jak zaczął, gdy niewidoczni strzelcy położyli trupem ostatniego rebelianta. Zabijając stu czterdziestu ośmiu dobrze uzbrojonych partyzantów, tajemniczy napastnicy w ciągu kilku chwil dokonali tego, czego nie zdążyli dokonać ani armia Republiki Środkowoafrykańskiej, ani siły ONZ.

Mercer, upewniwszy się, że nad jego głową nie latają już kule, dźwignął się na nogi. Miał nadzieję, że zdarzy się coś, co ich ocali, ale spustoszenie dookoła wywołało u niego ciarki na plecach. Cali wciąż się nie podnosiła. Z zamkniętymi oczami leżała koło słupa.

- Wiedziałaś, że czekali na właściwy moment? - zapytała w końcu.
- Podejrzewałem.
- Dlaczego mi nie powiedziałaś?
- Bo bałem się, że mi nie uwierzysz.
- Słusznie. Pomyślałabym, że to żalosna próba pocieszenia mnie, a potem bym umarła, myśląc, że jesteś szowinistycznym głupkiem.
- A co myślisz teraz? Wreszcie otworzyła oczy.
- Że jednak nie jesteś szowinistą - odparła ze zmęczonym uśmiechem.

Kilka sekund później Mercer usłyszał, że ktoś staje za jego plecami, a po chwili poczuł szarpnięcie przecinanych nożem więzów. Chciał się odwrócić i spojrzeć na swojego wybawiciela, ale ktoś chwycił jego głowę.

- Nie patrz za siebie - odezwał się niski, pozbawiony emocji głos, jakby mówiący próbował ukryć swój prawdziwy akcent. Potem rozległo się brzęczenie kluczyków. - Dayce mi ał je w kieszeni. Dwóch ludzi, których wysłał na poszukiwanie waszego wozu, zostało wyeliminowanych. Zabieraj kobietę i wynoście się stąd. I nigdy tu nie wracajcie. - Mężczyzna podał Mercerowi kluczyki i jeszcze dwa przedmioty. - Zgubiłeś to w zamieszaniu.

Mercer popatrzył na menażkę i wisiorek, który nosiła staruszka z wioski.

- Kim jesteś? - spytał.

- Nie twoja sprawa. Wynoście się stąd. Natychmiast.

- Ale...

- Jeśli za pięć sekund jeszcze tu będziecie, w szóstej zginiecie. Dajemy wam szansę, bo mamy ku temu swoje powody. Złap swoją kobietę za rękę. - Ktoś przyprowadził uwolnioną Cali. Jej palce zacisnęły się na jego dłoni. - Idźcie prosto przed siebie, aż dojdziecie do ciężarówki. Potem wracajcie do Rafai. Powiedzcie wszystkim, że Dayce nie żyje i że mogą wracać do domów.

Kiedy niewidoczny mężczyzna puścił głowę Mercera, ktoś z tyłu przeładował karabin, by podkreślić, że to nie są żarty. Ani Cali, ani Mercer nie potrzebowali dodatkowej zachęty. Jak żołnierze z kompanii reprezentacyjnej przemaszerowali sztywnym krokiem między spalonymi chatami, ze wzrokiem wbitym w jakiś punkt przed sobą.

Cali odważyła się odezwać, dopiero kiedy minęli tamę oddzielającą wyrobisko od stromego brzegu rzeki i wspęli się z drugiej strony na osypisko po wybuchu granatu.

- Co to było, do cholery? Kim są ci ludzie?

Mercer uświadomił sobie, że wciąż trzymają się za rękę.

- Pojęcia nie mam. Ale na pewno nie konkurencyjna partyzantka. Zaatakowali rebeliantów jak komandosi, a facet, który do mnie mówił, jest chyba biały, choć raczej nie pochodzi ze Stanów.

- Może to oddział ONZ?

- Jeśli są z ONZ, to dlaczego nie wzięli nas ze sobą? I jeszcze ten zakaz powrotu. Zupełnie jakby próbowali coś chronić. A już na pewno nieprzypadkowo znaleźli się tutaj równocześnie z Dayce'em.

- Może byli tutaj cały czas i z ukrycia pilnowali wioski? Mercer się zastanowił. Ta teoria brzmiała całkiem prawdopodobnie, z jednym wyjątkiem.

- Gdyby pilnowali wioski, nie pozwoliliby rebeliantom wymordować mieszkańców, a kobiet, które przeżyły, zgwałcić. Nie, musiało im chodzić o coś innego.

- O starą kopalnię?

- Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

- Ale dlaczego interesuje ich nieczynna kopalnia?

- Nie wiem, ale zamierzam się dowiedzieć.

- No cóż, to chyba wykracza poza nasze możliwości.

- Poza moje nie.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Go chcesz przez to powiedzieć?

Mercer zawsze miał problem z wyjaśnianiem, na czym polega jego współpraca z rządem, bo nie chciał, by wyglądało na to, że się chwali. Starał się więc mówić o tym wprost, bez kluczenia.

- Dwa lata temu zostałem doradcą prezydenta Stanów Zjednoczonych, a dokładnie specjalnym konsultantem naukowym. Z racji zawodu, jaki wykonuję, jeżdżę do różnych dziwnych miejsc na całym świecie i przy okazji gromadzę informacje o ludziach, którzy mogą stanowić potencjalne zagrożenie dla naszego kraju.

- Jesteś szpiegiem?

- Nie - zaprzeczył odruchowo, ale po chwili dodał: - No dobra, w jakiś sposób jestem. Jeśli w trakcie badań geologicznych trafiam na coś, co wzbudza moje podejrzenia, piszę o tym raport i wysyłam doradcy prezydenta

do spraw bezpieczeństwa państwa, Irze Lasko. Tyle że przez dwa lata, od kiedy mnie zatrudnili, wysłałem mu raptem kilka raportów. I z żadnego nic nie wynikało.

- Ale tym się chyba zajmiesz?

- Cali, właśnie byliśmy świadkami masakry wsi i pojawienia się tajemniczej grupy ludzi, którzy bez wysiłku rozwalili całą partyzantkę Dayce'a. Myślisz, że mógłbym porzucić tę sprawę i zająć się czymś innym?

Do miejsca, gdzie zostawili ciężarówkę, dotarli jeszcze przed zmrokiem. Dżungla była srebrnoszara, a wody rzeki Chinko czarne. Już z daleka zauważyli ludzi kręcących się koło zdezelowanego pojazdu. Mercer złapał Cali za nadgarstek i ukucnął, ciągnąc ją za sobą. Widząc dwie niewyraźne sylwetki wychodzące z samochodu, zaklął pod nosem, zły na siebie, że nawet nie spróbował odnaleźć broni. Z tej odległości nie mógł dojrzeć szczegółów, ale widział, że mają w rękach coś długiego. Broń?

Jedna z postaci zamachnęła się podłużnym przedmiotem i jaśniejszy kształt głośno zaprotestował... mecząc. Owce.

Kiedy tylko Mercer uświadomił sobie, że to nie zasadzka, dostrzegł znacznie więcej szczegółów. Koło ciężarówki stali kobieta i mężczyzna, którzy, jak się domyślił, uciekali przed Dayce'em, popędzając swoje owce w kierunku rzeki. To stadko było ich całym dobytkiem. Po chwili do dorosłych dołączyła dwójka nagich dzieci. Matka podniosła młodsze i oparła je na biodrze. Nie protestowała, kiedy drobne rączki odchyliły materiał okrywający jej piers. Maleństwo zaczęło pić.

- Co robimy? - zapytała Cali.

Mercer, przekonany, że wszyscy partyzanci zostali wybici, wstał i uniósł ręce w przyjacielskim geście powitania. Nie potrafił zostawić bezbronnych uchodźców na pastwę losu. Pasterz zauważył go i podniósł kij jak włócznię. Wyglądało to dziwnie, ale byli w Afryce, a tu wszystko jest możliwe. Mercer się roześmiał.

- No cóż - rzekł - będziemy kontynuować ucieczkę z Republiki z tą przerażoną rodziną i stadkiem ich przemokniętych owieczek.

Minęły trzy dni, zanim dotarli z Rafai do stolicy, a stamtąd samolotem do Lagos i w końcu do Nowego Jorku. Mercer miał wrażenie, że im bliżej byli domu, tym Cali bardziej zamykała się w sobie. Podejrzewał, że to tylko mechanizm obronny, dzięki któremu udawało jej się zachować dystans do horroru ostatnich dni, którego stała się bezwolną uczestniczką. Schowała te wspomnienia w jakiejś przegródce w głowie, a teraz powoli otaczała je wysokim murem, by nigdy nie wracały inaczej niż jako koszmary senne, nad którymi nie da się zapanować.

Mercer widział już takie reakcje. Ba, sam tak cza sem robił. Spotkał się w życiu z bestialstwem, którego rozmiaru Cali pewnie nawet by nie pojęła. Ona była konfrontowana z powolną śmiercią ludzi pozbawionych lekarstw, bo Centrum zajmowało się chorobami w obozach dla uchodźców i na terenach katastrof. Na pewno była w klinikach leczących AIDS, ale nie musiała oglądać przemocy zadawanej tylko po to, by patrzeć na cierpienie. On natomiast był świadkiem wojen na czterech kontynentach, powstań i rebelii, które nie przebijały się do mediów, lecz mimo to zostawiały po sobie tysiące ofiar; ratował porwanych górników w Erytrei; i wreszcie trzymał w ramionach kobietę, którą kochał, kiedy umierała.

Pewnego wieczoru, niedługo po śmierci Tisy Nguyen, Harry White był w wyjątkowo filozoficznym nastroju. Powiedział wtedy Mercerowi, że Bóg nie kładzie ludziom na barki większych ciężarów niż takie, które mogą udźwignąć. Popatrz na Hioba, powiedział. Miał wszystko, a Bóg mu to zabrał. Rodzinę, pieniądze, zdrowie, przyjaciół, full wypas. Ale Bóg wiedział, że Hiob da sobie z tym radę. Ty też nie możesz się poddawać, kontynuował Harry. Życie nie przestaje rzucać ci kłód pod nogi, ale ty musisz iść dalej. To jedyne wyjście.

- Nieprawda. Mogłbym zacząć pić i zostać starym, zgorzkniałym alkoholiczkiem jak ty - odparował Mercer. - Siedziałbym w barze przez dwanaście godzin na dobę, czekając na jakiegoś naiwniaka, żeby zapłacił za mnie rachunek.

Harry wykrzywił się w charakterystycznym uśmiechu, który na chwilę zmieniał osiemdziesięcioletniego staruszka w ośmioletniego łobuziaka.

- Właśnie o tym mówiłem.

Ale w jakiś sposób Harry miał rację i jego słowa utkwily Mercerowi w pamięci. Nie mógł się poddać. Musiał iść dalej. Może suma jego doświadczeń, tego, co w życiu widział i co zrobił, rozmyśla jego niegdyś kategoryczne przekonania i zmusiła go do spostrzeżenia, że świat nie jest czarno-biały. Nie miało to jednak wpływu na zasady - najważniejsze to znaleźć czystość pośród zepsucia i trzymać się tego, kiedy wszystko dookoła będzie ginęło.

Instynktownie wyczuwał, że Cali funkcjonuje w taki sam sposób. Za tydzień, najdalej za miesiąc, będzie mogła spojrzeć wstecz i na wspomnienie jakiegoś wydarzenia z wyprawy - może pełnego przeklinania załadunku mokrych owiec na pakę ciężarówki - uśmiechać się. Wtedy przypomni sobie również o panice, jaką czuła, będąc więźniem w wiosce, i uśmiech zniknie z jej twarzy, ale za każdym razem strach będzie mniejszy.

Za pół roku, może za rok, będzie się tylko śmiała z owiec, a reszta wspomnień nie będzie jej już niepokoiła.

Aby jednak tak się stało, Cali potrzebowała dystansu - dystansu do Afryki i do Mercera. On to rozumiał i szanował. Kiedy stali w kolejce do okienka linii lotniczych US Airways, wymienili się numerami telefonów i umówili na jakieś spotkanie w nieokreślonej przyszłości. Oboje wiedzieli, że nigdy do niego nie dojdzie, ale rytuałowi stało się zadość.

- Powodzenia w poszukiwaniach - Cali pożegnała się nieco oschle.

- Szkoda, że twoja misja się nie powiodła. - Gdy spojrzała na niego zaskoczona, dodał: - No, twoje badania na temat nowotworów. To, co mówiłaś, brzmiało bardzo obiecująco.

- Teraz mam wrażenie, że dałam się trochę ponieść, kiedy po raz pierwszy przeczytałam o tej wiosce. Tak się spieszyłam, że zlekceważyłam najważniejszą zasadę badań medycznych: nigdy nie chodzić na skróty.

- A dokąd się teraz wybierasz?

- To zależy od Centrum. Ale przez jakiś czas nie będę się nigdzie pchała. Posiedzę za biurkiem, aż... - urwała.

Mercer ujął jej dłonie, upewnił się, że patrzy mu w oczy, a potem pochylił się i pocałował ją delikatnie w sam kącik ust. Z założenia niewinny całus miał w sobie znacznie więcej intymności, niż zamierzał, ale nie potrafił oprzeć się pragnieniu sprawdzenia, jakie w dotyku są jej wargi. Nawet gdyby miał je tylko musnąć. Były bardziej miękkie, niż sobie wyobrażał.

- Powodzenia, Cali Stowe.
- Powodzenia.., Chryste, zapomniałam, jak masz na imię. Cały czas mówiłam do ciebie Mercer.

- Nie przejmuj się - odparł z uśmiechem. - Wszyscy tak mówią.

Znieruchomieli na chwilę wpatrzeni w siebie. On przytrzymał jej dłoń dłużej, niż wypadało, a ona się nie wyrywała. Oboje wiedzieli, że widzą się po raz ostatni. Paskudne uczucie, ale na swój sposób czarowne. Może gdyby spotkali się w innym czasie i w innym miejscu, teraz układaliby plany wspólnej randki, a nie żegnali się na zawsze.

Zanim puścił jej rękę, Cali, wiedziona jakimś impulsem, oddała mu pocałunek. Jej usta nie drżały, włosy połyskiwały w świetle słońca jak czysta miedź.

- Żegnaj.

W jednej chwili połknął ją tłum spieszących we wszystkich kierunkach podróży.

Parę sekund później starsza kobieta, która stała w kolejce za Mercerem, stuknęła go w ramię. Jej włosy były niczym biały krzak, ale z oczu wyczierała życzliwość.

- Może to nie moja sprawa, ale chyba powinieneś za nią pobiec, młody człowieku.

Mercer spojrział na miejsce, w którym po raz ostatni widział plecy Cali.

- Pewnie ma pani rację, ale cóż, takie jest życie.

- Racja. Uczymy się na własnych błędach. Mercer uśmiechnął się do niej.

- Myśli pani, że robię błąd, pozwalając jej odejść?

- To wie już tylko pan - odparła. - Ale proszę podejść do lady, bo kolejka się przesunęła.

Mercer chwycił torbę, w której miał menażkę Chestera Bowiego i wisiorek staruszki ze wsi. Zrobił krok w kierunku lady, a potem nagle się odwrócił.

- Dziękuję pani. Chyba panią przepuszczę. Wyskoczył z kolejki. Ruszył biegiem przez tłum, łudząc się

nadzieją, że zaraz ją zobaczy. W myślach układał sobie słowa, które chciał jej powiedzieć: „Oboje czujemy, że jest między nami chemia, a ja nie wierzę, że Opatrzność sprawiła, że się spotkaliśmy tylko po to, żeby za chwilę się rozdzielić. Wiem, że chcesz mieć to za sobą. Uwierz mi, że ja też. Ale jestem przekonany, że jedna randka nas nie zabije. Pojutrze będę w Atlancie. Muszę złożyć raport z wyjazdu mojemu kontaktowi z ONZ Adamowi Burke'owi”.

Gdyby powiedziała „nie”, oznaczałoby to „nie”. Dla niego byłaby to strata zaledwie godziny do następnego samolotu.

Gdyby jednak powiedziała „tak”, może to pomogłoby uleczyć gorzką samotność, która dręczyła go przez ostatnie pół roku.

Atlanta była tylko przystankiem w drodze, założył więc, że będzie chciała zrobić rezerwację na samolot Delta Airlines. Wyszedł z terminalu i zaczął szukać bagażowego, którego mógłby zapytać, gdzie jest stanowisko Delt. Zamarł w bezruchu, kiedy zobaczył, jak Cali przechodzi na drugą stronę ulicy i zatrzymuje się przy czarnym lincolnie town car.

Nie obejrzała się ani nawet nie pozdrowiła kierowcy, który stał wyprostowany przy otwartych drzwiach, by je zamknąć, kiedy wsiadzie do środka. Mercer odczekał, aż samochód włączy się do ruchu. Kierowca taksówki, której lincoln zajechał drogę, nerwowo nacisnął klakson, a

policjant kierujący ruchem krzyknął coś w ich stronę. Mercer nie zwrócił na to uwagi. Wychylił się, żeby zobaczyć tablice rejestracyjne samochodu. Czarne litery na białym tle były doskonale widoczne. Nagle wiele rzeczy stało się całkiem jasnych, ale jeszcze więcej znacznie trudniejszych do zrozumienia.

Limuzyna miała tablice rządowe.

ARLINGTON, WIRGINIA

Mercer miał wrażenie, że szeregowe domy z elewacją z piaskowca, które ciągnęły się wzdłuż jego ulicy, są ostatnim wspomnieniem po czymś, co niegdyś stanowiło urokliwe przedmieście. Od kiedy dziesięć lat temu kupił jeden z trzypiętrowych segmentów, Arlington rozrosło się i zmieniło nie do poznania. Większość ludzi mieszkała w anonimowych apartamentowcach, wolne przestrzenie zabudowano biurowcami, a do kompletu dorzucono kilka centrów handlowych na obrzeżach miasta.

Wzdłuż jego ulicy stał rząd identycznych domów - wzniesionych z brązowego, przechodzącego w czerwień naturalnego kamienia, ze zdobnymi schodami prowadzącymi do frontowych drzwi, wąskimi oknami i starymi drzewami przy krawężnikach. Poza godzinami szczytu samochody pojawiały

się tam tylko sporadycznie, więc matki nie bały się wypuszczać dzieci, by bawiły się na podwórku przed domem. Zupełnie jakby czas zatrzymał się sześć dziesiąt lat temu.

Zazwyczaj ogarniała go fala spokoju, kiedy tylko przekraczał próg swojego domu. Kupił cały budynek, więc kazał przerobić wnętrze według własnego pomysłu. Hol na parterze przypominał atrium - był otwartą przestrzenią sięgającą ostatniej kondygnacji, ze spiralnymi schodami prowadzącymi na piętro, gdzie znajdowały się biblioteka, dwie sypialnie dla gości i duży pokój z mahoniowym barem, przy którym stało pięć wysokich stołków, ciemną drewnianą boazerią, klubową kanapą i przepastnymi skórzanymi fotelami. Pomieszczenie zaprojektowano na wzór XIX-wiecznego klubu dla dżentelmenów. Jedynymi współczesnymi akcentami były ogromny ekran plazmowy na ścianie i stylowa zaokrąglona lodówka z lat pięćdziesiątych XX wieku. Główna sypialnia zajmowała całe drugie piętro. Pokój, skąpany w świetle dzięki dwóm oknom dachowym, był większy niż znaczna część mieszkań w Arlington, a w łazience wyłożonej marmurem Mercer kazał zamontować pisuar.

Wszedł przez frontowe drzwi i od razu skierował się do gabinetu na parterze. Wyjątkowo nie delektował się przyjemnym uczuciem powrotu do swojego miejsca na ziemi, bo wszystko przysłał gniew, który nie opuszczał go, od kiedy zobaczył Cali, jak wsiada do rządowej limuzyny. Walczył z różnymi domysłami, bo chciał mieć niezachwianą pewność. Teraz, gdy od tej wiedzy dzieliło go ledwie kilka minut, w jego głowie pojawiały się różne wyjaśnienia. Ale żadne nie było satysfakcjonujące.

Sięgnął po telefon i wybrał numer informacji. W słuchawce rozległ się kobiecy głos, ale kiedy chciał spytać o numer Centrum Kontroli Chorób w Atlancie, uświadomił sobie, że to nie informacja, tylko akustyczna wersja grupowego seksu.

- „Boże, Harry, ależ on jest wielki... Nie wiem, czy Chantelle i ja go zmieścimy, ale chcemy spróbować. Tylko obiecaj, że będziesz delikatny...”

- Co to, ku...?

- „Wiesz, obie jesteśmy dziewczynami, Harry. Będziesz naszym pierwszym mężczyzną”.

- Kto się bawi moim telefonem? - zapytał Mercer gniewnym tonem, lecz zanim padła odpowiedź, w tle usłyszał chrapanie. - Co za skurczybyk! - mruknął i się rozłączył.

Zostawił torbę podróżną na biurku i wbiegł na piętro. Nie pomylił się. Harry White spał w jednym z przepastnych foteli, a bezprzewodowa słuchawka na jego piersi unosiła się i opadała w takt chrapania. Obok fotela stał stolik kawowy z taką liczbą śladów po kieliszkach, że wyglądał, jakby przysłała się do niego macka ośmiornicy. Z kryształowej popielniczki wysypywały się zduszone niedopałki. Harry miał na sobie wypłowiałe bawełniane spodnie, spraną białą koszulę z jakiegoś niezniszczalnego materiału syntetycznego, czarne skarpetki i adidas. Nieodłączna niebieska wiatrówka leżała rzucona niedbale na jednym z barowych stołków, a z kieszeni wystawała smycz.

Na kanapie naprzeciwko leżał opasy basset, pies Harry'ego. Spał na grzbiecie, lekko przechylony na bok, tak że potężna fala tłuszczu z brzucha opierała się na skórzanej tapicerce. Jedno długie ucho zwisało prawie do pod

łogi, a drugie wyglądało jak zmięta chusteczka. Pies obudził się i leniwie uniósł obwisłe powieki. Dostrzegłszy przekrwionymi oczyma właściciela domu, spróbował poruszyć ogonem, ale najwyraźniej kosztowało go to zbyt wiele wysiłku, bo po chwili znów zapadł w sen, chrapiąc równie głośno, jak jego pan.

- Et tu, Drag? - mruknął Mercer z rezygnacją. Podniósł telefon z piersi Harry'ego i poklepał go w ramię. Staruszek mruknął coś niewyraźnie i otworzył oczy. - Seks telefon? W twoim wieku erekcje masz tylko w latach przestępnych i marnujesz to na telefony?

Harry mlasnął językiem i zrobił zbolaną minę, wyraźnie niezadowolony z posmaku, jaki poczuł.

- Cześć, Mercer - przywitał się tonem dziennikarza relacjonującego katastrofę kolejową. - Niczego nie marnowałem.

Chciałem się przekonać, czy to, co mówią o takich telefonach, to prawda.

- Z tego, jak dobrze ci się spało, wnioskuję, że sprawdziły się wszystkie plotki. Jak długo byłeś na linii?

Harry spojrział na zegarek i na jego twarzy pojawił się wyraz konsternacji.

- Jasna cholera, już wpół do piątej! Słuchaj, muszę lecieć. Obiecałem Tiny, że będę wcześniej.

- Harry, zadałem ci pytanie!

- Nie wiem. Musiałem zasnąć jakieś dwie godziny temu.

- Dwa dolce za minutę, tak?

Harry spuścił wzrok, ale jego zawstydzenie nie wynikało z tego, co robił, lecz z tego, że dał się złapać.

- Nie jestem pewien, ale chyba mówili coś o czterech dolcach.

Niektóre przyjaźnie rodzą się przez lata. Inne wynikają z wygody, sąsiedztwa czy wspólnej pracy. Jeszcze inne wymykają się logice. Harry White niedługo miał obchodzić osiemdziesiąte pierwsze urodziny - był przeszło dwa razy starszy od Mercera, a mimo to zostali przyjaciółmi w chwili, gdy się spotkali. Ci, którzy znali ich obu, uważali, że Mercer dostrzegł w staruszkę swojego ojca; to, że stracił rodziców jako chłopak, uprawdopodobniało tę hipotezę. Inni myśleli, że Mercer tylko pomaga Harry'emu. Ani jedno, ani drugie, ani żadne inne wyjaśnienie nawet nie zbliżało się do prawdy. Mercer już kilka razy analizował tę przyjaźń i za każdym razem dochodził do wniosku, że on i Harry są jak jedna osoba, tylko rozdzielona czterdziestoma latami.

Harry White walczył w II wojnie światowej, ale nawet do głowy mu nie przyszło, żeby wystąpić o rentę dla weteranów, bo do wojska wstąpił z pobudek patriotycznych i nie chciał niczego w zamian. Dał z siebie wszystko i oczekiwał tylko lojalności. Uważał, że niezależnie od tego, jak bardzo zamazana została granica między dobrem a złem, jest linia, której nigdy nie wolno przekroczyć. Wierzył, że działania i słowa mają taką samą wartość, a prośba o pomoc jest równoznaczna z jej udzieleniem. Był ucieleśnieniem etosu pokolenia, które najpierw walczyło w kraju z wielkim kryzysem, a potem na frontach całego świata za kraj.

Mercer, zupełnie nieświadomie, wyznawał zasady ustalone w tamtych czasach i żył według nich. On i Harry tak naprawdę byli jak bracia - obaj do świadczyli ciężkiego dzieciństwa, przeszli chrzest prawdziwej walki, do dziś

opłakiwali przyjaciół, którzy zginęli dawno temu, i wciąż całym sercem wierzyli, że zawsze trzeba się opowiadać po stronie dobra.

- Poza tym miałeś wrócić najwcześniej pod koniec miesiąca - powiedział Harry oskarżycielskim tonem.

Mercer wszedł za bar i przygotował sobie drinka z ginu Ja-maica Gold, soku z limonki i wódki Ketel One. Dla Harry'ego nalał jacka danielsa z odrobiną syropu imbirowego, żeby whisky miała nieco delikatniejszy smak.

- Dobrze wiedzieć, że się o mnie martwisz, staruchu. Republika Środkowoafrykańska jest w stanie wojny domowej. Nie czytasz gazet?

- Czytam. Od kiedy wyjechałeś, zabieram twoje. - Harry zajął swoje zwyczajowe miejsce przy barze, z wyraźną przyjemnością upił łyk ze szklanki i zapalił chesterfielda. Zmrużył niebieskie oczy, żeby nie łzawiły od papierosowego dymu. - Tyle że jeśli czegoś nie ma na pierwszej stronie albo w krzyżówce, nie zwracam na to uwagi. - W zniszczonym alkoholu i tytoniem głosie starszaka pojawił się delikatny ton troski. - Ale wszystko jest w porządku, co? Nic ci się nie stało?

Mercer uznał, że Harry wytrzyma jeszcze chwilę, i złapał za telefon. Drag zawył przez sen. Harry znalazł basseta na zapleczu Tiny's przy śmietniku kilka miesięcy i od tego czasu często zastanawiali się z Mercerem, o czym psisko może śnić. Doszli do wniosku, że na pewno nie o polowaniu na króliki. Jeśli już, to na ślimaki albo porażone artretyzmem leniwce. Mercer zatelefonował do informacji i poprosił o numer Centrum Kontroli Chorób w Atlancie.

Po dłuższych zmaganiach z automatyczną centralą wreszcie zdołał się połączyć z człowiekiem z krwi i kości, którego poprosił o przełączenie do działu personalnego.

- Zasoby ludzkie, John przy telefonie. W czym mogę pomóc?

- Dzień dobry, nazywam się Harry White. Właśnie wróciłem z Afryki i obawiam się, że na lotnisku zamieniłem się na walizki z kimś z waszego biura.

- Poproszę o nazwisko. - Mercer miał wrażenie, że John sztuki konwersacji uczył się od automatu zgłoszeniowego.

- Stowe, Cali Stowe - przeliterował.

- Obawiam się, że nikt taki... ups, przepraszam. Proszę o sekundę cierpliwości. - Tej chwili zawahania Mercer obawiał się najbardziej. - Tak, już łączę z panem Lawlerem.

- To nie będzie konieczne... - nie dokończył, bo w słuchawce usłyszał sygnał wywoływania.

Chwilę później odezwał się zdecydowany głos:

- Bill Lawler, bardzo mi miło. Jak rozumiem, szuka pan kontaktu z Cali Stowe.

- Nie, panie Lawler. Chciałem się tylko upewnić, że bagaż, który z lotniska trafił omyłkowo do mojego domu, dostanie się we właściwe ręce. Pani Stowe wspomniała podczas rozmowy w samolocie, że pracuje w Centrum Kontroli Chorób.

- No tak, to nasza pracownica. Twierdzi pan, że leciał z nią samolotem? A skąd, jeśli można zapytać?

- Więc pracuje u was. To wspaniale. Wyślę jej torbę jutro z samego rana. Dziękuję za pomoc. - Mercer rozłączył się, zanim Lawler zadał kolejne pytanie.

- O co tu, do diabła, chodzi? - Harry uniósł krzaczaste brwi. - I czy, skoro już masz jej torbę, mógłbym przejrzeć jej bieliznę?

- Nie mam żadnej torby - odparł Mercer. - Spotkałem Cali Stowe w Afryce. Powiedziała mi, że pracuje dla Centrum Kontroli Chorób. Potem się rozdzieliliśmy. Przez przypadek zobaczyłem, że spod lotniska odjeżdża rządową limuzyną.

- I...?

- Gość, z którym przed chwilą rozmawiałem, bardzo chciał wiedzieć, dlaczego o nią pytam. Coś czuję, że wykorzystuje tę organizację jako przykrywkę do czegoś innego. Mają Cali Stowe w komputerze, ale kiedy ktoś o nią pyta, włącza im się jakieś ostrzeżenie.

Harry zgasił papierosa i dokończył drinka, a Mercer przeglądał zawartość szuflady za barem.

- Jakies hipotezy, kto podpisuje przelewy jej pensji? - zapytał staruszek.

- Hipotez sporo, ale tak naprawdę nie mam zielonego pojęcia. - W końcu znalazł niebieską pinezkę i wbił ją w kontur Republiki Środkowoafrykańskiej na mapie świata. Kolejną pinezkę. W tekturowej mapie tkwiło już kilkadziesiąt różnokolorowych punktów, oznaczających miejsca, które Mercer odwiedzał służbowo lub prywatnie. Dwanaście białych oznaczało miejsca tajnych operacji. Odszukał wzrokiem pinezkę wbitą w kontur jednej z Wysp Kanaryjskich - La Palmy. Tam po raz ostatni widział Tisę żywą.

Harry dostrzegł napięcie na twarzy przyjaciela, kiedy ten odwrócił się od mapy.

- Spodobała ci się - rzekł.

- Jest atrakcyjna - potwierdził Mercer.

- Przestań wykręcać kota ogonem. Nie o to pytałem. Mercer zdawał sobie sprawę, że Harry nie odpuści.

- Tak, spodobała mi się - przyznał.

- To pierwszy raz po Tisie i dlatego masz wyrzuty sumienia.

- Tak.

- Pół roku to wieczność i mgnienie oka. Nie mogę ci dyktować, co masz czuć, ale mogę ci zapewnić, że pociąg do kobiety nie jest niczym złym. Powinieneś sobie w końcu uświadomić, że od śmierci Tisy zachowujesz się bardziej wstrzemięźliwie wobec kobiet niż większość żonatych mężczyzn. Oni patrzą na kobietę i myślą, że jest pociągająca, ale idę o zakład, że żaden nie ma z tego powodu choćby cienia poczucia winy. Tylko ty uważasz takie zachowanie za zdradę. Mercer, to już nie jest żaloba, tylko samoumartwianie.

- A jeśli nic nie mogę na to poradzić?

- Zawsze zagrzebywałeś się w przeszłości.

- Co masz na myśli?

Harry zapalił papierosa, by mieć chwilę czasu na zebranie myśli.

- Wymierzasz sobie karę za każdym razem, kiedy coś ci w życiu nie wyjdzie. Obwiniasz siebie, niezależnie od tego, czy to twoja wina, czy nie. Większość ludzi stara się unikać odpowiedzialności, jeśli coś spieprzą, a ty odwrotnie, bierzesz wszystko na siebie, nawet jeśli nie zawiniłeś. To nie

kwestia złego charakteru. .. nie, inaczej. To wynika z cech twojego charakteru, tyle że nie złych. Tyle że za każdym razem, kiedy się ujawniają, masz coraz większe trudności z powrotem do równowagi i zaakceptowaniem tego, co się wydarzyło. Od śmierci Tisy minęło już sześć miesięcy, a ty nie jesteś ani centymetr bliżej zaakceptowania tego.

- Nigdy nie zaakceptuję jej śmierci! - Mercer był naprawdę zły.

- Masz zaakceptować nie jej śmierć, tylko to, że odeszła na zawsze. Nie wskrzesisz jej, więc pogódź się z tym, że jej nie ma. A właśnie z tym sobie nie możesz poradzić.

- Nie bardzo rozumiem.

- Każdego dnia rozdrapujesz pazurami jej śmierć! - Mercer nie zaprzeczył, więc Harry kontynuował: - Zamieniłeś Tisę w symbol porażki i cierpienia. Przez to obarczasz się poczuciem winy, zamiast wspominać czas, kiedy byliście razem. To nie fair. W każdym razie wobec niej.

Słowa przyjaciela wstrząsnęły Mercerem. W nagłym przebłysku świadomości zrozumiał, że Harry ma rację. Wspomnienie Tisy było raną, którą co chwila rozdrapywał, by mieć poczucie winy i wyrzuty sumienia, na które - czego był pewien - zasługiwał. To nie jest żałoba! To samobiczowanie. Obarczył się odpowiedzialnością za jej śmierć, redukując wspólny szczęśliwy czas do czegoś, za co mógł się obwiniać.

- To jak mam poskładać swoje życie do kupy? - spytał cicho.

Harry zaciągnął się papierosem i wypuścił dym przez nos.

- A skąd ja miałbym to wiedzieć? To twoje życie. Zaproś tę Cali na randkę. Albo pojedź w jakieś ciepłe miejsce i pooglądaj sobie laski w kostiumach kąpielowych.

Mercer już od kilku lat nie był na plaży i jakoś nie potrafił sobie wyobrazić, jak rozparty na ręczniku przygląda się opalonym, zgrabnym dziewczynom w skąpych bikini. Tak samo zresztą, jak nie potrafił sobie wyobrazić siebie na randce z Cali, dopóki nie ustali, kim naprawdę jest i dla kogo pracuje. Ta myśl przypominała mu o admirałe Lasko. Wybrał numer Iry, ignorując migający wskaźnik słabych baterii.

- Twój wcześniejszy powrót raczej nie oznacza niczego dobrego - usłyszał po chwili. Zanim Ira Lasko trafił do wywiadu marynarki wojennej, pływał na łodziach podwodnych. Na pracę dla Białego Domu namówił go John Kleinschmidt, doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa, gdy admirał przeszedł w stan spoczynku. Lasko miał wyjątkową zdolność analizowania wszystkiego z dwóch punktów widzenia jednocześnie - strategicznego i taktycznego - intuicyjnie znajdując elementy wspólne. Był średniego wzrostu i szczupłej postury, ale władczy ton, niewyczerpana energia i silny charakter rekompensowały z nawiązką te fizyczne niedostatki.

- Nie i nie - odpowiedział Mercer. - Po pierwsze, nie znalazłem koltanu. Jutro zadzwonię do Burke'a z ONZ, a w tygodniu wyślę mu raport. A drugie nie, bo dowiedziałem się czegoś, co nie jest dobrą wiadomością.

- Spotkamy się?

- Powinniśmy. Mam kilka drobiazków, na które ktoś powinien spojrzeć.

- Będę w biurze do ósmej. Spotkajmy się w tej tajskiej knajpce niedaleko Pentagon City Mall.

- W porządku, o wpół do dziewiątej w Loong Chat's. - Po brei, jaką Mercer jadł przez kilka ostatnich tygodni, sama myśl o tajskiej kuchni wywo

łała odruch wymiotny. Postanowił zjeść kanapkę, zanim pójdzie na spotkanie.

- Spadam - oznajmił Henry. - Drag, idziemy. Psisko ani drgnęło.
- Drag, wstawaj! Idziemy na spacer.

Basset przewrócił się na bok, plecami do pana, a z jego gardła wydobyło się gniewne warczenie.

Harry podszedł do kanapy, utykając na prawą nogę, co się zdarzało, ilekroć zasnął, nie zdjawszy uprzednio protezy. Potrząsnął psem, wprawiając jego pofalowaną skórę i zwały tłuszczu w drżenie. Drag w końcu się podniósł i wyprostował krótkie nóżki, które ledwo utrzymywały baryłkowate brzuszysko. Leniwie zamachał ogonem, ale nie ruszył się nawet o krok.

Harry przypiął mu smycz do obroży, ściągnął psa z kanapy i poprowadził do biblioteki, a potem po spiralnych schodach na dół. Mercer uśmiechnął się, widząc, jak staruszek drepcze ze swoim pupilem przez hol na parterze.

- Jeśli skończysz z Iram przed północą, to będę w Tiny's - powiedział Harry.
- Raczej nie wpadnę.
- Jak chcesz. To do jutra.

Kiedy Mercer wszedł do modnego baru z tajską kuchnią, Ira już na niego czekał. Trzy kobiety przy ladzie podniosły wzrok znad kieliszków i spojrzały na geologa. Minał je bez słowa i ruszył do stolika w głębi sali, przy którym siedział admirał. Lasko zdążył zamówić drinki dla nich obu. Był bez marynarki i poluzował krawat, ale mimo to każdy bystry obserwator rozpoznałby w nim emerytowanego wojskowego; siedział wyprostowany jak trzcina, dłonie oparł równo na blacie i ani na chwilę nie przestawał lustrować otoczenia.

- Marnie wyglądasz - powiedział na powitanie. Za dobrze się znali, by wymieniać formalny uścisk dłoni.

- Nie musiałeś się wysilać, żeby to zauważyć. Ostatnie tygodnie, a już zwłaszcza pięć ostatnich dni, to coś, czego nie da się zapomnieć.

- O ile wiem, ta wyprawa miała przypominać raczej wczasy. Jedziesz, znajdujesz złoża minerałów, które uczynią Republikę bogatym krajem, ONZ obrasta w piórka, a nas się nikt nie czepia.

- Wszystko tak, jak mówisz, z jednym wyjątkiem. Tych minerałów tam nie ma. Od początku to podejrzewałem. Wszelkie bogactwa, jakie Republika Środkowoafrykańska kiedykolwiek miała, już dawno trafiły do kieszeni watażków i rebeliantów.

- Tak, czytałem coś na ten temat. Ponoć jakaś grupa partyzantów przebiła się z Sudanu?

- Caribe Dayce. Uroczy facet. Góra mięśni. Ulubiona broń: maczeta. Nie żyje.

- Ty? - Ira nie wyglądał na zaskoczonego.

- Chciałbym - Mercer przerwał, bo do ich stolika podszedł kelner. On niczego nie zamówił. Kanapka, którą zjadł parę godzin wcześniej, wciąż ciążyła mu na żołądku. Ira za to zamówił tyle, że starczyłoby dla nich obu. Kiedy młody Azjata wrócił do kuchni, Mercer kontynuował opowieść. - Dayce pojmał mnie i pewną młodą kobietę, niejaką Cali Stowe. Postawił nas przed plutonem egzekucyjnym. Już mieli zacząć strzelać, kiedy nagle znikąd pojawili się ci... - nie miał pojęcia, jak nazwać tajemniczych wybawców - ... żołnierze. I wybili wszystkich rebeliantów, do nogi.

- Lokalsi? A może siły rozjemcze?
- Nie, na pewno nie. Nie mam pojęcia, kim byli. Pojawili się nagle, zrobili swoje i ostrzegli mnie, żebym nigdy tam nie wracał.

- A ta Cali Stowe to kto? - Ira rzadko cokolwiek komentował przed zebraniem wszystkich informacji.

- Twierdziła, że pracuje dla Centrum Kontroli Chorób w Atlancie, ale kiedy tam zadzwoniłem, miałem wrażenie, że tylko wykorzystuje ich jako przykrywkę. Na lotnisku rozeszliśmy się każde w swoją stronę, a potem widziałem ją, jak wsiada do rządowego samochodu. Skoro pracuje dla Wuja Sama, to spróbuj się dowiedzieć, co robiła w tym samym miejscu co ja.

- Zadzwoń w kilka miejsc - obiecał Ira. - Coś jeszcze? Mercer wyjął z torby menażkę i postawił na stole. Potem obok niej położył rozpląszczoną metalową kulę, którą nosił w kieszeni. Miedź błysnęła w przytłumionym świetle restauracji.

- Chciałbym, żeby obejrzał to jakiś ekspert - powiedział. - Najważniejsza jest kula.

Kolejne pół godziny spędził na relacjonowaniu wszystkich wydarzeń od spotkania z Cali w Kivu. Ira jadł z apetytem kolację i równocześnie robił notatki na serwetce.

- Biały najemnik. Zasłonka na oku. Pauly albo Poli. Wschodnioeuropejski akcent. - Odłożył długopis i odstawił niemal pusty talerz. - Masz jakieś pomysły?

- Początkowo myślałem, że wydobywaliśmy tam uran na potrzeby „Projektu Manhattan”, ale nie wierzę, żeby Amerykanie zabili wszystkich świadków.

- Na pewno nie. W takim razie kto nam zostaje?

- Niemcy - Mercer nie zastanawiał się nad odpowiedzią. - W czasie II wojny światowej mieli całkiem zaawansowany program atomowy. Może przypadkowo dowiedzieli się o żyłe rudy wyjątkowo skoncentrowanego uranu i wysłali ekspedycję, żeby go wydobyć.

- A ten Chester Bowie?

- Nie mam pojęcia. Może był badaczem, którego Niemcy namówili albo zmusili do odnalezienia rudy? Tamta staruszka powiedziała, że niedługo po nim pojawiła się cała grupa białych ludzi. Gdyby Bowie wysłał raport nazistowskim władzom, Niemcy mogliby w ciągu kilku miesięcy zorganizować odpowiednią ekspedycję.

- Czyli mamy do czynienia ze zdrajcą, który pomagał hitlerowcom?

- Niekoniecznie. Mógł zostać zmuszony do współpracy lub w jakiś sposób oszukany. To właśnie chcę ustalić.

- Jak?

- Wrzuciłem jego nazwisko do wyszukiwarki internetowej i dostałem sto tysięcy trafień. Uniwersytet Stanowy Bowie. Bowie w Marylandzie. Jim Bowie. Noże Bowie. Nastoletnie dziwki i duży Bowie. Ale mam lepszy plan, żeby go znaleźć.

- W takim razie Bowiego zostawiam tobie. A co z wioską? Myślisz, że stara kopalnia wciąż jest niebezpieczna? Czy jeśli ktoś się o niej dowie, może tam pojechać i zacząć wydobywać wzbogacony uran?

- Wątpię. Na moje oko została wyeksploatowana. Ktokolwiek tam kopał, wykopał wszystko. A sama wioska już nie istnieje. W raporcie dla Burke'a

zalecę wysłanie tam zespołu z Narodowej Agencji Atomowej, kiedy tylko sytuacja się trochę uspokoi. Na wszelki wypadek.

- Przecież Dayce nie żyje, więc już powinno być tam spokojnie.
- Wątpię. Podejrzewam raczej, że teraz pomniejsi watażkowie walczą między sobą o schedę po nim. Lepiej poczekać kilka tygodni albo nawet miesięcy.

Ira milczał dłuższą chwilę, pogrążony w rozmyślaniach. Zmarszczki na jego czole pogłębiły się i wyglądały jak korona wokół łysej czaszki.

- Przede wszystkim trzeba ustalić, jak Bowie dowiedział się o tym miejscu - rzekł wreszcie.

Mercer uśmiechnął się. Znał Irę i wiedział, że szybko zainteresuje się największą niewiadomą całej powieści.

- Właśnie ta kwestia męczy mnie, od kiedy wylecieliśmy z Cali z Afryki. Wioska nawet nie była zaznaczona na mapie, a struktura geologiczna tych terenów w żaden sposób nie wskazuje na obecność rud uranu. Mimo to przed ponad sześćdziesięcioma laty pojawił się tam jakiś gość i zaczął kopać na szczycie wzgórza, jakby dobrze wiedział, co tam znajdzie.

- Masz jakiś pomysł?
- Albo był genialnym geologiem, który potrafił przewidzieć występowanie pierwiastków w określonych miejscach, albo sukinsyn miał więcej szczęścia niż ktokolwiek w historii.

Ira gestem dał znać kelnerowi, że prosi o rachunek, a potem wstał.

- Zadzwoń, jak tylko czegoś się dowiem.
- Co z tego wszystkiego mam omiąć w raporcie dla ONZ? Lasko nie zastanawiał się długo.
- Ile tylko się da. Informacja o tobie była tylko przysługa, więc nie musisz się z nimi dzielić żadnymi tajemnicami. Myślę nawet, że powinniśmy wysłać tam grupę z Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej.

Mercer nie oponował.

- Skontaktuję się z Connie Van Buren - rzekł. Constance Van Buren była sekretarzem ONZ do spraw energii i od wielu lat jego przyjaciółką. - Zapytam, czy mogłaby tam wysłać swoich ludzi.

- Nawet z tym bym poczekał - odparł Ira. - Poszperajmy trochę na własną rękę. Przecież sam mówiłeś, że jeszcze jakiś czas będzie tam niebezpiecznie.

Lasko od razu zauważył, że w całej historii było wiele elementów, które nijak do siebie nie pasowały. Zamilkł na chwilę, po czym spojrzał na Mercera, który wyciągał z portfela kartę kredytową.

- Jak myślisz, jaką rolę w tym wszystkim odgrywa grupa, która wyeliminowała Dayce'a i jego ludzi?

- Mnie o to nie pytaj. Nie mam pojęcia, ani kim byli ci ludzie, ani po co się tam pojawili. Ale jestem niemal pewny, że wiedzieli o kopalni. I że nie chcieli, aby Dayce się o niej dowiedział.

- Skoro kopalnia jest już wyeksploatowana, to jaki mieliby w tym interes?

Mercer nie miał pojęcia. Ale był pewien, że wcześniej czy później się dowie.

NOWY JORK

Z okien najwyższego piętra Upper East Side roztaczał się zapierający dech w piersiach widok na Central Park i apartamentowce poniżej. W środku znajdowały się cztery sypialnie, studio i pomieszczenia dla służby. Przy stole w salonie mogło usiąść wygodnie dwanaście osób. Właściciel stał na balkonie, a pierwsze podmuchy delikatnej wiosennej bryzy poruszały jego ciemnymi włosami. Miał na sobie czarne płócienne spodnie, czarną jedwabną koszulę i czarne półbuty. Przyglądał się parkowi niczym jastrząb na polowaniu, jakby szukał ofiary. W jednej ręce trzymał telefon komórkowy, w drugiej pękaty kieliszek pięciogwiazdkowego koniaku.

Mężczyzna miał czterdzieści kilka lat i nie był żonaty, ale na tyle przystojny, że nie musiał się martwić o towarzystwo atrakcyjnych kobiet. Nie musiał się martwić także o pieniądze; pojawiły się w jego rodzinie wiele pokoleń wcześniej. Jego starszy brat był głową rodzinnego imperium biznesowego, prowadzącego interesy na czterech kontynentach. Ktoś mniejszego formatu byłby zazdrosny o władzę, jaką posiadał jego brat, zwłaszcza że obejmowała nie tylko firmę, ale i życie całej rodziny. On nie musiał, bo droga, którą wybrał, i kontakty, które nawiązywał, sprawiały, że był bliski osiągnięcia potęgi, o jakiej jego brat nigdy nie będzie mógł nawet marzyć.

Zainspirowały go - już w dzieciństwie - opowieści babci. Planował tę operację od tamtej pory, choć nigdy nikomu o tym nie wspomniał. To było coś, co chciał wykonać samodzielnie. Jego brat potrzebował całej armii prawników i księgowych, by prowadzić firmę. On przy pomocy kilku starannie dobranych ludzi był bliski odwrócenia biegu historii.

Zabrzęczała jego komórka. Odebrał, nie patrząc na wyświetlacz.

- Tak?

- To ja, kochanie. Co myślisz o mojej propozycji? Chwilę mu zajęło, zanim rozpoznał głos. Michaela Taftsbury. Prawniczka z Londynu, aktualnie pracująca w Nowym Jorku. A jej propozycja dotyczyła wspólnego weekendu w Vermontcie.

- Przecież ci mówiłem, że nie mogę opuszczać miasta.

- To tylko weekend, a nie dwa tygodnie. Tak długo cię nie widziałam.

Najlepiej skończyć to teraz, zdecydował. Dobrze się z nią rozmawiało, a w łóżku nie miała sobie równych, ale powoli stawała się męcząca.

- I nie zobaczysz mnie jeszcze dłużej - odparł - jeśli nie przestaniesz mnie nękać.

- Nękać? Pieprz się! Myślałam, że oboje dobrze się bawimy. Jeśli uważasz, że cię nękam, to idź do diabła - prychnęła i się rozłączyła.

Niemal natychmiast ponownie rozległ się dzwonek. Cholera. Nie powinien był rzucać Michaeli przed telefonem, na który czekał. Teraz będzie musiał marnować cenny czas na zapewnianie jej o swoich uczuciach, byle tylko jak najszybciej zwolnić linię. Spojrzał na numer na wyświetlaczu. Połączenie międzynarodowe z krajem, którego dwucyfrowego kodu początkowo nie znał. To on!

- Poli? - zapytał, odbierając połączenie.

- Żadnych nazwisk! - syknął jednooki najemnik. Mężczyzna w Nowym Jorku zignorował jego irytację. Chciał usłyszeć wiadomość, na którą czekał przez prawie całe życie.

- Był tam?

- Kiedyś mógł być, ale nie musiał.

- O czym ty mówisz? Znalazłeś go?

- Jeśli nawet tam był, to ktoś nas ubiegł o wiele, wiele lat.

- Czyli już go nie ma?

- Nie miałem czasu na zbadanie całej okolicy, ale nic nie ryzykuje, mówiąc, że ktoś znalazł go wcześniej od nas.

- Nie miałeś czasu na zbadanie okolicy? Płacę ci tyle, że powinieneś zbadać nie tylko okolicę, ale cały kraj!

- Na razie tylko mi obiecałeś pieniądze - przypomniał najemnik ostrym tonem. - A nie mogłem tam zostać, bo oni się pojawili.

Mężczyzna poczuł rozczarowanie. Wszystko można było załatwić w ciągu zaledwie kilku dni, tymczasem teraz dowiaduje się, że uranu już nie ma. Wreszcie dotarli do niego ostatnie słowa najemnika.

- Oni? Jacy oni? - spytał, choć dobrze znał odpowiedź. - Na Boga, człowieku, przecież masz całą armię na usługach! Caribe Dayce i jego ludzie to więcej niż wsparcie!

- Dayce jest już trupem, tak samo zresztą jak większość jego żołnierzy. Sam cudem się wymknąłem. To było pięć dni temu, ale dopiero dziś dotarłem do Chartumu. - W głosie najemnika pojawiła się nuta szacunku, kiedy podjął po chwili: - Ostrzegłeś mnie, że przeciwnik będzie niebezpieczny, ale nie sądziłem, że ktokolwiek może działać aż tak skutecznie.

- Doskonali swoje sposoby przez setki lat. A co z białym, który się tam pojawił?

- Którym? Pojawiło się dwoje białych ludzi, Amerykanów. Kobieta i mężczyzna.

- O kobiecie nie miałem pojęcia - przyznał nowojorczyk.

- A ja nie mam pojęcia, co się z nimi stało. Od chwili pojawienia się przeciwnika walczyłem o ocalenie. Ostatnia rzecz, jaką widziałem, to tych dwoje przywiązanych do pali i pluton egzekucyjny przed nimi. Prawdopodobnie zginęli w czasie wymiany ognia. Ale pewności nie mam.

- Postaram się dowiedzieć jak najwięcej. A ty przylatuj do Nowego Jorku. Czuję, że będziesz tu potrzebny.

- Najbliższy samolot odlatuje za dwie godziny.

Mercer miał plan, jak znaleźć Chestera Bowiego. Założył, że Bowie nie był najszcześniejszym sukinsynem w historii, tylko wyjątkowo uzdolnionym geologiem z doskonałym wykształceniem. Przyjął też, że mężczyzna po pięćdziesiątce nie wałęsałby się samotnie po tak odludnych terenach. A że prace przy wydobywaniu rudy koło wioski rozpoczęły się około 1940 roku, Bowie musiał skończyć studia najpóźniej w roku 1913. Dla pewności Mercer cofnął tę datę jeszcze o pięć lat.

Kolejny krok był łatwy. Polegał na przeszukaniu akademickiej bazy danych absolwentów z lat 1908-1945. Po niespełna sekundzie na ekranie komputera pojawiły się wyniki. Nie znaleziono żadnego Chestera Bowiego. Mercer, uznawszy, że to jeszcze nie powód do niepokoju, cofnął wyszukiwanie do roku 1900, czyli pierwszego rocznika skatalogowanego w elektronicznym spisie. Wciąż zero trafień.

Rozparł się wygodnie w fotelu i zaczął szukać Bowiego wśród słabych studentów relegowanych z uczelni. Znowu nic. Nie dopuszczał do siebie myśli, że Bowie mógł nie mieć żadnego formalnego wykształcenia. Dlaczego? Dlatego, że przecież nie da się znaleźć rudy uranu, nie mając tytułu naukowego. Zatelefonował nawet do biur rekrutacyjnych kilkunastu uniwersytetów, które miały wydziały geologii. Ani śladu po Chesterze Bowiem. I to mimo że poszerzył ramy czasowe do 1900 roku, co oznaczałoby, że w czasie wyprawy do Republiki Środkowoafrykańskiej Bowie miał ponad sześćdziesiąt lat. Wpatrzony w ekran komputera zjadł lunch, ignorując przynajmniej dwadzieścia telefonów. Kolację zamówił w chińskiej restauracji;

ją leż zjadł, nie ruszając się od biurka. Skończył poszukiwania grubo po pierwszej w nocy.

Pojawił się z powrotem punktualnie o szóstej rano, stawiając obok klawiatury kubek kawy tak mocnej, że kruszył się od niej kamień na zębach. Do dziewiątej zadreślał wyszukiwarke pytaniami o Chestera Bowiego, aż w końcu nie wytrzymał i zadzwonił do firmy zarządzającej stroną Who's Who Web. Przekonał dwie kolejne sekretarki, że powinny przełączyć go dalej, i w końcu połączył się z główną archiwistką firmy. Pani More-land przywitała się z nim serdecznie, a z kruchości i drżenia jej głosu wywnioskował, że musiała kończyć studia, jeszcze zanim Chester obronił swoją pracę.

- W czym mogę pomóc, doktorze Mercer?

Zanim zatelefonował, uznał, że rozsądnie będzie użyć swojego tytułu naukowego, co znacznie uwiarygodni jego wersję.

- Witam, pani Moreland. Jestem geologiem i właśnie wróciłem z misji badawczej w Republice Środkowoafrykańskiej, gdzie trafiłem do wioski oddalonej od innych ludzkich siedzib. Znalazłem tam coś zadziwiającego, mianowicie nagrobek z datą 1942 i informacją, że pochowano tam Chestera Bowiego. Najstarsi mieszkańcy wioski pamiętali tego człowieka. Przybył do nich wiele lat temu i mieszkał tam, dopóki nie został zagryziony przez lwa.

- Straszne - uznała staruszka po drugiej stronie.

- W rzeczy samej. Ale to nie koniec. Starszyzna opowiedziała mi o plagach, które od tamtego czasu nękały wioskę: o pomorze bydła, suszy, szarańczy i wielu innych. Oni twierdzą, że to dlatego, że rodzina Bowiego do dziś nie wie, gdzie został pochowany ich przodek, więc jego duch nęka tych, którzy mogliby im przekazać tę wiadomość. Dla nas brzmi to dość egzotycznie, ale w Afryce animizm jest bardzo popularny.

- Doktorze Mercer, ja sama pochodzę z Nowej Anglii. Może mi pan wierzyć, że dużo wiem o duchach.

- Obiecałem im, że postaram się przekazać rodzinie Chestera, co się z nim stało i gdzie spoczął po śmierci.

- A jaka miałyby być w tym moja rola?

- To na razie tylko domysł, lecz wydaje mi się, że był zdolnym geologiem i całkiem możliwe, że macie jakieś dane na temat jego kariery akademickiej, ale informacje na waszej stronie sięgają tylko 1900 roku. Może byłaby pani tak miła i sprawdziła może kilka lat wstecz w papierach?

- Nie ma takiej potrzeby. Właśnie przygotowujemy się do umieszczenia na stronie danych z lat 1890-1899. Niech pan sekundkę poczeka. - Kobieta pisała na klawiaturze tak wolno, że Mercer zdążył kilka razy przeliterować w myślach nazwisko Chestera. - No proszę, i już wszystko wiemy. Chester T. Bowie, rocznik 1899, Keeler State w New Jersey.

Znał ten college.

- Dziękuję, pani Moreland. Skontaktuję się z uczelnią, a oni pewnie będą mogli pokierować mnie dalej.

- Proszę się nie cieszyć zawczasu.

Ton jej głosu sprowadził Mercera na ziemię.

- Dlaczego?

- Dlatego, że według tych danych Chester Bowie ukończył studia na wydziale historii starożytnej.

- Słucham?

- Niestety, wydaje się, że to nie jego pan szuka. Ten Chester Bowie nie był geologiem, tylko historykiem.

Mercer zaklął i natychmiast wyczuł dezaprobatę pani Moreland. Przeprosił i podziękował za poświęcony mu czas.

Przez dłuższą chwilę po zakończeniu połączenia siedział, wpatrując się przed siebie i bawiąc się słuchawką.

- A co mi tam... - mruknął wreszcie i wybrał numer niewielkiego college'u w stanie New Jersey.

- W naszych archiwach znajdują się informacje o wszystkich studentach od dnia ufundowania szkoły przez Benjamina Keelera w 1884 - zapewniła go energiczna studentka w biurze absolwentów.

- Szukam informacji o Chesterze Bowiem. Skończył studia w 1899.

- Oczywiście - powiedziała, jakby doskonale wiedziała, o kogo chodzi. - Zakrecony Bowie.

- Słucham?

- Miał takie przezwisko. Jest tu postacią, jakby to powiedzieć, kultową.

- Dlaczego?

- Kiedy skończył studia, pracował u nas jako nauczyciel. Odjechany gość. Zniknął zupełnie niespodziewanie w latach trzydziestych XX wieku.

To by się zgadzało, pomyślał Mercer.

- Dlaczego twierdzi pani, że był odjechany?

- Właściwie nie wiem. Ale studenci przezywają się Bowie, kiedy któryś zrobi coś głupiego. Tak się u nas po prostu przyjęło.

- Czy może jest ktoś, kto mógłby mi powiedzieć coś więcej na jego temat?

- Nie sądzę. W biurze absolwentów jestem teraz sama; moja szefowa poszła na macierzyński i nie wiem, kiedy wraca do pracy... - Jody zamilkła na chwilę, jakby się nad czymś zastanawiała. Nagle się ożywiła. - Ale zaraz, przecież kilka lat temu jakaś kobieta napisała książkę, w której jest o nim spory fragment - poinformowała głosem wyższym o kilka oktaf. - College dostał kilka egzemplarzy z autografem autorki. Jeden powinien gdzieś tu być. - Słysząc było, jak przetrząsa kolejne szuflady i trzaska nimi tak głośno, że Mercera rozbolało ucho przyciśnięte do słuchawki. - Mam! Serena Ballard. Na peryferiach nauki: O badaczach amatorach i ich wynalazkach.

Mercer był ciekaw, czym zasłużył się historyk od starożytności, żeby poświęcić mu miejsce w książce traktującej o peryferiach poważnej nauki. Podziękował dziewczynie i rozłączył się, jednocześnie wstukując w wyszukiwarce tytuł dzieła.

Książka trafiła na rynek przed trzema laty i Mercer miał wszelkie podstawy, by przypuszczać, że nie sprzedawała się dobrze. Brak listów od czytelników, recenzji pod notką wydawniczą i krótka informacja, że pozycja nie jest już dostępna, były symptomatyczne.

Wklepał do wyszukiwarki nazwisko autorki. Trafił na nudną stronę poświęconą jej książce. Zgodnie z tytułem, Serena Ballard opisała ich starania i mniej znanych pseudonaukowców, by wynaleźć rzeczy, których istnieniu przeczy tradycyjna fizyka. Na stronie znalazła się krótka lista prezentująca co barwniejsze wynalazki i ich autorów - pracza z Nowego Jorku, który chciał opatentować swój telefon międzygwiazdny; mechanika z Pensylwanii, który całe życie usiłował przekształcić wyładowania elektrostatyczne w użyteczną

energie; i jakiegoś wariata z Kalifornii, który twierdził, że rozszyfrował język waleni.

Mercer przejrzał dostępne fragmenty i uznał, że są całkiem niezłe napisane, z dużą dawką ironii i humoru, więc lektura może być zabawna. Na samej dole strony znajdował się adres e-mailowy autorki. Od razu napisał krótki list, w którym wyjaśnił powody zainteresowania Chesterem Bowiem i podał swój numer telefonu.

Ku jego zaskoczeniu, niecałą minutę później rozległ się dzwonek.

- Słucham?
- Doktor Mercer?
- Dzień dobry. Czyżbym miał przyjemność z Sereną Ballard?
- We własnej osobie. Gdybym panu powiedziała, jak bardzo zaskoczył mnie pana e-mail, i tak by pan nie uwierzył.

- Na pewno nie tak bardzo, jak mnie pani telefon - odpowiedział uprzejmie. Miała piękny głęboki głos.

- Zgodnie z licznikiem na stronie, na której znalazł pan adres mojej skrzynki pocztowej, swoimi odwiedzinami podwoił pan liczbę wejść od początku jej istnienia.

- Mam wrażenie, że książka nie radziła sobie tak dobrze, jak miała pani nadzieję.

Zaśmiała się.

- Wydawca stracił tysiąc dolarów, wypłacając mi zaliczkę na poczet zysków ze sprzedaży. Ale powiem panu szczerze, że nie pisałam jej dla pieniędzy, tylko z potrzeby serca. Wysyłałam rękopis do wydawnictw, nie licząc, że ktokolwiek zdecyduje się ją opublikować.

- Ale się ukazała, a to samo w sobie jest wspaniałą nagrodą.

- Zrobiłam to dla mojego dziadka. Może zauważył pan na stronie fragment o człowieku z Pensylwanii, który usiłował ujarzmić elektryczność statyczną?

- To był on?

- Tak. Zainspirowała go maszyna, o której przeczytał w Atlasie zbuntowanych Ayn Rand, i postanowił, że sam taką zbuduje i uruchomi. Co noc i w każdy weekend pracował w garażu nad tym wynalazkiem. W końcu spalił garaż, a sam wylądował w szpitalu po porażeniu prądem, które go omal nie zabiło. Zdażył przeczytać moją książkę przed śmiercią, niestety, nie doczekał już jej publikacji. Ale pan chciał się dowiedzieć czegoś o Chesterze Bowiem.

- Tak. Co może mi pani o nim powiedzieć? I czym sobie zasłużył na miejsce w pani książce?

- Bowie uczył historii w niewielkim college'u tutaj, w New Jersey.

- Pani też tam mieszka?

- Tak, jestem szefową marketingu w niedawno otwartym hotelu i kasynie Deco Palace w Atlantic City. Wspaniałe miejsce. Był pan tu kiedyś?

- Nie, nie miałem okazji, ale mam przyjaciela, który uważa Atlantic City za swój trzeci dom.

- Aż trzeci? Nieźle.

- Niestety, nie dla mnie, bo za drugi obrał sobie mój. Ale wróćmy do Chestera.

- Chester Bowie uczył historii starożytnej. Z tego, co udało mi się ustalić, wszyscy uważali go za totalnego dziwaka. Cały czas mamrotał coś do siebie pod nosem i nie rozstawał się z peleryną.

- A dlaczego pani się nim zainteresowała? - To pytanie nie dawało mu spokoju.

- Bowie nie był naukowcem, ale był wariatem. Dlatego go opisałam. Święcie wierzył w to, że wszystkie stworzenia z mitologii greckiej naprawdę istniały.

- Meduza, Cerber i cała reszta?

- Aha.

- To wiele wyjaśnia.

- Nie było z nim aż tak źle - kontynuowała Serena. - Bowie doszedł do wniosku, że greccy rolnicy z czasów antycznych wyorywali w trakcie prac polowych kości prawdziwych zwierząt, które wyginęły podczas ostatniego zlodowacenia. Nie mając pojęcia, jak wyglądały naprawdę, nie potrafili kości zestawić w szkielet i stąd wzięły się te ich fantastyczne stworzenia. Mieszali znaleziska, łączyli je ze sobą i na tej podstawie tworzyli swoje dziwaczne opowieści.

Mercer był zachwycony pomysłem Bowiego. Prosta i przekonująca odpowiedź na pytanie, którego nigdy sobie nie zadał, ale nawet na centymetr nie zbliżyła go do wyjaśnienia, jak Chester znalazł naturalne złoża wzbogaconego uranu na terenie dzisiejszej Republiki Środkowoafrykańskiej po tym, jak w połowie lat trzydziestych zeszłego wieku bez zapowiedzi wyjechał tam na wyprawę.

- Nie miał innego hobby? Na przykład geologii?

- Nawet jeśli, ja nic o tym nie wiem - Serena przerwała ła. - Najgorsze jest to, że niewiele pamiętam na jego temat. Wie pan, książkę napisałam kilka lat, zanim ukazała się na rynku, a o Bowiem jest w niej przecież tylko kilka akapitów. Ale w domu mam kilka kartonów z notatkami i materiałami, które zebrałam, pracując nad książką. Tam pewnie znajdę o nim coś więcej. Zrobimy tak; po pracy przejrzę je dokładnie i jeśli trafię na coś godnego uwagi, wyślę panu e-mailem.

Mercer szybko przemyślał jej propozycję. Mógł być na właściwym tropie, bo daty z grubsza zgadzały się z jego obliczeniami. Istniało jednak duże prawdopodobieństwo, że to nie był ten Chester Bowie. Z drugiej strony, nie miał alternatywy. Opanowany dziwnym przeczuciem, że nie ma czasu do stracenia, zapytał:

- A co by pani powiedziała, gdybym wsiadł w samochód i przyjechał do pani, żebyśmy mogli pogadać o tym wszystkim osobiście? - Wyczuł, że Serena się waha. - Zapewniam, że nie jestem zboczeńcem ani psychopatą. Możemy się spotkać u pani w pracy, w hotelu. - Wiedział, że będzie musiał wziąć ze sobą Harry'ego. Staruszek przez całe tygodnie robiłby mu wyrzuty, gdyby Mercer pojechał w miejsce, gdzie jest kasyno, i nawet nie zaproponował przyjacielowi wspólnego wypadu.

- No dobrze, tak chyba będzie w porządku. W czasie lunchu pojedę do domu i wezmę wszystko, co znajdę o Chesterze. Przynajmniej pamiętam, w którym pudle trzymam materiały o nim. Pan jest z Nowego Jorku?

- Nie, z Dystryktu Kolumbii. - Spojrzał na zegarek. - Mo że umówmy się na piątą w holu, co pani na to?

Roześmiała się.

- Hotel jest gigantyczny. W ten sposób nigdy byśmy się nie znaleźli. Będę na pana czekała w barze Americain. Jest tuż na prawo od wejścia do kasyna.

- Bar Americain. Piąta po południu. Dziękuję pani.

- Nie ma za co. Cieszę się, że mogłam pomóc. Zobaczę, może uda się załatwić panu pokój w hotelu na noc. - Przez chwilę w słuchawce panowała cisza. - Właściwie jeszcze pana nie spytałam, o co w tym wszystkim chodzi.

- Powiem pani, kiedy się spotkamy. Na razie musi pani wystarczyć informacja, że Chester Bowie coś naprawdę znalazł i nie były to kości Minotaura.

Mercer spojrział na zegarek. Było jeszcze za wcześnie, żeby Harry już siedział w Tinys. Wybrał numer jego mieszkania. Nikt się nie zgłaszał, więc zadzwonił do klubu, ale o tej porze na miejscu nie było nawet właściciela, Paula Gordona. Ruszył spiralnymi schodami do baru, żeby umyć kubek, w którym zebrała się już kilkucentymetrowa skorupa zaschniętych fusów z kawy. Harry siedział na wysokim krześle i popijając krwawą mary, rozwiązywał krzyżówkę z „Washington Post”.

- Cześć - przywitał się.

Mercer pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Ależ proszę, jeśli chcesz, to poczytaj moją gazetę i sam się obsłuż.

- Już się wszystkim zająłem, chłopcze, wszystkim.

- Nie do wiary... Masz ochotę na małą wycieczkę?

- Nie. - Harry nawet nie raczył podnieść głowy. - Dziś wieczorem w Tinys zbiera się kilku gości na pokerka. Planowałem rozwalić się na twojej kanapie i przygotować mentalnie na wieczór.

- Nie ma sprawy, ale jadę do Atlantic City.

Harry nie drgnął, ale nie zlekceważył tej wiadomości.

- Drag, idź po smycz. Dzisiejszy wieczór spędzisz sam u wujka Tiny'ego.

Psisko podniosło łeb i spojrzało przekrwionymi oczyma na właściciela. Potężne uszy zakołysały się lekko, a z gardła wydobyło się pojedyncze, tęskne westchnienie.

- Wybacz, stary, ale zamieniłem spacer z tobą na spacer po kasynie.

- Zostaniemy tam na noc, więc jedź do siebie i weź jakieś rzeczy. Wpadnę po ciebie za jakąś godzinę.

- Będę gotowy za kwadrans.

ATLANTIC CITY, NEW JERSEY

Mercer zatrzymał sportowego jaguara na najwyższym piętrze parkingu za kompleksem Deco Palace Hotel and Casino. Przekręcił kluczyk i zgasił silnik, ale nie mógł wyłączyć Harry'ego, który monologował nieustannie, odkąd przekroczyli granicę New Jersey.

- Kiedyś już tu byłem, Chryste, tylko kiedy to było? Nie pamiętam, pewnie w osiemdziesiątym ósmym albo dziewiątym, z Jim Read. Pamiętasz Jimmy? Nasze drogi się rozeszły, kiedy przestała pić.

- Wasze drogi się nie rozeszły. Przestała pić, więc przestaliście się z spotykać z tego samego powodu, z jakiego feministki nie spotykają się z producentami filmów porno - zauważył Mercer.

Harry zignorował zaczepkę.

- Nieważne. Byliśmy wtedy razem i muszę ci powiedzieć, że nigdy wcześniej nie widziałem nikogo, kto by miał taką rękę do kości. Przysięgam na Boga, że gdyby tylko chciała, to zatrzymałyby się na narożniku. Tylko ona tak potrafiła... A miała chyba z pięć lat mniej, niż ja teraz. Musiała się...

- Musiała zrobić to, co ty robisz teraz? - Mercer wszedł mu w słowo.

- Daj mi spokój, co? Nie byłem w kasynie od czasu naszego wyjazdu do Kanady.

- Nieźle, to już chyba z siedem miesięcy.

- Pięć. Pojechałem jeszcze z Tinym, kiedy ty musiałeś kończyć swój kontrakt z DeBeers.

Mercer wysiadł ze sportowego wozu.

- Coś mi się zdaje, że pojechaliście moim jagiem.

Harry przytknął zapalniczkę Zippo do ulubionego chester-fielda i zaciągając się, zmarszczył brwi.

- I znów masz rację.

Ruchomy chodnik towarzyszył im od windy przez cały tunel wytapetowany reklamami spektakli, restauracji i gier. Muzyka sącząca się z ukrytych głośników była utrzymana w stylu art deco, jak zresztą cały hotel. Większość gości, którzy zmierzali w tę samą stronę, stanowili nowojorczyki w nieformalnych strojach. Złote łańcuchy połyskiwały na głębokich dekoltach kolorowych bluzek kobiet lub tonęły w gąszczu posiwiałych włosów na klatkach piersiowych mężczyzn w rozchełstanych koszulach. Mimo że wśród gości przeważały pary, nikt ze sobą nie rozmawiał. Wszyscy sprawiali wrażenie, jakby już teraz skupiali się na grze i ignorowali wszystko, co mogłoby ich rozproszyć.

Ruchomy chodnik kończył się w holu. Ogromny hol przypominał klasyczny dworzec z nitowanymi dźwigarami i dużą ilością szkła, jakie można zobaczyć w filmach z lat trzydziestych i czterdziestych. Akcenty w stylu art deco i kolumny zapewniały łączność tematyczną z resztą hotelu. Recepcja zajmowała całą przeszkloną ścianę, przez którą widać było ocean i nadbrzeżną promenadę. Naprzeciwko stała prawdziwa lokomotywa wyrzucająca z komina kłęby sztucznej pary i dwa pięknie odrestaurowane wagony. Poza tym wszędzie stały donice z palmami, a pracownicy hotelu chodzili w uniformach z epoki.

- To tu - oznajmił Harry, wskazując na wejście do baru Americain.

- Znajdź nam jakieś miejsce przy barze - powiedział Mercer i spojrzął na zegarek. Mieli jeszcze pół godziny do spotkania, więc postanowił je wykorzystać na drinka.

Weszli do środka. Pomieszczenie, mimo sporych rozmiarów, dawało poczucie przytulności. Zostało urządzone na wzór Cafe Americain Ricka z Casablanki. Przy starym pianinie siedział nawet czarny muzyk z plakietką „Sam”, choć pewnie w rzeczywistości miał na imię Jamal albo Antoine.

- Cholera, może powinniśmy mieć na sobie smokingi i popijać koktajle z szampanem? - mruknął Harry.

Usiedli przy kontuarze z alabastru. Harry zamówił jacka danielsa z syropem imbirowym, a Mercer wódkę z sokiem cytrynowym.

- Ze wszystkich barów we wszystkich miastach na świecie ty musiałeś wejść akurat do mojego...

Mercer natychmiast rozpoznał ten głos, ale mimo to nie mógł uwierzyć. Obrócił się, nie wstając ze stołka. Cali Stowe miała na sobie czarne spodnie z rozszerzanymi nogawkami i jedwabną kremową bluzkę. Rozpuszczone rude włosy opadały na ramiona, a pełne usta miał w sobie tyle magnetyzmu, że Mercer z trudem oderwał od nich wzrok, by spojrzeć jej w oczy. Zobaczył w nich wesołe iskierki, pasujące do szerokiego uśmiechu. W Afryce wyglądała świetnie, chociaż nie miała gdzie wziąć prysznic, a o wyborze ubrań decydowała ich przydatność w terenie. Teraz dosłownie zapierała dech w piersiach i Mercer przez dłuższą chwilę nie mógł otrząsnąć się z szoku.

- Twoje zdrowie, mała - zdołał w końcu wykrztusić, unosząc szklanke.

- Kto postawi kobiecie drinka? - zapytała i nie czekając na odpowiedź, przywołała barmana. - Dewar's z lodem i wodą.

- Nie zrozum mnie źle - odezwał się Mercer - ale jesteś ostatnią osobą, którą spodziewałbym się tutaj spotkać. Czemu zawdzięczam tę przyjemność?

Spróbowała swojego drinka.

- Jestem nałogową hazardzistką. Nie mogę długo wytrzymać bez kasyn. Zastawiony dom, sprzedany samochód, wiesz, hazard wciąga. Mieszkam w śmietniku za zapleczem.

- Już się w pani zakochałem - oznajmił uroczyście Harry, po czym wstał i się przedstawił. - Harry White, do usług.

Roześmiała się i podała mu rękę.

- Cześć, Harry. Cali Stowe. Harry spojrzał na przyjaciela.

- To ta z Afryki? - zapytał.

Cali zerknęła na Mercera i odpowiedziała za niego:

- Tak, ta sama. Jakie było prawdopodobieństwo, że się tu spotkamy?

- Całkiem spore, jeśli umówiłaś się z Sereną Ballard.

- Nagroda główna wędruje do pana w sportowej marynarce od Armaniego. - Usiadła na wolnym stołku koło Mercera. Harry, żeby ją widzieć, musiałby się niemal położyć na kontuarze. - Rozmawialiśmy dziś po południu. Wyobraź sobie moje zaskoczenie, kiedy powiedziała, że jest już na dzisiaj umówiona na spotkanie w sprawie Chestera Bowiego.

Mercer wciąż nie mógł się otrząsnąć z zaskoczenia i opanować radości ze spotkania.

- Powiesz mi w końcu, kim naprawdę jesteś? Wiem, że nie pracujesz dla Centrum Kontroli Chorób. Kiedy tam zadzwoniłem i spytałem o ciebie, ich kadrowy niemal się zadławił.

- Słyszałeś kiedyś o ZRZN?

- To część Departamentu Energii, tak?

- Tak, a dokładniej Zespół Reagowania na Zagrożenia Nuklearne. Jestem członkiem tego zespołu. Działamy jak oddziały szybkiego reagowania w sytuacjach ataku jądrowego albo zagrożenia elektrowni. Kiedy w 2003 Bush wygłosił orędzie do narodu, w którym straszył, że Saddam pojechał na atomowe zakupy do Afryki, dostaliśmy zadanie zidentyfikowania nieznanymi wcześniej źródeł uranu. Nasz zespół składa się z dziesięciu członków. W du

zym skrócie jeździmy po świecie i zajmujemy się zbieraniem informacji o starych kopalniach uranu i miejscach, gdzie można takie zbudować.

- W takim razie nie kłamałaś, kiedy mi powiedziałaś, jak znalazłaś tę wioskę.

Cień przemknął przez jej błyszczące ciemne oczy, a rumieniec oblał policzki. Upiła łyk szkockiej i odparła:

- Ktoś z Centrum Kontroli Chorób skontaktował się ze mną i poinformował o wiosce, która ma najwyższy na świecie wskaźnik zachorowalności na nowotwory. Napisałam raport dla szefostwa. Analizowali go jakiś czas i w końcu odesłali do archiwum, twierdząc, że mamy pilniejszą sprawę.

- Zaraz, zaraz - wtrącił się Harry - to znaczy, że pojechałaś tam na własną rękę?

Cali potaknęła i wrócił jej dobry humor.

- Jak widzicie, siedzę bokiem, bo kiedy wróciłam, dostałam po tyłku od szefa biura w Nowym Jorku.

Mercer na próżno usiłował powstrzymać się przed wyobrażaniem sobie miejsca, gdzie kończą się jej plecy. Rozkojarzony, rzucił bez namysłu:

- Widziałem, jak wsiadałaś przed lotniskiem do lincolna na rządowych blachach.

- Sam szef naszego zespołu Cliff Roberts pofatygował się po mnie. Już w wozie zaczęło się lanie. Dobrze, że ten lincoln był dźwiękoszczelny. - Cali odgarnęła z czoła kosmyki włosów, wprawiając Harry'ego tym prostym ruchem dłoni w trans. - Straszili mnie zwolnieniem, a potem zagrozili zawieszeniem w obowiązkach. Koniec końców dostałam polecenie przemyślenia wszystkiego na tygodniowym zwolnieniu. Mam wrócić - obniżyła głos, udając swojego przełożonego - jako odpowiedzialny członek zespołu o odpowiednim podejściu do pracy. Do diabła, Mercer, zazdroścę ci, że nie masz nad sobą rządowych biurokratów.

- Ale miałem, kiedy zaczynałem pracować. Chociaż nie było tak źle, jak opisujesz, czułem, że długo nie dam rady. - Wrócił myślami do czasu, jaki spędzili w afrykańskiej wiosce, skojarzył kilka faktów i zrozumiał, po co tam pojechała. Teraz łatwo było zauważyć niespójności. - Czyli kiedy poszłaś w krzaki rzekomo za potrzebą... to...

- Musiałam sprawdzić głębę licznikiem Geigera. Gdybyś nie zajmował się akurat geologią, pewnie bym się jakoś wyłgała. A tak musiałam wymyślić na poczekaniu historyjkę o bieguncie.

- Wybacz, że musiałaś uciekać się do takich metod. Teraz kojarzę, że nie byłaś wcale blada, a po paru minutach wróciłaś już zupełnie zdrowa. Cudowne wyleczenie?

Uśmiechnęła się, odsłaniając śnieżnobiałe zęby.

- Nie jestem utalentowaną aktorką.

- Jaki miałaś odczyt z licznika?

- Wartość promieniowania nie odbiegało od normalnego promieniowania tła. Wszystko, co tam było, musiało zostać bardzo dokładnie wybrane i wywiezione w latach trzydziestych i czterdziestych XX wieku. Kilkadziesiąt lat erozji i na miejscu nie została już nawet skażona ziemia.

- Skłaniałbym się ku latom trzydziestym - powiedział Mercer. - Krótco po tym, jak Chester Bowie odkrył złoża.

- A po nim Niemcy, którzy wyzbierali wszystko, co zostawił?

- Prawdopodobnie. Z tego, co zdążyłem dowiedzieć się od pani Ballard, Bowie raczej nie był zdrajcą. Ktoś musiał się dowiedzieć o jego odkryciu i krótko po odejściu Chestera zjawiał się tam i wybierał resztki. - Mercer zamówił jeszcze jedną kolejkę. Sam/Jamal/Antoine czy jakkolwiek miał na imię pianista, uznał, że w lokalu jest już dość gości, by opłacało się zacząć grać. W sali rozległy się dźwięki As Time Goes By. Po minie muzyka można było się domyślić, że grywa ten utwór przynajmniej kilkanaście razy dziennie. - Powiedz mi, jak znalazłaś Bowiego. Ja szukałem wśród absolwentów uczelni.

- NIP w bazie danych urzędu skarbowego. - Cali włożyła do ust kostkę lodu ze szklanki, wprawiając Mercera i Harry'ego w pełne zachwyty osłupienia. Widząc ich reakcję, skruszyła lód zębami. Stare przyzwyczajenie, które przyciągało więcej uwagi, niż chciała. - Jeśli chodzi o sprawy bezpieczeństwa państwa, ZRZN ma dostęp do całkiem interesujących baz danych. A że jestem oficjalnie na zwolnieniu, poprosiłam kolegę o sprawdzenie tego dla mnie. Od niego dowiedziałam się o College'u Keeler. Zadzwoiłam do dyrektora, a on z kolei powiedział mi o księżce Sereny Ballard. Zadzwoiłam do niej i proszę, oto jestem.

Ale jednego wciąż nie rozumiem - podjęła po chwili. - Co zakręcony profesor siedzący po uszy w starożytności miał wspólnego z kopalnią uranu? Serena przedstawiła mi pokrótce teorie Bowiego, lecz to niewiele pomogło. Jeśli chciał udowodnić swoją hipotezę o kościach, złodowaceniach i potworach, to dlaczego nie wybrał Grecji? Jak to się stało, że trafił do Afryki?

- Może notatki Sereny rzuca trochę światła na tę kwestię.

- A propos notatek - rzuciła Cali. - Dyrektor college'u jest na nią zły, bo obiecała oddać materiały wypożyczone ze szkoły już kilka lat temu. Jeśli zapomnę jej o tym powiedzieć, to chociaż ty pamiętaj.

W drzwiach baru stanęła kobieta w średnim wieku. W przeciwieństwie do wchodzących i wychodzących bezustannie turystów miała na sobie ciemny garnitur, a w ręku trzymała teczkę. Jej pucułowatą twarz okalały długie jasne włosy. Mercer uznał, że ma nie więcej niż metr sześćdziesiąt, a waży co najmniej tyle co on. Szybko zauważyła trójkę przy barze i ruszyła w ich stronę. To musiała być Serena Ballard.

- Doktor Mercer? Panna Stowe?

- We własnej osobie. - Cali się uśmiechnęła.

- Witajcie, jestem Serena Ballard.

- Mów mi Cali. - Mimo że siedziała, była o głowę wyższa od szefowej kasyna.

- Na mnie wszyscy wołają Mercer. - Ujął wyciągniętą w jego kierunku dłoń i potrząsnął nią, zauważając, że Serena ma chabrowe oczy. - A to mój przyjaciel Harry White.

Harry nie zaryzykował żartu. Miał wycucie, które poprzednio podpowiedziało mu, że Cali zrozumie i przyjmie jego powitanie z humorem. Teraz był przekonany, że Serena Ballard zareagowałaby zgola inaczej.

- Bardzo mi miło panią poznać. Serena spojrzała na Mercera i Cali.

- Moja książka ukazała się trzy lata temu i niewielu się nią zainteresowało, a teraz proszę, dwoje naraz.

- Pracujemy z Mercerem nad tym samym problemem, tyle że z różnych perspektyw. No i oboje dotarliśmy do wspólnego mianownika, czyli książki i jej autorki. Napijesz się czegoś?

- Dietetycznej coli, jeśli można. A potem znajdziemy sobie jakieś miejsce z dala od pianina, dobrze? - Wskazała teczkę. -Przyniosłam wszystko, co tylko udało mi się znaleźć. Prawdę mówiąc, okazało się, że mam znacznie więcej materiałów, niż sądziłam. Przeglądając je, przypomniałam sobie, że już dawno powinnam była je zwrócić do college'u.

Cali wzięła szklanekę Sereny i swoją.

- Dyrektor college'u poprosił mnie, żebym ci o tym przypomniawszy. A mówił to takim tonem, jakby pod jego gabinetem codziennie ustawiała się kolejka czekających na powrót zaginionych akt Chestera Bowiego.

Kiedy usiedli przy stoliku w odległym kącie sali, Serena wyjęła z teczeki wszystkie papiery, jakie przyniosła. Było tam dziesięć grubych notatników, kilka starych tekturowych teczek i sporo pojedynczych kartek. Mercer, Harry i Cali zaczęli wertować dokumenty i zapiski. Serena chciała pomóc, ale nie bardzo wiedziała jak.

- Przejrzałam te papiery u siebie w biurze, żeby odświeżyć sobie pamięć, ale niewiele to dało - wyjaśniła. - No cóż, książkę napisałam dawno temu, a Chester Bowie był jednym z wielu jej bohaterów.

- A jak w ogóle się o nim dowiedziałaś? - zapytała Cali, nie podnosząc głowy znad papierów.

- Od mojego ojczyma, który kończył tę samą szkołę. On wspominał mi o Chesterze, kiedy pisałam książkę. Chociaż Bowie zniknął w połowie lat trzydziestych ubiegłego wieku, studenci nie przestali się z niego naśmiewać. Kiedy mój ojczym tam studiował, wciąż tak się przezywali. Skontaktowałam się z college'em i powiedziałam, że piszę książkę między innymi o Bowiem, a oni przysłali mi wszystko, co znaleźli w swoich archiwach.

- I nigdzie indziej nie trafiłaś na Chestera? - Cali drażyła temat.

- Niestety nie. - Serena upiła łyk ze swojej szklanki. -A dlaczego właściwie tak was ten dziwak zainteresował?

Mercer odłożył notatnik, który właśnie kartkował, i spojrzał na nią.

- W pewnej wiosce w Republice Środkowoafrykańskiej znaleźliśmy starą menażkę podpisaną „Chester Bowie”. Miejskowa staruszka pamiętała go z dzieciństwa. Powiedziała też, że krótko po nim do wioski dotarli inni ludzie, którzy zabili wielu jej krewnych i sąsiadów.

- Mój Boże, to straszne! Czy wiecie, dlaczego to zrobili? Mercer pokręcił głową, bo nie widział powodu, dla którego miałby opowiedzieć Serenie o kopalni uranu.

- Nie. Miałem nadzieję, że w tych materiałach znajdziemy jeśli nie odpowiedź, to choćby wskazówkę, gdzie jej szukać.

Serena zagryzła usta.

- Robicie to na własną rękę czy pracujecie dla rządu?

- Ja tak - odparła szczerze Cali. - Przykro mi, ale nie mogę ci powiedzieć, w jakiej roli. Mercer natomiast jest cywilnym doradcą.

Mercer z trudem ukrył uśmiech. Cali z mistrzowskim wyczuciem kreowała aurę tajemnicy i intrygi. Zmusiła Serenę Ballard, żeby sama dopowiedziała sobie brakujące słowa i bez prośb zapropionowała wyświadczenie im przysługi.

- Planowałam zostawić wam materiały na noc, żebyście mogli je spokojnie przejrzeć, ale skoro to sprawa rządowa, możecie je trzymać tak dłużej, jak to będzie konieczne. Gdy skończycie, prześlijcie mi materiały do hotelu, żebym mogła je oddać.

Mercer obdarzył ją promiennym uśmiechem.

- Mam lepszy pomysł - oznajmił. - Sami zajmijmy się ich zwrotem. Poza tym możemy przyrzec, że będziemy cię informować na bieżąco, na jakim etapie jesteśmy.

Serena pękała z dumy, że zgodzili się ją włączyć do sprawy.

- Nawet nie śmiałam o to prosić - powiedziała, wstając. - Aha, i zgodnie z zapowiedzią, czekają na was pokoje na koszt hotelu. Powinny już być w systemie. Po prostu podajcie w recepcji swoje nazwiska.

- Mogę panią zapewnić - rzekł Harry - że dzięki mnie hotel wyjdzie na plus mimo darmowych pokoi.

Serena wróciła do swoich obowiązków, a oni odebrali karty hotelowe. Harry podał torbę Mercerowi, przyrzekł uroczyście, że wróci, zanim nadejdzie pora wyjazdu, i ruszył w kierunku sali gier, dziarsko wymachując laską. Ponieważ nie dostali pokoi na tym samym piętrze, Mercer oddał część dokumentów Cali, a sobie zatrzymał resztę. Umówili się na kolację o ósmej wieczorem.

Mercer zrezygnował z szybkiego prysznicu; zamiast tego usiadł w głębokim fotelu i zaczął czytać notatki Chestera. Już po kilkunastu stronach nabrał przekonania, że dziewczyna z biura absolwentów miała rację. Bowie był wariatem. Pisał chaotycznie, przeskakując z tematu na temat. W jednym akapicie atakował tezy pracy Artura Eveansa o kulturze minojskiej na Knossos, a parę linijek dalej rozważał, dlaczego słońce nie mogło stopić woskowych skrzydeł Ikara, by dojść do wniosku, że chłopak musiał stracić przytomność na skutek niedotlenienia i dlatego spadł do morza.

Gdy Bowie ukuł swoją teorię, że kości zwierząt, które zabiło zlodowacenie, stały się przyczyną powstania demonów i potworów, zaczął traktować mitologię jako relację z prawdziwych zdarzeń, które zawsze można racjonalnie wytłumaczyć. A w każdym razie starał się znaleźć wyjaśnienia logiczne na tyle, na ile było to możliwe. Wierzył na przykład, że słynny węzeł gordyjski był labiryntem z krzaków, które Aleksander Wielki ścinał mieczem, kiedy wchodził do Frygii.

Mercer siedział pogrążony w lekturze, kiedy zadzwonił telefon.

- Słucham?

- Zapomniałam numer twojego pokoju - powiedziała wyraźnie podekscytowana Cali.

- 1092.

- Zaraz u ciebie będę. Mam!

Minutę później usłyszał pukanie do drzwi. Gdy otworzył, Cali wpadła do środka jak burza. Zrzuciła marynarkę i zobaczył zarys jej drobnych, kształtnych piersi pod jedwabną bluzką.

- Chester Bowie był zakrecony, ale był też geniuszem - oznajmiła.

Mercer, zarażony jej entuzjazmem, spytał:

- Co znalazł?

- Adamant.

- Co?

Spojrzała na niego z filuternym uśmiechem.

- Czy ty przypadkiem nie jesteś geologiem?

- Zawsze podejrzewałem, że marnym - odparł. - Co to jest adamant?

- Według greckiej mitologii, kiedy bogowie ukształtowali ziemię - spojrzała na kartkę w rękę - Epimeteusz i jego brat dostali zadanie stworzenia zwierząt. Niektórym dali skrzydła, innym szpony, część obdarzyli szybkością, a część wielką siłą. Niestety Epimeteusz rozdał wszystko, co najlepsze, na początku, kiedy więc przyszła kolej na człowieka, nie miał już nic specjalnego. Poradził się brata, Prometeusza, który wiedział, co można ofiarować człowiekowi. Za jego namową Epimeteusz wrócił na Olimp i od słońca odpałił pochodnię. I właśnie ogień przekazał ludziom, czyniąc ich panami wszystkich stworzeń. Możesz sobie chyba wyobrazić, jak wkurzył tym Zeusa. Pan Olimpu...

- ...przykuł Prometeusza łańcuchami do skały, gdzie ptaki ciągle rozdziobują mu wnętrzności - dokończył Mercer.

- No właśnie. - Cali znów sprawdziła zapiski na kartce. - To były góry Kaukazu, a te wnętrzności to wątroba. Łańcuchy zostały wykonane z niezniszczalnego metalu, adamantu, który wydobył sam Zeus. Dopiero mocarny Herkules zdołał zerwać okowy i uwolnić Prometeusza.

- A co to ma wspólnego z Bowiem?

- Nie rozumiesz? Chester był przekonany, że odnalazł mityczną kopalnię, z której Zeus wydobywał adamant. Udał się więc do Afryki, by udowodnić, że adamant naprawdę istnieje. Kolejny przyczynek do jego teorii, że mity opisują prawdziwe historie. Zamiast adamantu znalazł tam jednak złożo naturalnie wzbogaconego uranu.

Mercer pokręcił głową.

- Chcesz mi powiedzieć, że wybrał się w jedno z najbliższych i najbardziej niedostępnych miejsc na ziemi tylko po to, by udowodnić, że znalazł tam dowód na istnienie nieistniejącego metalu?

Cali uśmiechnęła się, słysząc sceptycyzm w jego głosie.

- To nie wszystko. W 1936 dostał grant z uniwersytetu w Princeton na poszukiwanie złóż adamantu.

- Z tego Princeton? Wsparli wariata?

- I to kwotą dwóch tysięcy dolarów. Dzisiaj to niewiele pieniędzy, ale wtedy to była fortuna. - Podała mu kartkę z nagłówkiem Princeton.

List, podpisany przez profesora Swartza z Instytutu Badań Zaawansowanych, mówił o dwóch tysiącach dolarów, które miały umożliwić dalsze prace nad poszukiwaniem „pierwiastka, o którym donosi Pan w swoim wniosku”. Mercer przeczytał go raz i drugi, ale wciąż nie mógł uwierzyć w to, co tam znalazł. Spojrzał na Cali. Wyglądała na zachwyconą.

- Ale dlaczego ktoś chciał sponsorować gościa, który miał nierówno pod sufitem? - spytał.

- Najwyraźniej profesor Swartz był innego zdania - odparła. - Ponieważ ja znalazłam brakujące ogniwo, ty stawiasz obiad.

Mercer milczał. Coś w dacie listu przykuło jego uwagę i wzbudziło ciekawość. Princeton, lata trzydzieste. Co tam się wtedy działo?

- Słyszałeś, co powiedziałam? - Cali zauważyła nieobecne spojrzenie Mercera.

Wtedy sobie przypomniał. Tu nie chodziło o jakieś wydarzenia w Princeton. Kluczem była osoba. Przyciągnął Cali do siebie i ucałował,

- Jesteś geniuszem! - zawołał.

Zaskoczona, ale niez mieszana pocałunkiem, spytała:

- Tak? A co takiego zrobiłam?

- Czy wiesz, kto w po łowie lat trzydziestych XX wieku akurat pracował w Princeton w tym Instytucie? Cholera, on tam pracował do samej śmierci, czyli do lat pięćdziesiątych! - Mercer nie czekał na odpowiedź. - Albert Einstein. We własnej osobie. A list do prezydenta Roosevelta, w którym wyło żył swoją teorię, jak zbudować bombę atomową, wysłał tuż przed wojną. Musiał przeczuwać, że Bowie jest na tropie czegoś, co może mu się przydać, więc namówił Swartza na sfinansowanie ekspedycji. Wiedział, że Chester nie znajdzie tam adamantu, ale podejrzewał, że mógł trafić na próbki wysoko wzbogaconego uranu, może jakieś pokłady naturalnie występującego izotopu U-235, który produkuje się ze znacznie bardziej popularnego U-238 w specjalnych wirówkach. A właśnie tego potrzebował, by podtrzymać reakcję łańcuchową.

- Więc to Einstein wysłał Chestera do Afryki?

- To chyba jedyne rozwi ażanie, które zgadza się z faktami - Mercer mówił coraz szybciej. - W jakiś sposób, Bóg wie jaki, Bowie znalazł informację o lokalizacji kopalni Zeusa. Może sam wpadł na pomysł, że mogło chodzić o uran, a może ktoś mu to podpowiedział, ale koniec końców informacja dotar ła do Einsteina. On zaś wiedział, że Fermi i jeszcze kilku innych naukowców pracuje nad przeprowadzeniem pierwszej nuklearnej reakcji łańcuchowej na uniwersytecie w Chicago. Uznał, że to, co Bowie wziął za adamant, może okazać się w rzeczywistości izotopem uranu, którego potrzebował do eksperymentów. Porozmawiał, z kim trzeba, i Bowie dostał dofinansowanie, żeby móc wyruszyć na poszukiwania.

- A co stało się później? Po raz pierwszy reakcję jądrową udało się przeprowadzić dopiero w 1942 roku.

Mercer w pierwszej chwili był zaskoczony, że Cali pamięta tę datę, ale szybko przypomniał sobie, że przecież nie jest medykiem, tylko naukowcem zajmującym się energią nuklearną, musi więc znać historię jej ujarznienia i wykorzystania.

- Studentka z college'u twierdziła, że Bowie zniknął nagle. I jak się okazuje, nie wrócił już z Afryki z próbkami. Fermi i jego zespół musieli samodzielnie wzbogacać uran.

- Nie wyprzedzajmy faktów. Nie możemy przecież mieć pewności, że Bowie znalazł żyłę U-235.

- Daj spokój, Cali. To, co tam znalazł, było wystarczająco silne, żeby przez następne kilkadziesiąt lat zabijać ludzi! Nigdy nie słyszałem o naturalnym uranie, który powodowałby takie efekty, zwłaszcza że wioska znajdowała się dobrych kilkaset metrów od kopalni. Aby odczuwać skutki promieniowania, musisz być na nie wystawiona.

Przekonana jego argumentami, kiwnęła głową.

- W takim razie co się stało z Chesterem?

- Nie mam pojęcia. Może zjadły go krokodyle, gdy wracał do Stanów? Albo ludożercy? Jeśli tam umarł, musiał mieć przy sobie próbki tego, po co zjawili się później Niemcy.

- Jeżeli myślisz o poszukiwaniu jego ciała, po tylu latach nie ma na to szans.

Tym razem Mercer musiał przyznać jej rację. Jego entuzjazm osłabł, ale nie zamierzał się poddawać.

- Tak czy inaczej, nie pozwolę, żebyśmy uznali sprawę za zamkniętą. Musiały przecież zostać jakieś ślady. Może w archiwach Princeton? Na przykład listy Bowiego do Einsteina. Czytałem gdzieś, że Einstein prowadził bardzo dokładny rejestr swojej korespondencji.

- To akurat nie powinno nastęczać większych trudności - uznała Cali. - Princeton nie jest aż tak daleko. Jeśli wyjedziemy wcześniej, będziemy na miejscu jutro z samego rana.

- Dobry pomysł. Zarezerwuję pokój dla Harry'ego na jeszcze jedną noc. Do domu wrócimy pojutrze. Powinniśmy przed wyjazdem przeczytać pozostałe notatki Bowiego. Możemy znaleźć jeszcze inne wskazówki.

- Racja. Ale i tak nie wykręcisz się od kolacji. Już prawie ósma. - Cali nagle zdała sobie sprawę, że pod jedwabną bluzką bez rękawów wyraźnie widać zarys jej sutków. Już dawno pogodziła się z myślą, że jej piersi nie porażają wielkością; z drugiej strony, zdawała sobie sprawę, że niezależnie od rozmiaru, mężczyźni i tak będą się gapili. Mercer dostał duży plus za to, że potrafił się powstrzymać. - Wpadnę na chwilę do siebie. Spotkamy się przy windach w holu.

Piętnaście minut później Cali w końcu wyszła ze swojego pokoju. Cały kwadrans poświęciła na poprawienie makijażu i włosów, a choć efekt jej wysiłków był subtelny, wyraźnie widać było zmianę. Mercer poczuł się jak flejtuch, bo nie wziął prysznic, kiedy był na to czas. Kolację zjedli w restauracji w hotelu Margeaux. Bez pośpiechu delektowali się zupą cebulową z grzankami, solą, polędwicą w cieście francuskim i słodkim tortem szwarcwaldzkim. Mercer scedował na Cali wybór win, bo jego wiedza w tej materii ograniczała się do przestrzegania zasady, by unikać wszystkiego, co jest sprzedawane w kartonikach. Kiedy skończyli posiłek, butelka była pusta, podobnie zresztą jak lokal.

W pewnej chwili ich rozmowa zaczęła przybierać formę milczących, głębokich spojrzeń i poczucie winy uderzyło Mercera niczym ciężki młot. Przegapił moment, w którym wspólna kolacja zamieniła się w randkę - pierwszą od czasu Tisy. Smaczny posiłek zaczął mu ciążyć na żołądku. Miał nadzieję, że tego nie widać, ale Cali wyczuła jego napięcie.

- Źle się poczułeś?

Powinien był skłamać, zrzucić złe samopoczucie na obżarstwo i jakoś przecierpieć. To byłoby najprostsze rozwiązanie, które pozwoliłoby utrzymać wspomnienie Tisy dla siebie. Zanim jednak otworzył usta, sama myśl, by skłamać, rozwiła się jak dym. Nie potrafił kontrolować pamięci o Tisie. To ona kontrolowała jego. Nie potrafił jej ujarzmić; dominowała nad wszystkim, co działo się w jego głowie. Czuł, że dopóki nie pojawi się dostatecznie silny egzorcyzm, wciąż tam będzie.

- Pół roku temu straciłem kogoś bardzo mi drogiego - mówił tak cicho, że Cali musiała się pochylić nad stołem, żeby cokolwiek usłyszeć. - Dziś po raz pierwszy od tego czasu zjadłem kolację z kobietą. To nie była randka, ale siedzenie tu z tobą już tak wygląda. Nie potrafię zapanować nad poczuciem winy.

- Dziękuję, że chciałeś się tym ze mną podzielić. Wyobrażam sobie, jakie to dla ciebie trudne.

- Nie potrafię okazywać uczuć, duszę je w sobie.

- A kto potrafi? Mercer zaśmiał się krótko.

- Tak, to prawda. To prostsze niż przyznanie, że coś jest nie tak. Udajesz, że potrafisz znieść ból, i rzeczywiście zwykle tak jest. Ale czasem...

- Czasem musisz z kimś pogadać.

- Pogadać albo przynajmniej przyznać się przed samym sobą, że to dobrze mieć uczucia.

- Kobiety często narzekają, że mężczyźni nie mówią im, co czują - odpowiedziała Cali. - Sama tak robiłam. Ale z czasem zrozumiałam, że milczenie mężczyzn może być równie oczyszczające, jak krzyki kobiet. Niebezpieczni faceci to tacy, którzy nie pozwalają sobie nawet na milczenie. Nigdy nie straciłam nikogo bardzo mi bliskiego, więc nie mogę sobie wyobrazić, co czujesz. Ale naprawdę nieźle sobie z tym radzisz. Myślę, że dobrze spędziliśmy dzisiejszy wieczór. Gdybyś nie potrafił dać sobie rady z jej odejściem, nawet na takie wyjście byś sobie nie pozwolił.

Odczekała chwilę, zanim odłożyła serwetkę na stół. Potem wstali i ruszyli w stronę wind.

- Spotkajmy się tutaj o siódmej rano - zaproponowała.

- Dobrze. Przepraszam, że takim smutnym akcentem zakończyłem udany dzień.

Uśmiechnęła się najpiękniejszym i najbardziej czarującym uśmiechem, jaki kiedykolwiek u niej widział.

- Doskonale go zakończyłeś. - Drzwi otworzyły się na jej piętrze. Zanim wyszła, delikatnie pocałowała go w policzek. - Do zobaczenia rano.

Mercer trzymał zablokowane drzwi windy, dopóki nie zniknęła w swoim pokoju. Wydawało mu się, że wyszedł na ponuraka, który smęci o nieodwzajemnionej miłości, a ona twierdzi, że spędziła z nim wspaniały wieczór. Powtarzał w myślach słowa Harry'ego, którymi staruszek częstował go przy każdej okazji: „Kobietę możesz zrozumieć tylko na tyle, na ile sama ci na to pozwoli”.

ATLANTIC CITY, NEW JERSEY

Dwie minuty w Internecie oszczędziłyby Cali i Mercerowi sześć godzin, ale pozbawiłyby ich także idyllicznej przejażdżki i samodzielnego zwiedzania kampusu uniwersyteckiego. Instytut Badań Zaawansowanych nie należał do uniwersytetu Ivy League. Został ufundowany w 1930 roku przez magnata finansowego i potentata handlowego Louisa Bambergera jako miejsce rozwoju teorii matematycznych i fizycznych. Niewielki instytut nie prowadził archiwum prac swoich najznamienitszych pracowników, a w domu Alberta Einsteina wciąż odbywały się zajęcia dydaktyczne.

Pracownik sekretariatu poinformował ich znudzonym tonem, że wszystkie prace i dokumenty należące do Alberta Einsteina zostały przekazane do archiwum Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie. We współpracy z

Kalifornijskim Instytutem Technologicznym udostępniłi większość materiałów w Internecie.

Po powrocie do Deco Palace Mercer poczęstował Cali piwem z minibaru. Na zewnątrz widać było zachód słońca, a budynek hotelu rzucał długi cień na nadmorską promenadę. Cali sprawdziła, czy jej notebook wykrywa hotelową sieć Wi-Fi, a kiedy się z nią połączyła, szybko zlokalizowała archiwum w Jerozolimie. Tylko jeden z dokumentów wielkiego geniusza miał związek z Chesterem Bowiem; niestety, akurat on nie był dostępny online.

- Która jest teraz godzina w Izraelu? - zapytała, sięgając po telefon. - Zresztą nieważne. - Z pamięci wykręciła długi numer, poczekała chwilę, a kiedy ktoś z drugiej strony odebrał, poprosiła o połączenie z Ariem Gradsteinem.

- Kto to jest Ari Gradstein? - zainteresował się Mercer.

- Dyrektor Instytutu Badań Jądrowych Dimona. Kilka razy mieliśmy okazję pracować razem - wyjaśniła i wróciła do rozmowy przez telefon. - Cześć, Ari, tu Cali Stowe z ZRZN. - Przerwała i słuchała chwilę. - Wspaniale, a u ciebie? Doskonale. A Shoshana?... Świetnie. Słuchaj, Ari, potrzebuję twojej pomocy. Chciałabym, żebyś ominął całą machinę biurokratyczną na Uniwersytecie Hebrajskim. Nie mogę ci w tej chwili powiedzieć, o co dokładnie chodzi, ale mogę cię zapewnić, że państwo Izrael nie jest zagrożone. Badam spuściznę pewnego Amerykanina, który korespondował z Einsteinem, a jak wiesz, wszystkie jego papiery trafiły właśnie na ten uniwersytet. Tak, mnie też to zaskoczyło. Zmarnowałam kilka godzin, bo nie wiedziałam, że Princeton przekazało je wam. Mogłbyś tam zadzwonić i oczyścić dla mnie drogę? Jeśli przedstawię się jako pracownik Departamentu Energii, wyskoczą u was wszystkie możliwe alarmy i na odpowiedź będę czekała kilka miesięcy. - Cali podyktowała mu swój adres e-mailowy i numer katalogowy pozycji, której szukała. - Dzięki, Ari, jestem ci winna przysługę. Trzymaj się.

Mercer był pod wrażeniem.

- Nawet gdybym miał jakieś dojścia w Izraelu, nigdy bym o tym nie pomyślał. Byłaś genialna.

Cali uśmiechnęła się, zadowolona z komplementu.

- Czasem ścieżka dookoła maszyny biurokratycznej jest bardzo przydatna.

Kiedy czekali na e-mail z Izraela, do pokoju wrócił Harry. Miał przekrwione oczy i dwudniowy zarost na twarzy. Mercer widział go po raz pierwszy od przeszło dwudziestu godzin.

- Proszę, proszę, kogo my tu mamy. Tylko nie mów, że przez cały czas grałeś?

Harry z jękiem opadł na łóżko.

- Chryste, oczywiście, że nie. Rano zrobiłem sobie przerwę na śniadanie.

- A jak ci poszło? - Mercer pytał dalej, choć domyślał się odpowiedzi.

Harry oparł się na poduszce i odpowiedział z zamkniętymi oczyma:

- Nie pytaj hazardzisty, jak mu idzie, dopóki kości toczą się po stole.

- Aż tak źle?

Staruszek nagle się wyprostował i szybkim ruchem wyciągnął z kieszeni zwitek banknotów.

- Chyba całkiem nieźle - powiedział takim tonem, jakby nie robiło to na nim wrażenia.

- Jasna cholera! - Mercer i Cali wykrzyknęli unisono. - Ile?
 - Trzydzieści tysięcy, mój chłopcze! Rozbiłem bank! Nie mogli mnie pokonać. Zeszłej nocy powiedziałem im, że mieszkam u Trumpa, więc żeby mnie zatrzymać, dali mi za darmo apartament.
 - Ty zachłanny skurczybyku! - Mercer nie mógł wyjść z podziwu.
 - Gratuluję! - dodała Cali. - Co zamierzasz zrobić z tymi pieniędzmi?
- Popatrzył na nią, jakby była niespełna rozumu.
- Przerznąć to w ruletkę dziś w nocy. A coś ty myślała? Cali wyglądała, jakby rozważała próbę odwiedzenia go od tego pomysłu. Mercer znał przyjaciela na tyle dobrze, że nawet do głowy mu to nie przyszło. Nagle z głośniczki jej laptopa rozległ się elektroniczny sygnał i tryumf Harry'ego zszedł na drugi plan. Przyszedł e-mail z uniwersytetu w Jerozolimie. Archiwista, który go wysłał, nie był zachwycony koniecznością wysyłania czegokolwiek po północy, ale znalazł to, czego szukali.
 - To jest to! - zawołała Cali, otwierając załącznik.
- Otrzymali kopię telegramu wysłanego do Einsteina w kwietniu 1937 roku z Aten. Mercer zaczął czytać na głos:

„Piąty raz już pytam o Pańskie zdrowie, Sir, choć minął dopiero siódmy tydzień mojej podróży. Wakacje spędziłem w Italii, a to zupełnie nowy świat dla mnie. Starożytność przenika współczesność. Denerwują ujadające pieski rasy jork. Ale też dużo wypoczywam, śpię, rozkoszuję się słońcem i spaceruję po lesie. Klimat doskonały, jednak rezygnuję z Rzymu, bo jest zbyt wietrzny. Nabyłem dla Pana piękne bibeloty, wyślę bezzwłocznie, kiedy tylko statek pocztowy będzie gotów. Nie znalazłem reprintu Gibsona okrętu Drake'a „Golden Hind”, o który Pan prosił. Za to dostałem rzadkie nagranie Stephana Enburga, którego nie kupi Pan w Stanach. Wyszperanie go to mój sukces, lecz nie pojmuję, co się Panu w nim podoba. Zbyt dużo oboe, jak po włosku zwać obój, za mało fletu.

Ch. Bowie

PS kruk krak krok kroć kryć wryć wróc wróg dróg drag krag"

- Co to ma być, do diabła? - Cali pierwsza wyraziła swoje zdanie. - Przecież to kompletnie bez sensu. Włochy? Jorki? Skąd, jeśli był w Afryce? I dlaczego pisze o siedmiu tygodniach? Zniknął tam na co najmniej kilka miesięcy. Nic z tego nie rozumiem, a postscriptum to jakieś wariactwo.
- To musi być szyfr - wyjaśnił Mercer. - Pewnie Chester ustalił wcześniej z Einsteinem jakiś specjalny sygnał. Spójrz, tutaj pisze o sukcesie. A nazwisko Stephan Enburg może oznaczać konkretne wydarzenie, na przykład że odnalazł kopalnię. Gdyby jej nie znalazł, wstawiłby nazwisko jakiegoś innego muzyka.
- Może, może, może. Jasna cholera - zaklęła sfrustrowana.
- Dajcie mi na to spojrzeć - poprosił Harry, a Mercer obrócił laptop, żeby staruszek widział ekran.
- Po co Einsteinowi kopia okrętu Drake'a? - Cali myślała na głos. - „Golden Hind”? Jakiś bezsens.
- Drake to oczywiście sir Francis Drake - wyjaśnił jej. - Angielski admirał i korsarz. Żył i działał w czasach królowej Elżbiety I. A „Golden Hind” to jego okręt flagowy. Moja znajomość sztuki kończy się na psach grających w

pokera, ale domyślam się, że Gibson był artystą, który namalował jakiś słynny obraz tego statku. Gdy Harry skończy czytać, możemy poszukać go w sieci. I tego kompozytora też. Może to da nam jakieś wskazówki, o co chodziło Bowie.

- Nie zwracaj sobie tym głowy - powiedział Harry, spoglądając znad klawiatury. W jego niebieskich oczach czał się diabelski błysk. - Naprawdę ważne pytanie, na które musicie znaleźć odpowiedź, brzmi, czy Chester Bowie wsiadł na pokład „Hindenburga”, jak planował, czy nie.

- O czym on mówi?

- Dajcie mi kartkę i długopis, to wam wytłumaczę. - Cali złapała hotelową papeterię i położyła przed staruszką, dokładając swojego montblanca. - Kluczem do zagadki jest oczywiście postscriptum. Ostatnia linijka listu to tak zwany dublet, czyli gra wymyślona przez Lewisa Carrolla, tego od Alicji w krainie czarów. Polega na przekształceniu jednego słowa w drugie, zazwyczaj o przeciwnym znaczeniu, poprzez zmianę tylko jednej litery naraz. Oczywiście wygrywa ten, kto wykona najmniejszą liczbę kroków. Bowie zmienił kruka w krąg, używając do tego jedenastu słów.

- Na razie wszystko rozumiem - ucieszyła się Cali. - Zmieniając „u” na „a”, z kruka mamy kraka. Potem kolejna literka i mamy krok.

- I tak dalej. Z wyjątkiem tego, że Bowie z premedytacją namieszał w zabawie.

- Co masz na myśli?

- Skoro skorzystał z tej gry, to znaczy, że nieźle znał jej reguły, a mimo to dokonał transformacji przy użyciu jedenastu słów, podczas gdy wystarczyło użyć trzech - wyjaśnił Harry i napisał na kartce „kruk krak krąg”.

Mercer pokiwał z uznaniem głową.

- Nieźle. Jestem pewny, że to doskonała rozrywka na długie zimowe wieczory, ale wytłumacz mi, jak to się ma do powrotu Chestera „Hindenburgiem”?

- Jedenaście słów, gdy wystarczyłyby trzy. Wydaje mi się, że liczba jedenaście jest kluczem do odczytania tego telegramu. Jeśli przeczytamy co jedenaste słowo, otrzymamy sekretną wiadomość: Piąty-siódmy-nowy-jork-powietrzny-statek-Hind-Enburg-sukces-oboe. Bowie przekazywał Einsteinowi, że siódmego maja wraca do Nowego Jorku na pokładzie sterowca „Hindenburg”. Sukces to sukces, nie trzeba wyjaśniać, a problem mam tylko ze słowem oboe.

- Ale ja nie - powiedzieli Cali i Mercer jednocześnie i wymienili uśmiechy.

- Obo to duże miasto w Republice Środkowoafrykańskiej. Niedaleko miejsca, gdzie znaleźliśmy menażkę Chestera - wyjaśniła Cali.

- W ten sposób przekazał Einsteinowi przybliżoną lokalizację miejsca, w którym znalazł wzbogacony uran - dodał Mercer.

- Czy ktoś przeżył eksplozję i pożar „Hindenburga”? - zapytała Cali, patrząc na Harry'ego.

- On ci powie, jest ekspertem w tych sprawach. - Harry wskazał głową przyjaciela.

- Nie jestem żadnym ekspertem - zaprzeczył Mercer. - Jako dzieciak fascynowałem się sterowcami, więc przeczytałem kilka książek na temat katastrofy. Kilka lat temu udało mi się nawet kupić fragment aluminiowej belki z wraku. Wstyd się przyznać, ale od tamtego czasu leży schowana w

szafie. A odpowiadając na twoje pytanie, sześćdziesiąt dwie osoby z dziewięćdziesięciu siedmiu będących na pokładzie przeżyło pożar i wydostało się z wraku. Jeśli Bowie leciał wtedy sterowcem, miał trzydzieści procent szans na przeżycie. Musimy porozmawiać z Carlem Dionem. On jest prawdziwym ekspertem. Właśnie od niego kupiłem mój kawałek „Hindenburga”.

Niemal fotograficzna pamięć Mercera tym razem go zawiodła. Pamiętał wprawdzie, że kolekcjoner mieszka w Breckenridge w Kolorado, ale nie mógł przypomnieć sobie jego numeru telefonu. Dopiero operator informacji mu go podał.

- Tak, słucham? - po siódmym sygnale w słuchawce odezwał się nieśmiały kobiecy głos.

- Czy pani Dion?

- Tak.

- Nazywam się Philip Mercer i jestem znajomym pani męża. Czy mógłbym zamienić z nim słowo?

- Oczywiście, już go daję.

Po pełnych trzech minutach Carl Dion podniósł słuchawkę.

- Słucham. Kto mówi?

- Witaj, Carl, tu Philip Mercer.

- Witam, doktorze Mercer. Moja żona ma problemy ze słuchem i powiedziała mi, że dzwoni do mnie mój przyjaciel Phyllis Matador. Nie muszę chyba wyjaśniać, że nie znam nikogo o takim nazwisku. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Potrzebuję informacji o jednym z pasażerów ostatniego lotu „Hindenburga”. Nazywał się Chester Bowie.

- Nikt taki nie znajdował się na pokładzie sterowca w czasie ostatniego rejsu - odpowiedź Diona była natychmiastowa.

Mercera ogarnęła rezygnacja. Usiadł.

- Jesteś pewny? Mam telegram, w którym facet pisze, że będzie nim leciał.

- Przykro mi. Na liście pasażerów nie ma nikogo o nazwisku Bowie. Gdyby chciał kupić bilet, nie miałby z tym żadnych problemów, bo tylko połowa miejsc była zajęta. Trudności miałyby tylko przy locie powrotnym. Wszystkie miejsca zostały zarezerwowane, bo wiele osób chciało lecieć do Europy na koronację.

- Dzięki, Carl; to dla mnie ważna informacja. A czy jest jakakolwiek możliwość, że on się tam jednak dostał? Nie wiem, wszedł na pokład na gapę albo zmienił tożsamość?

- Twoje pytanie przypomniało mi o jednej sprawie, mianowicie o pewnej zagadce. - Mercer zacisnął dłoń na słuchawce, jakby chciał z niej wycisnąć upragnioną wiadomość. - Pewne małżeństwo z Niemiec, profesor Heinz Aldermann z żoną, mieli lecieć tym lotem, ale nie pojawili się we Frankfurcie. Mimo to ich bagaże poleciały. O ile pamiętam, były dość ciężkie.

- Na tyle, żeby mógł się w nich ktoś schować?

- Bez wątplenia. Ważyły ponad dwieście pięćdziesiąt kilo-gramów.

- Skoro bagaże trafiły na pokład, to w kabinie Alderman-nów też ktoś mógł być?

- Od razu zastrzegam, że to tylko plotka - w głosie Diona słychać było nutę ekscytacji - ale jeden ze świadków, który pracował przy akcji ratunkowej i sprzątanii, twierdził, że na miejscu znaleziono jedną stopę, która nie

pasowała do żadnego z ciał. Wielu o tym pisało jako o miejskiej legendzie. Że niby wymyślono taką historyjkę, żeby i tak straszna katastrofa wydawała się jeszcze straszniejsza.

Mercer nie był pewien, czy to dobra, czy raczej zła wiadomość. Gdyby była prawdziwa, oznaczałaby, że Bowie dotarł do Stanów, ale zginął w wypadku zeppelinu. Czyli znów ślepy zaułek.

- Gdyby to była prawda, stopa mogła należeć do Chestera Bowiego.

- Już ci mówiłem, że to tylko plotka.

- Co się stało z bagażem?

- Wszystko, co nie spaliło się na popiół, zostało oddane właścicielom albo ich spadkobiercom. Ale niewiele tego było. Nie wiem, co się stało z bagażem Aldermannów.

- A co się stało z przedmiotami, o które nikt się nie upomniał?

- Wróciły do Niemiec. Niektórzy brali jakieś drobiazgi na pamiątkę, jak ten kawałek aluminium, który ci sprzedałem, ale zdecydowana większość szkieletu trafiła do Europy i została wykorzystana do produkcji myśliwców dla Luftwaffe. Goring nigdy nie był fanem sterowców, a doktora Ecknera, szefa firmy Zeppelin, organicznie nie znosił.

- Ślepy zaułek - westchnął Mercer i dał znak Harry'emu, że ma ściszyć telewizor.

- A o co chodzi? - zapytał Dion.

- Nic takiego, Carl. Ten cały Bowie mógł przewozić bardzo ważne próbki geologiczne, a ja staram się do nich dotrzeć.

- Rozumiem. W takim razie mam dla ciebie jeszcze jedną plotkę, ale nie wiem, ile jest warta. Osobiście nie postawiłbym na jej prawdziwość z łamanego centa. Jakies piętnaście lat temu, wkrótce po publikacji mojej książki na temat katastrofy, wydawca przekazał mi list od kogoś z New Jersey, kto twierdził, że jest w posiadaniu sejfów wyrzuconego z „Hindenburga” w dniu pożaru.

- Sejfów?

- Dokładnie tak. Przesłał mi nawet zdjęcie. Niewielka kasa pancerna, nic specjalnego. Ten facet twierdził, że znalazł ją jego ojciec w trakcie orania pola kilka dni po katastrofie. Dokoła nie było żadnych śladów kół ani odcisków butów, doszli więc do wniosku, że sejf został wyrzucony ze sterowca. Chciał mi go sprzedać.

- Za ile?

- Pamiątki po sterowcu były wtedy naprawdę drogie. Zażądał piętnastu tysięcy dolarów, ale nie mógł dostarczyć żadnych dowodów na oryginalność. Tylko słowo ojca. Raz z nim rozmawiałem. Strasznie uparty człowiek. Nawet nie próbowałem się targować. Zresztą byłem przekonany, że to zwykły naciągacz, a sejf kupił na jakimś jarmarku. Do dziś tak uważam.

- Pamiętasz jego nazwisko? - Gdyby szansę, że sejf naprawdę pochodził z zeppelinu i należał do Chestera Bowiego, umieścić na mapie, znajdowałaby się za linią, którą dawni kartografowie opatrywali podpisem „Dalej są już tylko smoki”. Ale Mercer był zdesperowany.

- Byłem pewien, że o to zapytasz. Już szukam. Wiem, do czego jesteś zdolny, kiedy czegoś naprawdę chcesz. Przez lata mnie męczyłeś, żebym ci sprzedał kawałek złomu z „Hindenburga”. Mam nadzieję, że przynajmniej godnie go wyeksponowałeś.

- Tak, oczywiście - skłamał Mercer. - Stoi na kredensie obok biurka.
- Już mam. Mieszka na rodzinnej farmie w Waretown. Możesz mi wierzyć albo nie, ale nazywa się Erasmus Fess.

- Mercer! - krzyknął Harry, nie ruszając się z łóżka.

Mercer nie odwrócił się, tylko uniósł rękę, dając mu znak, że musi chwilę poczekać.

- Erasmus Fess?

- Tak.

Mercer zapisał adres, który podyktował mu Dion.

- Cholera jasna, Mercer!

- Carl, przepraszam na sekundę. - Zakrył dłonią słuchawkę i spojrzał na przyjaciela. - Co jest?

Harry bez słowa wskazał na telewizor. Na ekranie widać było strażaków i policjantów, jak rozciągają żółte taśmy wokół niewielkiego podmiejskiego domu. Mercer wsłuchał się w głos reportera:

- „...dziś rano przez sąsiada, który opisał miejsce zbrodni jako rzeźnię. Dotychczas nie udało się zlokalizować ciała ofiary, ale ilość krwi znalezionej w domu pani Ballard jednoznacznie wskazuje na tragiczne zakończenie napadu”.

Mercer poczuł, że robi mu się słabo. Zbladł i nie pożegnawszy się z Carlem Dionem, przerwał połączenie.

- Serena?

- Tak.

Przez kilka kolejnych sekund wszyscy troje wpatrywali się w milczeniu w telewizor. Po chwili dziennikarze zmienili temat. Cali pierwsza wzięła się w garść.

- Musimy uciekać. Jeśli ją torturowali, wiedzą, że jesteśmy w hotelu. Prawdopodobnie znają nawet numer pokoju. Mercer, jesteś samochodem?

- Tak - potwierdził. Jego mózg pracował intensywnie. - Stoi w hotelowym garażu.

- Mój też. - Cali zamknęła laptop. - Idziemy tam.

- Nie, to zły pomysł. Jeśli już tu są, na sto procent zostawili kogoś, żeby obserwował nasze wozy. Harry, masz jeszcze ten apartament?

- Niestety, pokój, który mi zaproponowali, był zarezerwowany. Zreflektowali się i dali mi inny, ale będzie wolny dopiero o siódmej.

Mercer pokiwał głową.

- Dobra, w takim razie musimy się wymknąć z hotelu. Potem schowamy się w pierwszym lepszym kasynie i wezwiemy taksówkę. Jeśli nikt nas nie zauważy, jesteśmy górą. Cali, masz broń?

- Tak. Glocka w szufladzie w moim biurze. Tutaj nam nie pomoże.

- Szkoda. Ja też mam berettę w szafce przy łóżku w swojej sypialni - powiedział i podał Cali torbę z komputerem. - Gotowi? - Rozejrzał się po pokoju, sprawdzając, czy nie zostawili czegoś ważnego.

Harry i Cali skinęli głowami.

Mercer otworzył drzwi i wyjrzał na korytarz. Nikogo nie było w zasięgu wzroku, ale to nie oznaczało, że ktoś się nie czai gdzieś za zakrętem. Z Harrym ucieczka klatką schodową nie wchodziła w rachubę. Dał im znak, żeby poczekali w pokoju, a sam ruszył wzdłuż korytarza, bezszelestnie stawiając stopy na miękkim dywanie. Skrzywienie butów i szelest ubrania gin

ęły w szumie hotelowych wentylatorów. Nikt nie czaił się w holu, więc wcisnął guzik windy i gestem przywołał Harry'ego i Cali. Gdyby jakimś trafem mordercy Sereny Ballard przyjechali właśnie teraz, mieliby większe szanse pokonać ich we troje, niż gdyby Mercer rzucił się na nich sam.

Powoli do równowagi wracał jego żołądek, ściśnięty, odkąd zobaczył w wiadomościach materiał o morderstwie. Zaczął się zastanawiać, w co wdepnęli. Caribe Dayce nieprzypadkowo znalazł się w pobliżu Kivu w tym samym czasie co Cali. Kluczem musiał być ten jednooki najemnik, Poli. Mercer domyślał się, co naprawdę się wydarzyło przed ich przybyciem. To nie Dayce wynajął Polego. To Poli był klientem. Płacił rebeliantom za zabezpieczenie pokładów radioaktywnej rudy.

Dojście do tego dało Mercerowi satysfakcję, ale niemal natychmiast pojawiło się kolejne pytanie. Skąd, do diabła, dowiedzieli się o istnieniu uranu? Spojrzał na Cali. Czy to możliwe, że wciąż nie wyjawiała, kim naprawdę jest? Mercer odrzucił tę myśl tak szybko, jak szybko zrodziła się w jego głowie. Zbyt wiele kul zostało wystrzelonych w jej stronę, by mogła pracować z Polim, a tym bardziej z Dayce'em. Odpowiedzi musiał szukać gdzie indziej.

Lampka nad drzwiami windy w stylu, a jakże, art deco rozbliżyła jasnym światłem, a z głościków rozległ się gong.

Na ułamek sekundy, zanim drzwi się rozsunęły, Mercer usłyszał przytłumiony szcęk zamka broni automatycznej. Za chwilę staną oko w oko z mordercą. Nie zdążą uciec dalej niż metr, może dwa. Jeśli zamachowcy mają broń przygotowaną do strzału, to można zapomnieć o wzięciu ich zaskoczenia. Była tylko jedna szansa na przeżycie - schować się, nie ruszając z miejsca. Mordercy szukali dwóch mężczyzn i kobiety, a nie pary i samotnego mężczyzny.

Harry stał bliżej Cali niż on, więc Mercer pchnął przyjaciela w jej objęcia i syknął rozkazująco:

- Pocałuj ją!

Był pewien, że Cali w mig pojmie jego zamiary. Nie miał też wątpliwości, że Harry wykorzysta sytuację. Kiedy drzwi windy rozsunęły się, stali objęci.

- Dziękuję ci, John! - pisnęła Cali i przywarła do starego lubieżnika.

Mercer obrócił się na tyle, by na pierwszy rzut oka było widać, że nie ma nic wspólnego z obściskującą się dwójką.

Trzech mężczyzn, którzy wysiedli z windy, miało pistolety ukryte pod rozpiętymi płaszczami. Gdy przechodzili, każdy po kolei przyjrzał się dziwnej parze, a potem Mercerowi, który przyklęknął i udawał, że wiąże sznurowadło. Nie znał dwóch pierwszych zamachowców, lecz obraz trzeciego tkwił w jego pamięci. Poli miał na sobie czarny sweter, marynarkę i nieodłączną czarną przepaskę na oku.

Cali ruszyła do windy, starając się kryć za Harrym.

- Pokój 1092 - powiedział jeden z mężczyzn, patrząc na plakietki na drzwiach. - Tam. - Wskazał w lewą stronę.

Mercer poczuł na plecach palący wzrok najemnika, ale nie dał tego po sobie poznać. Stał spokojnie i czekał, aż Harry i Cali wsiądą do windy. Dopiero wtedy ruszył za nimi.

- Jak tam, miał pan dziś szczęście? - zapytał głośno Harry, wciskając guzik na parter.

- Nie narzekam - odpowiedział Mercer i słysząc cichy syk zasuwających się drzwi, zaczął się powoli obracać.

Poli stał w holu. Jego ludzie poszli już dalej i zdążyli dotrzeć do pokoju Mercera. Oko najemnika rozszerzyło się ze złości, gdy zrozumiał, że cel mu właśnie umyka. Rzucił się do windy, żeby zablokować drzwi, ale spóźnił się o ułamek sekundy.

- Jasna cholera - sapnęła Cali, kiedy winda zjeżdżała do foyer. - Jak mu się udało uniknąć śmierci?

Mercer nie miał pojęcia, ale wiedział, że nie pora teraz się nad tym zastanawiać.

- Mamy tylko kilka sekund, żeby dostać się do foyer - powiedział. - Albo i nie, jeśli Poli ma komórkę i zostawił kogoś na dole.

- Jaki masz plan? - zapytał Harry.

- Dasz radę przejść szybko kawałek bez laski?

Harry uśmiechnął się, błyskawicznie pojmując zamysł przyjaciela.

- Chyba tak. - Podał Mercerowi wypolerowaną drewnianą laskę, którą dostał od niego na osiemdziesiąte urodziny.

Mercer zamówił ją u jednego z najlepszych producentów noży w Ameryce Północnej. Uniósł laskę i ukrytym przyciskiem uruchomił mechanizm uwalniający siedemdziesięciocentymetrowe ostrze. Metal był ostry jak skalpel i mimo że Mercer nigdy nie uczył się fechtunku, najłżejsze dotknięcie wystarczyło, by przeciąć ubranie i skórę przeciwnika. Pozostałą część podał Cali.

- Kije i noże przeciw pistoletom?

- Takie czasy - odparł z uśmiechem.

Dłoń zaciśnięta na srebrnej ręczce rapiera była spocona, więc wytarł ją o spodnie, zostawiając na materiale ciemniejszy ślad. Żeby nie wzbudzać sensacji, ukrył ostrze za nogą, a Cali swoją broń na piersiach pod marynarką. W milczeniu wpatrywali się w lampkę wskazującą kolejne piętra. Parter był coraz bliżej.

Jeszcze zanim drzwi się otworzyły, do kabiny wdarły się dzwonki i muzyka wygrywana przez jednorękich bandytów. Mercer wystawił głowę na zewnątrz i uważnie się rozejrzał, ale nie zauważył niczego podejrzanego. Nikt nie biegł w ich stronę i nikt w zasięgu wzroku nie trzymał przy uchu telefonu ani krótkofalówki.

- Idziemy - powiedział.

Windy były przeznaczone tylko dla gości, a w holu stał ochroniarz i sprawdzał, czy czekający na nie mają klucze do pokoi. Mercer kątem oka zauważył, że mężczyzna ma przy pasku kaburę z pistoletem. Nieco dalej, oddzielone od holu purpurową grubą liną, zaczynało się kasyno; falujące morze światła i dźwięków, których nie da się pomylić z niczym innym na świecie. Setki ludzi zgromadzonych wokół obitych zielonym sukniem stołów i siedzących w rzędach na wysokich stołkach przy automatach do gry, o wyrazie twarzy niezmiennym niezależnie od dobrej czy złej passy. Kelnerki w skąpych czarnych wdziankach tanecznym krokiem przemykały między stanowiskami, niosąc tace zastawione drinkami, a pod ścianami stali kierownicy kasyna, bacznie obserwując swoich pracowników.

Wnętrza zostały zaprojektowane tak, by ich atmosfera zachęcała graczy do hazardu długo po czasie, w którym powinni byli się wycofać. Teraz

wszystkie te błyski i dźwięki działały na Mercera rozpraszająco. Przyglądał się twarzom, szukając ludzi, którzy nie byli pochłonięci grą.

- Widzicie coś podejrzanego? - spytał. Cali pokręciła głową.

- Nie, chyba że ludzie Poliego przebrali się za wdowy zajęte wydawaniem resztek z ubezpieczenia po mężu.

Zbliżali się do ochroniarza. Mercer spojrzął za siebie. Drzwi jednej z wind właśnie się rozsuwały.

- Cholera!

Z kabiny wyskoczył Poli, a za nim dwójka jego pomagie-rów z pistoletami w dłoniach; widać przestali dbać o pozory. Wysiadając, odepchnęli brutalnie jakąś parę czekającą na windę. Zdenerwowany mężczyzna krzyknął, przyciągając uwagę części gości. Nagle jego towarzyszka zauważyła broń i zaczęła piszczeć. Ochroniarz usiłował obrócić się na krześle i sprawdzić, co się dzieje, ale lata bezruchu pozbawiły go zwinności.

Mercer nie czekał. Sięgnął do jego kabury, kciukiem odpiął zabezpieczenie i wyszarpnął pistolet. Zrobił to tak szybko, że ochroniarz nawet nie zauważył, że został rozbrojony. Mercer przedował, kątem oka rejestrując, jak Cali wciąga Harry'ego za ozdobną kolumnę.

Poli strzelił pierwszy, ale Mercer natychmiast odpowiedział. Żaden nie celował. Kula z pistoletu najemnika rozbila stroboskop, a Mercer trafił w drzwi windy.

Zanim zdążyli ponownie pociągnąć za spust, ktoś z drugiej strony kasyna otworzył ogień do trójki zamachowców. Mężczyźni rozpiechli się na boki, szukając osłony. Mercer odwrócił się, złapał Harry'ego i Cali i ruszył w stronę wyjścia. Uznał, że to wreszcie zareagowała ochrona, ale kiedy mijali wielką lokomotywę, w pobliżu baru Americain zobaczył dwóch mężczyzn z karabinami i w ciemnych garniturach. Byli skupieni na Polim i jego ludziach, więc tylko przelotnie zerknęli na przebiegającą trójkę.

Rzesza graczy błyskawicznie zmieniła się w spanikowany tłum. Ich wrzaski zagłuszyły dzwonki, wesołą muzykę i dzwonienie monet. Jedyne, co Mercer mógł teraz zrobić, to z całej siły trzymać Cali i Harry'ego. Przepychał się i walczył z tłumem, aż dotarli do lokomotowy i zmęczeni oparli się o masywne czerwone koło. Dookoła unosiła się sztuczna para z suchego lodu.

- Jak nam idzie? - wydyszał. Cali pokiwała głową, że daje sobie radę. - A ty, Harry?

- Nie jest źle - sapnął staruszek. - Tylko wyprowadź nas stąd.

- Pracuję nad tym - zapewnił go Mercer.

Zwrócenie plecami do lokomotowy, uważnie rozglądając się w poszukiwaniu kolejnych zamachowców, przesuwali się w kierunku pierwszego wagonu, w którym odtworzono restaurację. Zazwyczaj przy schodkach prowadzących do środka stała hostessa i przyjmowała rezerwacje na coś, co w folderach reklamowych określano jako unikatowe przeżycie estetyczne i kulinarne. Mercer przeczytał wcześniej, że wagon zamiast szyb miał w oknach płaskie ekrany, a siłowniki hydrauliczne wprawiały całość w ruch, imitując jazdę. Co noc komputer zmieniał scenerię za oknami, żeby goście restauracji mieli urozmaicone obiady. Można było trafić na podróż przez Góry Skaliste, wyprawę przez pustynię kalifornijską, a czasem serwowano pasażerom widoki, jakby jechali słynną Florida Overseas Railway.

- Wsiadajcie. - Mercer popchnął Harry'ego w kierunku schodów. Cali wbiegła do środka, ale on nie zdążył, bo jeden z zamachowców właśnie wybiegł z tłumu. W rękach trzymał karabin maszynowy z masywnym tłumikiem na lufie. Na widok niedoszej ofiary pociągnął za spust, wystrzelując deszcz ołowiu. Mercer padł na podłogę, czując gorąco kawałka ołowiu, który przebił mu spodnie. - Dalej!

Harry odsunął szklane drzwi i z Cali za plecami ruszył przez środek wagonu. Mercer wystrzelił dwie kule w kierunku zamachowca, zmuszając go do odwrotu, zerwał się z ziemi i pognał za przyjaciółmi. Obite skórą krzesła stały przy drewnianych stolikach nakrytych najdelikatniejszą chińską porcelaną, zamówioną specjalnie dla Deco Palace Railways. Sztućce przy talerzach były posrebrzane.

Zamachowiec dojrzał ich przez jedno z niezastłoniętych okien i znów otworzył ogień.

Cali zauważyła go przed pierwszym wystrzałem, na tyle wcześniej, że zdążyła krzyknąć ostrzegawczo. Schylili się, ale nie zatrzymali, a chwilę później zasypał ich deszcz odłamków szkła. Wnętrze ożyło rykoszetami i pociskami w miedzianych płaszczach. Ręcznie rzeźbione drewniane panele na ścianach zmieniły się w drzazgi, a droga elektronika sterująca pracą wyświetlaczy ciekłokrystalicznych wyrzuciła z wnętrza snopy iskier i dym. Wagon wypełnił się smrodem płonącego plastiku, ozonem i gorącem.

Kiedy zamachowiec przestał strzelać, Mercer odkopnął na bok jeden ze stolików, zrzucając na podłogę luksusowe nakrycia. Strzelec załadował świeży magazynek i odciągał zamek, kiedy trafiły go w pierś dwa pociski z pistoletu niedoszej ofiary.

W holu toczyła się regularna bitwa, w której po obu stronach brało udział kilku mężczyzn. Tylko jedna strona starała się minimalizować straty wśród osób postronnych; ludzie Poliego strzelali, jak popadnie. Widać było kilka ciał i kilkoro rannych gości na podłodze.

Harry i Cali czekali na Mercera na końcu wagonu. Przez kolejny przebiegli już razem. Znajdowała się w nim kuchnia, ukryta w salonce w stylu art deco. Za meblami z nierdzewnej stali kuliło się kilku kelnerów i kucharzy. Dalej były drzwi prowadzące do foyer, a także szerokie drzwi przystosowane do odbierania dużych ilości produktów.

Mercer wyskoczył nimi na rampę dla dostawców. Niestety nie stała tam żadna ciężarówka. Jedna z bram wjazdowych do hali, w której znajdowała się rampa, była otwarta. Do środka wpadała bryza, niosąc zapach oceanu, smród spalin i rozkładających się śmieci.

- A może zostaniemy tutaj? - zaproponowała Cali, wycierając krew z policzka rozciętego odłamkiem szkła.

- Za kilkanaście sekund zorientują się, gdzie mogliśmy zniknąć.

- Przykro mi to mówić - wysapał Harry - ale ja odpadam. Jeden z pasków protezy przesunął się i uwiera mnie jak wszyscy diabli.

Harry przed kilkadziesiąt laty stracił nogę, lecz nigdy nie utykał, a laski używał bardziej jako ozdoby, więc Mercer nawet nie pomyślał, że staruszek może z tego powodu cierpieć. Rozejrzał się powoli, odnajdując się w miejscu, którego plan podświadomie tworzył w głowie przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny. To była jedna z umiejętności nabytych przez lata pracy w podziemnych labiryntach kopalń. Wystarczyło, by raz przeszedł po budynku,

a potrafił z pamięci odtworzyć rozkład pomieszczeń. Intuicja podpowiadała mu, gdzie się właśnie znajduje.

- Nic się nie martw - pocieszył przyjaciela. - Główne wejście jest tuż za rogiem, nie dalej niż dwadzieścia pięć metrów stąd. O tej porze będzie tam tłum, bo właśnie zaczyna się doba hotelowa.

Cali zrozumiała, co zamierza.

- A to oznacza masę samochodów, które parkingowi będą odprowadzali z podjazdu!

- Dokładnie tak. - Mercer podał Cali pistolet i spojrzał Harry'emu w oczy. - Mam cię wziąć na barana?

- Daj spokój, poradzę sobie.

Mercer nie zapytał powtórnie. Pochylił się, złapał przyjaciela w pasie i przerzucił go sobie przez ramię. Zanim staruszek się otrząsnął, już biegł.

- Jeśli pierdniesz, to cię im zostawię - ostrzegł.

- Ja bym się bardziej przejmował moją biegunką - zachichotał osiemdziesięcioletek.

Przebiegli przez ciemny parking, a kiedy tylko minęli narożnik budynku, znaleźli się w morzu neonowych świateł głównego wejścia. Parkingowi w liberiach uganiaли się między samochodami. Większość stanowiły zwykłe sedany i terenówki, ale były też przedłużane limuzyny i sportowe ferrari zaparkowane tak, by podjeżdżający musieli je zobaczyć. Nie dostrzegli żadnych oznak paniki ani tłumów uciekających przed pandemonium, które rozgrywało się wewnątrz, ale to było tylko kwestią czasu.

Wszędzie panował taki tłok, że uciec mogli jedynie samochodem z samego początku kolejki. Rzadko kto zwracał na nich uwagę, kiedy przepychali się między graczami czekającymi na wejście do kasyna.

- Mercer! - krzyknął Harry. - Za nami!

Cali zareagowała szybciej niż on. Obróciła się, chowając pistolet pod ubranie. Potem Mercer też ich zobaczył. Poli i dwóch jego ludzi wybiegło za nimi. Zatrzymali się i szukali podejrzanego ruchu. Mercer przykucnął na tyle, na ile pozwalały mu obciążone ponad miarę kolana. Lawirował między samochodami i gośćmi, ignorując gniewne pomruki ludzi, których niechcący potrafił.

- Biegną za nami - powiedziała Cali, kiedy dotarli na sam przód.

Pierwszy samochód nie był dokładnie taki, jakiego Mercer się spodziewał, ale nie mieli innego wyjścia. Na podjeździe stało dzieło sztuki na kołach, rolls-royce silver wraith z 1954 z winylowym dachem. Karoseria pomalowana na dwa kolory, szary i ciemnoniebieski, miała w sobie urok i zgrabność. Ponadpięciometrowy wóz był kwintesencją stateczności i klasy. Wadą był czterolitrowy, sześciocylindrowy rzędowy silnik, który dawał rozpaczliwie mało mocy, w połączeniu z wymaganiami niemal dwóch ton, które miał napędzać. Mogli mieć tylko nadzieję, że uda im się zniknąć z pola widzenia, zanim Poli zdobędzie inny środek transportu. Nie mieli szans, by tym zabytkiem umknąć pościgowi.

- Cali, prowadzisz - powiedział Mercer, podchodząc do wozu. Dystyngowany mężczyzna o wyglądzie statecznego dziennikarza właśnie wysiadał przez drzwi pasażera. Mercer precyzyjnie przycisnął się obok niego i wrzucił Harry'ego do środka. - I daj mi broń.

Cali nad dachem rzuciła mu pistolet i wsiadła na miejsce kierowcy. Protesty mężczyzny, który właśnie wysiadł, ucichły w chwili, gdy Mercer złapał broń i spojrzał mu w oczy. W tym samym momencie przez główne wejście runęła fala przerażonych gości. Jak przyptyw wylali się między samochody, tratując każdego, kto stanął im na drodze. Mercer wskoczył na tylne siedzenie rollsa.

Kanapa była obita miękką skórą, a wstawki ze szlifowanego i lakierowanego drewna błyszcząły w świetle neonów Deco Palace. Na rozkładanym stoliku stały kieliszki z rżniętego kryształu, w dekanterze obok spoczywała butelka bursztynowego napoju. Mercer ukląkł na kanapie i wyrzwał do tyłu. Jeden z zamachowców kulał, ale nie spowalniał pogoni.

- Hej, stary?

- Nie teraz, Harry - syknął, nie patrząc za siebie. - Cali, ruszaj!

- Nie mogę! - krzyknęła rozpaczliwie. - Kierownica jest po złej stronie!

Mercer obejrzał się. Klasyczny rolls był przystosowany do ruchu lewostronnego, a nie, jak większość wozów importowanych z Anglii, prawostronnego. Poli i jego ludzie byli już tylko kilka sekund za nimi. Chociaż trzymali karabiny pod płaszcami, Mercer nie miał wątpliwości, że za chwilę otworzą ogień.

ATLANTIC CITY, NEW JERSEY

- Nie ma czasu na zamianę! - krzyknął Mercer. - Harry, gaz do dechy!

Harry, nie zdejmując ręki z klaksonu, który brzmiał tak majestatycznie, że niemal uprzejmie, wrzucił pierwszy bieg. Rolls nie wystrzelił z miejsca jak rakietka, lecz tak czy inaczej wyprzedzali Polego. Mercer obserwował zamachowców, którzy właśnie dotarli do pierwszych aut w kolejce. Poli brutalnie wyciągnął młodą kobietę zza kierownicy malutkiego geo metra, a na miejsce pasażera wgramolił się kulejący najemnik. Wymachiwał przy tym pistoletem, odganiając drugą młodą kobietę. Poli krzyknął coś do trzeciego mężczyzny i dodał gazu. Trzycylindrowy silniczek zawył, przednie koła zapiszczały na asfalcie i zamachowcy ruszyli w pogoń za limuzyną.

- Jada za nami - powiedział Mercer i kolbą pistoletu rozbił tylną szybę. Sprawdzał magazynek i stwierdził, że zostały mu tylko dwie kule.

Harry spojrzał w lusterko i naraz zrobił wielkie oczy, bo uświadomił sobie, że pędzący z tyłu niebieski maluszek to pojazd, który porwał Poli.

- On się w to zmieścił? Jest odważniejszy, niż myślałem.

- Tak tylko, dla waszej wiadomości, zostały dwie kule, więc jeśli mi się nie poszczęści, będziesz musiał im uciec.

- Nie ma sprawy - odpał Harry radosnym głosem i skreślił w Atlantic Avenue. - Zapomniałeś, że przyjeżdżam tu z Tinym, ilekroć ty wyjeżdżasz.

- Tak, wiem. I bierzecie bez pytania mój samochód - dodał Mercer.

Chociaż nadmorska promenada z całym swoim blichtrzem, sklepami i sklepikami, nie robiła na Mercerze dobrego wrażenia, i tak biła na głowę pozostałą część miasta. Za ledwie jedną przecznica dzieliła ociekające luksusem kasyna warte dziesiątki milionów dolarów od slumsów zamieszkanymi przez najbiedniejszych obywateli kraju. Porzucone domy pokryte graffiti, zarośnięte ogrody i szwendająca się młodzież, polująca na obcych jak wilcze watahy. Porzucane butelki zatykały studzienki kanalizacyjne i ze świecą trzeba by szukać działającej latarni ulicznej. Atmosfera beznadziei i rozpacz działała przytłaczająco.

- Cali, kochanie - powiedział Harry, kiedy przecinali kolejne skrzyżowanie. - W nocy widzę nie dalej niż na jakieś pięćdziesiąt metrów. Bądź tak miła i skup się na drodze, bo mogę czegoś nie zauważyć.

Potaknęła ponuro i poprawiła pas bezpieczeństwa.

Wystartowali na tyle wcześnie, żeby Harry mógł utrzymać się przynajmniej jeden zakręt przed pościgiem, ale ciężka limuzyna miała tak słabe przyspieszenie, że nie mieli szans zgubić małego geo metra. Po kolejnym zakręcie był dość długi prosty odcinek, więc Harry przeciągnął starego sześciocylindrowca do odcięcia, zyskując kilka dodatkowych metrów.

Mercer widział, jak maluch wypada zza rogu i uderza bokiem w porzuconego sedana. Odległość była zbyt duża, żeby ryzykować pudło i zmarnować strzał. Niestety, Poli i jego człowiek nie mieli takich ograniczeń. Wystawili karabin przez okno i strzelali do wyczerpania magazynków. Większość kul chybiła, jednak dwie dosięgły celu. Pierwsza roztrzaskała lusterko wsteczne koło Cali, a druga przebiła bagażnik i utkwiała w komplecie skórzanych walizek Louisa Vuittona, wyprodukowanych specjalnie do tego modelu rolls-royce'a.

Na następnym rogu znajdowały się sklepik i stacja benzynowa. Większość żarówek w neonie nad drzwiami była przepalona, lecz sam lokal był otwarty. Kolorowe reklamy połyskiwały w witrynie, a przy krawężniku stała uszkodzona honda del sol.

Mercer nigdy nie palił, jednak zawsze nosił ze sobą kilka sprawnych zapalniczek. Nauczył się tego, jeszcze kiedy był skautem, a utrwalił ten nawyk, gdy dzięki zapalniczce kilka razy ocalał życie.

- Harry, zrób skrót i przetnij tę stację. Powiedziawszy to, wyciągnął korek z butelki z alkoholem i wcisnął zamiast niego jedną z lnianych serwetek, na których stały kieliszki.

- Hola, hola, czuję coś dobrego. - Staruszek się uśmiechnął. - Odlej mi trochę.

- Przykro mi, ale nie mogę. - Mercer przechylił butelkę, nasączając materiał wysokoprocentowym alkoholem o zapachu drogiej whisky. - Jak będziemy przecinać stację, rozwal któryś z dystrybutorów.

- Odbiło ci?! - krzyknęła Cali.

- Jak jasna cholera - odpowiedział jej Harry i uśmiechnął się jeszcze szerzej. Miał niezachwianą pewność, że Mercer ich z tego wyciągnie, więc po prostu dobrze się bawił.

Nieco zwolnił, żeby metro skróciło dystans, a potem gwałtownie szarpnął kierownicę i skręcił w prawo. Zahaczyli tyłem o krawężnik, wyrzucając w powietrze snopy iskier. Ciężka limuzyna przetoczyła się przez parking i pomknęła prosto na drugi dystrybutor. Mercer podpalił prowizoryczny koktajl Mołotowa. Nasączony alkoholem materiał błyskawicznie zajął się ogniem.

Harry zgrabnie ominął stalową kolumnę podtrzymującą zadaszenie, wjechał dwoma kołami na krawężnik wysepki z dystrybutorem i przednim błotnikiem ściał jedną ze staroświeckich pomp.

Uderzenie było potężne. Cali zawisła na pasie, o centymetry mijając głową deskę rozdzielczą. Dystrybutor przewrócił się, a z przerwanych przewodów trysnęła benzyna, tworząc na betonie ciemną plamę. Mercer spadł na podłogę, ale błyskawicznie się podniósł. W uniesionej ręce ścisnął płonącego koktajl Mołotowa.

Metro było coraz bliżej. Przez przednią szybę widać było jedno oko Polego i jego wykrzywioną nienawiścią twarz.

Drugi mężczyzna przeładował broń. Harry odzyskał kontrolę nad samochodem, zjechał z krawężnika i skręcił do najbliższego wyjazdu. Mercer wysunął się przez okno, wziął zamach i rzucił płonąca butelką w stronę zmiądzzonego dystrybutora. Uderzyła w beton dokładnie naprzeciwko podziemnego zbiornika. Przez jeden przerażający moment Mercer nie miał pewności, czy szkocka zajmie się ogniem. Niepotrzebnie - alkohol płonął jasnym, niemal bezbarwnym płomieniem. Szybko dotarł do miejsca, w którym unosiły się pary benzyny ze zbiornika.

Zapłon paliwa przypominał start silników rakiety. W górę wystrzeliły żółto-czerwone płomienie. Przesuwały się łapczywie po zadaszeniu, osmalając je. Poli był nie dalej niż dziesięć metrów od ich tylnego zderzaka. Wybuch zmusił go do gwałtownego szarpnięcia kierownicą. Malutki geo zatańczył i uderzył w tył zielonej del sol, przepychając ją przez chodnik i wyrywając zderzak. Uderzenie uruchomiło autoalarm, którego przenikliwy dźwięk przebił się przez ryk płomieni.

Harry wcisnął pedał gazu, żeby jak najszybciej oddalić się od morza ognia. Rolls-royce, zbudowany dekadę przed pojawieniem się poduszek powietrznych i pasów bezpieczeństwa, miał karoserię z grubej blachy, która doskonale chroniła wszystkie mechanizmy i silnik, więc poza wgniecionym błotnikiem nie odniósł poważnych uszkodzeń.

- To powinno dać nam trochę czasu - powiedział Mercer z zadowoleniem.
- Widzę znak zjazdu na autostradę - poinformowała Cali.
- Gdzie? - spytał Harry, wpatrując się w drogę przed maską.
- Prosto.
- Ta zielona chmurka nad jezdnią?
- Dokładnie. To chmurka zachęcająca do skrętu w prawo. - Cali się uśmiechnęła.

Po chwili limuzyna zjechała majestatycznie na główną arterię prowadzącą z Atlantic City na stały ląd. Kilka kilometrów dalej zaczynała się autostrada stanowa New Jersey. Ruch na nitce do miasta był dość duży, lecz na szczęście znacznie mniej ludzi jechało w ich stronę. Harry przyspieszył do stu dwudzie-stu na godzinę.

Mercer nie przestawał wyglądać przez rozbitą tylną szybę. Obawiał się, że Poli zdoła uruchomić geo i ruszy w dalszy pościg. Zlekceważyłby inny

samochód, który pędził za nimi slalomem, gdyby nie rzadki kolor karoserii. Limonkowa honda del sol gnała przynajmniej sto osiemdziesiąt na godzinę, wyprzedzając innych uczestników ruchu z gracją narciarza jadącego po stoku.

- Co trzeba zrobić, żeby dali sobie spokój?

- O co chodzi? - Cali spojrzała mu nad ramieniem i zobaczyła zielony sportowy samochodzik. - Chryste.

- Masz jakiś plan? - spytał Harry. Nie mieli szans z szybką i zwrotną hondą.

Zanim Mercer odpowiedział, pasażer Polego znów otworzył ogień. Wcześniej strzelał niecelnie, bo podskakiwali na dziurawej drodze, lecz teraz gładki asfalt dawał mu przewagę.

- Cali, umiesz mówić po łacinie? - ryknął Harry.

- Co?! - Pomyślała, że albo się przesłyszała, albo przyjaciel Mercera stracił rozum.

Harry kątem oka wpatrywał się w lusterko wsteczne. Miał zaciśnięte szczęki, ale po ustach błąkał się cień uśmiechu. Obserwował, jak honda del sol zbliża się na mniej niż trzy metry do ich tylnego zderzaka.

- Pytałem, czy znasz łacinę, bo jeśli tak, to wybacz, że muszę jej użyć - przerwał na sekundę, by ocenić prędkość i kąty, a potem wrzasnął: - Pierdol się, palancie!

Chociaż z całej siły napał na pedał hamulca, nie osiągnął spodziewanego rezultatu. Jakby ignorując wysiłki kierowcy, ciężka maszyna zanurkowała na miękkim zawieszeniu i rozpoczął się proces, który można by nazwać statecznym zwalnianiem. Dziwne zachowanie limuzyny zmusiło Polego do przyhamowania, a wentylowane tarcze sportowego samochodu były w stanie zatrzymać rozpędzone auto na kilku metrach. Najemnik odbił w bok, wjechał w lukę, po czym puścił hamulec i wdepnął gaz, dając swojemu człowiekowi optymalne warunki do ostrzału.

Harry tylko na to czekał. Szarpnął kierownicą, by przycisnąć mały sportowy samochód do barierki energochłonnej i zmiażdżyć go, a przynajmniej pozbawić możliwości dalszej jazdy. Przez ułamek sekundy widział uśmiech na ustach najemnika, który przyhamował i bezpiecznie znalazł się za rolls-royce'em. Ale Poli nie wiedział, że Harry ma dla niego jeszcze jedną niespodziankę. Złapał za rączkę hamulca ręcznego i wcisnął pedał gazu, żeby podnieść obroty i wrzucić trzeci bieg. Mechanizmy potężnego wozu zajęczały, ale posłusznie wykonały rozkaz. Tym razem samochód wytracił prędkość w ułamku sekundy. Poli zareagował szybko, ale nie dostatecznie szybko. Rolls-royce przycisnął hondę do barierki i bez wysiłku włókł obok siebie, zostawiając na asfalcie ślad z gasnących iskier, rozerwanego metalu i kawałków plastikowej karoserii. Przednia prawa opona hondy eksplodowała, a stalowa barierka odrywała kolejne kawałki. Harry nie zmniejszył nacisku. Wcisnął pedał gazu i śmiał się demonicznie.

- Harry! - wrzasnęła Cali. - Uważaj!

Zamachowiec z siedzenia pasażera odzyskał równowagę i celował, a Poli walczył, by utrzymać rozpadający się wóz na drodze.

Harry puścił ręczny i odbił od zmasakrowanej hondy. Zmniejszył obroty i wyrównał tor jazdy, zostawiając za sobą wrak sportowego samochodu

niezdolny do dalszej jazdy. Del sol zatrzymała się w chmurze dymu. Harry poszukał w lusterku wstecznym spojrzenia Mercera i się uśmiechnął.

- To powinno ich zająć na jakiś czas. Mercer uściśnął kościste ramie przyjaciela.

- Spróbuj tak pojechać moim jaguarem, to cię zabiję. Harry się roześmiał.

- Muszę ci się do czegoś przyznać.

Jego ton głosu sprawił, że Mercer poczuł się nieswojo.

- Co chcesz mi powiedzieć? - zapytał.

- Z Tinym tylko się wygłupialiśmy, gdy mówiliśmy o jeżdżeniu twoim jagiem do Atlantic City. Od lat nie siedziałem za kierownicą. - Obrócił się i spojrzał na przyjaciela. - Ale to jak ze spadaniem z roweru. Raz się nauczysz, zawsze będzie ci wychodziło.

- Może lepiej skup się na drodze.

- Wydaje mi się, że nie powinniśmy jechać główną szosą - zauważyła przytomnie Cali. - Większość policji zajmie się strzelaniną w hotelu, ale wszystkie jednostki w terenie będą szukać skradzionego rollsa.

- Racja - przyznał Mercer.

- Więc dokąd teraz? - spytał Harry.

- Zjedź na dziewiątkę na północ. Musimy uciąć sobie pogawędkę z jakimś Erasmusem Fessem. Ponoć jego ojciec twierdził, że ma sejf, który wypadł z „Hindenburga” tuż przed eksplozją.

Po czterdziestu pięciu minutach udało im się dotrzeć do Waretown i zlokalizować dom Erasmusa Fessa. Snop światła z jedyne go ocalałego reflektora wyłuskał z ciemności przedmioty i budynki świadczące o tym, że dzisiejsza posiadłość musiała dawniej być gospodarstwem rolnym. Pośrodku obejścia stał stary jednopiętrowy domek ze skośnym dachem i zapadniętą werandą. Oryginalne kolumnienki zostały usunięte, a zamiast nich ktoś wstawił zwykłe belki. Na werandzie stała kanapa zrobiona z tylnego siedzenia samochodu przyspawanego do stalowych nóżek. Farba obłaziła z drewnianych ścian całymi płatami. Przez okno wydostawała się na zewnątrz migotliwa niebieska poświata. Państwo Fess najwyraźniej byli w domu i oglądali telewizję.

Za domem, po prawej stronie, stała szopa okryta blachą falistą, sprawiającą wrażenie jeszcze bardziej zaniedbanej niż reszta obejścia, a dookoła stało chaotycznie rozrzuconych kilkanaście samochodów. Większość była zardzewiała, nie miała powietrza w oponach, przednich szyb i błotników. Nad wszystkimi górowała ciężarówka - holownik pomocy drogowej. Na oknie szoferki ktoś wypisał wielkimi literami „Pomoc drogowa Fess” i numer telefonu. Za szopą ciągnął się skorodowany metalowy płot, który zniknął w ciemnościach. Brama była otwarta, a w świetle reflektora widać było nierówne rzędy wraków. Tuż za płotem operator zostawił wielki podnośnik, z widłami wbitymi w bok zniszczonego volkswagena.

- Chryste - westchnął Harry. - Jeśli będzie tu dzieciak z banjo albo ktoś mi powie, że mam piękne usta, to spadamy. Pamiętacie ten film Uwolnienie? No właśnie. Tylko oni zostali.

- Mam takie same skojarzenia. - Mercer wysiadł z limuzyny i ukrył pistolet za plecami. Z kanapy na werandzie zeskoczył kot i zniknął pod jednym z porzuconych samochodów.

Ruszyli po schodkach na werandę. Na pokrzywionych zawiasach wisały siatkowe drzwi przeciwko insektom. Sama siatka nie wyglądała lepiej: porwana, jakby kot ostrzył na niej pazury. Mercer odepchnął je i zapukał. Nikt nie reagował, więc zapukał ponownie, tym razem głośniej.

- Otwórz te pieprzone drzwi! - rozległ się męski głos.

- Jestem zajęta! - odkrzyknęła kobieta.

Harry pomyślał, że pewnie siedzą obok siebie w salonie i oglądają telewizję. Zanucił temat z thrillera Uwolnienie.

- Chryste, kobieto, przecież oglądam Koło fortuny! Idź i zobacz, kto to.

- Niech ci będzie.

Chwilę później na werandzie rozbłysła pojedyncza goła żarówka zwisająca smętnie na kablu. W ciągu kilku sekund zaroilo się od wszelkiego rodzaju owadów zwabionych z okolicznych pól. Kobieta, która otworzyła drzwi, miała papierosa w ustach i tępy wyraz twarzy. Była w podomce, spod której wystawały spuchnięte łydki oplecione siatką niebieskich żyłek. Palce stóp kończyły się żółtymi popękаныmi pazurami, które wyglądały jak chitynowe korpusy żuków. Zza chmury siniego dymu spoglądały małe wodniste oczy o nieokreślonym kolorze. Gdyby stanęła na wadze, wskazówka zatrzymałaby się gdzieś w okolicach stu dwudziestu kilogramów. Nad górną wargą majaczył cień ciemnego zarostu.

Za drzwiami ciągnął się krótki korytarz prowadzący do kuchni. Ze starego żeliwnego zlewu niemal wysypywały się brudne naczynia, a zwisające z sufitu lepy na muchy były czarne od ofiar trucizny.

- Pani Fess? - zapytał Mercer, tłumiąc obrzydzenie. Oceniał ją na jakieś pięćdziesiąt do stu lat.

- Tak zapisali na akcie ślubu - miała piskliwy głos i przeciągała sylaby. - A o co chodzi?

- Chcielibyśmy porozmawiać z pani mężem.

- Kto to, Lizzie?! - wrzasnął Erasmus Fess z salonu tuż przy drzwiach.

Odwróciła się i spojrzała na męża.

- A skąd mam wiedzieć? Chcą gadać z tobą, nie ze mną.

- Powiedz im, że mamy już zamknięte. Jak potrzebują holowania, to niech wrócą rano. - Skończył wydawać instrukcje i wrócił do oglądania teleturnieju. - Dalej, dobierz „b”!

- Chyba słyszeliście - burknęła kobieta. - Przyjdźcie jutro. Chciała zamknąć drzwi, lecz Mercer zablokował je nogą.

Kobieta dalej naciskała, nie rozumiejąc, co mogło się zaciąć.

- Pani Fess, nie mamy problemu z autem. Nazywam się Philip Mercer, a to są Cali Stowe i Harry White. Przyjechaliśmy do państwa, bo Carl Dion opowiedział mi o sejfie, który pani mąż chciał mu sprzedać.

Jej twarz stała się zła.

- Przyjechaliście tu dla tego gówna z „Hindleburga”? Mercer uznał, że nie ma sensu jej poprawiać.

- Tak. Przyjechaliśmy aż ze stolicy. Czy pani mąż wciąż go ma?

- Czy go ma? Chryste, on przechowuje wszystko, od kiedy skończył podstawówkę! Niczego nie wyrzuca. Ma nawet szczypce pierwszego kraba, jakiego zjadł. - Kobieta znów się obróciła i zawołała do męża: - Ras, oni mówią, że przyjechali porozmawiać o tym sejfie z „Hindleburga”!

- Nie jest na sprzedaż! - odkrzyknął Erasmus Fess.

- A właśnie że jest na sprzedaż - oznajmiła. - Mówiłam ci już wtedy, żebyś go po prostu oddał temu facetowi z Kolorado. - Zwróciła się do gości: - Od kiedy ojciec Rasa znalazł to pudło, prześladowuje nas pech. Od tamtego czasu nie urodziło się w naszej rodzinie ani jedno dziecko. Ja mam siedmioro rodzeństwa, a Ras ośmioro. Więc niby dlaczego my nie mamy ani jednego dziecka?

- Przepraszam, że o to pytam - przerwała jej Lizzy - ale czy ktoś w państwa rodzinie miał problemy z nowotworami?

- No pewnie! Ojciec Rasa i jego młodszy brat zmarli na raka. A ja i jedna z jego siostr straciłyśmy cycki, bo nam się guzy porobiły.

Ze względu na otyłość i luźną podomkę, która skutecznie maskowała kształty, żadne z nich nie zauważyło wcześniej, że kobieta przeszła obustronną mastektomię.

- Czy mieszkali w tym domu po znalezieniu sejfu? - pytała dalej Cali.

- Pewnie że tak. Dlatego uważam, że sejf przynosi nam pecha. Starszy brat Rasa nie mógł się dogadać z ich starym i wyprowadził się, zanim znaleźli to pudło. I wie pani co? Jest całkiem zdrowy, ma dwanaścioro dzieci i całą masę wnuków!

Cali spojrzała na Mercera.

- Jesteśmy na dobrym tropie - szepnęła. - Zwiększona zachorowalność na raka, bezpłodność...

Mercer wrócił myślami do małej afrykańskiej wioski nad brzegiem rzeki Scilli. Chester Bowie musiał wieźć ze sobą próbkę uranu, ale z jakiegoś powodu, zanim dopełnił się los „Hindenburga”, wyrzucił sejf z pokładu. Jeszcze bardziej zdumiewający niż zagmatwane losy próbki był fakt, że powodowała raka i bezpłodność u mieszkańców farmy przez tak długi czas. Musiała być wyjątkowo silnie radioaktywna.

Temat muzyczny z Koła fortuny dobiegł końca i Erasmus wyłączył telewizor. Chwilę później stanął w drzwiach. W przeciwieństwie do żony był wysoki i chudy jak tyczka. Miał na sobie poplamiony smarem kombinezon roboczy z nazwiskiem wyhaftowanym na kieszeni na piersi. Z siwych włosów sypał mu się łupież wielkości płatków kukurydzianych. Przekrwione oczy spoglądały na przybyłych przez szkła grubości denek od butelek, a brodę ozdabiał kilkudniowy zarost. Roztaczał wokół siebie zapach piwa.

- Erasmus Fess - przedstawił się, wyciągając rękę.

- Philip Mercer. - Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

- Dlaczego interesuje pana ten sejf? - spytał Fess.

- A co cię to obchodzi? - Lizzie naskoczyła na męża. - Chce go kupić. To ci powinno wystarczyć.

Mercer wprawdzie jeszcze nie wspomniał o kupnie, ale teraz skinął głową.

Erasmus zrobił chytrą minę.

- Dwadzieścia tysięcy. Gotówką.

Chciał o pięć tysięcy więcej, niż zażądał od Diona. Na szczęście dla Mercera taka kwota nie była problemem. Bogiem a prawdą, kupiłby sejf z całą zawartością za każdą sumę, jaką Fess by wymienił. Cały szkopuł w tym, że nie miał takich pieniędzy przy sobie. Wiedział, że Fess nie przyjmie czeku, a już ostatnią rzeczą, jakiej życzyłby sobie właściciel skupu złomu, było potwierdzenie zapłaty kartą kredytową. Mercer był wściekły, że będą musieli czekać do rana na otwarcie banku, ale nie widział innej alternatywy. Wtedy

przypomniawszy sobie o wygranej Harry'ego. Spojrzał na przyjaciela, jakby chciał mu przekazać uniwersalną prawdę „łatwo przyszło, łatwo poszło”.

- Co jest? - mruknął starszek.

- Dalej, opróżnij kieszenie.

- Dlaczego? - Harry wreszcie zrozumiał, do czego zmierza Mercer. - Nie ma mowy. Uczciwie wygrałem te pieniądze.

- Wyluzuj - szepnął Mercer. - Oddam ci wszystko co do centa, gdy tylko wrócimy do domu. - Nie dodał, że rachunek przekaże admirałowi Lasko jako wydatki służbowe.

Lizzie i Erasmus Fess wybałuszyli oczy, kiedy Harry wyjął z kieszeni wiatrówki dwa zwitki studolarówek.

- Tylko poproś o rachunek - powiedział, podając je przyjacielowi.

Mercer pokazał złomiarzowi pieniądze, ale mu ich nie dał.

- Najpierw chcę zobaczyć sejf. I dorzuci mi pan sprawny samochód. Rolls-royce, którym tu dotarliśmy, został... hm... pożyczony.

Fess spojrzawszy na luksusową limuzynę. Z zawodowym zainteresowaniem przyjrzał się autu, marszcząc brwi tylko na widok wgniecionego błotnika i pokiereszowanych drzwi.

- Dobra, ale zapomni pan, gdzie zaparkował tę maszynę.

Mercer miał zamiar zwrócić rollsa prawowitemu właścicielowi, a dokładniej - zadzwonić na policję, kiedy będą już bezpieczni w Waszyngtonie. Teraz zdał sobie sprawę, że do tego czasu wóz zostanie rozebrany na części. Jutro któraś z firm ubezpieczeniowych będzie miała zły dzień.

- Zgoda.

- Daj mu też papiery - wtrąciła Lizzy.

- Papiery? Jakie papiery? - zainteresowała się Cali.

- Gdzieś w latach pięćdziesiątych ojciec Rasa otworzył ten sejf. Nie mam pojęcia, co jeszcze tam było, ale na sto procent plik jakichś papierów. Coś jakby zapiski. Zrobił kopie, a oryginały zamknął z powrotem w sejfie. Hej, Ras, gdzieście je wetknęli?

- Za dużo gadasz, kobieto - warknął Fess i przesunął dłonią po głowie, uwalniając małą śnieżycę łupieżu. - Są w biurze, w dolnej szufladzie. Za dokumentami silników samolotowych, co żem je kupił pięć lat temu.

Mercer nie był zaskoczony, że Erasmus wie, gdzie są papiery. Podejrzewał, że właściciel złomowiska dokładnie wie, w którym miejscu leży dowolna część dowolnego samochodu.

- Idziemy - mruknął Fess.

Harry oznajmił, że będzie czekał na werandzie, i sobie tylko znanym sposobem skłonił Lizzy, żeby zrobiła mu drinka, jeszcze zanim Erasmus przyniósł latarkę z kabiny holownika.

- Nie wygląda mi pan na kolekcjonera, jak tamten gość z Kolorado - powiedział Fess. - Po co on panu?

- Prawdopodobnie należał do mojego dziadka - wtrąciła się Cali, zanim Mercer zdążył wymyślić własne kłamstwo. - Wraciał z Europy „Hindenburgiem”, a zawsze podróżował z sejfem. Był jubilerem.

Słyszawszy to, Erasmus, zatrzymał się i spojrzawszy na nią.

- W tym pudle nie ma kosztowności. Gwarantuję to pani.

- A pamięta pan może, co tam było?

- Kiedy mój staruszek go otwierał, akurat walczyłem w Korei. Powiedział, że w środku nie było niczego poza papierami i hantelkiem.

- I czym? - zapytali równocześnie.

- Hantelkiem. To taki ciężarek, jakich używają kulturyści. Metalowa kulka.

Poprowadził ich w głąb składowiska, między wraki samochodów i ciężarówek. Mercer zauważył stary silnik odrzutowy, kilka łodzi i ramię wielkiego dźwigu. Na piasku pod nogami widniały tu i ówdzie błyszczące kałuże oleju, a co pewien czas mijali kilkumetrowe stosy starych opon. Nocne zwierzęta uciekały przed snopem światła ze szperacza, ale w ciemnościach jarzyły się ich czujne oczy.

W głębi złomowiska stała metalowa szopa. Fess otworzył drzwi kluczem, który miał zawieszony na kołyszącym się łańcuchu. Wszedł do środka i pociągnął za sznurek przy pojedynczej żarówce pod sufitem. Mercer nie miał pojęcia, dlaczego kawałki mechanizmów, które zalegały na półkach wzdłuż ścian, potrzebują dodatkowej ochrony. Zarówno w środku, jak i na zewnątrz wszystko wyglądało jak nic niewarte śmieci.

- Tutaj trzymam najlepsze części - oznajmił Fess.

Mercer nie pytał, czemu akurat te są najlepsze.

Erasmus przesunął leżącą w narożniku starą skrzynię biegów i podniósł poplamioną olejem szmatę, odsłaniając niewielki sejf. Miał kilkadziesiąt centymetrów głębokości, tyle samo szerokości i został zrobiony z ciemnego metalu. Masywne zawiasy były zardzewiałe. Na środku drzwiczek znajdowały się pokrętło kodowe i uchwyt.

- Zaraz wracam - oznajmił Fess i wyszedł.

- Ten hantelek to pewnie uformowana próbka rudy - powiedziała Cali, kiedy tylko znalazł się poza zasięgiem głosu.

- Inaczej nie da się tego wyjaśnić - zgodził się Mercer. - Przypomnij sobie, co powiedziała nam ta staruszka; że Bowie wysłał kamienie rzeką. Ale najwyraźniej wziął ze sobą próbkę. Oczyszczoną rudę uformował i zamknął w sejfie dla ochrony przed promieniowaniem.

- Niewystarczającej, bo Lizzy i Erasmus cierpią na chorobę popromienną. - Cali zamyśliła się na moment. - Będę musiała zgłosić to miejsce w Departamencie Energii. Jak najszybciej powinien zjawić się tutaj ktoś od nas i zrobić badania. - Rozejrzała się. - Ciekawe, jak bardzo są napromieniowane te wszystkie graty.

- Możecie mieć małe spięcie z Agencją Ochrony Środowiska - zażartował Mercer. - Jeśli wziąć pod uwagę ilość rozlanego oleju, nie wiem, kto powinien mieć pierwszeństwo, wy czy oni.

Chwilę później do szopy wrócił Fess, pchając przed sobą taczkę. Mercer pomógł mu załadować na nią ciężki sejf. W pewnym momencie usłyszał odległy warkot silnika helikoptera. Po takiej dawce adrenaliny, jaka płynęła w jego żyłach, miał wyczulone wszystkie zmysły. Uznał, że coś jest nie tak.

- Często tutaj latają? - zapytał gospodarza.

- Ciągle. Grube ryby z Nowego Jorku lecą się zabawić do Atlantic City.

Wyjaśnienie brzmiało rozsądnie, ale Mercer mimo to pozostał czujny. Im szybciej znajdą się w drodze do Waszyngtonu, tym lepiej. Przesunął sejf jak najbliżej tyłu i chwycił za rączki. Sporo wysiłku kosztowało wprawienie w ruch sflaczałego kółka, ale kiedy już ruszył z miejsca, szło mu znacznie

łatwiej. Fess zupełnie się nie spieszył, więc zignorował go i popędził przez składowisko złomu.

- Jesteś pewien, że nie pomylisz drogi? - zapytała Cali, starając się dotrzymać mu kroku.

- Za dużo gadasz, kobieto - odparł Mercer, naśladowując akcent Erasmusa.

Cali w odpowiedzi udała, że wyciąga z usta papierosa i dmucha mu dymem w twarz.

Kiedy dotarli do bramy, Mercer zatrzymał taczkę. Nie miał pojęcia, który samochód Fess włączył do transakcji, więc nie miał innego wyjścia, jak poczekać na złomiarza.

- Mogłabyś pójść sprawdzić, co z Harrym? - poprosił Cali. - Gdy Erasmus nas dogoni, zapakuję sejf do wozu i podjadę po was.

Cali poszła na werandę, zastukała do drzwi i chwilę później była w środku. Fess wreszcie wynurzył się spomiędzy wraków. Zamknął bramę i wskazał starego forda. Poza łysymi oponami i pogiętym błotnikiem nie wyglądał źle. Złomiarz otworzył tylne drzwi i spod kanapy wyłowił kluczyki.

- Złodzieje zawsze sprawdzają pod zasłonkami przeciwsłonecznymi i pod siedzeniem kierowcy. Nigdy z tyłu - wyjaśnił.

Jednym z kluczyków otworzył bagażnik i stanął obok, wyraźnie dając Mercerowi do zrozumienia, że nie zamierza mu pomóc. Mercer rozstawił szeroko nogi, pochylił się i uniósł sejf, który, jak ocenił, musiał ważyć przynajmniej pięćdziesiąt kilogramów. Oparł go na zderzaku i wsunął do bagażnika. Słyszał metalową kulę toczącą się wewnątrz.

- Masz wóz i sejf - powiedział Erasmus. - Teraz ja chcę dostać moją kasę.

Mercer podał mu dwa zwitki studolarówek.

- Dwadzieścia tysiąków.

Fess nie oddał mu kluczyków, tylko ruszył w kierunku domu, mruczając pod nosem:

- Muszę przeliczyć.

Mercer odruchowo zacisnął pięści. Miał wielkie trudności, by z jego głosu nie przebijała niepokonana wściekłość.

- Panie Fess, bardzo nam się śpieszy. Złomiarz zatrzymał się i spojrzał na niego.

- Słuchaj no, chłopcze. Nie mam pojęcia, kim jesteś ani co tu naprawdę robisz, ale nie ufam ci ani trochę. Więc teraz usiądź na tyłku i poczekaj, aż przeliczę z Lizzy kasę.

Gdyby miał pewność, że Fess nie dostanie zawału, wyciągnąłby pistolet.

- Dobrze. - Westchnął.

Już miał ruszyć za gospodarzem do rozpadającej się chałupy, kiedy uświadomił sobie, że znów słyszy helikopter. Blisko. Zbyt blisko.

Ktoś lecący z Nowego Jorku do Atlantic City na pewno trzymałby się wybrzeża lub linii wysepek wzdłuż niego. Ale dziesięć kilometrów w głąb lądu? Mercer przekonywał sam siebie, że to przypadek. Przecież Poli został na drodze ekspresowej w zmasakrowanym samochodzie, a reszta jego ludzie w hotelu Deco Palace. Jak mogliby tak szybko wpaść na ich trop?

Spojrzał na niebo, ale nie dojrzał niczego poza kilkoma gwiazdami. Dźwięk helikoptera narastał z każdą chwilą. Maszyna musiała być coraz bliżej. Niezależnie od tego, co podpowiadała mu logika, był spięty. Pędem wyminął Fessa w chwili, kiedy pięćdziesiąt metrów za domem nad drzewami pojawił si

ę zarys śmigłowca. Ułamek sekundy, zanim deszcz pocisków zalał podwórze, Mercer zobaczył otwarte boczne drzwi i mężczyznę z karabinem maszynowym. Strzelec skupił się przede wszystkim na starym rollsie. Opony z prawej strony w jednym momencie zostały rozerwane, a z przestrzelonej chłodnicy i silnika zaczęły wypływać płyny i paliwo.

Mercer złapał starego złomiarza, wciągnął go po schodkach na werandę i nie bawiąc się w otwieranie drzwi, wpadł razem z nimi do środka. Sekundę później kolejna fala pocisków zalała werandę. Gumki recepturki spinające zwitki banknotów popękały i pieniądze rozsypały się po podłodze.

- Dobry Boże! - zawył Fess, przekrzykując ogłuszającą kanonadę.

Mercer nie zwracał na niego uwagi. Stał przy oknie i wyglądał na zewn atrz. Nie wiedział, kiedy wyciągnął broń, ale w każdym razie miał ją w dłoni. Jak Poli ich znalazł? - zastanawiał się. Cholera, przecież to niemożliwe! Nie miał czasu, żeby prześledzić rozmowy telefoniczne prowadzone z jego pokoju w Deco Palace, a już na sto procent nikt ich nie śledził.

Helikopter wylądował na podwórzu, niemal uderzając śmigłami o drzewa. Z kabiny wyskoczyło czterech mężczyzn. Piąty został w środku, z karabinem maszynowym gotowym do strzału.

Mercer wyjął swoją komórkę i rzucił ją Cali.

- Zadzwoń na policję i powiedz, że mordercy z Deco Palace są tutaj - polecił.

Potem złapał Fessa za kołnierz kombinezonu. Lizzie stała na środku salonu, przyciskała dłonie do uszu i wrzeszcząc wniebogłosy.

- Masz jakąś broń? - spytał Mercer złomiarza.

Fess błyskawicznie się otrząsnął i popatrzył na niego trzeźwym wzrokiem.

- A co pan myślałeś? Jestem uczciwym Amerykaninem! Jasne, że mam.

- Mam wątpliwości co do tej uczciwości - mruknął Harry i pociągnął solidny łyk niewątpliwie alkoholowego napoju, który wyludził od Lizzy.

Cały dom się zatrzęsł, bo helikopter poderwał się z ziemi i zawisł nad dachem. Góra brudnych naczyń wznosząca się nad zlewem spadła na podłogę i rozprysła na tysiące kawałków. Erasmus poszedł do jednego z pomieszczeń na tyłach domu i po chwili wrócił, niosąc karabinek półautomatyczny, dwie strzelby i rewolwer wielkości małej armaty. Podał Mercerowi jedną ze śrutówek, Cali sama wzięła drugą.

- Obie są naładowane - oznajmił, kładąc na stole kilka paczek z amunicją i sprawdził przedłużony magazynek swojego rugera mini-14, cywilnej wersji broni wykorzystywanej na początku wojny w Wietnamie. - Lizzie! - wrzasnął. - Przestań się drzeć i leć po więcej amunicji!

Mercer stał już z powrotem przy oknie. Wśród zamachowców zbliżających się do domu rozpoznał Polego. Poruszali się jak profesjonaliści; nigdy nie pokazywali się na dłużej niż kilka sekund. Poli w końcu znalazł się za wielkim holownikiem i dał znak swoim ludziom, że mają zająć pozycje na skrzydłach. Powiedział coś do radia i helikopter zaczął się oddalać.

- Słyszycie mnie?! - krzyknął najemnik.

Mercer nie odpowiedział, tylko obserwował, jak pozostali zabójcy zajmują pozycje po obu stronach domu. Mógł jednego z nich wyeliminować, ale drugi w międzyczasie zniknął za rogami budynku.

- Wiem, że mnie słyszysz, Mercer! - wołał dalej Poli. - Powiedz mi, po co tutaj przyjechałeś, to może daruję wam życie.

- Przyjechał po ten stary sejf z „Hindenburga”. Wpakowaliśmy go do bagażnika tamtego starego taurusa - odpowiedział Fess, zanim ktokolwiek zdążył go powstrzymać. - Weźcie go sobie i dajcie nam spokój.

- Zamknij się! - syknął Mercer, ale było już za późno.

Jeden z najemników wyszedł z ukrycia i klucząc, podbiegł do brązowego sedana. Nie zwalniając, zajrzał do bagażnika i schował się za innym wozem.

- Nie ściemniał! - krzyknął do szefa.

Po oknie, za którym krył się Mercer, przesunął się cień. Jeden z napastników musiał być na werandzie. Ściany nie wytrzymają ostrzału z broni automatycznej. Mercer przycisnął głowę do szyby, ale najwyraźniej zamachowiec przywarł płasko do ściany, bo nie było go widać. Popatrzył na holownik, wiedząc, że Poli lada chwila da sygnał do rozpoczęcia ostrzału.

Mercer nie zamierzał czekać. Jego jedyną szansą było zaskoczenie. Starannie wycelował i nacisnął spust. Masywna strzelba podskoczyła w jego dłoniach i jeszcze zanim się zorientował, czy trafił, kolejna kula czekała w lufie. Na tak niewielkiej odległości śruciny leciały skupioną kilkunastocentymetrową chmurą i gdy trafiły w jedną z belek podtrzymujących dach, ta dosłownie przestała istnieć. Druga podpora zachwiała się i z łamała z trzaskiem, który przebił się przez ryk silnika helikoptera. Dach werandy opadł jak pokrywa skrzyni. Najemnik nie był dostatecznie szybki. Chciał uciec, lecz opadająca masa drewna przycisnęła go do ściany, a masywne kawałki sklejkę zmiażdżyły jego ciało.

Ludzie Polego rozpoczęli ostrzał, zasypując front domu seriami z karabinów. Okna w jednej chwili eksplodowały rozbitym szkłem, a z tanich zasłonek zostały tylko strzępy. Mercer usiłował odpowiedzieć ogniem, lecz zamachowcy mieli zdecydowaną przewagę. Kule z ich broni prawie nie zwalniały, przelatując przez aluminiowe sidingi i gipsowe ściany wewnątrz. Pył i ołów wypełniły salon. Wszyscy odruchowo rzucili się na ziemię.

Większość lamp padła ofiarami kul, więc dom pogrążył się w ciemnościach. Kanapa przyjęła potężną salwę, wyrzucając w powietrze sprężyny i kłębki trocin. Jeden z pocisków rozbił skrzynkę rozdzielczą w kuchni i spowodował zwarcie, które szybko przerodziło się w zarzewie pożaru.

Hałas był ogłuszający; bezustanny huk rozrywał bębni w uszach. Napastnicy nie przerywali nawet na chwilę. Kiedy któremuś kończył się magazynek, natychmiast ładował następny i kontynuował ostrzał. Kawałki płyt odpadały ze ścian i sufitów, a ogień w kuchni był już tak silny, że Mercer czuł jego gorąco, leżąc na podłodze w salonie. Kolejna kula trafiła w końcu telewizor, który i tak długo przetrwał.

Dym robił się coraz gęstszy. Lizzie, przycisnięta do podłogi przez Erasmusa, zaczęła kaszleć.

Mercer spojrział na Cali. Była blada ze strachu, a jej cudowne usta szukały tlenu. Przeniósł wzrok na kuchnię. Płomienie wypełniały całe pomieszczenie. Nie miał pojęcia, czy Fessowie gotują na gazie, ale jeśli tak, tylko sekundy dzieliły ich od chwili, kiedy żar lub któraś z kul rozerwie rurę i cały dom wyleci w powietrze.

Równie szybko jak się rozpoczęła, kanonada ucichła. Mercerowi wciąż tak dudniło w uszach, że zorientował się, że napastnicy już nie strzelają, dopiero kiedy w ścianach przestały pojawiać się nowe dziury. Chwilę później usłyszał

helikopter najemników. Potężny ryk silników oznaczał, że maszyna właśnie startuje.

Poli wykorzystał ostrzał do przejścia sejfu i zarządzania ewakuacji. Mercerowi nie zgadzała się tylko jedna rzecz - dlaczego odlatywał, nie upewniwszy się, czy nie zostawia nikogo przy życiu. W jego ocenie to był pierwszy poważny błąd najemnika.

Z jednej strony, obawiał się pułapki, na przykład snajpera, z drugiej jednak wiedział, że muszą jak najszybciej opuścić płonący budynek. Przeczło łągał się przez porozbijane szkło zaśmiecające całą podłogę i zbliżył do okna. Nie wystawiając głowy, wyrzucił na zewnątrz gruby program telewizyjny Erasmusa Fessa. Nikt nie strzelił. Zaryzykował szybkie spojrzenie. Nie zauważył niczego podejrzanego, więc znacznie uważniej przyjrzał się ceniom i niebezpiecznym miejscom.

Jego uwagę przyciągnęły migające światła. Wtedy zrozumiał, co sprawiło, że Poli tak szybko zwiął. Między drzewami widać było zbliżające się niebieskie i czerwone sygnały policyjnych wozów. Pierwszy samochód dzieliło zaledwie kilka sekund od złomowiska.

Wyjście przez frontowe drzwi nie wchodziło w rachubę ze względu na zawaloną werandę, podobnie jak przejście przez płonącą kuchnię. Mercer poprowadził wszystkich przez okno, upewniając się, że Erasmus i Lizzie opuszczą dom pierwsi. Harry uparł się puścić Cali przodem, przerzuciła więc długie nogi przez parapet i zniknęła w ciemności. Poczekala na staruszka i pomogła mu zeskoczyć na trawę, a na samym końcu z domu wyszedł Mercer. Przebiegli kawałek podwórza dzielący ich od holownika i dopiero tam się zatrzymali i zaczęli kasłać, oczyszczając płuca z dymu.

Z jakiegoś powodu ani Harry, ani Fessowie nie wydawali się przejęci. Staruszek wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów, zapalił trzy i podał dwa Lizzie i Erasmusowi.

Wydmuchując chmurę tytoniowego dymu, uśmiechnął się i rzekł:

- Całe lata trenowałem oddychanie w trudnych warunkach i proszę, teraz się przydało.

Na podwórze wpadł poślizgiem radiowóz policji stanowej i zatrzymał się, obsypując wszystko żwirem spod kół. Drzwi odskoczyły, ze środka wypadł policjant z pistoletem w dłoni i ukrył się za wozem.

- Ręce do góry, szmaciarze, tak, żebym je widział! - krzyknął podniecony adrenaliną i nadzieją na szybki awans. - Kto się ruszy, rozwalę na miejscu!

Cała piątka posłusznie wykonała polecenie, a na podwórze wjeżdżało coraz więcej radiowozów.

Zanim kolejny policjant zdążył wycelować w nich służbowy pistolet, zapadł się dach płonącego domu, wyrzucając w powietrze chmury iskier. Lizzie spojrziała na męża.

- Przeprowadzamy się na Florydę - oznajmiła rzeczowo.

ARLINGTON, VIRGINIA

Mercer podniósł szklaneczkę z wódką z sokiem z cytryny i jednym haustem wypił całą zawartość. To był jego trzeci drink, a czwarty już czekał na swoją kolej. Obok, na swoim ulubionym stołku, siedział Harry. Obaj mieli przekrwione oczy i byli wykończeni, ale żaden nie miał zamiaru jeszcze pójść do łóżka.

Policja stanowa z New Jersey i FBI potrzebowały ośmiu godzin oraz osobistej interwencji admirała Iry Lasko i pewnej anonimowej szycy z Biura Bezpieczeństwa Wewnętrznego, która wstawiła się za Cali Stowe, by zorientować się, że jednak nie aresztowano bandy wrogów publicznych numer od jeden do trzy. Fessowie zostali wypuszczeni po niecałej godzinie zeznań. Ira zapewnił Mercera, że złodziej dostanie odszkodowanie za straty.

Cali wyszła z aresztu przed Mercerem i Harrym, uwolniona przez agenta z Biura Bezpieczeństwa Wewnętrznego w rządowej limuzynie. Mercer dostał w końcu pozwolenie na odebranie swojego jaguara z Deco Palace. To była długa droga do domu.

Kilka godzin po tym, jak odstawił Harry'ego do jego mieszkania, staruszek pojawił się pod drzwiami przyjaciela z bassetem na smyczy. Zamówili chińszczyznę, ale żaden nie miał apetytu. Milczeli pogrążeni w myślach.

- Przynajmniej jedna tajemnica została wyjaśniona - odezwał się wreszcie Harry po długim łyku jacka danielsa.

- Niby jaka?
- Rolls.

Policja, która rzecz jasna dostała zgłoszenie o kradzieży rolls-royce'a, wyjaśniła im, że limuzyna została wyposażona w alarm z lokalizacją GPS LoJack. Mężczyzna, którego Poli zostawił pod hotelem, dopadł kierowcę i zmusił go, żeby zdradził swój numer identyfikacyjny. Potem zgłosił się do firmy świadczącej usługi lokalizacyjne i tak trafili prosto na podwórko Erasmusa Fessa. Na szczęście właściciel samochodu przeżył to spotkanie. Mniej szczęścia miało jedenaście osób w kasynie - trzy zginęły od kul, a osiem zostało rannych.

Mercer wiedział, że nie był winien ich śmierci, lecz i tak czuł się za nią odpowiedzialny. Szczególnie ciężko przeżywał morderstwo Sereny Ballard. Nie potrafił pogodzić się z myślą, że gdyby do niej nie zadzwonił, wciąż by żyła. Wszyscy by żyli.

- Mam coś, co ci poprawi humor - oznajmił Harry i rzucił na bar plik kartek, które wyją spod nieśmiertelnej niebieskiej wiatrówki.

- Co to jest?
- Papiery od Lizzie Fess.

Mercer popatrzył na przyjaciela z niedowierzaniem.

- Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałeś, ty podły skurczybyku? Pozwoliłeś mi myśleć, że utknęliśmy, mając to w ręku?

- Wybacz - odparł starszek. - Chciałem sam to rozszyfrować, ale miałeś twarz smutniejszą niż Drag, uznałem więc, że nie warto czekać.

Mercer odczytał kilkanaście pierwszych linijek.

„Drogi wszystkie mają prowadzić do Rzymu. To powiedzenie tak zabiera spokój mój. Jak mają tam prowadzić? Czy też z Ameryki? Więc o to pytam, jak mają przez ocean, drogi Albercie, prowadzić? Pomyślałem, że powinieneś może przemyśleć, skąd tak dziwaczne powiedzenie. Bo skąd człowiek ma wiedzieć, że wszystkie tam właśnie prowadzą? Powiedz mi, wierzyć czy nie, że tak właśnie jest? Czuję, że się bardzo przez tę podróż zmieniłem, ale tylko na gorsze. Szukam Rzymu, trafiam na piekło. Gdzie klucz do tej zagadki? Przyjaciel Kola mówi, że w sejfie. Chwilę zastanawiałem się, wchodząc na pokład potężnego statku. Umknąłem tym, którzy mnie ścigali - wrogom i ich sługom. Ale przyszło mi za to zapłacić. Racja, oczyma czarnymi jak węgiel, jak źrenice faraonów, ale włosy, jakkolwiek niewiele ich miałem, ruszając na wyprawę, wypadły mi wszystkie. Ciało płonie, tortura nieznośna. Pasażerowie jakby wpadali w trans, kiedy idąc, mnie mijali. Jestem wrakiem. Spoglądając na to, co przeżyć musiałem przez ostatnie tygodnie i miesiące, nabieram przekonania, że jeszcze przed rozpoczęciem mej misji musiałem być u kresu. Ale musiałem wiedzieć. Obsesja. To jest silniejsze ode mnie. Muszę znać przyczyny i prawdę. Zawsze. Z trudem znajduję siły, by rankiem podnieść się z łóżka, liżąc rany w kabinie sterowca, a dziś siedzę i piszę - zmuszam się, by spisać całą opowieść.

Druga Ewa w lwy w sześć.

Musiałem pokazać światu, że przynajmniej za jedną z hipotez powinni podążać nie jak owce w stadzie, a naukowcy. A teraz wiem, że wszystkie teorie były prawdziwe. Automobilami, koleją i statkiem - obsesja różnymi drogami prowadziła mnie coraz głębiej w piekła czeluści. Istnieje we mnie tak wielka gorączka, że zaciskając szczęki, ułamałem ząb. A malaria zamieniła kolor mojego moczu na winny. Wciąż pamiętam, co przeżył mój brat Nick w

czasie wielkiej wojny, i naturalnie widzę, że moje cierpienia są znacznie, znacznie cięższe. Ta podróż ma wszystkie cechy wielkiej misji, odysei Odysa. Tyle że na końcu tej mojej nie czekają rozwarte ramiona Penelopy. Nie mogłem umknąć prześladowcom. Nie mogłem z początku uwierzyć, że istnieją, a dziś wiem, że wciąż knują przeciwko mnie. Ogarnia mnie paranoja, lecz większy strach czuję, kiedy myślę, że jeszcze za mało jej we mnie. Brak mi sprytu i mocy".

- Wiadomość musiała zostać zaszyfrowana jak w telegramie, który Cali wyciągnęła z archiwum Einsteina - powiedział Mercer, kiedy przeczytał treść kartki. - Ten list ma jakiś sens, ale szukamy ukrytego znaczenia. Pamiętasz może klucz do wcześniejszej wiadomości? Ile słów trzeba było przeskoczyć?

- Jedenaście - powiedział Harry bez chwili wahania.

Mercer złapał notatnik, z szuflady za barem wyciągnął długopis i zabrał się do liczenia. Po kilku sekundach przestał pisać i odłożył kartkę.

- „Wszystkie-Jak-pytam-przemyśleć-wszystkie-właśnie" - przeczytał na głos i spojrzał na Harry'ego. - Co to ma, do ciężkiej cholery, znaczyć?

Harry zachichotał.

- Żeś pacan - odparł z pobłażliwym uśmiechem. - Nie policzyłeś pierwszego słowa.

Sfrustrowany Mercer podsunął przyjacielowi plik zapisanych kartek.

- Lubisz się bawić w takie rzeczy, to zajmij się tym. W końcu ostatnią wiadomość właśnie tobie udało się rozszyfrować.

- Tę też. Pierwszych dziesięć słów to „Drogi-mój-to-powinieneś-wiedzieć-że-zmieniłem-klucz".

- A niech to diabli - w głosie Mercera pojawiła się złość. - I co teraz? Skąd będziemy wiedzieli, jakiego klucza użyć? Jakies wskazówki?

- Są. - Harry wskazał drugi akapit, pozornie bezsensowny, na który Mercer nie zwrócił uwagi. - Spójrz tutaj. „Druga Ewa w lwy w sześć". Jestem przekonany, że to kolejna para dubletu. Zmienić Ewę w lwy w sześciu krokach to klucz. Przeczytałem całość i znalazłem jeszcze sześć takich niespodzianek.

- Jesteś w stanie je rozgryźć? - Mercer był niecierpliwy.

- Zajmie mi to trochę czasu, ale pewnie tak. Mercer odsunął szkocką poza zasięg Harry'ego.

- To na co czekasz? Bierz się do roboty.

Potem przygotował dzbanek kawy dość mocnej, żeby rozpuściła łyżeczkę, i usiadł obok staruszka. Istniały setki trzyliterowych kombinacji i nie sposób było ustalić, czy pojedyncze słowo jest właściwe, bo tylko gotowe zestawienie wszystkich sześciu dawało taką pewność.

- Niech to szlag - mruknął Harry po kilku minutach. - Przestaję lubić tego gościa.

- Dlaczego?

- Bo do zmiany Ewy w lwy potrzeba tylko trzech ruchów. Popatrz: Ewa, Ewy, lwy. Pozostałe trzy to tylko wypełniacze i tak naprawdę nie mamy nawet pojęcia, gdzie je umieścić. Przecież trzyliterowych słów jest multum...

- Jesteś znacznie lepszy w te klocki, ale może daj mi drugą wskazówkę. Zobaczę, czy uda mi się coś zrozumieć.

Harry przerzucił kilka kartek i przeczytał kolejną parę.

- Cztery baza w maki w osiem. Czyli zmieniając po jednej literce naraz, masz ze słowa baza otrzymać wyraz maki. Czwarte słowo będzie naszym kluczem. Poza tym mamy jeszcze cztery kasza w burzy w dziesięć, drugi minut w sinus w trzy i jeszcze dwa osiek w owies w sześć.

Mercer zapisał pierwsze i ostatnie słowo drugiej wskazówki i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, o ile trudniejsze będzie znalezienie rozwiązania przy pięciu literach niż przy trzech. Szybko podsunął swoją kartkę Harry'emu, a sobie wziął jego.

- Za karę musisz mi oddać drinka - zażądał staruszek, nie podnosząc wzroku.

Mercer podał przyjacielowi szklanekę i obaj zabrali się do pracy.

O jedenastej porównali wyniki. Mercer linijka po linijce zapisywał kartkę kolejnymi kombinacjami, ale nie zbliżył się nawet do rozwiązania. Harry natomiast był przekonany, że udało mu się rozwiązać trzy wskazówki. Odszyfrował ostatnie dwie, otrzymując minut, minus, sinus i osiek, osiem, osiec, osiej, owiej, owies. Kiedy zorientował się, że jednym ze słów jest liczba osiem, pierwsze zadanie rozwiązał, dodając Ewa, dwa, rwa, rwy, Ewy, lwy w pierwszej wskazówce.

- No to mamy dwa, coś, coś, coś, minus, osiem - odczytał Mercer, opróżniając popielniczkę Harry'ego do metalowego wiadra, które tylko w tym celu trzymał pod barem.

- Zdaje się, że to jakieś działanie matematyczne. Dwa coś plus coś minus osiem.

- Albo dwa razy coś minus osiem - zasugerował Mercer.

- Dlaczego wcześniej na to nie wpadłem! - krzyknął Harry i pochylił się nad swoją kartką. - Baza w maki - czytał na głos. - Baza, bazy, wazy, razy, razi, łazi, mazi, maki. Doskonale.

- Coraz lepiej ci idzie - Mercer był pełen uznania. - Jeszcze trochę i będziemy w domu. I masz łatwiej, bo wiesz, że szukasz liczb.

- Daj mi kilka minut.

Po jakimś czasie Harry podniósł wzrok znad kartki.

- Zdajesz sobie sprawę, że Bowie napisał to na chwilę przed wyrzuceniem sejfu przez okno?

- No i?

- Pomyśl tylko, w jakim musiał być stanie emocjonalnym. Uważasz, że mógł tworzyć prawidłowe dublety? I że jak już wymyślił właściwą parę, to potem pamiętał o właściwej kolejności słów w liście do Einsteina? Bo ja wcale nie jestem tego pewien. Poza tym z treści wynika, że przeszedł przez piekło.

- Z tego, co wiem, był ekscentrykiem - odparł Mercer. - A z listu rzeczywiście wynika, że zaczęło mu odbijać.

- Ja bym raczej obstawiał, że odbiło mu już wcześniej, a potem tylko pogrążył się w szaleństwie.

Mercer poprosił o smycz Draga. Wiedział z doświadczenia, że Harry nie przerwie, dopóki nie znajdzie rozwiązania. A gdy skończy, zamiast wracać do swojego niewielkiego mieszkanka, wybierze noc na skórzaną kanapę.

Przeciągnął leniwego basseta do szczytu krętych schodów. Tam Drag wstał i sam zaczął schodzić, staczając tłuste brzuszysko ze stopnia na stopień, a potem samodzielnie przebył wyłożony marmurem hol. Z niewiadomych

powodów wobec Mercera nie zachowywał się równie uparcie jak wobec swojego pana.

Mercer dotarł do frontowych drzwi i w tym samym momencie rozległ się dzwonek. Odruchowo uniósł rękę i spojrzął na zegarek TAG Heuera na nadgarstku. Kwadrans po jedenastej. Wizyta o tej porze zazwyczaj oznacza złe wiadomości. Przemknęło mu przez głowę, że powinien pójść na górę po beretę, która teraz spoczywała w szafce przy łóżku, ale zanim to zrobił, wyrzwał przez niewielką szybkę z boku drzwi. Uśmiechnął się i nacisnął klamkę.

Cali Stowe miała na sobie dżinsy, czarny podkoszulek i męską białą koszulę. Wyglądała, jakby ubierała się w pośpiechu. Nie nałożyła makijażu i włosy miała w lekkim nieładzie, lecz mimo to była śliczna - śliczna w sposób, który mężczyźni kochają, a inne kobiety nie są w stanie tego pojąć.

Potem Mercer uświadomił sobie trzy rzeczy naraz. Po pierwsze, nie odwzajemniła jego uśmiechu. Po drugie, nigdy nie mówił jej, gdzie mieszka, a po trzecie, za jej plecami stało dwóch obcych mężczyzn.

- Wybacz - powiedziała smutno. - Nie dali mi wyboru. Jeden z mężczyzn odsunął się nieco, pokazując pistolet przyciśnięty do pleców zakładniczki.

- Kim jesteście? - zapytał Mercer, a w oczach pociemniało mu z wściekłości.

- Może lepiej wejdźmy do środka, doktorze Mercer - odpowiedział porywacz.

Obaj mężczyźni mieli na sobie klasyczne ciemne garnitury. Czarne włosy, ciemna karnacja i gęste brody wskazywały na pochodzenie raczej z okolic Morza Śródziemnego niż z Bliskiego Wschodu. Ten, który trzymał broń, był wzrostu Mercera, szczupły i miał niewinną twarz. Pistolet zupełnie do niego nie pasował. Drugi, starszy, ze śladami siwizny na brodzie i skroniach, był niższy, ale Mercer wyczuł, że to on dowodzi.

- Nic ci nie jest? - zapytał Cali, wpuszczając całą trójkę do środka.

- Nie, wszystko w porządku - odpowiedziała.

Nie dostrzegł żadnych siniaków ani zadrapań, ale wiedział, że nawet gdyby coś było nie tak, nie powiedziałyby mu o tym w obecności porywaczy. Była na to zbyt dumna.

- Czego chcecie? - zwrócił się do niższego.

- Jestem tu, by pana ostrzec, doktorze Mercer, i tylko po to - mężczyzna mówił łagodnym tonem i z akcentem, którego Mercer nie potrafił rozpoznać.

- Niby przed czym?

- Ma pan natychmiast zarzucić poszukiwania alembiku Skenderbega. Im bardziej się pan do niego zbliża, tym bliżej są też ci, którzy nie powinni.

Gdyby nie pistolet, Mercer roześmiałyby się im w twarz.

- Posłuchajcie, przyjaciele. Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówicie. Nie wiem, co to jest alembik, i nigdy nie słyszałem o Skenderbegu. Może więc umówmy się tak, że po prostu sobie pójdziecie i będziemy udawali, że to się nigdy nie wydarzyło.

- Na to jest już niestety za późno.

- Jasna cholera! - Mercer rozpoznał ten głos, a jego gwałtowna reakcja obudziła w Cali takie samo wspomnienie. Zbladła.

- To pan był w Afryce - stwierdził Mercer. - I to pan nas uratował.

- Gdybym wiedział, że nie będzie pan chciał przerwać poszukiwań - odpar

ł mężczyzna - zaatakowalibyśmy wioskę po egzekucji.

- Ale przecież my nie prowadzimy żadnych poszukiwań - zaprzeczył Mercer, podświadomie odzyskując pewność siebie. Gdyby chcieli ich zabić, już dawno by to zrobili. Porywacz opuścił pistolet, a on uświadomił sobie, że to pierwsza broń od dłuższego czasu, z której nikt do niego nie strzelał. - Staramy się tylko ustalić, co stało się z uranem wydobytym w pobliżu tamtej wioski przed siedemdziesięcioma laty. To nie ma nic wspólnego z alergikiem Skandenbergiem, czy jak mu tam było.

- Alembikiem Skenderbega - w głosie mężczyzny było coś uroczystego. - Pan sobie jeszcze nie zdaje sprawy, doktorze, czego tak naprawdę szuka. Niemniej nalegam, żeby pan przestał. Proszę pamiętać, że już dwa razy uratowaliśmy wam życie.

- Czyli w kasynie... to też byliście wy? - zapytała Cali.

- Tak. - Pokiwał głową. - Zapłacono pewnemu najemnikowi, żeby odnalazł alembik, a my podążyliśmy jego śladem. Najpierw do Afryki, a wczoraj prawie dopadliśmy go w Atlantic City. Nie przewidzieliśmy tylko, ilu ludzi będzie miał ze sobą w kasynie i że wynajmie helikopter. - Spojrzał na Mercera. Miał oczy człowieka, który zna zbyt wiele sekretów. - Daliście im do ręki wskazówkę, której sami nigdy by nie znaleźli. Swoją drogą, co to było?

- Sejf - wyjaśnił Mercer. Wspomnienie wydarzeń minionej nocy sprawiło, że znów poczuł się winny. - Pewien profesor historii starożytnej przywiózł z Afryki próbki rudy. Facet wierzył, że to, co znalazł, to mityczny metal, z którego Zeus kazał wykuć łańcuchy dla Prometeusza. Nie wiedział, że to niespotykany w naturze wzbogacony uran, nie adamant.

Na dźwięk tego słowa porywacze wymienili spojrzenia, jakby wiedzieli, o co chodzi.

- Było tam coś jeszcze?

- Właściciel sejfu powiedział, że nic więcej - skłamał Mercer, modląc się w duchu, żeby Harry nie wyszedł z barku do biblioteki, z której było widać hol. - Ten najemnik...

- Poli Feines - wyjaśnił jeden z mężczyzn.

- Ukradł sejf, zanim zdążyłem zajrzeć do środka, ale nie mam powodu nie wierzyć właścicielowi. Oni zresztą nie mieli o tym wszystkim bladego pojęcia. Jedyne, co się dla nich liczyło, to to, że sejf został wyrzucony z „Hindenburga”.

Mężczyźni znów wymienili spojrzenia.

- Interesujące - powiedział niższy. - Ale to i tak niczego nie zmienia. Jesteśmy tu, żeby was ostrzec. Znaleźliście się przez przypadek w samym środku prastarej bitwy, której nie jesteście w stanie zrozumieć. Błagam was, żebyście przestali dalej szukać. Dotychczas mieliście szczęście, bo udawało nam się uchronić was przed śmiercią. Następnym razem możemy nie zdążyć.

Obaj ruszyli w stronę drzwi. Pistolet powędrował do kabury. Cali i Mercer stali nieruchomo.

- I niech pan sobie zda sprawę, że skoro znalezienie panny Stowe nie sprawiło nam żadnych problemów, Poli Feines będzie w stanie zrobić to samo jeszcze szybciej.

- Kim jesteście? - spytał Mercer, zanim zniknęli w ciemnościach.

Niższy mężczyzna zatrzymał się i zastanawiał chwilę nad odpowiedzią.

- Janczarami - rzekł wreszcie i zniknął za drzwiami.

W holu nagle zrobiło się jakby jaśniej. Mercer odetchnął głęboko i podszedł do Cali. Oparł dłonie na jej szczupłych biodrach i spojrzał w oczy. Więcej w nich było złości niż strachu.

- Wszystko w porządku?

- Jestem wściekła! - oznajmiła i cofnęła się o krok. Jej jasna twarz pobraźniała, a uszy płonęły czerwienią. Nie potrzebowała pocieszenia, tylko ujścia dla gniewu. - Weszli do mojej sypialni przez okno, które teoretycznie jest podłączone do alarmu. Nie wiem, jak to zrobili. Byłam przecież w wojsku, a nic nie usłyszałam. Włączyli światło, a ja dalej spałam. Dopiero gdy mną potrząsnęli, obudziłam się. To był jeden z najbardziej przerażających momentów w moim życiu. Wyobraź sobie, co mogło mi przyjść do głowy. I to milczenie! Przez cały czas nie odezwali się ani słowem. To było najgorsze. Jeden podał mi ciuchy i dał znać, że mam się ubrać. Gdy wstałam z łóżka, zasłonili oczy, żeby widzieć tylko moje stopy, co mnie trochę uspokoiło, bo początkowo bałam się, że będą chcieli mnie zgwałcić. Potem zaprowadzili mnie do samochodu i ruszyli. I dalej ani słowa. Nie miałam pojęcia, dokąd jedziemy, dopóki nie otworzyłeś drzwi. A swoją drogą, co ty w sobie takiego masz, że gdzie się pojawisz, wszyscy dookoła zaczynają strzelać albo przynajmniej wyjmują broń i grożą nią sobie nawzajem? Najpierw Afryka, potem Atlantic City i wreszcie to przed chwilą.

Mówiła podniesionym głosem, co bardzo zdenerwowało Draga. Psisko przyczłapało do niej i przewróciło się na grzbiet. Cali nachyliła się i pogłaskała tłusty brzuch basseta, a potem spojrzała na Mercera.

- Nie wiem dlaczego, ale nigdy bym nie pomyślała, że możesz mieć psa.

- Drag nie jest mój, tylko Harry'ego.

- Harry jest tutaj?

- Na piętrze. Pracuje nad cholernymi gierkami s łownymi Bowiego. Ta jest trochę bardziej skomplikowana od dubletu z telegramu do Einsteina. Idź do niego na górę, a ja wyprowadzę Draga. Wrócę za kilka minut.

- Myślisz, że oni...?

- Już ich nie ma. Jestem pewien, że facet nie kłamał, kiedy powiedział, że chciał nas tylko ostrzec.

- Udało mu się? Mercer milczał chwilę.

- Nie bardzo - odparł z uśmiechem. Cali pocałowała go w policzek.

- Wybacz, że tak na ciebie naskoczyłam. Po prostu...

- Niczym się nie przejmuj. Wszystko jest w porządku.

Zanim Drag znalazł odpowiednie miejsce na siusiu, obwąchał opony wszystkich samochodów, każdą latarnię i każdy hydrant w promieniu dwóch przecznic od domu. Dopiero wtedy Mercer mógł wrócić. Tuż za drzwiami usłyszał śmiech Cali i poczuł wdzięczność dla Harry'ego.

Staruszek nalał jej szklanekę szkockiej i razem usiedli nad kodami.

- Wszystko mi opowiedziała - rzekł, kiedy Mercer podszedł do baru. - Ale wyjaśniłem jej, jak było naprawdę. No wiesz, że to ty ich wynajęłaś, bo po dobroci żadna kobieta by się tu nie pojawiła.

- Takie czasy. - Mercer zrobił zatroskaną minę.

Wszedł za bar i nalał sobie kawy, chrzcząc ją solidną porcją brandy.

- Pokazał ci szyfr? - zapytał Cali. - Czy tylko mnie obgadywaliście?

- Złamał pozostałe wskazówki.

- Tak mi się przynajmniej wydaje - powiedział Harry. - Dwa paście w liście w cztery i dwa przy we wszy w dziewięć, czyli najpierw paście, naście, kaście, kiście i liście i jeszcze przy, trzy, trze, wrze, prze, mrze, msze, mszy i w końcu wszy.

- Czyli jaki jest ten klucz? Harry zerknął do notatek.

- Dwa naście razy trzy minus osiem.

- Trzydzieści sześć minus osiem - Mercer liczył na głos - daje nam dwadzieścia osiem. Zaczęłeś już szukać słów?

- Tak - w oczach Harry'ego pojawił się cień smutku - i obawiam się, że niepotrzebnie zmarnowałem tyle czasu. Wiadomość nie ma sensu.

- A jak brzmi?

- Licząc co dwudzieste ósme słowo, otrzymujemy to - powiedział i podał Mercerowi kawałek kartki.

„Drogi Albercie, nie kola racja trans u rany owce istnieją naturalnie”.

- Rozumiesz już, co miałem na myśli? - zapytał Harry, wydmuchując obłok dymu. - Musiał mieć bardzo namieszane pod kopułą.

Mercer raz za razem czytał niezrozumiałe zdanie. Przyspieszał tempo, zwalniał, łączył wyrazy, wstawiał pauzy... Dwa budziły jakieś skojarzenia. Nie Kola. Niekola. Nikola.

- Jasna cholera!

- Co jest? - Harry i Cali podskoczyli na stołkach.

- Tesla - oznajmił Mercer i całe zdanie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zrobiło się zrozumiałe. Nagle mina mu zrzedła. - O, do diabła. Mamy problem.

- Powiesz w końcu, co tam jest?

- Drogi Albercie - odczytał Mercer. - Nikola miał rację. Transuranowce istnieją naturalnie.

- Jasna cholera! - powtórzyła za nim Cali. Nie był zaskoczony, że natychmiast zrozumiała sens tego zdania. W końcu była fizykiem.

Tylko Harry wciąż nie mógł załapać, o co im chodzi.

- Transuranowce to pierwiastki promieniotwórcze znajdujące się w układzie okresowym za uranem - wyjaśnił Mercer. - Można je otrzymać jedynie w laboratoriach przy reaktorach atomowych. Większość rozpada się po kilku sekundach. Ale jest jeden, który istnieje znacznie dłużej, całe lata. Ba, co tam lata, całe tysiąclecia! Adamant Chestera Bowiego nie był wzbogaconym uranem, tylko pieprzonym plutonem. A czysty pluton nie potrzebuje drogiego i zaawansowanego oczyszczania w wirówkach. Jest jak gotowy komponent bomby. Jak sama brudna bomba. Mokre sny terrorystów właśnie stały się rzeczywistością.

ARLINGTON, WIRGINIA

Muszę natychmiast zadzwonić do szefa - oznajmiła Cali. - Trzeba ogłosić zagrożenie bezpieczeństwa narodowego.

- Wszystko w swoim czasie - uspokoił ją Mercer. - Najpierw musimy ustalić, co tak naprawdę wiemy i czego jeszcze powinniśmy się dowiedzieć. Kiedy już będziemy gotowi, przekażesz wszystko swojemu zespołowi szybkiego reagowania na zagrożenie nuklearne, a ja polecę do Białego Domu i porozmawiam z Irami Lasko.

Cali nie wyglądała na przekonaną.

- Poza tym - mówił dalej - jest już prawie północ. Jeśli się sprężymy, raport powinien być gotowy do rana.

- No dobrze - w końcu się zgodziła.

- Harry?

- A co tam - staruszek się uśmiechnął - i tak niedługo wyśpię się za wszystkie czasy.

- Dzięki. Wiszę ci przysługę.

- Dwadzieścia tysięcy przysług. Ale kto by o tym pamiętał... - westchnął i zabrał się do pracy nad trzecią częścią listu Bowiego do Einsteina.

Mercer przygotował dzbanek słabszej niż poprzednio kawy, a Cali weszła do łazienki dla gości, żeby doprowadzić się do porządku po porwaniu. Kiedy

wróciła, miała włosy starannie spięte w koński ogon, a usta pociągnięte b lyszczikiem, podkreślającym uwodzicielskie wargi.

- Wybacz, że o to pytam, ale dlaczego masz w łazience damskie kosmetyki? - zwróciła się do Mercera.

- To Harry'ego - odpowiedział poważnie. - Ten stary świntuch jest drag queen.

- Jedna rzecz nie daje mi spokoju - Cali zmieniła temat i usiadła na sto lku przy barze. - Właściwie to nie jedna, tylko wszystkie, ale tej konkretnej zupełnie nie rozumiem. Skąd pluton występujący w naturze? Przecież to niemożliwe.

- Nieprawda. Śladowe ilości plutonu są znajdowane na całym świecie. Znacznie trudniej jest wyjaśnić nadzwyczajne ilości plutonu, które się tam znalazły. Ale chyba znalazłem odpowiedź. Słyszałaś kiedyś o Oklo w Gabonie? - Cali pokręciła głową. - Na początku lat siedemdziesiątych zespół naukowców z Francji odkrył nadzwyczajne ilości izotopów w kilku złożach uranu. Różnice nie były zbyt duże, ale znaczące. Coś musiało się stać z tym uranem. Początkowo sądzili, że próbki zostały zanieczyszczone w czasie pobierania albo już w laboratorium.

Przeprowadzili szybkie dochodzenie i okazało się, że wszystko było w porz ądku. Jednym logicznym wytłumaczeniem było, że kiedyś, potem ustalili, że jakieś dwa i pół miliarda lat temu, naturalne złożo uranu osiągnęło masę krytyczną.

- A to rozpoczęło reakcję łańcuchową - dokończyła za niego Cali. - Czyta łam o tym. Naturalny reaktor, który zachowuje się tak samo jak reaktor w elektrowni atomowej. Konieczne pierwiastki występują w nim naturalnie, a paliwem jest izotop U-235. W złożu było dostatecznie dużo wody, żeby spowolniła przebieg reakcji, bo inaczej doszłoby do eksplozji, a w skałach nie było pochłaniaczy neutronów, które mogłyby zapobiec przekroczeniu masy krytycznej.

- Dokładnie tak. Woda przepływająca przez złoża uranu była bogata w wapń, który działał jak pręty kontrolne w prawdziwym reaktorze. A sama woda chłodziła całość, podtrzymując przebieg reakcji.

- Jak długo to trwało?

- Ocenia się, że jakieś pół miliona do miliona lat.

- Rany.

- I pomyśl, żadnych protestów społecznych - zażartował Mercer.

- Myślisz, że ruda, którą odkrył Chester Bowie, pochodziła z innego naturalnego reaktora? Takiego jak ten w Oklo?

- Prawdopodobnie, ale z jedną zasadniczą różnicą. Materiał Bowiego musiał być znacznie młodszy, bo w przeciwnym razie pluton uległby rozpadowi. Okres połowicznego rozpadu plutonu wynosi około dwudziestu czterech tysięcy lat, więc na podstawie wielkości reaktora i ilości pozostałego w nim plutonu-239 dałoby się określić jego wiek. Teraz już na to za późno, ale gdybym miał strzelać, obstawiałbym kilka milionów lat, co w geologii oznacza „nie dalej niż wczoraj”.

Cali była pod wrażeniem.

- Nie pomyślałam o tym. Czy w takim razie istnieje możliwość, że gdzieś jeszcze na świecie są inne naturalne reaktory? Młodsze?

Mercer pokręcił głową.

- Wątpię. A nawet jeśli, to bardzo głęboko pod skałami. Cali się zamyśliła.

- Dziwnie się czuję, jak pomyślę, że gdybym nie zauważyła informacji o podwyższonej zachorowalności na raka, nie odkrylibyśmy naturalnego źródła plutonu.

- Ktoś zauważył inną wskazówkę.

Cali spojrzała na niego z zainteresowaniem.

- Kogo masz na myśli?

- Polego. Kiedy go zobaczyliśmy w Afryce, założyliśmy, że jest najemnikiem opłacanym przez Dayce'a. Tymczasem Dayce był tylko trybikiem, osłoną dla Polego, żeby mógł bezpiecznie znaleźć kopalnię.

- Racja! Cholera, nie pomyślałam o tym. Poli od początku szukał plutonu. Do wyjaśnienia pozostaje jeszcze wizyta dzisiejszych gości. Zaraz, jak oni się nazwali?

- Janczarzy - przypomniał Mercer.

- A kim są janczarzy?

- W czasach imperium osmańskiego stanowili elitę żołnierzy piechoty i podlegali bezpośrednio sułtanowi. Byli jednymi z najbardziej nieustraszonych wojowników w historii. Bezlitośni i pozbawieni skrupułów, stali się tak silni i wpływowi, że któryś z sułtanów w XIX wieku utworzył inne oddziały i wybił janczarów do nogi.

- Jak widać nie, bo właśnie wrócili.

- Wątpię, żeby byli prawdziwymi janczarami. Po prostu żerują na legendzie.

- Tyle że nie przypominają terrorystów, których dotychczas spotykałam. Nie mieli obłąkanych twarzy dżihadystów gotowych wysadzić się w powietrze, bo tak im każe Koran. Pomyśl. Dwa razy uratowali nam życie, najpierw w Afryce, potem w Stanach. A dziś mnie tylko przestraszyli, ale nawet nie próbowali skrzywdzić. Prawdę mówiąc, zachowywali się bardzo grzecznie, wręcz z szacunkiem. W domu zawsze śpię nago, więc kiedy wstawałam z łóżka, zasłonili oczy.

- Cali, przecież pobożny muzułmanin nie może patrzeć na nagą kobietę. - Mercer nie potrafił się obronić przed sprośnymi obrazami, które nagle pojawiły się w jego głowie. Przekonany, że domyśliła się, co sobie wyobraża, szybko się odwrócił. - Poza tym mieli broń - dodał nerwowo.

- Na początek mała uwaga. Rok w Iraku nauczył mnie, że facet to facet, niezależnie od wyznania. Jeśli ma szansę zobaczyć kawałek gołego ciała, to ją wykorzysta. Muzułmanin, żyd, chrześcijanin, bez różnicy. Ci byli inni, a na dodatek tylko chcieli nas ostrzec. Dlaczego nas nie zabili? Mieliby kłopot z głowy. Gdybym ja była terrorystką, tobym się nie wahała.

Mercer przemyślał słowa Cali i musiał przyznać jej rację. Poli Feines i jego ludzie mieli gdzie ludzkie życie. Mało tego, wydawało się, że dobrze się bawią, zabijając. Natomiast dwaj janczarzy, którzy porwali Cali, nie skrzywdzili jej. Ostrzegli tylko, że jeśli będą dalej szukać, mogą się dostać w krzyżowy ogień. Ale czego mieliby przestać szukać? Alembiku Skenderbega. Mercer nie miał zielonego pojęcia, co to jest.

- Może wiesz, co to za cudo ten alembik Skendenberga, którego niby mamy szukać? - zapytał Cali.

- Nie, nic mi to nie mówi. Masz gdzieś tutaj słownik?

- Alembik to urządzenie wykorzystywane kiedyś w bimbrowniach do destylacji - odezwał się Harry znad baru.

- Wolę nie pytać, skąd to wiesz - skomentował Mercer ironicznie. - A co ze Skenderbegiem?

- I tak bym ci nie powiedział - burknął staruszek i wrócił do notatek.

Cali poszła z Mercerem do jego gabinetu. Przed drzwiami na kredensie leżał kawałek niebieskawej skały, której przechodząc, zawsze dotykał. To był jego talizman, kimberlit, w którym wydrążone są wszystkie kopalnie diamentów na świecie. Ten fragment, z widocznym w środku diamentem, podarował mu wdzięczny właściciel kopalni z Republiki Południowej Afryki.

- Masz przepiękny dom - odezwała się Cali, kiedy włączał komputer.

- Dzięki - odpowiedział. - Dużo podróżuję, więc dom musi być dla mnie czymś szczególnym. - Połączył się z Internetem i wpisał do wyszukiwarki „Skenderbeg”. Przez kilka minut czytał coś po cichu. - Skenderbeg był albańskim przywódcą buntu przeciwko imperium osmańskiemu.

- Znów Turcy - zauważyła Cali. Podeszła do sofy pod ścianą, położyła się i przykryła narzutą.

- Na to wygląda. Skenderbeg zmarł w 1468. Powstrzymał turecką armię, dysponując pięć razy mniejszymi siłami. Przez dwadzieścia pięć lat z sukcesem bronił niepodległości Albanii. Do dziś uważają go za jednego z największych bohaterów narodowych. Coś jak średniowieczny George Washington.

- Jest tam coś o alembiku? - spytała z zamkniętymi oczyma, niemal już śpiąc.

Mercer wpisywał do wyszukiwarki różne kombinacje słów, ale niczego nie znalazł.

- Niestety nie.

Nie usłyszał odpowiedzi, więc oderwał wzrok od monitora. Cali oddychała spokojnie i równo. Spała. Wstał zza biurka i podszedł do niej. Chociaż nie była niska, udało jej się zwinąć w ciasną kulkę i leżała tak, z dłonią pod policzkiem.

Bezwiednie pomyślał o Tisie, choć kobiety nie były do siebie podobne. Tisa miała ciemne oczy, delikatne azjatyckie rysy twarzy i drobne ciało gimnastyczki. Cali była typową Amerykanką, rudą i z piegami, które pokrywały jej skórę aż do dekoltu. Domyślał się, że dalej też. Wysoka, szczupła, może nieco zbyt mało zaokrąglona, ale nadrabiała to zgrabnymi, gibkimi ruchami. A Mercer musiał zaakceptować fakt, że Cali była pierwszą kobietą od czasu śmierci Tisy, która go pociągała.

Spędzili ze sobą niewiele czasu, lecz intensywność przeżyć, które przyszło im dzielić, sprawiła, że dość dobrze ją poznał. Dostrzegł w niej konsekwencję i determinację - cechy, które szanował najbardziej ze wszystkich.

Ale to nie był czas na takie rozmyślenia.

Musiał stoczyć małą bitwę z sobą samym, żeby nie odgarnąć niesfornego kosmyka, który opadł jej na czoło. Poprawił tylko koc, przykrywając ją pod brodę, i zdjął jej buty. Miała wąskie, delikatne stopy o skórze tak jasnej, że widać było siatkę niebieskich żył pod spodem. Mruknęła coś i westchnęła, jakby zapadła w jeszcze głębszy sen. Mercer uśmiechnął się i wyszedł, ściemniając światła, żeby, gdy się obudzi w nocy, na nic nie wpadła.

Sprawdził jeszcze, czy drzwi frontowe są dobrze zamknięte, i dopiero wtedy wszedł na górę do swojej sypialni. Beretta 92 w szafce przy łóżku była piątym czy szóstym egzemplarzem tego pistoletu, jaki posiadał. Niektóre stracił w walkach, inne wciąż leżały w workach na dowody w toczących się śledztwach. Beretta to niezawodna broń, a przez lata poznał jej możliwości tak dobrze, jak znał własne. Zawsze była naładowana, ale na wszelki wypadek sprawdził. Kula spoczywała w lufie, pistolet był odbezpieczony. Wcisnął bezpiecznik i wsunął berettę za pasek na plecach. Wątpił, żeby Poli zaatakował jeszcze tej nocy, wolał jednak nie ryzykować. Jutro Harry musi wrócić do siebie, a Ira Lasko powinien zapewnić Cali i jemu jakieś bezpieczny lokal.

Zszedł do baru. Staruszek spał na sofie, a jego chrapanie przypominało rzęzenie umierającego niedźwiedzia. Drag leżał przytulony do protezy, z nosem wciśniętym w miejsce, gdzie tworzywo sztuczne obejmowało kikut nogi.

Mercer usiadł na stołku przy barze i spojrzał na notatki. Harry jeszcze nie skończył rozgryzać szyfru. Odsunął papiery i postanowił przeczytać cały list Bowiego do Einsteina. Jakoś musiał przetrwać resztę nocy bez zasypiania.

Następnego dnia w południe sekretarka Iry Lasko wprowadziła Mercera i Cali do gabinetu szefa w starym budynku biura prezydenckiego, tuż za Białym Domem. Ira wstał zza biurka i podszedł przywitać się z Cali.

- A więc to panią Mercer spotkał w Afryce, jak Stanley Livingstone'a? - Czubkiem łysej głowy ledwie sięgał jej podbródka. - Kiedy dzwonił do mnie przedwczoraj z New Jersey, wspomniał coś o Departamencie Energii.

- Jestem pracownikiem terenowym w ZRZN.
- Zagrożenia nuklearne... więc twoim szefem musi być Cliff Roberts, tak?
- Tak.
- Stary przyk.

Cali uśmiechnęła się, doceniając bezpośredniość admirała.

- Na pewno mówimy o tej samej osobie.
- Jest z marynarki jak ja. Spędziłem z nim rok w Pentagonie. Bystry jak worek ziemniaków. Stołek w ZRZN dostał tylko dzięki temu, że po jedenastym września utworzono takie biuro - powiedział i wskazując krzesła przed biurkiem, wrócił na swoje miejsce.

Miał duży i wygodny gabinet, z boazerią i miękkim zielonym dywanem. Ściany zdobiły kilka oprawionych zdjęć oraz dokumentów i amerykańska flaga. Na szafce stał model okrętu podwodnego, starej jednostki klasy Sturgeon. Zanim Lasko przeniósł się do wywiadu wojskowego, służył na pokładzie bliźniaczego okrętu.

- Powiedz mi - rzekł, spoglądając na Mercera - co było na tyle ważne, żeby odrywać mnie od partyjki golfa z przewodniczącym Kolegium Szefów Połączonych Sztabów?

- Kilkaset kilogramów plutonu, który od siedemdziesięciu lat jest przechowywany w nieznanym miejscu. - Mercer opowiedział pokrótce o naturalnym reaktorze z Oklo i przedstawił swoją teorię, zgodnie z którą złoża wzbogaconego uranu były w rzeczywistości pozostałościami po znacznie młodszych reaktorze.

- Jakie są szanse na istnienie takich naturalnych reaktorów w innych miejscach? - spytał admirał, kiedy Mercer skończył.

- Cali zadała to samo pytanie już wczoraj wieczorem. Nikle. Wydaje mi się, że to jedyny na świecie.

- Więc jak ten facet go znalazł? Powiedziałeś mi ostatnio, że albo był wyjątkowo uzdolnionym geologiem, albo miał wyjątkowe szczęście.

- Ten człowiek nazywał się Chester Bowie - przypomniał mu Mercer - i co najśmieszniejsze, nie był geologiem. Wykładał historię klasyczną w małym college'u w New Jersey. Nie szukał uranu ani plutonu, tylko kopalni, o której wzmianki znalazł w mitologii greckiej.

- Już się zgubiłem.

- Zgodnie z mitologią Zeus kazał przykuć Prometeusza do skały za nieposłuszeństwo i przekazanie ognia ludziom. Łańcuchy wykonano z niezniszczalnego metalu zwanego adamantem. Bowie myślał, że trafił na ślad kopalni, w której wydobywano ten metal. Miał jednak problem z pieniędzmi na ekspedycję, więc przedstawił swoją hipotezę koledze z Princeton. Myślał, że uczelnia z Ivy League dostrzeże celowość takiej wyprawy.

- No i się pomylił - wtrącił Ira.

- Wcale nie. Ktoś z Princeton był bardzo zainteresowany teorią Bowiego. Sam Albert Einstein. Z tego, co udało nam się ustalić, skontaktował się z nim Nikola Tesla, geniusz z Chorwacji, który wynalazł między innymi prąd zmienny, jakiego dziś używa się powszechnie na całym świecie. To była połowa lat trzydziestych zeszłego wieku. Tesla założył, że w naturze mogą istnieć pierwiastki umieszczone w układzie okresowym za uranem. Pamiętaj, że to się zdarzyło sześć lat przed eksperymentem Enrica Fermiego, który przeprowadził pierwszą samopodtrzymującą się reakcję łańcuchową, i cztery czy pięć lat przed listem Einsteina do Roosevelta, w którym informował on prezydenta o teoretycznej możliwości zbudowania bomby atomowej.

Bowie nie wiedział - ciągnął Mercer - jak wiadomość o jego prośbie dotarła do Einsteina, ale jakoś dotarła i Princeton zgodził się sfinansować wyprawę. Einstein ostrzegł Bowiego, że to, co znajdzie, nie będzie mitycznym adamantem, tylko nowym i potencjalnie bardzo niebezpiecznym pierwiastkiem. Chester uważał, że Einstein i Tesla się mylą. Tym bardziej więc pragnął udowodnić, że to on ma rację, a nie dwa największe umysły jego pokolenia.

- A czy chociaż w swojej dziedzinie był cenionym naukowcem? - spytał Ira.

Mercer zachichotał.

- Gość miał nierówno pod sufitem. Wymyślał całkowicie nieprawdopodobne teorie i nie wierzył nikomu poza sobą samym.

- Rzeczywiście, z twojej relacji wynika, że coś było z nim nie tak.

- Miał obsesje, był arogancki... można by wymieniać bez końca. - Mercer wrócił do tematu. - Kiedy dostał grant, wyruszył do Afryki i odnalazł kopalnię. Wspomniał w swoim dzienniku, że jej lokalizacja została oznaczona kamiennym obeliskiem.

- Jakim znowu obeliskiem?

- Taką rzeźbioną kolumną. Egipcjanie stawiali obeliski w miejscach swoich zwycięstw albo ważnych wydarzeń.

- Czyli obelisk postawili Egipcjanie?

- Nie sprzedajmy faktów - odparł Mercer - ale powiem ci, że oboje widzieliśmy kamienną kolumnę na centralnym placu tej afrykańskiej wioski.

Miała jakieś dwa metry wysokości i była bardzo zniszczona. Bowie zatrudnił miejscowych do pomocy przy wydobyciu rudy. Jak już wiesz, od tego czasu mieszkańcy wioski zaczęli zapadać na choroby związane z długotrwałym wystawieniem na promieniowanie radioaktywne. Bowie wydobyl tam jakieś pół tony kamieni i ruszył do miasta portowego Brazzaville. Tam uświadomił sobie, że nie jest jedyną osobą, która szukała kopalni. Dzisiaj wiemy, że było przynajmniej kilka grup zainteresowanych jego poczynaniami na Czarnym Lądzie. Sam Bowie uważał, że jego przewodnik sprzedawał informacje agentom niemieckim. Pewnie wiesz, że naziści mieli bzika na punkcie okultyzmu i rozesłali grupy agentów na poszukiwania konkretnych przedmiotów ze starożytności. Hitler potrzebował ich, żeby udowodnić swoje prawo do aryjskości. Tak właśnie weszli w posiadanie Włóczni Przeznaczenia, czyli broni, którą legionista Longinus przebił bok ukrzyżowanego Chrystusa.

- Widziałem parę filmów na ten temat - powiedział Ira. - Zaginiona Arka, Graal i te sprawy. To by się zgadzało z tym, co mówiłeś o drugiej ekipie, która kilka lat po Bowiem dotarła do wioski i wydobyla pozostałą część złoza.

- I zabiła większość mieszkańców - dodał Mercer. - Chester załadował wydobyta rudę na parowiec pocztowy „Wether-by” płynący do Chicago, bo Einstein uznał, że Fermi powinien zbadać znalezisko i ustalić, czy to naprawdę transuranowce.

- Ale dlaczego sam nie wsiadł na ten statek?

- Był paranoikiem, a poza tym przez kilkanaście tygodni bez żadnej ochrony przebywał w pobliżu plutonu. Uświadomił sobie, że ma chorobę popromienną. Poza tym cierpiał na malarię i kilka innych tropikalnych przypadłości. W jego pamiętniku jest takie zdanie: „Od tygodni moje wnętrzności wyrzucają z siebie cuchnący Styks”.

- Urocze.

- Nazajutrz po tym, jak parowiec odplynał do Ameryki, Chester cudem uniknął śmierci z rąk Niemców. W każdym razie on tak uważał. Chcieli go wciągnąć do samochodu, ale im się nie udało, bo przyszło mu z pomocą dwóch mężczyzn w ciemnych garniturach. Pojawili się znikąd, zastrzelili napastników i zniknęli.

- Domyślał się, kim byli?

- On nie, ale my tak - Mercer przerwał, czekając, aż Cali wyjaśni resztę.

- Ostatniej nocy do mojego domu włamało się dwóch mężczyzn w ciemnych garniturach. Kazali mi się ubrać i zmusili, żebym pojechała z nimi. Zawieźli mnie do Mercera i zażądali, żebyśmy przestali szukać czegoś, co nazwali alembikiem Skenderbega.

- To byli ci sami ludzie, którzy w Afryce sprzątnęli Caribe'a Dayce'a i jego bojówkarzy, a potem w Atlantic City ostrzelali Polego Feinesa, kiedy zaatakował nas w kasynie - dodał Mercer. - Sami siebie nazywają janczarami. Wyjaśnili, że znaleźliśmy się w samym centrum prastarego konfliktu, którego i tak nie zdołamy zrozumieć.

Ira uniósł dłonie.

- Poczekaj. Chcesz powiedzieć, że ludzie, którzy ocalili Bowiego w Brazzaville, to ci sami goście, którzy wyeliminowali Dayce'a?

- Nie ci sami, ale należeli do tego samego tajnego ugrupowania, które działa przynajmniej od siedemdziesięciu lat. A prawdopodobnie znacznie dłużej.

zej, bo od XV wieku. Skenderbeg, który naprawdę nazywał się Gjergi Kastrioti, był urodzonym w Albanii generałem armii imperium osmańskiego, janczarem, który w końcu się zbuntował przeciwko sułtanowi Muradowi II. Dysponując zaledwie dwudziestoma tysiącami żołnierzy, przez dwadzieścia pięć lat odpierał ataki ćwierćmilionowej armii imperium osmańskiego. Utrzymywał bliskie kontakty z Watykanem, który wspierał go finansowo, bo bronił chrześcijaństwa przed islamskimi najeźdźcami.

Co ciekawe - podjął po chwili - Skenderbeg to tłumaczenie tureckiego Iskender Bey, czyli Iskender Wielki. W naszym języku to po prostu Aleksander Wielki. Dziś rano udało mi się porozmawiać ze znawcą dziejów imperium osmańskiego, wykładowcą z Uniwersytetu Waszyngtona. Poprosiłem go o jakieś informacje na temat Skenderbega. Prawdopodobnie Skenderbeg otrzymał ten tytuł w uznaniu militarnego talentu, którym miał jakoby dorównywać samemu Aleksandrowi. Ale istnieje też inne wyjaśnienie, którego niestety nie da się już zweryfikować. Podobno Skenderbeg zdobył jakiś talizman, który Aleksander miał ze sobą w czasie bitwy z Dariuszem III pod Arbela w 331 roku przed naszą erą. Talizman ten miał ponoć pozwalać wodzowi pokonywać armie dziesięć razy większe niż ta, którą on sam dysponował.

- Co to był za talizman?

- Mój rozmówca nie wiedział, ale podejrzewam, że to ten alembik, o którym mówili janczary. Ustaliłem też, że największym specjalistą od Skenderbega jest turecki historyk Ibriham Ahmad. Próbowałem się do niego dodzwonić, ale bez skutku, więc tylko zostawiłem mu wiadomość.

- Mamy za to pewną teorię - włączyła się Cali. - Przed ostatnią bitwą z Dariuszem III Aleksander najechał Egipt i obalił perskiego władcę. Zgodnie z przekazami, ludzie witali go bardzo przyjaźnie i bez oporów pomogli zbudować miasto Aleksandria, to, w którym znajdowała się słynna biblioteka. W czasie pobytu w Egipcie Aleksander Wielki udał się do świątyni Zeusa-Amona gdzieś na Pustyni Libijskiej. Tamtejsza wyrocznia wyjawiała mu, że jest synem Amona, głównego bóstwa egipskiego, i tym samym bogiem. Rok później Aleksander pokonał Dariusza.

- Na razie wszystko rozumiem - powiedział Ira.

- A teraz najważniejsze: co, jeśli Aleksander otrzymał podczas wizyty w świątyni także inny dar? Na przykład informację, jak wykonać broń godną boga? Handel na całym wybrzeżu Afryki Północnej był wtedy bardzo dobrze rozwinięty. Całkiem możliwe, że któryś z kapłanów dowiedział się o magicznych kamieniach, które mogą pozbawić całą armię woli walki i przekazał Aleksandrowi, gdzie może je znaleźć.

Przypuszczamy - ciągnął Mercer - że to on wysłał do środkowej Afryki kamienną kolumnę, którą widzieliśmy w wiosce nad rzeką Scilla. Tam pewnie wydobyli nieco plutonu, a obelisk zostawili na pamiątkę.

- Później Aleksander wyruszył przeciwko Dariuszowi uzbrojony w bombę radiologiczną domowej roboty - wyjaśniła Cali. - Z relacji historyków wynika, że bitwa była bardzo dokładnie przygotowana. Obaj wodzowie wiedzieli, kiedy i gdzie będą walczyć. Możliwe, że na kilka dni przed rozpoczęciem bitwy Aleksander potajemnie rozsypał radioaktywny pył wokół obozu przeciwnika. Jego ludzie musieli się zabezpieczyć przed wdychaniem go, natomiast żołnierze Dariusza nie mieli pojęcia, co się święci, i zapadli na chorobę

popromienną. Nie umarli od niej, ale byli na tyle osłabieni, że mniejsza armia Aleksandra zmiotła ich z pola bitwy.

- Teraz przenieśmy się o siedemnaście wieków naprzód, do Albanii - Mercer dał Cali odetchnąć. - Mamy tutaj generała, który zatrzymuje pochód wielkiej armii na dwie i pół dekady, a korzysta przy tym z pomocy talizmanu, który niegdyś należał do Aleksandra Wielkiego. Uważamy, że Skenderbeg wykorzystał alembik do zatrucia armii imperium dostateczną dozą promieniowania, żeby ją pokonać.

- Co się stało z Skenderbegiem?

- Zmarł w 1468 roku z przyczyn naturalnych. Jego ludzie bronili się jeszcze przez dziesięć lat, ale w końcu musieli ulec.

- A alembik? - w głosie admirała słychać było sceptycyzm.

Mercer wzruszył ramionami.

- Mam nadzieję, że profesor Ahmad ze Stambułu będzie potrafił udzielić odpowiedzi na to pytanie.

- Admirale Lasko - powiedziała Cali - wiem, że to brzmi mało wiarygodnie, ale w swoim dzienniku Bowie zapisał zdanie, które łączy oba te wydarzenia. Kiedy wyjechał z Brazzaville nazajutrz po próbie porwania, skierował się właśnie do Aleksandrii. Wspomniał wtedy, że gdyby miał jeszcze kilka dni, udałoby się mu odnaleźć ukryty grobowiec Aleksandra Wielkiego. To wskazuje, że zdawał sobie sprawę ze związku między swoim odkryciem a wielkim Macedończykiem.

- Stamtąd - mówił dalej Mercer - popłynął parowcem do Europy i zrobił coś, na co poszukujący go naziści nigdy by nie wpadli. Wiedział, że umiera, więc chciał się jak najszybciej dostać do Stanów i przekazać Einsteinowi swoje odkrycie. Z Aten wysłał do niego telegram i dostał odpowiedź, by skontaktował się z Ottonem Hahnem, fizykiem nuklearnym, który wiele lat później dostał Nagrodę Nobla za to, że pierwszy rozszczepił jądro atomu uranu.

- Hahn nie był nazistą - wtrąciła Cali. - Odmówił współpracy nad niemiecką bombą atomową, więc kiedy Einstein skontaktował się z nim i opowiedział o Chesterze, zrobił wszystko, żeby pomóc mu wrócić do Stanów. I wybrał najszybszą drogę: na pokładzie „Hindenburga”.

- Chcecie mi powiedzieć, że Bowie leciał nim, kiedy sterowiec uległ katastrofie?

Mercer skinął głową.

- A to z kolei oznacza, że teoria, w myśl której katastrofa „Hindenburga” to nie był zwykły wypadek, tylko sabotaż, może okazać się prawdziwa. Tyle tylko że zamachowcom chodziło nie o skompromitowanie Niemiec, a o niedopuszczenie do przekazania Einsteinowi plutonu.

- Chryste - jęknął Ira. - Niby kto miałby to zrobić?

- Ja bym obstawiał samych Niemców. Dlaczego? Już wyjaśniam. Na ostatniej stronie pamiętnika Bowie pisze o oficerze, który przyszedł do jego kabiny. Chester zabił go, myśląc, że naziści wpadli na jego trop i nie wypuszczą go z pokładu. Właśnie wtedy spisał całą swoją historię i ukrył notatki w sejfie. Do klamki przywiązał tekturkę z nazwiskiem Einsteina i wyrzucił sejf przez okno. Ale stawiam na Niemców przede wszystkim dlatego, że sterowiec był spóźniony i z powodu burzy poleciał do Lakehurst. Może kapitan dostał rozkaz przedłużenia lotu, bo nazistowscy dygnitarze musieli

wymyślić, co zrobić? Być może o tym nie wiedzieliście, ale po katastrofie Niemcy kategorycznie odrzucili wszelką pomoc i nie pozwolili nikomu zbliżyć się do szczątków. Wysłali specjalny zespół, który miał ściągnąć resztki sterowca do kraju. Może myśleli, że odnajdą tam sejf Chestera. Ale on wyprzedził ich o krok. Sejf opuścił pokład „Hindenburga” nad Waretown w New Jersey.

- Ja z kolei myślę, że to byli janczarzy - Cali podsunęła inne rozwiązanie. - Uświadomili sobie, że popełnili błąd, pozwalając Bowiemu odejść po zamachu w Brazzaville. Jakoś się dowiedzieli, że będzie leciał „Hindenburgiem”, i przy pomocy swoich ludzi w Stanach zniszczyli sterowiec.

Ira podrapał się po tyłej głowie.

- W takim razie podsunę wam jeszcze trzeciego kandydata, który może namieszać w waszych teoriach - mówiąc to, sięgnął do szuflady, wyjął z niej niewielki przedmiot i położył na podkładce.

Mercer natychmiast rozpoznał, co to jest.

- To ta kula, którą dała nam staruszka w Afryce.

- Wysłałem ją do laboratorium FBI w Quantico - wyjaśnił Ira. - To, moi drodzy, nie jest niemiecka kula, tylko pocisk do pistoletu maszynowego PPSz, który, o czym macie prawo nie wiedzieć, był standardowym wyposażeniem armii radzieckiej w czasie II wojny światowej.

- Sowieci? - zapytali jednocześnie Cali i Mercer, a potem w pomieszczeniu zapadła cisza.

Tego Mercer się nie spodziewał. Był przekonany, że Bowiego prześladowali Niemcy. O ile wiedział, Związek Radziecki nie miał w ogóle programu nuklearnego do lat czterdziestych, kiedy Sowiecom udało się zinfiltrować „Projekt Manhattan”. Po co byłby więc im pluton pięć lat wcześniej? Już chciał o to zapytać, ale pierwsza odezwała się Cali.

- Ależ to ma sens! - wykrzyknęła. - Wiemy, że agenci sowieccy szpiegowali w Los Alamos, bo w końcu zdobyli plany bomby. Stalin wiedział o naszym programie nuklearnym więcej niż Truman, kiedy spotkali się w Poczdamie i prezydent wspomniał, że mamy broń, która zakończy wojnę. Wielu naukowców do dziś zastanawia się, w jaki sposób Sowiecom udało się skonstruować własną bombę atomową niemal natychmiast po kapitulacji Japonii. Spodziewaliśmy się dziesięcioleci przewagi, a oni już po czterech latach byli z nami łeb w łeb.

Cała europejska część Związku Radzieckiego została zniszczona w czasie wojny - mówiła dalej. - Miasta zrównano z ziemią, a miliony ludzi straciło domy. Sowieci nie otrzymali nic z pomocy, którą udzieliliśmy Europie na odbudowę. Nawet gorzej, bo musieli wykładać pieniądze na utrzymanie kontroli nad Europą Wschodnią. Nie mieli środków, żeby nakarmić ludność, odbudować kraj i okupować kilka innych, tym bardziej więc nie mieli miliardów dolarów na zbudowanie własnej bomby atomowej. Nawet z planami, które wykradli, potrzebowali niesamowitych ilości różnych materiałów, urządzeń i siły roboczej - przerwała i spojrzała na Mercera. - A może nie musieli zdobywać tych materiałów? Jeśli Sowieci zdobyli przed wojną trochę plutonu z kopalni w Afryce, to skonstruowanie bomby kosztowało ich znacznie mniej czasu i pieniędzy. Prace zajęłyby im maksymalnie cztery lata i nie musieliby oszczędzać na ludziach.

- Jest w tym jakaś logika - powiedział Ira w zamyśleniu. - Mam sporo kontaktów w Rosji, a od kiedy upadł komunizm, są bardzo otwarci i nie blokują dostępu do wielu tajemnic z tamtych czasów. Zapytam i postaram się dowiedzieć, czy macie rację. - Spojrzał na Mercera. - A ty? Co zamierzasz z tym zrobić?

- Cali rozmawiała ze swoim przełożonym. Teraz zajmują się ustaleniem, gdzie może się znajdować zaginiony parowiec „Wetherby”.

- A skąd wiecie, że zaginął?

- To proste. W żadnej książce z dziedziny historii i fizyki nie ma informacji, że Enrico Fermi eksperymentował z plutonem już w latach trzydziestych. To wskazuje, że nie dostał materiału wydobytego przez Chestera, co z kolei oznacza, że „Wetherby” w którymś momencie zniknął. Poza tym sądzę, że ktoś powinien dokładnie obejrzeć kamienny obelisk, który znaleźliśmy w wiosce przy kopalni. Być może zawiera informacje, ile rudy wydobyli ludzie Aleksandra.

- Czy to ważne? - zapytał admirał. - Przecież to się wydarzyło tysiące lat temu.

- Jeśli Aleksander posiadał bombę radiologiczną albo urządzenie do rozsiewania plutonu, to pewnie bez znaczenia. Tyle że janczarzy, którzy porwali Cali, wspominali o alembiku, jakby wciąż gdzieś leżał i tylko czekał, aż ktoś go znajdzie i użyje.

- Sam mówiłeś - odparł Ira - że tamten rejon Republiki Środkowoafrykańskiej wciąż jest niespokojny. Nie chcę wysłać tam ludzi, chyba że uznasz to za absolutnie konieczne.

Mercer zaklął w myślach. Nie sądził, żeby Lasko celowo zrzucił odpowiedzialność na jego barki. Raczej był po prostu ostrożny. Poza tym ostatecznie odpowiedzialność i tak spadnie na niego, zwłaszcza jeśli coś pójdzie nie tak. Jak śmierć Sereny w kasynie. Jak Tisa i tuzin innych śmierci. Czuł ich ciężar na swoich ramionach. Czuł, że przygniatają go do ziemi. A gdyby powiedzieć Irze, żeby dał sobie spokój i nie wysyłał oddziałów specjalnych na tereny objęte wojną domową? Wyszedłby z tego z minimalnymi wyrzutami sumienia. Ale to nie byłoby właściwe.

Nie miało znaczenia, czy kolumna nie okaże się niczym więcej niż odpowiednikiem dzisiejszych napisów w stylu „Tu byłem, Tony Halik”. Musiał ustalić prawdę niezależnie od kosztów.

- Tak - powiedział w końcu. - To bardzo ważne.

- W takim razie załatwione - odparł Ira zdecydowanym głosem.

BUFFALO, NOWY JORK

Kiedy tylko odrzutowa cessna citation zatrzymała się w pobliżu hangarów, Mercer pociągnął za kłamekę i otworzył drzwi. Mgła tak gęsta, że niemal kapała niczym deszcz, spowijała międzynarodowy port lotniczy Niagara w Buffalo, zmieniając światła pasa startowego w rozmyte plamy. Świt był jeszcze tylko obietnicą, która czaiła się gdzieś za horyzontem. Chwycił skórzaną teczkę i nie zakładając kaptura sportowej kurtki North Face, wysiadł z samolotu. Ledwie znalazł się na dworze, błyszczące kropelki wody osiadły na jego włosach.

- Doktor Mercer? - zawołał jakiś mężczyzna ukryty w wejściu do budynku.

- We własnej osobie - odparł i ruszył po mokrym asfalcie w jego stronę, nie zwracając uwagi na warte miliony dolarów prywatne odrzutowce, które parkowały dookoła jak samochody pod supermarketem. Nie usłyszał kolejnych słów nieznajomego, bo startujący boeing 737 zaryczał silnikami i wzbił się w powietrze.

- Proszę powtórzyć, bo nie dosłyszałem - powiedział, kiedy znalazł się w szklanym przedsionku terminalu.

- Mówiłem, że pana samochód czeka na podjeździe przed głównym wejściem.

- To miło, dziękuję - ucieszył się Mercer i ruszył za szefem obsługi prywatnych odrzutowców, który poprowadził go przez hol, wyludnione poczekalnie i w końcu do głównych drzwi. Czarna limuzyna lincoln czekała przy krawężniku, mrużąc włączonym silnikiem. Kierowca siedział na przednim siedzeniu i wypatrywał swojego pasażera.

Mercer nie czekał, aż otworzy mu drzwi. Złapał za klamkę, wrzucił swój bagaż na tylne siedzenie i usiadł na przednim, obok szofera.

- Cześć - pozdrowił zaskoczonego kierowcę. - Wybacz, ale nie jestem dość ważny, żeby traktować mnie jak gwiazdę. Wolę usiąść z przodu i sobie pogadać.

- Gość przylatuje prywatnym odrzutowcem i twierdzi, że nie jest grubą rybą. Ja tam się nie znam, ale nigdy was do końca nie zrozumiem. - Kierowca dodał gazu i potężny lincoln zaczął się toczyć do wyjazdu z kompleksu budynków lotniska.

Wkrótce znaleźli się na międzystanowej 33 i pognali na zachód, w kierunku magazynów wznoszących się wzdłuż rzeki.

Kierowca zwolnił i zatrzymał się na nabrzeżu między dwoma halami z blachy. Mercer wyjrzał przez okno i zobaczył grupkę ludzi przy trapie dużej, płaśkodennej barki. Pojedyncza latarnia górująca nad nimi dawała niewiele światła. Na pokładzie barki znajdował się dźwig z długim ramieniem. W połączeniu z masywną skorupą łodzi wyglądał jak nowoczesna machina wojenna. Obok kołysał się przycumowany do burty niewielki holownik. Od linii wody do obracającego się radaru było nie więcej niż trzy i pół metra.

Cali Stowe stała koło sporo wyższego od niej mężczyzny. Zauważyła Mercera, kiedy wysiadł z samochodu, i pomachała mu na powitanie. Miała na sobie wiatrówkę i czapkę z daszkiem. Obcisłe dżinsy podkreślały smukły kształt jej nóg.

Mercer wziął swoją torbę z tylnego siedzenia, podziękował kierowcy i ruszył w stronę trapu. Mżawka ustała, a świt był już zaledwie o krok. Powietrze pachniało rześko, przynosząc zapach jeziora Erie.

- Witam w Buffalo. - Cali się uśmiechnęła.

Nie widzieli się od czterech dni, od spotkania z Iżą Lasko. Musiał się powstrzymać, żeby nie pocałować jej w policzek. Gdyby byli sami, nie zawahałby się.

- Pozwól, że cię przedstawię - powiedziała. - Philip Mercer, mój szef, Cliff Roberts.

Ani Cali, ani Ira nie mieli o nim dobrego zdania, więc Mercer czuł, że też go nie polubi. Roberts miał szarobrazowe włosy i pełną pozbawioną wyrazu twarz - z wyjątkiem ust, bo cały czas robił minę, jakby wypił coś kwaśnego. Stał w takiej pozycji, żeby rozchylone poły płaszczka odsłaniały metkę z napisem Burberry. Nie spojrział Mercerowi w oczy, kiedy się witali, a uścisk jego dłoni był pozbawiony mocy.

- Cieszę się, że jest pan z nami - Roberts siłł się na przyjazny ton, ale z każdego jego słowa wyczierała niechęć do gościa. Uważał, że od początku była to operacja ZRZN i taka powinna pozostać, na wypadek gdyby opinia publiczna miała się o niej dowiedzieć.

- Ja również się cieszę, że mam taką możliwość - odparł Mercer. - Admirał Lasko potrzebował obserwatora, a ja akurat byłem wolny.

Roberts nie skomentował jego słów.

- Ci dwaj - wtrąciła szybko Cali - to Jesse Williams i Stanley Slauchbaugh. Należą do zespołu. Stan zrobił doktorat na Stanfordzie, a Jesse dołączył do nas, kiedy znudziło mu się niańczenie arsenału nuklearnego w lotnictwie.

Mercer uścisnął im dłonie i uważnie przyjrzał się Jesse'owi Williamsowi.

- Czy przypadkiem nie grałeś w drużynie Akademii Lotnictwa?

- Niezłą masz pamięć, stary. - Williams się uśmiechnął. - Ile to już lat, piętnaście? Pięciu punktów zabrakło nam wtedy do Pucharu Heismana.

- Mam przyjaciela, który nałogowo obstawia zakłady sportowe - Mercer mówił o Tinym. - Twierdzi, że najwięcej forsy w życiu wygrał na waszym zwycięstwie z Michigan State w rozgrywkach Cotton Bowl.

Williams posmutniał.

- Dobry mecz, ale właśnie wtedy rozwaliłem sobie achille-sa i mogłem zapomnieć o zawodownstwie.

- A to jest komandor podporucznik Ruth Bishop ze Straży Przybrzeżnej - Cali nie interesowały rozmowy na temat futbolu amerykańskiego. - Ma pilnować, żeby wszystko odbywało się zgodnie z przepisami dotyczącymi wydobywania wraków i jednocześnie będzie odpowiedzialna za kontakt z kanadyjskim odpowiednikiem, bo „Wetherby” leży bardzo blisko granicy.

Ruth była niewysoka, miała włosy przyprószone siwizną, niebieskie oczy i delikatną linię zmarszczek wokół ust. Mercer pomyślał, że to od częstego uśmiechania się. Zanim się z nim przywitała, spojrzała na Cali, jakby wcześniej o nim rozmawiały.

- Traktuj mnie jak druhnę drużynową - powiedziała, uśmiechając się szeroko. Sprawiała wrażenie ciepłej i sympatycznej. - Jeśli nie będziesz czegoś pewien, po prostu zapytaj, czy ci wolno.

- Jeśli będę chciał do toalety, też? Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Jeżeli ładnie poprosisz, dam ci przepustkę. Tylko nie załatwaj się na kanadyjską stronę. Są bardzo drażliwi na tym punkcie.

- Tak jest! - roześmiał się Mercer.

- Ruth jest przy okazji również specjalistką od historii „Wetherby” - dodała Cali. - Już cztery razy schodziła pod wodę na eksplorację wraku.

- Ostatni raz kilka lat temu - przypomniała Bishop.

- W jakim jest stanie? - zapytał Mercer. - Albo może najpierw powiedz, czy wiesz, dlaczego statek poszedł na dno i co to była za jednostka - dodał, zanim Ruth zdążyła odpowiedzieć na pierwsze pytanie.

- Zacznę od początku. „Wetherby” był czarterowym parowcem. Miał tylko siedemdziesiąt metrów długości i dziesięć wysokości. Kocioł węglowy i pojedyncza śruba, o którą, z tego, co zdążyłam zobaczyć, od wodowania raczej nikt nie dbał. Ale za to w czasie I wojny światowej pełnił służbę na morzu i pływał w konwojach. Dopiero potem okazał się nieco przestarzały i spokojnie czekał na swój koniec.

- A co się stało, zanim dotarł do Buffalo?

- „Wetherby” przybył tutaj w nocy dziewiątego sierpnia 1937. Wiózł jakieś maszyny, które miały trafić do Cleveland. Z Buffalo miał dotrzeć do Detroit,

Milwaukee i wreszcie do Chicago. Z tego, co mówiła Cali, tam miał dostarczyć interesujący was ładunek.

- Zgadza się.

- Wczesnym rankiem dziesiątego sierpnia rozładowywano baryłki z olejem napędowym, które przewiózł z Montrealu. Dalej, do St. Lawrence, miały popłynąć inną jednostką. W czasie przenoszenia towaru w ładowni wybuchł pożar. Statek zatonął i nie było możliwości ustalenia prawdziwych przyczyn. W raporcie oparto się więc na zeznaniach naocznych świadków, którzy twierdzili, że pożar spowodowało uderzenie pioruna.

- To się nie trzyma kupy - uznał Mercer.

- No właśnie. Owszem, podczas rozładunku padał deszcz, ale nikt poza ludźmi w ładowniach nie widział błyskawicy. Możliwe, że było to wyładowanie statyczne, od którego zajęły się baryłki z paliwem. Ale jeśli mam być szczerą, obstawiałabym zaproszenie ognia. Upuszczony niedopałek, jedna nieszczęlna beczka i bum. - Machnęła rękami, imitując eksplozję.

- Ilu ludzi zginęło?

- Sześciu w ładowniach, w tym drugi oficer Kerry Frey. Na nabrzeżu zginęła jedna osoba, jakiś lokalny włóczęga. Półtora kilometra w dół rzeki znaleziono jeszcze jedno ciało, ale nie udało się go zidentyfikować.

- Jakies podejrzenia, kto to mógł być?

- Nie. Nikogo nie brakowało. Ostatecznie stwierdzono, że jego śmierć nie miała związku z wybuchem na „Wetherby”, bo nie znaleziono śladów oparzeń. Ale ja myślę, że to zbyt wielki zbieg okoliczności.

Mercer zerknął na Cali i napotkał jej wzrok.

- Janczarzy - powiedział bezgłośnie, ale ona tylko wzruszyła ramionami. - Proszę mówić dalej - zwrócił się do Ruth Bishop.

- Kiedy okazało się, że ogień wymyka się spod kontroli, operator dźwigu na nabrzeżu spanikował. Wyskakując z kabiny, zahaczył o dźwignię, która uwolniła podwieszoną na haku paletę z baryłkami. Paliwo wpadło w sam środek szalejących płomieni, eksplodowało i wyrwało dziurę w burcie „Wetherby”, jakby trafiła go torpeda.

Mercer nie powiedział tego głośno, ale był pewien, że opowiadała tę historię już mnóstwo razy; pauzy i dramatyzm w głosie wymagały praktyki.

- „Wetherby” przechylił się na bok, oparł o nabrzeże i przewrócił na drugą stronę, zrywając cumy. Jedna osoba została ranna od uderzenia grubą liną. Facet stracił rękę, ale poza tym nic mu się nie stało. A jego siostrzenica została komandorem podporucznikiem w Straży Przybrzeżnej.

Minęło kilka sekund, zanim Mercer zrozumiał, kogo miała na myśli.

- Aha, to stąd takie zainteresowanie katastrofą parowca?

- Wujek Ralph wiele razy opowiadał mi tę historię. Zanim skończyłam dziesięć lat, znałam ją na pamięć. - Ruth się uśmiechnęła.

- Czyli na razie mamy pożar i kapotaż?

- Tak. Prąd porwał statek, zanim zdążył zatonać, i zaczął go spychać w kierunku wodospadu. Parowiec leżał na burcie, więc zmieścił się pod mostem kolejowym, który przecinał rzekę między Fort Erie i Buffalo, a potem pod Peace Bridge. Świadkowie, którzy stali na tym moście, mówili, że wyglądało to, jakby cała rzeka płonęła. Plama palącego się oleju popłynęła aż do wodospadu. Turyści zeznali potem, że myśleli, iż to część show. „Wetherby” dopłynął do Grand Island i tam kilka razy osiadał w dnie. Raz zatrzymał się

na dwie godziny. W końcu prąd wypchnął go i poniósł dalej, w kierunku wodospadu. Statek ostatecznie poszedł na dno na wysokości północnego krańca Grand Island w kanale Chippawa. A że nieszczęścia chodzą parami, spoczął w najgłębszym miejscu rzeki, dwudziestometrowym zapadlisku powstałym w czasie, kiedy lodowce formowały rzekę i wodospady.

Mercer przypomniał sobie, że wodospady Niagara istnieją dopiero od ostatniego zlodowacenia, czyli kilkanaście tysięcy lat. Mgnienie oka z punktu widzenia geologa.

- W jakim jest teraz stanie?

- Leży na burcie, dwadzieścia metrów pod powierzchnią. Górna część kadłuba trzyma się całkiem nieźle. Słodka woda nie działa tak korozyjnie jak słona. Gorszy wpływ ma silny prąd, bo wali we wrak kamieniami, balami drewna i generalnie wszystkim, co spływa z jeziora Erie. Kiedy ostatnio tam nurkowałam, czyli jakieś dziesięć lat temu, w nadbudówkę był wbity spory pień dębu.

- A jak się tam nurkuje?

- Jak w piekle - odezwał się nowy głos.

- Pan Crenna. - Cali przywitała się z nowo przybyłym, a potem przedstawiła go reszcie grupy. - To jest Brian Crenna z firmy Erie Salvage and Dredging. Będzie odpowiedzialny za barcę i holownik.

Crenna był krępy, niewysokim mężczyzną z wydatnym brzuchem i czarną brodą. Miał na sobie roboczy kombinezon i buty z metalowymi czubkami. Muskularnym ramieniem przytrzymał kask, wyciągając na powitanie drugą dłoń. Mercer zauważył, że nie ma małego palca, i na dodatek nie wyglądał na zadowolonego, że musi brać w tym udział.

- Dlaczego pan tak uważa? - spytał, Crenna splunął, zanim odpowiedział.

- Bo tamtędy przepływa sześć tysięcy metrów sześciennych wody na sekundę. To ponad sześć tysięcy ton. W niektórych miejscach prąd osiąga dwa węzły, w innych osiem. Gdy wiatr wieje od Erie, ilość wody w rzece wzrasta o dziesięć do dwudziestu procent. Kiedy wieje od Ontario, jest nieco lepiej. Ale są dni, kiedy warunki zmieniają się co kilka godzin, więc nie da się przewidzieć, jak tam będzie. Poza tym ostatniej zimy było wyjątkowo dużo śniegu i rzeka do dziś ma podniesiony poziom. W zapadlisku, gdzie osiadł „Wetherby”, pełno jest wirów i miejsc, w których prąd zawraca. Jeśli wiecie cokolwiek o nurkowaniu, to chyba rozumiecie, że to naprawdę piekło - przerwał, spodziewając się komentarzy. Nikt nic nie powiedział, więc kontynuował: - I nie zapominajcie, że kilka kilometrów dalej jest całkiem spory wodospad.

- Dziękuję za informacje - powiedział oficjalnym tonem Cliff Roberts.

- Zgodziłem się na tę fuchę - odparł Crenna - bo uznałem, że to dobra oferta. Ale przemyślałem wszystko i uważam, że powinniśmy poczekać, aż woda trochę opadnie i będziemy mieli kilka dni ładnej pogody.

Roberts się wyprostował. Był wyższy od Crenny zaledwie o kilka centymetrów, więc nie zrobił na nim wrażenia.

- Został pan wynajęty przez rząd Stanów Zjednoczonych - oznajmił. - Ta operacja ma ogromne znaczenie. Płacimy panu za pomoc w podniesieniu z dna pewnego ładunku. To, co pan o tym myśli, jest pana prywatną opinią, którą lepiej niech pan zachowa dla siebie. A teraz proszę zabrać się do roboty, za którą bierze pan duże pieniądze.

Mercer spodziewał się, że Crenna posłusznie wróci na barkę. Sam by się tak zachował w podobnej sytuacji. No, może rzuciłby jakiś komentarz. Crenna jednak nie ruszył się z miejsca. Nie spuszczał wzroku z Robertsa i wydawało się, że widać, jak myśli. Koniec końców zdecydował, że pieniądze są ważniejsze niż to, co myśli o współpracy z kimś takim jak szef ZRZN.

- Pan też płynie? - spytał.

- Nie - odrzekł Roberts takim tonem, jakby pytanie było absurdalne. - Muszę wracać do Waszyngtonu.

Crenna znów splunął.

- To dobrze.

- Może przedstawi pan swój plan panu Mercerowi? - Cali chciała rozładować napięcie, bo testosteron niemal unosił się w powietrzu. - Dopiero przyjechał i nie jest wtajemniczony.

Crenna zerknął na niego z ukosa.

- Jeszcze jeden ważniak z Waszyngtonu?

- To nie moja wina, że tam mieszkam - odparł Mercer. - Jestem praktykującym geologiem.

- Zauważyłem pana ręce, jak się witaliśmy - powiedział Crenna, spoglądając znacząco na Robertsa. - Od razu widać, że roboty się pan nie boi.

Mercer znał ludzi jego pokroju. Kiedy jeździł do kopalni jako doradca, równie dużo czasu spędzał w towarzystwie członków zarządu, co zwykłych, twardych górników. Większość rozumiała, że każdy ma swoje zadanie do wykonania, ale zawsze znalazło się kilku takich, którzy uważali się za zbyt ważnych, żeby współpracować. Nie ma nic z tego w byciu dumnym z tego, kim się jest. To zdrowe podejście. Ale bardzo nie lubił cechy, którą na pierwszy rzut oka widać było i u Robertsa, i u Crenny - lekceważenia innych.

- Słucham, panie Crenna. Jaki mamy plan?

- Kapitanie.

- Tak jest, kapitanie.

- Kiedy pojawi się moja załoga - zaczął Crenna - przeholujemy barkę z dźwigiem pod mostami i w dół rzeki na miejsce. Jak pan widzi, zestaw jest niski, bo pod mostami nie ma za dużo miejsca. Zatrzymamy się nad „Wetherby”, zrzucę kotwice hydrauliczne i dopiero wtedy zaproszę was na pokład. Nie chcę nikogo tam widzieć, dopóki nie będziemy pewnie stali. - Cali chciała zaprotestować, ale nie dał jej dojść do słowa. - Ja rządę na mojej łodzi, więc nie ma dyskusji. Potem wyślę nurków na dół, żeby wybrali najlepszą drogę do środka.

- Chyba nie zamierza go pan podnosić w całości?

- Nie mogę ryzykować. Kadłub będzie dla prądu jak żagiel - wyjaśnił Crenna. - Wyrwałoby kotwice.

Mercer skinął głową. Crenna znał się na rzeczy.

- Prawdopodobnie będziecie musieli ciąć kadłub, żeby wejść do środka i wydobyć skrzynie.

- To nie powinno być trudne - odparł kapitan. - Przy odrobinie szczęścia do jutra rana wyciągniemy te skrzynki na powierzchnię. Pod warunkiem, że one tam są. Całkiem możliwe, że wypadły, gdy wrak dryfował po eksplozji, i teraz leżą na dnie dziury pod wodospadem. A ta cholera jest głębsza, niż wodospad jest wysoki.

Mercer zastanawiał się nad tym już wcześniej, kiedy Cali powiedziała mu o znalezieniu parowca na dnie rzeki. Ale nawet gdyby pluton leżał gdzieś pod wodospadem, i tak uważał to odkrycie za największy sukces w całym śledztwie.

Profesor Ahmad ze Stambułu odpowiedział na jego wiadomość. Ira też nie przestawał działać. Skontaktował się z rosyjskimi władzami i wyciągał z nich, ile tylko się dało, na temat operacji w Republice Środkowoafrykańskiej. W międzyczasie organizował zespół, który miał udać się do wioski i dokonać oględzin kolumny. Admirał wyjaśnił wszystko swojemu szefowi, doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego Johnowi Kleinschmidtowi, ale na razie żadnemu z nich nie udało się przekonać Pentagonu do wysłania sił specjalnych do Afryki. A oficjele z Departamentu Stanu, których wtajemniczono w sprawę, zasłaniali się poszanowaniem suwerenności Republiki. Ira twierdził, że jeśli tak dalej pójdzie, będzie musiał porozmawiać z prezydentem i namówić go do wydania oficjalnego polecenia.

Ale przynajmniej z „Wetherby” im się poszczęściło. Cali bardzo szybko ustaliła, że parowiec zatonął na rzece Niagara, na północ od Grand Island. Wrak był doskonale znany nurkom z okolic Buffalo, kiedy więc skontaktowała się z kołem miłośników lokalnej historii, podano jej nazwisko Ruth Bishop jako największego specjalisty od tego wraku. Jeśli miała jakiegokolwiek wątpliwości, czy to właściwa osoba, jeden telefon do Straży Przybrzeżnej je rozwiął.

Ruth opowiedziała Cali o swoich nurkowaniach do wraku i pomogła znaleźć właściciela barki z podnośnikiem, który zgodził się wziąć udział w wydobywaniu ładunku. Cliff Roberts wykorzystał swoje wpływy, żeby usunąć przeszkody biurokratyczne, które co krok stawały im na drodze, i dzięki temu już kilka dni po ustaleniu lokalizacji parowca Cali była gotowa do wydobywania próbek wysłanych z Afryki przez Chestera Bowiego.

Mercer nie mógł wyjść z podziwu, jak łatwo jej wszystko szło. Równie skomplikowana ekspedycja, w dodatku na samej granicy z innym państwem, normalnie kosztowałaby miesiące, jeśli nie lata starań, przekonywania i uzgodnień. Znowu na nią spojrzął. Blade światło wschodzącego słońca wydobywało z mroku coraz więcej szczegółów. Zobaczył, że Cali ma zmęczoną twarz i głęboką zmarszczkę na czole. Musiała zauważyć troskę w jego spojrzeniu, bo uśmiechnęła się i puściła do niego oko.

Czekając na załogę barki, Mercer załatwił kilka telefonów, a piętnaście minut później obie łodzie odbiły od nabrzeża i ciągnąc za sobą smugę niebieskiego dymu, ruszyły w dół rzeki. Niedaleko portu brzegi spinał most kolejowy zawieszony tak nisko, że Mercer obawiał się, czy holownik się pod nim zmieści.

- Na mnie już czas - oznajmił Cliff Roberts, jakby uważał, że ktoś będzie chciał go zatrzymać. - Cali, kiedy dźwig dotrze na miejsce, co godzinę chcę mieć raport z sytuacji. - Skinieniem głowy pożegnał się z Mercerem i Ruth Bishop, a Jesse'owi Williamsowi i Stanleyowi Slaughtbaughowi podał rękę. - Powodzenia.

Odwrócił się i podszedł do jednego z dwóch identycznych samochodów z wypożyczalni zaparkowanych obok potężnego czarnego chevroleta suburbańskiego z ciemnymi szybami. Mercer domyślał się, że to wóz Cali, załadowany po sam

sufit sprzętem. Nieco z boku stał rodzinny van, który musiał należeć do Ruth Bishop.

- Dupek - mruknął Slauchbaugh, kiedy Roberts nie mógł go już usłyszeć.
- Co racja, to racja. - Jesse Williams się uśmiechnął.
- Myślcie sobie, co chcecie - powiedziała Cali - ale musiał podłożyć się wielu ważnym ludziom, żebyśmy mogli tu być.

- To co rozkażesz, szefowo? - zapytał Stan, przecierając okulary w rogowych oprawkach.

- Zakładałam, że będziemy na barce od początku - odparła Cali. - No cóż, musimy znaleźć sobie hotel. Ruth, co byś nam poleciła?

- To zależy, kto płaci.

- Wuj Sam.

- Hyatt jest najlepszy.

- No to wybraliśmy. - Spojrzała na Mercera. - Wybacz, że tak wcześniej cie tu ściągnęłam. Naprawdę myślałam, że już dziś będziemy na łodzi.

- Nie ma sprawy. I tak niewiele mogłem zrobić, siedząc w domu, a Harry doprowadzał mnie do szaleństwa, bo co chwila dzwonił i opowiadał, jak bardzo stęsknił się za moim barkiem.

Podeszli do samochodów. Ruth pożegnała się ze wszystkimi i zobowiązała, że jeśli będą czegoś potrzebowali, mogą do niej dzwonić. Mercer wrzucił torbę na tylne siedzenie wynajętego wozu. Stan i Jesse przyjechali z Waszyngtonu służbowym suburbanem.

Cali usiadła za kierownicą. Uruchomiła GPS i znalazła hotel Hyatt, a potem ruszyła.

- Nie sędzę, żeby to janczarowie zatopili „Wetherby”.

- Gdy byliśmy u Iry, stwierdziłaś, że to oni rozwalili „Hindenburga”. Skoro wysadzili w powietrze największy statek powietrzny na świecie tylko po to, żeby Bowie nie przekazał Einsteinowi maleńkiej próbki swojego znaleziska, to nie wiem, co miałyby ich powstrzymać przed zatopieniem parowca, na którym było kilkadziesiąt razy więcej plutonu.

- Znalazłam słaby punkt w mojej teorii z janczarami i „Hindenburgiem” - w głosie Cali słychać było troskę. - Jeśli Bowie wybrał sterowiec, bo nie było szybszego sposobu, żeby wrócić do Stanów, to jak janczarowie mogli go wyprzedzić? Bo musieli, skoro wysadzili „Hindenburga”, zanim wylądował.

- Carl Dion powiedział mi, że nie było problemów z dostaniem biletów na ten konkretny lot. Możliwe więc, że któryś z nich był na pokładzie.

- I co, wysadził się w powietrze? Po co? Wystarczyło przecież zabić Bowiego i wyrzucić przez okno jego sejf, kiedy lecieli nad Atlantykiem. Przez cały lot nie interesowali się Chesterem, który siedział w kabinie ze swoją próbką, a na koniec, tuż przed lądowaniem, spowodowali katastrofę? To się nie trzyma kupy.

- Masz rację - przyznał Mercer. - Na pokładzie nie było żadnego janczara.

- Czyli wróciliśmy do punktu wyjścia. W jaki sposób janczarom udało się dostać do Ameryki przed sterowcem, który przecież pobił rekord prędkości na trasie Europa-Stany?

- Może mieli tu swoich agentów?

- To też rozważałam, ale jakoś nie chce mi się w to wierzyć.

- A dlaczego?

- Z tego, co sami mówili, wynika, że organizacja jest zainteresowana jedynie ochroną alembiku Skenderbega. A to, co nam udało się ustalić, wskazuje, że działają właściwie tylko w Afryce i Europie. Przynajmniej tak było do czasu, kiedy na drodze stanął im Bowie. Sam więc widzisz, że nie mieli żadnych powodów, by utrzymywać agentów w Ameryce. Chyba że ich organizacja jest wielka, jak na przykład masoni. Ale gdyby tak było, to byśmy o nich słyszeli. Ja widzę w nich raczej małą grupkę oddaną jednemu celowi i ukrywającą swoją misję przez setki lat, a nie międzynarodową siatkę, która werbuje ludzi na wszystkich kontynentach.

- Załóżmy, że masz rację i że ani na pokładzie „Hindenburga”, ani w Stanach nie było janczarów. W takim razie kto to mógł być? Rosjanie? Niemcy?

- Nie mam pojęcia. Jedni i drudzy mieli szpiegów w Stanach, mogli więc przekazać radiowo rozkaz zestrzelenia „Hindenburga”.

- Sterowiec był za duży - odparł Mercer. - Żeby go zniszczyć, trzeba było dysponować czymś większym niż ręczna wyrzutnia rakiet.

- Żartujesz? To był worek z wodorem! Wystarczy mała iskra i mamy fajerwerki.

- Nie - upierał się Mercer. - Wodór do zapłonu potrzebuje tlenu, i to w określonej ilości. Gdy jest go za dużo, możesz biegać z pochodnią i nic się nie stanie. Jeżeli wodór miał spowodować wybuch, to jeden ze zbiorników musiał być przez dłuższy czas rozszczelniony. Nie wierzę, żeby nikt z załogi tego nie zauważył. I jeszcze jedno. Kiedy wodór się pali, nie da się zobaczyć płomienia, bo jest przejrzysty. Jak płonący czysty alkohol. A na filmie z katastrofy „Hindenburga” od samego początku wyraźnie widać płomienie. Mo że nie wiesz, ale najnowsze teorie dotyczące tej katastrofy skupiają się na impregnacji, którym pokryto powłokę. To było coś w rodzaju pasty zawierającej takie same składniki jak paliwo rakietowe. Niektórzy uważają, że iskra z silnika dotarła do powłoki i spowodowała mały pożar, który błyskawicznie ogarnął cały statek. Dopiero wtedy eksplodował wodór.

Cali milczała, zastanawiając się nad słowami Mercera.

- Mam! - zawołała wreszcie. - Pociski zapalające.

- A były już wtedy znane?

- Pewnie.

Tym razem Mercer musiał przemyśleć nowy scenariusz. Nie znalazł punktów w części o Rosjanach i Niemcach. Teoria ze snajperem z pociskami zapalającymi, które spowodowały pożar łatwo palnego poszycia, też była logiczna.

- Wiesz - powiedział w końcu - gdy skończymy, trzeba będzie napisać od nowa kilka podręczników do historii.

RZEKA NIAGARA, STAN NOWY JORK

Mercer, Cali i pozostali członkowie jej zespołu spotkali się Brianem Crenną, którego łódź miała ich zawieźć w pobliże Grand Island. Chłodna mgielka unosząca się nad wodą zasłaniała lasy po kanadyjskiej stronie rzeki. Barka kapitana Crenny stała na kotwicy pośród wartkiego nurtu. Teleskopowe ramię dźwigu sterczało nad wodą jak wyciągnięty palec. Opony zwisające z burt wyglądały jak ogromne bulaje, a na pokładzie uwijało się kilku mężczyzn.

Łódź była tak naprawdę starym kutrem, który dni chwały dawno miał za sobą. Niegdyś biała nadbudówka z włókna szklanego żółkła, a czerwony pasek wyznaczający wodnicę zbladł. Crenna dodał gazu i złożył łódź w ciasny nawrót, by w ostatnim momencie wyrównać i bokiem dobić do barki. Manewr wykonał z ogromną precyzją, ledwie muskając gumowe odbojniki. Trzech rybaków na dużym bertramie kawałek w dół rzeki podniosło głowy, kiedy fala wzbudzona gwałtownym manewrem zakołysała ich jednostką. Nie pokazali jednak, czy zdenerwowało ich to pogwałcenie zasad wodnej etykiety.

- I jak poszło? - spytała Cali, gdy jeden z marynarzy przywiązał cumy, a kapitan zgasił silnik.

- Bez problemów. Rzuciliśmy kotwicę tuż przed wrakiem - odpał Crenna i wskazał palcem czarne skrzynie na pokładzie. - A to wam na co?

- Instrumenty naukowe - wyjaśniła Cali. - I kilka pianek. Woda jest lodowata.

Mercer wywnioskował z jej tonu, że kapitan nie został poinformowany, co znajduje się w skrzyniach, które mieli nadzieję podnieść z dna. Może to i lepiej? Taka wiedza nie była mu do niczego potrzebna. Przecież pluton nie jest szczególnie niebezpieczny, jeśli nie zostanie spożyty lub wciągnięty do płuca. Dopóki skrzynie pozostawały zamknięte, Crennie i jego ludziom nic nie groziło.

- Aha! - zawołała Cali, jakby sobie o czymś przypomniała. - Mamy jeszcze trochę masek gazowych.

Crenna spojrział na nią podejrzliwie i zmarszczył brwi.

- A po kiego diabła wam maski gazowe?

- Bo „Wetherby” miał izolację wykonaną z azbestu. Biorąc pod uwagę czas, w którym powstał, będzie go cała masa. Gdy wyciągniemy skrzynie, wszyscy, łącznie z wami, będą musieli mieć na sobie maski. Tak stanowią przepisy Departamentu Ochrony Środowiska, więc nie ma dyskusji.

Kapitan pokręcił głową.

- Do diabła z rządowymi przepisami. Dalej, rozładujemy się.

- Nieźle - szepnął Mercer z uznaniem, kiedy Jesse i Stan zabrali się do przenoszenia skrzyń. Pilnował, żeby nikt nie dotykał jego skórzanej teczki, której nie zostawił nawet na chwilę, od kiedy opuścił Waszyngton.

Łódź, którą przyплыnęli, ruszyła z powrotem do portu, a Mercer pomachał rybakom, którzy znów zakolysali się na fali. Dwóch odmachało, a trzeci, potężny czarny mężczyzna w marynarskiej czapce, zasalutował z ironią.

Barka nie była tak nowa, jak dźwig na rufie. Spod spękanej farby wylewały się strużki rdzy, znacząc poręczę, a pojemniki z wyposażeniem na pokładzie tonęły pod zwojami lin, łańcuchów i różnych urządzeń. Kompresor do napełniania butli błyszczał nowością, jakby Crenna właśnie go kupił albo wynajął specjalnie do tej roboty.

- Dźwig jest z ciężarówki - wyjaśnił kapitan. - Kazałem go zamontować kilka lat temu, gdy dostałem zlecenie na podniesienie z dna łodzi rybackiej, która zatonała po drugiej stronie. Koszty były dwa razy wyższe niż wartość łodzi, ale nie narzekałem. Dobra, kto schodzi pod wodę?

- Mercer i ja - odpowiedziała Cali.

- Myślałem, że ja idę pierwszy. - Jesse Williams wyglądał na zaskoczonego.

- Zejdiesz pod wodę, kiedy założymy ładunki. Mercer chciał obejrzeć wrak przed otwarciem.

Jesse spojrział poważnie na Mercera.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz?

Kilka miesięcy wcześniej, po latach migania się, Mercer podszedł wreszcie do egzaminu i zdobył certyfikat, co jednak nie znaczyło, że wcześniej nie nurkował. Setki razy schodził pod wodę w mokrych piankach albo w samych kąpielówkach. Tym razem Cali przekonała go do włożenia suchego skafandra, tłumacząc, że jest znacznie wygodniejszy w zimnej wodzie.

Godzinę później byli gotowi. Cali miała więcej doświadczenia, więc przyczepiła do nadgarstka komputer nurkowy i wodoodporny detektor promieniowania gamma.

Suchy kombinezon OS Systems Nautilus uwierał Mercera w okolicach kroku, bo Jesse Williams, od którego go pożyczył, był nieco niższy. Ale poza tym był rzeczywiście wygodny. Jesse pomógł mu się ubrać, założyć worek wypornościowy i pas balastowy, a Stan sprawdził sprzęt Cali. Jesse skontrolował po kolei wszystkie elementy wyposażenia, a na koniec upewnił się, że Mercer odpowiednio przymocował nóż i łom.

- Jesteś pewien, że chcesz tam zejść? - zapytał po raz kolejny.
- Jak diabli - odparł Mercer.

Kiedy hełm do nurkowania znalazł się na jego głowie, nadał usta, żeby wyrównać ciśnienie.

- Słyszysz mnie? Odbiór? - Cali testowała zintegrowany system łączności.
- Głośno i wyraźnie.

Razem podeszli na rufę do otwartego relingu. Cali skoczyła pierwsza. Mercer poczekał, aż wynurzy głowę, i dopiero wtedy sam zsunął się do wody.

Mimo ochrony, jaką zapewniały suchy kombinezon i bielizna termoaktywna pod spodem, natychmiast poczuł lodowate zimno, ale znacznie bardziej przeszkadzał mu silny nurt. Woda płynęła z prędkością około trzech węzłów - wystarczająco szybko, by porwać nieostrożnego nurka i ponieść w kierunku wodospadów. Widoczność sięgała siedmiu metrów, a na głębokości wraku z pewnością nie była lepsza.

Crenna opuścił wcześniej jedną z kotwic bezpośrednio do wraku. Cali położyła dłonie na linie i ruszyła w dół. Mercer podążył za nią. Poranna mgła ustąpiła, ale mimo światła widoczność była tragiczna. Mercer włączył reflektor i dopiero wtedy zobaczył pod sobą Cali.

„Wetherby” osiadł na dnie głębokiej rozpadliny, co uchroniło go przed prądem. Leżał na lewej burcie, rufą pod prąd. Kadłub był bezustannie omywany przez wodę, a z relingów zwieszały się tysiące pozrywanych żyłek. Nadbudówka niszczała przez lata. Najpierw uszkodził ją długi dryf i szuranie po dnie, a odkąd parowiec osiadł na dnie, wszystko, co spływało w kierunku wodospadu, uderzało w nią z impetem. Pień dębu, o którym wspominała Ruth, musiał zostać wyrwany i poniesiony dalej, ale o jego obecności świadczyła dziura wybita w ścianie.

Oboje przypięli swoje liny do słupka wystającego z pokładu i ruszyli wzdłuż wraku. Parowiec już dawno stracił komin, a wokół dziobu zebrał się muł naniesiony potężnymi wirami. Właz pierwszej ładowni dziobowej był zamknięty, a po drugim nie został nawet ślad. Wybuch zniszczył drugą stronę, więc wrak sprawiał wrażenie nietkniętego.

- I co myślisz? - zapytała Cali, kiedy znieruchomieli na wysokości otwartej ładowni. Prąd bezustannie spychał ich w tył, jakby stali w huraganowym wietrze.

Mercer skierował reflektor do środka, ale niewiele zobaczyli.

- Przekładamy liny i ruszamy na zwiedzanie.

Przytwardzili grube nylonowe liny tak, żeby się nie przetały o żadne metalowe części włazu. Zdawali sobie sprawę, że niewielki błąd mógł ich kosztować życie. Podłogę ładowni, którą de facto była lewa burta parowca, zapełniały baryłki i skrzynki porzrzucone bez ładu i składu. Mercer znów

poprawił uwierający kombinezon i przy okazji sprawdził głębokość. Zeszli już na dwadzieścia dziewięć metrów, a woda zrobiła się wyraźnie zimniejsza.

W środku nie dostrzegli żadnych śladów po wybuchu. Poszycie kadłuba zostało rozerwane i zdefomowane szuraniem po dnie, kiedy wrak dryfował w dół rzeki. Wujek Ruth miał rację - takie zniszczenia mogły powstać po uderzeniu torpedy.

Cali podpłynęła do sterty skrzynek.

- Myślisz, że w którejś z nich jest nasza ruda?

- Nie. - Mercer nie miał wątpliwości. - Bowie nadał ładunek kilka miesięcy przed dotarciem parowca do Buffalo. Kapitan na pewno umieścił je gdzieś z boku, bo miały płynąć aż do Chicago, a tutaj ładowali przesyłki, do których potrzebny był szybki i łatwy dostęp.

Machnął płetwami i po chwili znalazł się przy włazie do drugiej ładowni. Wybuch uchylił go na kilka centymetrów, ale kiedy Mercer spróbował pchnąć drzwiczki, ani drgnęły. Wyjął łom ze specjalnego uchwytu przy pasie, włożył w szczelinę i napał na uchwyt z hartowanej stali. Stopniowo zwiększał nacisk, aż w końcu poczuł, że jeśli napnie się choć odrobinę mocniej, zerwie przyczepy mięśni na plecach. Mimo to drzwi ani drgnęły. Mercer wsunął łom w szczelinę pod najbardziej uszkodzonym zawiasem i znów się zaparł.

Ciemność pod zaciśniętymi powiekami eksplodowała feerią barw. Już chciał zrezygnować, kiedy skorodowany metal drgnął i się poddał. Zawias pękł, a Mercer zatoczył się i znalazł w zasięgu działania prądu. Cali krzyknęła, widząc, jak ją mija, bezradnie machając rękami. Przez jedną straszną chwilę sam Mercer był przekonany, że nurt porwie go z wraku i poniesie dalej.

Zatrzymał się na linie bezpieczeństwa, już niemal za parowcem.

- Nic ci nie jest? - zapytała Cali, kiedy wpłynął do otwartej pierwszej ładowni.

- Trochę poobijało się mi ego.

Drzwi drugiej ładowni zwiślały tylko na dolnym zawiasie. Wystarczyło, że Mercer zaparł się stopami o ścianę i przycisnął plecy do włazu, aby skorodowany metal ustąpił z głośnym skrzypnięciem. Ta ładownia była znacznie ciemniejsza, jakby stojąca w niej woda pochłaniała całe światło z latarki.

- Zostań i pilnuj, żeby lina się nie splątała - poprosił Cali, zanim zniknął w ciemnościach.

Tu, podobnie jak w pierwszej ładowni, większość towarów zerwała się z zaczepów i osunęła na lewą burtę. Mercer dostrzegł przegniłe worki z bawełną, zmiażdżone skrzynie z resztkami nakryć i butelki wina bez etykietek, które albo się rozpuściły, albo odpłynęły z prądem. Zauważył też sporo luźnych desek. Dotknął jednej z nich i serce zabiło mu żywiej. Mimo niemal siedemdziesięciu lat pod wodą wciąż była twarda, bez żadnych śladów gnicia. Nie wiedział, jaki to gatunek drewna, ale domyślał się, że pochodziło z Afryki. A skoro przesyłka Bowiego została załadowana w Afryce, skrzynie, w których trafiła na pokład, powinny być zrobione z tamtejszego materiału.

- Chyba coś mam - oznajmił.

Cali czekała w pierwszej ładowni, więc światło jej reflektora było ledwo widoczne.

- Masz skrzynie? - spytała

- Jeszcze nie, ale jest tu jakieś egzotyczne drewno, więc pewnie są też nasze skrzynie. Odwiąż się i chodź mi pomóc.

Najpierw sprawdziła wskazania komputera nurkowego oraz zapas powietrza, a potem zapytała Mercera o ciśnienie w jego aparacie z dwoma butlami.

- Mamy dwadzieścia minut, może nieco mniej - powiedziała, kiedy dołączyła do niego.

- Powinno wystarczyć.

Ręczne reflektory dawały w mętnej wodzie niewiele światła, co utrudniało pracę, zwłaszcza że nie wiedzieli dokładnie, jak rozpoznać skrzynie Bowiego wśród masy pogruchotanego ładunku. Kiedy zbadali całe pomieszczenie, okazało się, że tarcica z Afryki stanowi dziewięćdziesiąt procent towaru w tej ładowni. Skrzyń było nie więcej niż czterdzieści. Cali wyjęła czujnik promieniowania gamma i obróciła się dookoła własnej osi, nie odrywając oczu od wyświetlacza.

- Mierzę promieniowanie tła, ale raczej nie dam rady ustalić, w której skrzyni jest ruda. Woda pochłania promieniowanie.

Musiała sprawdzić detektorem każdą skrzynię osobno. Gdy pomiar nie wskazywał na ładunek, którego szukali, Mercer odsuwał skrzynię na bok, żeby ułatwić Cali dostęp do kolejnych. Uważał przy tym, żeby chwiejna konstrukcja nie zawałała się i ich nie przygniotła. Przypominało to trochę grę w bierki, gdzie jeden nieostrożny ruch może spowodować kataklizm.

Usłyszał ostrzegawczy pisk czujnika, jeszcze zanim Cali krzyknęła. Tak jak podejrzewał, skrzynia została wykonana z tego samego gatunku drewna, które zawałało ładownie parowca. Pewnie Bowie kupił w porcie deski i zapłacił komuś, żeby pociął je i zbił w odpowiedni kształt. Skrzynka miała pół metra na pół metra, a krawędzie zabezpieczono smołą, która pod wpływem zimnej wody stwardniała i nadała jej obsydianowe lśnienie.

- Jak odczyty? - zapytał.

- Nic nam nie grozi. Chyba Bowie wyłożył skrzynkę metalem.

Zlokalizowanie kolejnych trzech skrzynek było kwestią kilku minut. Razem przenieśli je w pobliże wjazdu do pierwszej ładowni.

- Mamy worki ochronne, na wypadek gdyby skrzynki były przegniłe - powiedziała Cali. - Ale nie będziemy ich potrzebowali, dopóki nie znajdziemy się na pokładzie barki. Zrobimy tak: zanurkuje tu z Jesse'em, przyczepimy skrzynię do liny dźwigu i je podniesiemy. A teraz musimy już wracać.

Wyłynęli z ładowni, odwiązali liny i zaczęli się wynurzać. Prąd uderzył w nich jak huragan. Przez dwadzieścia minut, które spędzili we wraku, znacznie przybrał na sile. Musieli walczyć o każdy metr, najpierw żeby dotrzeć do miejsca, gdzie ich liny bezpieczeństwa zostały przyczepione do pokładu, a potem by bezpiecznie dotrzeć do łodzi na powierzchni. Nie spodziewali się, że zabierze im to tyle czasu; wskaźnik ciśnienia w sprzęcie Mercera zbliżał się do końca rezerwy, kiedy wynurzył głowę z wody.

Jesse i Stan pomogli im dostać się na platformę i zdjąć ponad czterdzieści kilogramów ekwipunku.

- I jak? - zapytał Stan Slaughbaugh.

- Za pierwszym podejściem! - odparł Mercer z szerokim uśmiechem.

- Świetnie. Nie mogę się doczekać, kiedy obejrzę próbki w laboratorium. Zrobię karierę, publikując wyniki analizy.

- Gratuluję, szefowo. - Jesse Williams uściśnął dłoń Cali.
- I jak tam na dole? - zawołał Brian Crenna z pokładu barki.
- Znaleźliśmy wszystkie cztery skrzynki! - odpowiedziała Cali, przekrzykując wiatr. - Ogrzeję się, napełnimy butle i jeszcze raz schodzimy na dół, tym razem z liną z pana dźwigu. Najpierw trzeba przenieść skrzynki do pierwszej ładowni, więc będę musiała przygotować wielokrażek i zaczepy, żeby mógł pan je podnieść.

- Mogę wysunąć ramię dźwigu na pięćdziesiąt metrów, czyli za wejście do drugiej ładowni, i wciągnąć skrzynie bez wielokrażków.

- Brzmi obiecująco.

- Dajcie mi znać, jak będziecie gotowi. - Crenna, nie czekając na odpowiedź, wrócił do swoich ludzi, którzy pracowali przy czymś na pokładzie barki.

Cali zjadła wojskowy posiłek regeneracyjny i odpoczywała w kabinie, a Mercer z Jesse'em zabrali się do napełniania butli z kompresora. Mercer zauważył, że łódź z rybakami wciąż stoi na kotwicy. Dwaj mężczyźni na dolnym pokładzie trzymali wędkę, a trzeci wyglądał ze sterówki.

O jedenastej trzydzieści wszystko było gotowe do ponownego zejścia pod wodę. Na barce już czekały worki przeznaczone do zabezpieczenia skrzynek. Stan wyjaśnił Mercerowi, że materiał, z którego zostały zrobione, opracowano w laboratoriach NASA i jest praktycznie niezniszczalny. Można strzelać z przyłożenia i ciąć nożem, a i tak nie zrobi się w nim dziury.

Cali dała Crennie krótkofalówkę działającą na tej samej częstotliwości co zestaw łączności w kombinezonach, żeby móc koordynować wszystkie działania spod wody.

Wiatr przycichł, słońce nieśmiało przebijało się zza chmur. Łódź po ławiaczy okoni z potężnym silnikiem zaburtowym zakołysała ich barką, a czterech pasażerów na jej pokładzie przyglądało się nurkom w drodze na następne łowisko.

- Dzisiaj ja stawiam kolację - powiedział Mercer, pomagając Cali założyć sprzęt. Mówił cicho, żeby nikt poza nią go nie słyszał.

Uśmiechnęła się.

- Rozumiem, że zaproszenie nie obejmuje moich ludzi?

- Kupię im po drodze coś na wynos.

- Więc będziemy mieli randkę.

Tak, właśnie zaprosił ją na randkę. Był zadowolony, że nie czekając na jego reakcję, włożyła hełm, bo czułby się nieswojo, gdyby zauważyła, jak się zmieszał.

- Raz kozie śmierć - mruknął, choć nie był pewien, czy wie, co robi. Mimo to chciał spróbować.

Jesse i Cali zsunęli się do wody, a Crenna uruchomił dźwig. Gdy wyciągnął teleskopowe ramię na całą długość, barka zakołysała się i jedną stroną zanurzyła znacznie głębiej. Kapitan krzyknął do swoich ludzi, żeby wybrali trochę liny kotwic hydraulicznych i wyrównali środek ciężkości.

Mercer tylko przez chwilę widział bąbelki powietrza wydychanego przez nurków. Silny nurt porywał je wciąż dalej i dalej. Crenna nie pozwolił nikomu wejść na pokład barki, dopóki ładunek nie zostanie zabezpieczony, Cali zostawiła mu jedyne wolne radio, a na łodzi nie było co robić, więc

siedzieli ze Slauchbaughiem i czekali. Stan miał doktorat z fizyki jądrowej, więc zabijali czas, rozważając, skąd pluton mógł się wziąć w ziemi.

Po mniej więcej dziesięciu minutach Crenna zaczął opuszczać hak, co oznaczało, że Cali i Jesse dotarli do ładowni. Kilka chwil później obrócił dźwig o kilka stopni i rozwinął jeszcze kilka metrów stalowej liny.

- Chyba podczepiają skrzynie - powiedział Mercer. - Pewnie niedługo się wynurzą.

Jakby na potwierdzenie jego słów, do relingu zbliżył się jeden z marynarzy obsługujących sprzęt na barce.

- Zaraz zaczynamy podnosić - oznajmił. - Wasza szefowa kazała przekazać, że wszyscy mają nałożyć maski gazowe.

- W porządku. - Stan otworzył jedną ze skrzyń i wyjął z niej kilka pochłaniaczy przystosowanych do ochrony w warunkach zagrożenia biologicznego, chemicznego i nuklearnego. Rzucił je marynarzowi, a potem sięgnął po jeszcze dwie dla siebie i Mercera.

- Co robimy, kiedy już wyciągniemy skrzynie? - zapytał Mercer.

- Wpakujemy je do worków. Na nabrzeżu czeka specjalny wóz.

- Nie zamierzacie poinformować mieszkańców miasteczka, że przewiezicie jego ulicami pół tony plutonu?

- Daj spokój. Codziennie po naszych drogach jeździ kilka ton materiału radioaktywnego. A wypadków nie było pewnie tylko dlatego, że nigdy nie informujemy, któredy wieziemy ładunek. To by było jak zaproszenie dla całej zgrai wariatów.

Zagrzmiał potężny diesel dźwigu i stalowy bęben z liną zaczął się powoli obracać.

- Zaczynamy.

Mercer wyobrażał sobie, jak Cali i Jesse w ciemnej ładowni usiłują nie dopuścić, by skrzynki uderzyły w jakąś przeszkodę. Przez następnych pięć minut dźwig wyciągał linę, manewrując w prawo i lewo, aby zrównoważyć prąd wody, wiatr i opór ładunku. Raptem wszystko zamarło. Mercer nie wiedział, co się dzieje. Spojrzał na kabinę operatora. Za manetkami dźwigu siedział Crenna. Rozparł się w fotelu i złożył ręce na piersiach.

- Skrzynki są już poza ładownią - powiedział Mercer do Stana. - Nasz kapitan kazał im się wynurzyć, bo woli mieć wszystkich na pokładzie, w razie gdyby były jakieś problemy.

Kilka minut później Cali i Jesse wynurzyli się, a Stan i Mercer pomogli im wejść na pokład. Kiedy Crenna upewnił się, że są już bezpieczni, zaczął zwijać linę, stopniowo zmniejszając obciążenie systemu hydraulicznego dźwigu. Po następnych paru minutach ociekające wodą skrzynie zawisły nad pokładem barki.

Warkot silnika dźwigu sprawił, że Mercer dostrzegł łódź rybacką, którą widział już wcześniej, dosłownie w ostatniej chwili. Rozbryzgiwała na boki pióropusze piany, zbliżając się z prędkością czterdziestu węzłów. Czterej mężczyźni na pokładzie wpatrywali się w barkę. Trzech miało w rękach karabiny maszynowe.

- Padnij! - wrzasnął i pchnął Cali na pokład. Obracając się, zauważył, że nieruchomy dotychczas bertram z wędkarzami nagle się przebudził i wyrzucając w powietrze fontanny wody, runął naprzód.

Przez cały dzień nie rozstawał się ze swoją skórzaną teczką. Teraz otworzył ją i wyrwał ze środka karabin MP-40 Schmeisser. Podczas II wojny światowej używali takich marynarze niemieckich łodzi podwodnych. Mercer kupił go od Tiny'ego, który przejął go za długi hazardowe od jednego ze swoich klientów. Pospiesznie wsunął magazynek z trzydziestoma pociskami, odciągnął sprężynę, a potem do kieszeni dżinsów włożył kolejnych sześć magazynków. Może nie była to odpowiednia broń na taką okazję, ale jej szybkostrzelność sprawiała, że na krótkich dystansach stanowiła naprawdę niebezpieczne narzędzie.

Łódź poławiaczy okoni zbliżyła się do barki. Trzej mężczyźni na jej pokładzie unieśli kałasznikowy i zalali pokład ogniem. Ludzie Crenny rzucili się płasko na pokład, a sam kapitan wyskoczył z kabiny dźwigu i zanurkował za wielki kompresor. Świst kul i dzwonienie rykoszetów mieszało się z warkotem silników. Crenna kulił się, drżąc na całym ciele.

Mercer, schowany za stalowym relingiem, obrócił się i pchnął teczkę w stronę Cali.

- Trzymaj, w środku jest jeszcze beretta! - zawołał.

- Skąd wiedziałeś?

- Nie wiedziałem. Byłem po prostu przezorny.

Spojrzał na Stana Slaughtbaugha i Jesse'a Williama. Leżeli na pokładzie, zasłaniając głowy rękami. Wyglądało na to, że żaden nie widział z bliska pułapki.

- Idźcie do sterówki - polecił. - Uruchomcie silniki i czekajcie.

Na szczęście posłuchali bez słowa.

Łódź zamachowców nie przestawała krążyć wzdłuż barki, a jej załoga nie odkładała karabinów. Mercer domyślał się, że będą chcieli dokonać abordażu od rufy. Zerknął przez ramię. Bertram był coraz bliżej. Silniki wypychały dziób nad wodę, dookoła strzelały w górę gejzery piany. Kapitan nie opuścił mostka, a dwaj mężczyźni, którzy dotychczas wędkowali na rufie, teraz stali po obu stronach nadbudówki. W dłoniach trzymali karabiny Heckler and Koch HK-416S, najnowsze w ofercie niemieckiego producenta. Od niedawna były na liście standardowego wyposażenia oddziałów NATO i doborowych jednostek z całego świata.

Cali podażyła za wzrokiem Mercera i onemiała otworzyła usta. To była pułapka. Nie mieli drogi ucieczki. Nawet gdyby odcumowali od barki, Bertram bez najmniejszych problemów by ich dogonił. Uniosła pistolet i wycelowała. Łódź znajdowała się ponad trzydzieści metrów od nich. Pierwsza jednostka napastników też zbliżała się do barki. Mężczyźni nie przestawali strzelać, choć na pokładzie nie było widać ani Crenny, ani żadnego z jego ludzi. Jeden z pocisków trafił w tablicę sterującą systemem kotwic, które utrzymywały barkę w miejscu. Płyn hydrauliczny zaczął wyciekać ze zbiornika.

Mercer obejrzał się i zobaczył, jak Cali składa się do strzału.

- Nie! - ryknął i podbił jej ramię.

Bertram był w odległości zaledwie kilkunastu metrów, na tyle blisko, by Mercer dostrzegł twarz Bookera Sykesa, który stał za sterami. Pozostałych dwóch komandosów widział pierwszy raz w życiu. Na pewno nie byli z oddziału Delta Force, który pod dowództwem Sykesa eskortował go do pewnego klasztoru w Tybecie, gdzie przebywał swego czasu ojciec Tisy Nguyen. Telefon do Sykesa z prośbą o dyskretne zabezpieczenie operacji obudził wspomnienia

wydarzeń, które doprowadziły do śmierci Tisy. Ale przecież Mercer nie mógł narazić na niebezpieczeństwo ludzi biorących udział w tych poszukiwaniach.

- Oni są ze mną! - wyjaśnił Cali. - To komandosi z Delta Force. Dowodzi Sykes. A teraz osłaniaj mnie.

Przeskoczył nad relingiem i wylądował na pokładzie barki. Natychmiast poczuł, że uszkodzony system hydrauliczny nie trzyma jej już w miejscu. Wiatr i prąd zaczynały robić swoje.

Łódź zamachowców była tak niska, że nie mógł jej zobaczyć z tej strony pokładu. Schował się za pojemnikiem na łańcuchy kotwiczne i czekał, aż napastnicy wejdą na barkę. Sykes zaczął okrążyć ich od drugiej strony, gotowy do ataku od północy, kiedy w polu widzenia pojawiła się kolejna niska łódź motorowa. Mercer naliczył na niej czterech ludzi, co dawało łącznie ośmiu napastników. Obrócił się w chwili, kiedy pierwszy terrorysta wchodził na pokład.

Pierwotny plan zakładał wstrzymanie się z atakiem, by w odpowiednim momencie krzyżowym ogniem wyeliminować wszystkich napastników. Teraz trzeba było szybko go zmodyfikować, bo terroryści mieli przytłaczającą przewagę. I wyglądali na Arabów, co oznaczało, że prawie na pewno zostali wyszkoleni w jakimś obozie terrorystów w Iraku, Syrii lub Arabii Saudyjskiej, więc będą walczyć do śmierci.

Napastnicy byli wystawieni tylko przez ułamek sekundy, ale to wystarczyło, by Mercer uniósł lufę schmeissera. Stary automat ożył w jego dłoniach. Krótkim pociągnięciem spustu posłał w ich kierunku pierwszą serię pięciu pocisków. Cztery chybiły, lecz piąty trafił zamachowca, wyrzucając w powietrze chmurkę czerwonej mgły.

Pozostali błyskawicznie odpowiedzieli ogniem. Dźwięk kul obijających się o zwoje łańcucha był przerażający. Mercer miał wrażenie, jakby hałas i wstrząsy uderzeń miały pozbawić go zębów. Ale mimo kakofonii z kałasznikowów usłyszał, jak Sykes atakuje drugą łódź. Kanonada się wzmogła, bo komandosi włączyli się do bitwy.

Mercer poczekał, aż kule przestaną lecieć w jego kierunku, wystawił karabin z za zwoju łańcucha, strzelił kilka razy i przebiegł za podstawę dźwigu, która dawała mu lepszą osłonę. Mało brakowało, a potknąłby się o nogę Crenny, który z jednym ze swoich marynarzy schował się pod silnikiem wysięgnika.

- Co się tu, kurwa, dzieje?! - wrzasnął właściciel barki. Mercer zignorował pytanie, bo przecież było widać, co się dzieje. Ktoś do nich strzelał.

- Gdzie pozostali?

- Billy w wodzie - powiedział, wskazując kierunek. Mercer spojrzał w tamtą stronę i zobaczył mężczyznę, który płynął do brzegu Grand Island. - To dobry pływak. Nic mu nie będzie. Ale nie wiem, co z Tomem.

Druga łódź terrorystów pędziła w kierunku barki, a wielki bertram Sykesa ryczał silnikami, usiłując nadażyć za znacznie mniejszą i zwinniejszą jednostką. Jeden z napastników ostrzeliwał komandosów, reszta celowała w holownik, łódź i barkę. Większość strzałów z tej odległości mijała cel, ale kilka kul trafiło w wieżyczkę dźwigu. Trzech mężczyzn schowanych pod nim przywarło do stalowej podłogi.

- Będę was osłaniał - odezwał się Mercer, kiedy strzały ucichły. - Biegnijcie na łódź i uciekajcie stąd.

Zmienił magazynek na pełny, poczekał, aż Crenna będzie gotowy, a potem wychylił się ze schmeisserem i otworzył ogień. Zasypał rufę barki nieprzerwanym gradem pocisków. Zamachowcy się schowali, więc dał znać marynarzom, że mogą biec. Mężczyźni ruszyli zakosami. Dziesięć metrów do relingów zajęło im kilka sekund, a potem obaj rzucili się na szczupakiem i wylądowali na pokładzie mniejszej jednostki.

Mercer skupiał się na terrorystach, ale kątem oka zauważył, że odległy brzeg zaczął się poruszać. Kiedy usłyszał suchy szcęk iglicy, natychmiast przypadł do pokładu i zmieniając magazynek, przyjrzał się horyzontowi. Buzująca w żyłach adrenalina nie przyćmiła mu umysłu. To nie brzeg się poruszał. Kotwice hydrauliczne się poddały i barka była teraz zdana na łaskę rzeki. A kilka sekund, których potrzebował na przeładowanie schmeissera, wystarczyło, by zauważył, że płyną coraz szybciej. Wiatr się wzmógł i osiągnęli już jakieś sześć węzłów.

Mercer był pewien, że przycumowana łódź nie ma dostatecznej mocy, żeby przeciągnąć barkę pod prąd. Były tylko dwie możliwości. Albo przycumować holownik z drugiej strony barki i zatrzymać ją w miejscu, albo załadować skrzynie z plutonem do specjalnych worków, zabezpieczyć ładunek i opuścić barkę, zanim spadnie z wodospadu i roztrzaska się u podnóża.

- Cali! - krzyknął. - Dryfujemy! Odcinaj liny i uciekajcie!

- A ty? - zawołała, nie wyglądając z kryjówki.

- Sykes mnie weźmie - odparł, mimo że nie wiedział, gdzie jest jego przyjaciel. Bertram i druga łódź terrorystów pognały w górę rzeki. Mógł mieć tylko nadzieję, że Booker wyeliminuje wrogów i wróci po niego, zanim będzie za późno.

Cali przez chwilę wyjaśniała coś kapitanowi, a potem osłaniała go, kiedy ruszył do nadbudówki. Chciała, żeby Crenna wykorzystał ich silnik do zepchnięcia barki na brzeg. Kapitan dał całą naprzód i do oporu wychylił ster. Liny łączące ich z barką zatrzęszczały, a Mercer, ku swemu zadowoleniu i zaskoczeniu, stwierdził, że plan Cali zadziałał. Dziewięćsettonowa barka zaczęła się powoli obracać i przesuwając w stronę kanadyjskiego wybrzeża. Terrorysty nie spodziewali się tak zażartego i skutecznego oporu. Przegrupowanie zajęło im kilka chwil. Kiedy jednak usłyszeli ryk silnika, znów otworzyli ogień. Przednia i boczna szyba nadbudówki rozprysły się na kawałki, zasypując Crenne drobinkami szkła. Ślepy los sprawił, że jedna z kul przecięła cumę łączącą jednostkę z barką. Silnik pracował z taką mocą, że zanim kapitan zdążył zareagować, wystrzelili naprzód, zrywając drugą, rufową cumę i wyrwijając przy okazji spory kawałek pokładu.

Napastnicy nie przerywali ognia, mimo że obie jednostki płynęły w różne strony. Tylny pokład został zniszczony, zmuszając Cali do schronienia się w kabinie. Gęsty dym buchał z silnika, a po chwili z maszynowni dobiegły niepokojące odgłosy. Kiedy znaleźli się poza zasięgiem strażów, Cali wstała i weszła do sterówki.

- Musimy po nich wrócić.

- Zapomnij o tym, paniusiu. Dajcie mi za mało szmalu, żebym z własnej woli jeszcze raz wdepnął w to gówno. Wyciągniemy Billy'ego i wzywamy Straż Przybrzeżną.

- Mercer zginie, zanim się tu pojawią.

- To jego problem.

Cali zakłęta, zła na siebie, że zużyła wszystkie pociski. Nie postrzeliłaby Crenny, ale na pewno by mu zagroziła.

- Dobra, wysiądźcie na nabrzeżu, a ja sama po nich wrócę.

- Nie moją łajbą. Mowy nie ma. Wystarczy, że mogę stracić barcę i dźwig, jeśli nie osiadzie gdzieś na mieliźnie.

Cali nie wytrzymała.

- W tych cholernych skrzyniach jest pluton! - wrzasnęła. - Jeśli wpadnie w ręce terrorystów, dopilnuję, żeby został pan oskarżony o zdradę i skazany na śmierć.

Spojrzał na nią. Jej oczy buzowały furia, a pierś unosiła się ciężko. Już chciał się zgodzić, ale nie powiedział ani słowa, bo nagle ogarnęła go fala gorąca. Obrócili się w tym samym momencie. Tył łodzi płonął. Jednak z kul uszkodziła przewód paliwowy i na rozgrzany silnik kapało paliwo.

- Chryste! - zawył Crenna. - Wszyscy do wody!

Stan, Jesse i jeden z marynarzy rzucili się do relingów. Marynarz miał największe doświadczenie i wiedział, że łódź będzie się paliła, aż spłonie do linii wody, więc jako jedyny się nie zawahał. Stan i Jesse zobaczyli, że kapitan i Cali wychodzą przez rozbitą szybę i skaczą z wysokości mostka do zimnej wody.

Cali, zanim skoczyła, zrzuciła z kołków koła ratunkowe zawieszane na ścianie mostka. Do brzegu Grand Island zostało im ledwie sto metrów. Wszyscy zebrali się razem i uczeni kół patrzyli na mijającą ich łódź. Ogień ogarnął całą nadbudówkę i mostek. Cali przełykała łyżę złości. Zanim dotra na łódź i znajdą kolejny środek transportu, będzie już za późno.

Żeby dostać się na niewielki holownik, Mercer musiał przebiec siedem metrów otwartej przestrzeni. Strzelcy byli dobrze schowani i nie przestawali razić go ogniem. Ich natomiast można było dosięgnąć tylko z wody. Sykes ruszył w górę rzeki za drugim zespołem terrorystów, ci mieli więc czas. Mercer nie miał pola manewru. Musiał od nowa przemyśleć strategię albo znaleźć ostatniego członka załogi. I to szybko. Oddalili się już przynajmniej półtora kilometra od wraku i zbliżali do kilku bystrzy.

Nie mógł czekać. Musiał zaryzykować i dostać się na holownik. Sprawdził amunicję. Magazynek w karabinie był pełen, a w kieszeniach miał dodatkowe dwa. Posłał krótką serię i rzucił się biegiem w kierunku holownika. Pędząc, obserwował kryjówkę napastników. Gdy jeden z nich wystawił głowę, posłał kolejną serię.

Już tylko kilka kroków dzieliło go od celu, kiedy barka uderzyła w podwodne skały. Mercer padł płasko na pokład, a statek zaczął się obracać wokół własnej osi. W końcu prąd zepchnął ich z przeszkody. Skrzynie z plutonem wciąż wisiały nad pokładem, kołysząc się niebezpiecznie. Mimo to na razie nie spadły.

Mercer stanął na nogi równocześnie z trzema terrorystami. Rzucił się szczipakiem na pokład holownika. Przez chwilę leżał płasko i słuchał świstu kul nad głową. Nagle zapanowała cisza. Podniósł głowę. Jeden z terrorystów stał z długą rurą na ramieniu. Mercer wiedział, co to jest. RPG-7, przenośna wyrzutnia rakiet przeciwczołgowych. Silnik pocisku uruchomił się natychmiast po opuszczeniu lufy. Ładunek leciał w jego stronę, ciągnąc nad barką wstążkę dymu. Mercer zakrył głowę rękami. Rakietka wpadła przez przednią szybę do sterówki. Siła eksplozji poszła na szczęście w inną stronę,

ale fala podciśnienia po wybuchu wysłała Mercerowi powietrze z płuc i zostawiła rozplaszczoną na pokładzie z dzwonieniem w uszach, które zagłuszało ryk wodospadów dwa kilometry dalej.

Powoli usiadł. Nic mu się nie stało, ale holownik został zniszczony. Teraz nie było już szans, by zatrzymać barcę, a co gorsza, miał coraz mniej czasu, by umieścić pluton w workach. Spojrzał na rzekę. Z kanadyjskiego brzegu wyrastała jakaś budowla i wrzynała się w Niagarę. To musiało być ujęcie wody do potężnej hydroelektrowni. Barka płynęła jednak zbyt blisko amerykańskiej strony, żeby zahaczyć o tę przeszkodę. Nieuchronnie zbliżały się za to bystrza, za którymi był już tylko największy wodospad w Ameryce Północnej.

Nagły ruch przyciągnął jego uwagę. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Na środku pokładu wylądował człowiek w czarnym kombinezonie i szybko zrzucił uprząż łopoczącego spadochronu. Sekundę później pojawił się drugi. Ciemny helikopter był coraz niżej. Strzelec musiał założyć, że Mercer nie żyje, bo podbiegł przywitać się z kompanami, nie dbając o to, że jest całkowicie odsłonięty. Drugi skoczek, na pewno nie Arab, podszedł prosto do skrzyń.

Mercer oparł lufę o brzeg łodzi, wycelował i pociągnął za spust. Kule ze schmeissera trafiły w cel. Jeden ze spadochroniarzy, postrzelony w biodro, upadł, brocząc obficie krwią. Dwóch kolejnych zginęło od ran w klatce piersiowej, bo chociaż Mercer bardzo się starał, lufa karabinu znajdowała się odrobinę wyżej po każdym strzale. Ostatni terrorysta i spadochroniarz zeskoczyli z barki i schowali się na łodzi. Mercer nie dał im czasu, żeby się pozbierali. Rzucił się przez pokład, wrzeszcząc jak opętany. Był w połowie drogi, kiedy barka znów zahaczyła o skały i stanęła w miejscu. Zachwiał się, ale nie upadł. Dotarł do krawędzi pokładu i już miał pociągnąć za spust, kiedy uświadomił sobie, że to nie ma sensu. Łódź terrorystów znalazła się między rufą a skałą i niewiele z niej zostało. Ostał się jedynie silnik, ale i on był zgnieciony.

Barką tkwiła nieruchomo, przyciśnięta do przeszkody. Mercer miał nadzieję, że utknęli na dobre. Kilkaset metrów dalej nad wodą unosiła się chmura drobin wody, znacząc miejsce, gdzie rzeka spadała kilkadziesiąt metrów w dół. Podszedł do zamachowców. Wszyscy nie żyli, z wyjątkiem skoczka z przestrzelonym biodrem, ale ten też nie był już groźny, bo upływ krwi pozbawił go przytomności.

Helikopter zbliżył się na kilkadziesiąt metrów, więc Mercer strzelił kilka razy w jego kierunku. Nie trafił, lecz potężna maszyna umknęła na kanadyjską stronę i zniknęła z pola widzenia.

Dzięki setkom godzin pracy na kopalnianych maszynach - od mobilnego kombajnu górniczego o wadze dwunastu tysięcy ton do ładowarki - Mercer nabrał doświadczenia i wyczucia, dzięki któremu sterowanie dźwigiem nie sprawiło mu problemów. Cofnął ramię i opuścił skrzynki, by zawisły kilka centymetrów nad pokładem. Potem wyskoczył z kabiny i ułożył worki. Już miał opuścić ładunek, ale zamarł z ręką na drążku, bo barka znów się poruszyła. Prąd napierał pod takim kątem, że zaczęła obracać się wokół własnej osi, okrążając skały. Skrzypienie metalu rozdieranego o kamień wskazywało, że zaraz ruszy w stronę wodospadu.

Mercer pospiesznie opuścił skrzynie, zeskoczył na pokład i skupił się na najważniejszym zadaniu, czyli zabezpieczeniu plutonu. Każdy worek miał

cztery systemy zamknięcia. Z trzema pierwszymi - paskiem pokrytym klejem, rzepem i wytrzymałym zamkiem błyskawicznym - uporał się w ciągu kilku sekund. Czwarty, wymagający przewleczenia kabla przez przygotowane oczka, zajmował kilkanaście minut.

Barka przesuwała się po skałach. Może przez minutę czy dwie wytrzyma, ale potem wartki prąd popchnie ją w kierunku wodospadu. Trzy pojedyncze strzały sprawiły, że rozpląszczył się na pokładzie i złapał schmeissera. Rozejrzał się. Nikogo nie zobaczył. Podniósł głowę nieco wyżej i jego wzrok spoczął na Bookerze Sy-kesie, który stał na dziobie bertrama z karabinem opartym na biodrze. Sama łódź była wrakiem. Część kadłuba została zmiażdżona, a ślady kul ciągnęły się przez całą jego długość. Mercer mógł sobie tylko wyobrazić, jak wyglądał łódź terrorystów.

Sykes strzelał w powietrze, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Mercer pomachał mu, wzruszył ramionami na znak, że wszystko już załatwił sam, i wrócił do pracy. Skończył zabezpieczać drugi worek, kiedy poczuł na skórze mgiełkę kropelek wody z wodospadu.

Hałas dna szurającego po skałach przyprawiał go o ból zębów. Po chwili woda zaczęła przelewać się przez pokład. Kiedy zabezpieczył trzeci worek, rozejrzał się. Booker stał na posterunku, obserwując rozwój sytuacji przez lornetkę. Za plecami widać już było wodospad i miasto Niagara Falls.

Zostały mu dwie minuty, może nieco mniej, a wciąż jeszcze nie wymyślił, jak się wydostać z pułapki. Między barką a progiem nie było żadnych gładów, na których mógłby się schronić, a próba dotarcia do brzegu wpława skończyłaby się kilkudziesięciometrowym upadkiem. Huk wody utrudniał koncentrację. Trzy pierwsze zabezpieczenia miał już za sobą i właśnie zabierał się do kabla, kiedy Booker ponownie zaczął strzelać. Mercer uniósł głowę i w tym samym momencie coś wyrznęło go w plecy z taką siłą, że upadł na pokład. Rozpoznał czarny kombinezon skoczek na ułamek sekundy przed kopniakiem, który wylądował na jego podbródku. Spadochroniarz uniknął zgniecenia, prawdopodobnie dzięki temu, że schował się pod silnikiem, i dopiero teraz zdołał się uwolnić z wraku łodzi.

Głowa Mercera odskoczyła i uderzył potylicą o pokład. Z całych sił walczył z ciemnością, w której pogrążał się jego umysł.

Udało mu się nie stracić przytomności. Otworzył oczy w porę, by uniknąć kolejnego kopnięcia w twarz. Złapał napastnika za kostkę i przekreślił ją obiema rękami. Mężczyzna padł na plecy, a Mercer wykorzystał jego impet i nie puszczając kostki, usiadł. Potem pochylił się i wbił łokieć w krocze napastnika. Ignorując mroczki przed oczyma, wstał. Barka zatrzymała się na samym skraju wodospadu, bo woda miała tu głębokość niespełna metra.

Obrócił się, kiedy napastnik podniósł się z pokładu. Mercer go rozpoznał. To był jeden z mężczyzn, którzy towarzyszyli Polemu podczas ataku w hotelu Deco Palace. Karabin Mercera leżał zbyt daleko, żeby zrobić z niego użytek. Nie miał innego wyjścia, więc się po prostu rzucił do ataku. Mężczyźni szepili się ze sobą i padli z impetem, rozpryskując wodę. Pokład zanurzył się tylko na kilkadziesiąt centymetrów, ale prąd był bardzo silny. Mercer puścił napastnika i spłynął kilka metrów w dół, zanim udało mu się czegoś złapać. Przód barki wisiał nad przepaścią, a prąd nieubłaganie popychał ich naprzód.

Wtedy zrozumiał, co może go uratować. Dostrzegł swoją jedyną szansę. Spadochroniarz też się podniósł, ale był za daleko. Mercer skoczył do

skrzynek i złapał schmeissera. Najemnik chciał wyciągnąć pistolet z kabury przy pasku, nie był jednak dostatecznie szybki. Mercer strzelił z jednej ręki, z trudem utrzymując podskakujący karabin, ale i tak kilka kul przeszło pierś terrorysty. Mężczyzna upadł i natychmiast został porwany przez prąd. Mercer odrzucił karabin i złapał napastnika za włosy, zanim woda zmyła go z pokładu. Przyciągnął go do skrzyń i schowany za nimi odczepił zapasowy spadochron.

Nigdy nie skakał, więc nie miał pojęcia, czy dobrze założył uprząż. Ale nic już nie mógł zrobić. Rufa zaczęła się unosić, a prąd był coraz bliższy zwycięstwa z barką.

Mercer przestał się bać, że jest tak wysoko. Teraz martwiło go, czy nie jest zbyt nisko. Był. Sześćdziesiąt metrów to sporo, ale nie wystarczy, by spadochron się otworzył. Równie dobrze mógł skoczyć bez niego. Podbiegł do dźwigu, obrócił go w górę rzeki i równocześnie uruchomił podnoszenie i wysuwanie ramienia. W ten sposób zyskiwał trochę czasu, równoważąc przechył barki w stronę wodospadu, i dokładał trzydzieści metrów do pułapu, z którego zamierzał skoczyć.

Wzdłuż pierwszej sekcji ramienia była przyspawana drabinka. Nie czekając, aż dźwig przestanie się poruszać, złapał za uchwyt i rozpoczął wspinaczkę. Kolejne trzy sekcje były gładkie, więc nie pozostawało mu nic innego, jak zaufać sile swoich mięśni i wspinać się po nich jak małpa.

Na szczyt dotarł w chwili, kiedy świat zaczął się przechylać. To barka poddawała się naporowi wody. Skrzynki w workach ześliznęły się z pokładu i zniknęły poniżej. Mercer wyciągnął spadochron kierujący i trzymał go w prawej ręce. Serce niemal przestało mu bić, kiedy ramię dźwigu się wyprostowało. Z tej wysokości wodospad był wąskim kanałem między drzewami, a odległe jezioro Ontario wyglądało jak tafla polerowanego szkła.

W chwili, kiedy barka się poddała, a maszt zaczął przechylać w dół, Mercer skoczył, wyrzucając spadochron nad głowę. On, woda i barka spadali mniej więcej z tą samą prędkością, ale Mercer czuł, że przyspiesza. Po chwili ogarnęła go mgła wzbijających się kropelek rozbryzgiwanej wody. Nie mógł przez nią zobaczyć zbliżającej się powierzchni rzeki i skał, ale tak pewnie było lepiej.

Los jednak nie zamierzał być dla niego łaskawy. Mgła się przzerzedziła i Mercer dojrzał gotującą się kipiela, odłamki skał, które odrywały się od progu wodospadu, i nawet niewielki stateczek, który woził turystów w pobliże kaskady. Poczul, jak pęd powietrza wyszarpuje spadochron z plecaka, ale wiedział, że jest już za nisko.

Zacisnął powieki.

A potem podniósł je z powrotem, bo spadochron jednak się otworzył i boleśnie wbił paski uprząży w jego krocze. Był przekonany, że popekały mu jądra. Podmucha od wodospadu przepchnął go nieco dalej, ratując przed uderzeniem barki, która wciąż była nieco powyżej. Dźwig oderwał się od pokładu i minął go dosłownie o kilka metrów. Wpadł pod wodę i natychmiast został porwany przez prąd.

Mercer walczył z całych sił, żeby dostać się na powierzchnię. Czuł, jakby za chwilę miały mu eksplodować płuca. W ostatniej chwili wynurzył głowę i łapczywie nabrał powietrza. Potem odpiął uprząż i wolny od tego brzemienia mógł pomyśleć o ratunku. Wycieczkowy stateczek, „Maid of the Mist”, wiózł

turystów opatulonych w kurtki przeciwdeszczowe. Kiedy zobaczyli, że przeżył, zaczęli krzyczeć i wiwatować. Kilka minut później został wyciągnięty na pokład.

- Chciałeś zginać? - zapytał jeden z marynarzy.

Nie mając gotowej riposty, Mercer po prostu przeturlał się na bok i obficie zwymiotował.

ARLINGTON, VIRGINIA

Mercer leżał na sofie, ubrany w najluźniejsze spodnie od dresu, jakie miał, z paczką mrożonej fasolki przyciśniętą do krocza i wódką z sokiem z limonki w zasięgu ręki. Na podłodze obok przysiadł Drag i wbijał w niego smutne, przekrwione oczy, nie rozumiejąc, dlaczego został wyrzucony ze swojego ulubionego miejsca.

Cali i Ira Lasko usiedli na kanapie naprzeciwko, a Harry i Booker Sykes zostali przy barze. Burgery i frytki z jakiegoś fast foodu walały się po stoliku kawowym i kontuarze.

Kiedy „Maid of the Mist” powróciła do przystani i okazało się, że Mercer nie musi natychmiast trafić do szpitala, przewieziono go na posterunek policji i przedstawiono długą listę zarzutów. Tak jak po strzelaninie w New Jersey, Ira musiał interweniować, żeby go wypuścić. Sykes odebrał Cali i jej zespół z Grand Island. Potem porzucili łódź, żeby nikt się nie dowiedział, jaki był ich udział w całej aferze. Dochodzenie w sprawie wymiany ognia na rzece przydzielono Ruth Bishop ze Straży Przybrzeżnej. Musiała współpracować ze swoimi kanadyjskimi odpowiednikami, żeby odnaleźć helikopter, z którego wyskoczyło dwóch spadochroniarzy i który najprawdopodobniej przejął wydobyte skrzynie. Udało się zachować w tajemnicy ich zawartość, głównie dzięki sporej sumce, która trafiła do Briana Crenny, żeby trzymał gębę na kłódkę. Do końca tygodnia miał dostać nowy holownik i pływający dźwig. Zaginiony członek jego załogi został znaleziony po kanadyjskiej stronie Niagary, nie było więc żadnych ofiar cywilnych ataku terrorystów na

elektrownię wodną, jak brzmiała oficjalna wersja. Mercer, Cali i jej zespół oraz Sykes nie znaleźli się w komunikacie dla mediów. Poza tym dostali polecenie, by nie chwalili się swoją rolą.

Nie zdołano odnaleźć ciał napastników, toteż Mercer, Cali i Sykes ze swoimi ludźmi spędzili cały dzień z agentami FBI, przeglądając setki zdjęć znanych, by zidentyfikować tych, którzy na nich napadli. Jedną z łodzi, którymi zaatakowali barkę, ocalała i znaleziono na niej materiały wybuchowe w ilości wystarczającej do wysadzenia statku pasażerskiego. Mercer już podczas ataku zauważył, że napastnicy pochodzili z Bliskiego Wschodu. Czterech z nich rozpoznał na zdjęciach. Dwóch było Irakijczykami, pozostali dwaj Saudyjczykami. Spadochroniarz miał za sobą szkolenie wojskowe w irackiej Gwardii Republikańskiej i grubą teczkę w Pentagonie, ale nie był ważną postacią w al Kaidzie. W żadnej z dostępnych baz danych nie znaleziono niczego na temat drugiego skoczka.

Ira zadbał, by Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego informował go na bieżąco o postępach śledztwa mającego ustalić, jak zamachowcy dostali się do Stanów Zjednoczonych i skąd mieli broń. Poza tym Mercerowi przydzielono ochroniarzy, którzy przez dwadzieścia cztery godziny na dobę pilnowali jego domu. Wolał już to niż skorzystać z propozycji, by na jakiś czas przeniósł się do bezpiecznego lokum.

Kiedy w zmrożonym kroczu stracił czucie, odłożył paczkę fasolki na przygotowaną wcześniej szmatkę i otarł keczup z ust. Właśnie skończył opowiadać Harry'emu o walce i swoim brawurowym skoku ze szczytu dźwigu.

- Jesteś bodaj dwunastą osobą, która pokonała wodospad i przeżyła - zauważył staruszek. - Chociaż ściśle mówiąc, nie pokonałeś go, tylko przeleciałeś nad nim. Miałeś spadochron, więc to się nie liczy.

- Ściśle mówiąc, jesteś upierdliwym dziadygą - zachnął się Mercer i podszedł do baru po kolejnego drinka. - Nie mogę o tym opowiadać, ale pokonałem wodospad i na dowód mam spuchnięte klejnoty. - Spojrzał na Irę. - Zapomniałem zapytać. Jak wam idzie wydobywanie skrzyń?

- Straż Przybrzeżna ściśle współpracuje z zespołem Cali, Na razie dotarli do dwóch. Leżały na dnie zbiornika pod wodospadem, za bystrzami. Niestety dwie pozostałe są dokładnie pod spadającą wodą, a tam jest dalej do dna niż na szczyt. Dobra wiadomość to taka, że w wodzie nie zauważono najmniejszych zmian promieniowania, więc worki muszą być całe.

- A co z bezpieczeństwem?

- Nikt się o niczym nie dowie - przyrzekł uroczyście Ira. - Swoją drogą, co sprawiło, że poprosiłeś o pomoc Bookera?

- W Afryce Poli był o krok przed nami. W zapiskach Bowiego z sejfu znalazł nazwę statku, którym pluton podróżował do Stanów. A Cali udowodniła, że znalezienie „Wetherby” nie nastrecza większych trudności. To, czego się nie spodziewałem i do teraz nie rozumiem, to liczba ludzi, których zatrudnia, i finezja jego akcji przy tak krótkim czasie na planowanie.

Booker Sykes włączył się do rozmowy.

- Taka operacja wymaga przynajmniej kilkutygodniowych przygotowań - rzekł. - Tymczasem on musiał być gotowy w kilka dni.

- A to oznacza - podjął Mercer - że ma w Stanach potężne źródło zaopatrzenia.

- Jesteś pewien, że nie było go wśród zamachowców? - zapytał Ira.

- Niestety tak - odparł Mercer. Niczego nie pragnął bardziej niż tego, żeby ciało jednookiego najemnika leżało na barce, kiedy osuwała się do wodospadu. - Rozpoznałem tylko białego spadochroniarza, bo widziałem go w Atlantic City. Gość strzelał do nas, a Poli siedział za kierownicą. Myślę, że bojownicy al Kaidy z pierwszej i drugiej łodzi byli tylko mięsem armatnim.

- Stąd te ładunki - dodał Booker. - Atak samobójczy, gdyby pojawiła się eskorta Straży Przybrzeżnej. Irakijczyk ze spadochronem był pewnie dowódcą komórki, ale wszyscy pracowali dla Feinesa.

- Który też dla kogoś pracuje, a my nie wiemy, dla kogo - dokończyła Cali.

- Nawet nie mamy podejrzeń. - Mercer wrócił na kanapę i sięgnął po torebkę z mrożoną. - Ale to musi być al Kaida. Inaczej Poli nie miałby do dyspozycji ich ludzi. On pracuje dla pieniędzy, a goście, którzy są gotowi wysadzić się w powietrze, działają z pobudek politycznych lub religijnych.

Ira skończył swojego burgera, wytarł usta i zmiął chusteczkę.

- Myślicie, że al Kaida stara się zdobyć materiały na brudną bombę?

- A masz inne wyjaśnienie? - Cali odpowiedziała pytaniem. - Od lat próbują przejąć materiały radioaktywne. I niezależnie od tego, co piszą media, mój zespół i inne tajne grupy odwalają kawał dobrej roboty, uszczelniając dostęp do takich substancji w byłym Związku Radzieckim i we wszystkich innych miejscach na świecie. - Spojrzała na Mercera, jakby to, o czym zamierzała powiedzieć, było jego winą. - Niestety nikt nie wpadł na to, że pluton może naturalnie występować w takich ilościach. Odkrycie Chestera Bowiego jest więc dla terrorystów jedyną szansą na brudną bombę.

- Czegóż tu nie rozumiem - włączył się Harry. - Jeśli te skrzynki leżały przez lata pod wodą i wy tak łatwo je wydobyliście, co takiego by się stało, gdyby zrobili z nich brudną bombę?

Cali zobaczyła, że nie żartuje.

- Tu nie chodzi o jej skuteczność. Brudna bomba jest narzędziem strachu. Więcej ludzi zginęłoby od samego wybuchu niż od choroby popromiennej. Tyle że taka broń jest obliczona na inny efekt. Samo zagrożenie napromieniowaniem wywołałoby ogólną panikę. Pamiętacie ataki w Anglii? Kolejki przed aptekami po leki antywirusowe?

- Niestety - Ira wszedł jej w słowo - współzawodnictwo między mediami zmusza dziennikarzy do straszenia ludzi. Inaczej by nie sprzedali miejsc na reklamy. Historia o brudnej bombie i ataku terrorystycznym została przedstawiona jako zapowiedź apokalipsy, co tylko pomogłoby terrorystom w szerzeniu strachu. Chyba zdajecie sobie sprawę, że mass media nie są wolne. I nie mam tu na myśli żadnych prawicowych czy lewicowych spisków, tylko nasz swojski konsumpcjonizm. Sami pozwalamy mediom na wchodzenie w układy z producentami, którzy chcą sprzedawać więcej ciuchów czy tańsze komputery. W redakcjach siedzą goście i trzęsą się z niecierpliwości, czekając na kolejny atak terrorystyczny, katastrofę lotniczą czy morderstwo jakiegoś celebryty, które podniosą im sprzedaż i notowania. Tak długo, jak media utrzymują się z reklam, będą zerowały na negatywnych emocjach. Ot, ludzka natura.

- A jest jakieś wyjście z tej matni? - spytał Harry. - Media utrzymywane przez państwo są tylko tubami propagandowymi rządzących.

- Nie mam pojęcia. - Ira rozłożył ręce. - Ale wkurza mnie, kiedy z jakiegoś nic nieznaczącego newsa robią wielką aferę zagrażającą państwu, byle tylko na tym zarobić. Chociaż tysiące nastolatków ginie co roku w różnych wypadkach, oni wybierają jedną śmierć, majstrują przy niej i sprzedają jako narodową tragedię. A ludzie to kupują, bo ciągły rozgłos i dozowanie coraz nowszych tragicznych okoliczności powoduje zainteresowanie opinii publicznej.

- To cyniczne - zauważył Harry - ale prawdziwe.

- Moim zdaniem raczej smutne - odparł Ira zmęczonym głosem.

- Zbaczamy z tematu - zauważył Mercer.

- Racja. - Admirał podrapał się po łysej głowie. - Cały ranek spędziłem z doradcami medialnymi, żeby przygotować oficjalną wersję wydarzeń. Nie patrzcie tak na mnie, nie mam innego wyjścia.

- Zabezpieczyliśmy potężny ładunek plutonu - stwierdził Mercer. - Zupełnie przestałem się przejmować tą odrobiną, która była w sejfie. Ale wciąż nie mamy pojęcia, czym jest i gdzie jest alembik Skenderbega, i co Rosjanie zrobili z materiałem, który wydobyli po Chesterze Bowiem. Udało ci się czegoś dowiedzieć?

- Tak. - Ira otworzył teczkę i wyjął z niej plik papierów. - Tak spędzam wieczory. Skontaktowałem się z Grigorijem Popowem, wojskowym, który tak jak ja najpierw był w marynarce, a potem trafił do wywiadu. Teraz jest szycią w Ministerstwie Obrony. Znamy się od lat i chociaż za grosz mu nie ufam, obaj wiemy, kiedy jest czas, żeby zagrać w otwarte karty.

Spojrzał w swoje notatki.

- Mieliśmy rację, kiedy rozmawialiśmy u mnie w biurze - podjął. - Rosjanie ukradli nasze plany bomby atomowej, ale wiedzieli, że nie mają odpowiednich środków ani techniki do wzbogacenia uranu i nie wyprodukują go przez dziesięć lat, a produkcja plutonu w ogóle była wtedy mrzonką. Kiedy wojna okazała się nieunikniona, KGB utworzyło Biuro Operacji Naukowych i zatrudniło w nim gościa o nazwisku Boris Ulinew.

Mercer aż podskoczył, a potem zbladł.

- Chryste... Departament Siódmy.

- Słyszałeś o nich?

- Pamiętasz, opowiadałem ci, jak Hawaje chciały ogłosić niepodległość, i o spisku, żeby wysadzić ropociągi na Alasce? - Lasko przytaknęła. - Obie sprawy były przygotowane przez Departament Siódmy.

- Jasne! - zawołał Ira. - Wiedziałem, że już o nich słyszałem, tylko nie mogłem sobie przypomnieć gdzie.

- Ich ostatni szef wciąż jest w obiegu - powiedział Mercer, tłumiąc gniew. - Ivan Kerikow. Ciekawe, czy w tym też bierze udział.

- Wątpię - odparł admirał.

- Chłopaki - wtrąciła się Cali. - Może jakaś ściągawka dla tych, którzy nie wiedzą, o czym mówicie?

- Departament Siódmy został utworzony w czasie II wojny światowej, kiedy Armia Czerwona szła na Berlin - Mercer zaczął wyjaśniać. - Jego jedynym zadaniem było przejmowanie i adaptowanie rozwiązań technologicznych z podbitych terenów. Naziści dysponowali bardzo zaawansowanym sprzętem i prowadzili kilka ciekawych projektów. Rosjanie kradli je na potęgę. Przejmowali wszystko, co tylko wpadło im w ręce. Plany

odrzutowców, potężne systemy radarowe, pociski kolejnych generacji, nawet pierwsze na świecie gogle na podczerwień. Departament Siódmy kradł technologię, przekazywał wszystkie dane do kraju i adaptował rozwiązania na potrzeby swoich wojsk. Dzięki temu tak szybko po wojnie Sowieci byli w stanie wyprodukować myśliwce odrzutowe. MiG-15 był kopią samolotu niemieckiego. Wierną kopią. - Spojrzał na Irę. - To by miało sens. Zainteresowali się Bowiem, bo ścigali go niemieccy agenci.

- No właśnie - rzekł admirał. - Kiedy Heinrich Himmler, szef SS, dowiedział się o alembiku Skenderbega, osobiście zorganizował zespół, który miał szukać tej najpotężniejszej starożytnej broni. Dwóch Niemców zostało zgładzonych, dziś wiemy, że przez janczarów, ale trzeci wrócił do kraju i przywiózł raport o Chesterze Bowiem i jego kopalni. Niemcy nie wysłali kolejnych ekspedycji do Afryki, bo wierzyli, że sami będą potrafili wzbogacić uran, a dokumentacja pierwszego zespołu trafiła do archiwum.

- A potem w łapy Departamentu Siódmego - dodał Booker znad baru.

- Dokładnie tak. Naziści, przeczuwając koniec wojny, większość swojego programu nuklearnego przekazali do Japonii, ale w Niemczech zostało dostatecznie dużo materiałów, by Departament Siódmy zorientował się, że w przyrodzie może istnieć naturalne źródło paliwa nuklearnego. Sowieci ruszyli do Afryki i po długich poszukiwaniach trafili do wyrobiska Chestera Bowiego. Nawiasem mówiąc, Popow zaprzecza, żeby miała tam miejsce jakakolwiek masakra ludności cywilnej.

- A spodziewałeś się czegoś innego? - Mercer uśmiechnął się smutno.

Ira odpowiedział mu takim samym grymasem.

- Za to przyznał, że wydobyli kilka ton rudy. Całe złożo.

- I co się z tym stało? - spytała Cali i ujęła wargami słomkę wystającą ze szklanki z colą. Jej gest tak ociekał erotyzmem, że wszyscy mężczyźni zamarli i przez dłuższą chwilę żaden nie był w stanie udzielić sensownej odpowiedzi.

- Greg powiedział - odparł wreszcie Ira - że wykorzystali połowę urobku do lat pięćdziesiątych, a potem sami wzbogacali uran.

- Czyli ich pierwsze bomby były oparte na plutonie - stwierdził Harry.

- Na to wygląda.

- A co z drugą połową? - przypomniał Mercer.

- Wiedziałem, że o to zapytasz. - Ira znów sięgnął do teczki i rzucił na stół dwa bilety lotnicze. - Polecicie z Cali obejrzeć na żywo resztki plutonu. Rosjanie składują materiał w starej kopalni na Uralu razem ze wszystkim, co pozostało po Departamencie Siódmym. Cali, nie musisz się martwić o pozwolenia, wszystko już załatwiłem z twoimi przełożonymi.

- Trzymają pluton w starej kopalni? - Cali nie mogła w to uwierzyć.

- Ty chyba wiesz najlepiej, jak marnie chronili podczas zimnej wojny materiały rozszczepialne. Ale gdyby się zastanowić, jeszcze dziesięć lat temu nie miało to znaczenia. Po prostu nie było nikogo, kto by się interesował taką bronią. Dzisiaj to całkiem inna historia, więc na gwałt usiłują nadrobić stracony czas. Nasz rząd przeznacza miliardy dolarów dla Rosji i dla Ukrainy, żeby pomóc im w ochronie arsenałów nuklearnych. Tyle że tego nie da się załatwić z dnia na dzień.

- Wiem. - Cali pokiwała głową. - To cholernie irytujące. Cały czas staramy się zapobiegać zagrożeniu nuklearnemu, ale wystarczy jedna pomy

łka czy przeoczenie i całe miasto zniknie z powierzchni ziemi. A Rosjanie trzymają w kopalniach, starych magazynach czy nawet w lejach po bombach atomowych materiał nuklearny, którego nie chciało im się zewidencjonować lub choćby uprzątnąć! Co będzie, jeśli taka bomba eksploduje u nas? Potępimy terrorystów, zrzucimy kilka inteligentnych pocisków w różnych miejscach globu, a potem spędzimy całe lata, próbując ustalić, dlaczego nasz wywiad zawiódł. I w ogóle nie zwrócimy uwagi na prawdziwych winowajców, którzy udostępnili materiał radioaktywny. To dobrze, że po jedenastym wrześniu talibowie zapłacili za to, co zrobili, ale powinniśmy zaatakować przede wszystkim Arabię Saudyjską. To ich rząd pozwolił bin Ladenowi i jego ludziom stworzyć tak silną organizację terrorystyczną. Wykazali się jedynie przezornością, bo już na początku wyeksportowali go do Afganistanu.

- Święta racja - skomentował Ira.

- Zajmą się terroryzmem, dopiero kiedy bomby zaczną wybuchać w Rijadzie. Teraz jakoś nie robią z tego problemu. Czasem z łapią i tracą kilku ekstremistów, ale równocześnie nie przestają pompować petrodolarów w szkoły wahabickie, gdzie odbywają szkolenia przyszli zamachowcy.

- Dobrze wiesz, że inwazja na Arabię Saudyjską nie wchodzi w rachubę - powiedział Mercer. - Więc co innego nam zostaje?

Cali pokręciła głową.

- Saudyjczycy eksportują terroryzm, bo ich na to stać. I nie przestaną, dopóki nie będą splukani. Jeśli stracą bogactwa pochodzące ze sprzedaży ropy, staną się zwykłym biednym krajem Trzeciego Świata. Znajdźmy inne źródła ropy, a z czasem całkiem ją wyeliminujemy.

- Krótko mówiąc - posumował Harry - uważasz, że będziemy dostawali po nosie, dopóki nie wydoimy drani do sucha.

- Dokładnie tak - potwierdziła. - Inaczej oni nie przestaną finansować fanatyków, którzy będą rozbijali samoloty o jakieś budynki, detonowali brudne bomby albo po prostu wchodziłi do sklepu w pasie z lasek dynamitu.

- Fatalnie - uznał Booker, sięgając po piwo ze stylowej lodówki Mercera.

- Tak już jest zrobiony ten świat - dodał sentencjonalnie Ira. - Na moje biurko trafia więcej tego szajsu, niż możecie sobie wyobrazić. Dlatego zgadzam się z Cali, że ekstremizm jest dziś największym zagrożeniem i że nie ma prostej recepty, jak sobie z nim poradzić. Tak samo jak Rosjanie bawimy się w kotka i myszkę z grupami, które chcą przejąć materiały rozszczepialne. Jeszcze długo będziemy płacić Saudyjczykom za ropę, zanim znajdziemy sposób na wyeliminowanie tego paliwa.

- Ale w międzyczasie mamy coś ważnego do załatwienia - wtrącił Mercer, żeby przywrócić rozmowę na właściwe tory. - Co będziemy robić w Rosji?

- Spotkacie się z Grigorijem w Samarze, mieście przemysłowym nad Wołgą. Stamtąd polecicie wojskowym helikopterem do starej kopalni. Będzie z wami zespół specjalistów od materiałów radioaktywnych, którzy sprawdzą, czy ruda jest dobrze przechowywana. Następnie materiał zostanie przeniesiony do składu broni na Syberii, oddalonego o półtora tysiąca kilometrów od osad ludzkich. To ponoć najnowocześniejszy i najlepszy taki skład w kraju. Sam też za niego płaciłeś jako podatnik Stanów Zjednoczonych. Kiedy się upewnicie, że pluton jest bezpiecznie zamknięty w magazynie, możecie wracać. Misja będzie zakończona.

- Nie całkiem - odparł Mercer. - Wciąż nie wyjaśniliśmy roli Polego i janczarów. No i nie wiemy, co to był alembik Skenderbega i czy może być dziś niebezpieczny. - Popatrzył na Sykesa. - Masz ochotę na małą wycieczkę?

- To zależy. - Komandos się uśmiechnął. Mercer spojrział na Irę.

- Domyślam się, że jeszcze nie przekonałeś Pentagonu, by wysłano do Afryki zespół do zbadania kamiennej kolumny? - Gdy Lasko pokręcił głową, zwrócił się do Bookera. - Co powiesz na opłacone z góry wczasy w najbardziej zapadłej dziurze, jaką kiedykolwiek widziałeś?

- A co mam tam robić?

- W wiosce niedaleko kopalni stał kamienny obelisk ufundowany przez Aleksandra Wielkiego i pokryty napisami. Musimy mieć jego dokładne zdjęcia. Mam nadzieję, że znajdziemy tam wskazówkę, gdzie szukać alembiku.

- Wysyłasz mnie do Afryki, bo potrzebujesz kilku zdjęć? A może przywieźć ci całą kolumnę?

- Kilka fotek z polaroidu wystarczy. Potem możesz wracać.

- Chyba lepszy byłby aparat cyfrowy - zasugerował Ira.

- Zapewne - odparł Mercer. - Ale nie zapominaj, że pierwszą komórkę kupiłem dopiero w zeszłym roku.

- Paul Rivers i Bernie Cieplicki, którzy byli ze mną na łodzi - powiedział Sykes - mają jutro wrócić do Fort Bragg. Załatwię, żeby się nagle rozchorowali, a potem przygotowujemy się do wyjazdu.

SAMARA, ROSJA

Kiedy airbus Lufthansy dotknął kołami płyty lotniska w Samarze, mieli za sobą piętnaście godzin spędzonych w powietrzu i tylko dzięki temu, że Mercer z własnej kieszeni dopłacił do pierwszej klasy, mogli ten czas spędzić razem. Cali żartowała, że petit filets i szparagi z sosem bearnaise zjedzone nad Atlantykiem nie liczą się jako randka, więc wciąż jest jej winien obiad. A gdy boczny wiatr zatrzęsł samolotem i chwyciła go za rękę, poczuł szybsze bicie serca.

Zupełnie jak pierwsza szczeniacka miłość, pomyślał, gdzie każdy gest i każde spojrzenie są bogate w treść. Mimo to nie mógł się pozbyć wyrzutów sumienia. Czy to nie za wcześnie po śmierci Tisy? Czy już jest gotowy oddać się drugiej osobie? Chciał wierzyć, że to kielkujące uczucie to coś więcej niż tylko fizyczna reakcja na bliskość atrakcyjnej kobiety. Patrząc w głąb siebie i szukając prawdy, nie potrafił dojrzeć niczego poza wielką ciemną pustką w miejscu, gdzie kiedyś była jego pewność siebie. Poczucie winy paraliżowało go, choć usiłował sobie tłumaczyć, że niczym na nie nie zasłużył.

Przy odprawie czekało na nich dwóch mężczyzn. Jeden, niski, ale przystojny, miał blond czuprynę i insygnia kapitana wojsk lądowych na kołnierzyku koszuli. Drugi, sporo starszy, z niebieskimi oczyma i wielką głową pokrytą przerzedzonymi siwymi włosami, był w pogniecionym garniturze, a rozpięta marynarka odsłaniała atramentową plamę pod kieszonką koszuli. Wyglądał na zakopanego w papierach naukowca.

- Kapitan Aleksander Fiedorow - przedstawił się oficer. Mówił po angielsku bez akcentu i nie przestawał się uśmiechać. - Po prostu Sasza. A to profesor Paweł Sapożnik z Ministerstwa Obrony. Ja będę dowodził waszą eskortą, a profesor i jego ludzie to specjaliści od składowania materiałów niebezpiecznych.

- Mercer. A to Cali Stowe z Departamentu Energii. - Ku niezadowoleniu celnika po kolei podali sobie ręce.

Fiedorow spojrział na urzędnika i powiedział coś zdecydowanym tonem. Potem poprosił Amerykanów o paszporty, położył je na ladzie i po chwili odebrał podbite.

- Wybaczcie - poprowadził ich do zamkniętej strefy odpraw - Samara do rozpadu Związku Radzieckiego była zamkniętym miastem. Celnicy wciąż nie wyzbyli się starych przyzwyczajęń. Do dziś potrafią odmawiać turystom prawa wjazdu do miasta, choć nie ma ku temu żadnych powodów. To poważny problem, zwłaszcza że Samara stała się zagłębiem korespondencyjnego przemysłu matrymonialnego. Wielu samotnych Niemców czy Amerykanów przyjeżdżających do kobiet poznanych przez anonse zatrzymano na lotnisku i wracali do siebie jeszcze bardziej samotni.

Mercer się roześmiał. Od razu polubił wojskowego.

- Pani, panno Stowe, zawstydzą swoją urodą wszystkie lokalne niewiasty. Uśmiechnęła się, słysząc komplement.

- Myślałem, że będzie na nas czekał Grigorij Popow - rzekł Mercer.

Fiedorow uniósł ręce w geście rezygnacji.

- Ech, ci biurokraci... Przekazał, że utknął w Moskwie i dołączy do nas najwcześniej jutro. Ale podejrzewam, że w ogóle się nie pojawi. Samara nie jest, jak wy to mówicie, ulubionym celem podróży. Przypomina wasz Pittsburgh bez drużyny sportowej. - Zatrzymał się przy toaletach. - Czeka nas dwugodzinny lot. Możecie się odświeżyć, jeśli chcecie.

Cali weszła do łazienki, a Mercer uciał sobie pogawędkę z Fiedorowem. Okazało się, że Rosjanin studiował języki i poza angielskim płynnie włada jeszcze francuskim, niemieckim i ukraińskim. Przydzielono go do ochrony materiałów nuklearnych, bo wielu zagranicznych ekspertów odwiedzało miejsca ich składowania. Profesor Sapożnik nie uczestniczył w rozmowie. Wolał trzymać się z boku.

- Co wiesz o kopalni, którą Departament Siódmy wykorzystywał jako magazyn? - spytał Mercer.

- Nie mieliśmy pojęcia o jego istnieniu ani o składowanych tam materiałach radioaktywnych, dopóki twój przełożony nie skontaktował się z Popowem - odparł Sasza Fiedorow. - To smutne, ale taka jest prawda i nie możemy jej ukrywać. W starym systemie prawie wszystko było objęte tajemnicą. Prawa i lewa ręka nie wiedziały o swoim istnieniu. Jak w tamtej historii z lat siedemdziesiątych, kiedy jeden z naszych okrętów podwodnych był bliski wystrzelenia torpedy w drugi, który akurat wracał do portu we Władywostoku. Bo widzisz, w marynarce były wtedy dwie frakcje, które się nawzajem zwalczały i unikały przekazywania planów patrolów. Katastrofy udało się uniknąć tylko dzięki obsłudze sonaru. Facet się zorientował, że komputer daje mu złe odczyty identyfikacyjne drugiego okrętu. Kilka lat wcześniej sam na nim służył i jakoś rozpoznał jego dźwięki.

Profesor Sapożnik powiedział coś po rosyjsku do Fiedorowa bardzo ostrym tonem. Kapitan odpowiedział równie gwałtownie i przez chwilę się kłócili. W końcu naukowiec pokiwał głową i spojrział na Mercera.

- Proszę mi wybaczyć - rzekł głębokim głosem, z którego przebijał szczery żal. - Stare nawyki. Człowiek nie potrafi się tego pozbyć. Dziś już niczego nie ukrywamy przed naszymi sprzymierzeńcami z Zachodu.

- Rozumiem - odparł Mercer z uśmiechem. W Sapoźniku rozpoznał jednego z tych, którzy wciąż wierzą, że za komunizmu było lepiej - Nikt nie lubi, jak się publicznie pierze jego brudy.

- Wracając do tematu - powiedział Sasza - to jest stara kopalnia gipsu. Prowadzi tam tylko jedna droga i jedna linia kolejowa. W 1957 najniższe poziomy znalazły się pod wodą, więc skończyła się jej eksploatacja. Krótco potem kopalnię przejął Departament Siódmy i utworzył w niej składowisko materiałów zdobytych w czasie wojny.

- Czy droga i linia kolejowa wciąż nadają się do użytku? Minęło sporo czasu.

- Tak, nie powinno być z tym problemów. Uznaliśmy, że najlepiej będzie przewieźć... eee... rudę na Syberię koleją. -Chociaż nikogo nie było w pobliżu, Sasza nie chciał użyć słowa pluton. - Transport kolejowy jest znacznie bezpieczniejszy niż drogowy. Pociąg już wyjechał z Samary, ale będzie na miejscu dopiero jutro.

Wróciła Cali, więc Mercer przeprosił wszystkich i wszedł do łazienki, załatwił się i umył ręce i twarz. Nie chcąc ryzykować picia wody z kranu, na sucho połknął kilka tabletek środka przeciwbólowego. Opuchlizna krocza zmaląła, ale ból po tylu godzinach spędzonych na siedząco był trudny do zniesienia.

Gdy dotarli do drzwi terminalu, Sasza otworzył je przed Cali z trochę przesadną uprzejmością. Przed budynkiem stał wojskowy helikopter, potężny transportowy MI-8, jedna z najlepszych maszyn tego typu w historii awiacji. Miał prawie dziewięć metrów długości i sześć wysokości, więc dwaj mężczyźni przy otwartych bocznych drzwiach wyglądali jak karzelki. Na widok Saszy stanęli na baczność.

Kapitan zaprosił Amerykanów do środka, wskazał im siedzenia przy burcie, a potem podał hełmy.

- Niestety nie mają systemu komunikacji wewnętrznej dla pasażerów, ale przynajmniej ochronią wam uszy.

Na pokładzie było sześciu żołnierzy w pełnym rynsztunku, uzbrojonych w kałasznikowy i ręczne wyrzutnie grantów. Pięciu innych mężczyzn miało na sobie oliwkowe mundury skoczków spadochronowych, ale Mercer podejrzewał, że to naukowcy z ekipy Sapoźnika. Z tyłu stały skrzynki z namiotami, prowiantem, wodą i sprzętem, który mógł się przydać.

Fiedorow zajął miejsce, włożył hełm i podłączył się do interkomu. Chwilę później dwa turbosilniki Klimowa ożyły i cały helikopter się zatrzęsł. Pilot włączył przekładnię, przenosząc napęd na śmigła, i pięć długich łopat zaczęło mieszać unoszące się wokół spaliny. Wstrząsy stały się tak silne, że Mercer musiał zacisnąć szczęki. Poczul, że Cali łapie go za rękę. Jej dłoń wśliznęła się między jego palce jak małe zwierzątko do norki w poszukiwaniu bezpieczeństwa.

Wstrząsy ustały, gdy pilot zgrabnie poderwał jedenastotonową maszynę w powietrze.

Mercer wyjrzał przez okienko z pożółkłego plastiku. Miasto poniżej składało się z kilkunastu centrów przemysłowych nad brzegiem Samary, która kawałek dalej wpada do Wołgi, najdłuższej rzeki Europy. Chociaż Wołga jest znacznie dłuższa od Ohio czy Allegheny, trzymilionowe miasto wyglądało jak Pittsburgh.

Lot do kopalni Samarskaja był monotony. Stepy ustępowały miejsca niskim pagórkom i pokruszonym granitowym skałom. Doliny nie były głębokie, a że wszystkie drzewa w okolicy już dawno wycięto, jakakolwiek roślinność pojawiała się jedynie z rzadka. Dominowały wszelkie odcienie szarości, a co najdziwniejsze, równie szare było niebo.

Przez ostatnie dwadzieścia minut lecieli wzdłuż torów kolejowych. W przygnębiającym szarym krajobrazie szyny były jedynym błyszczącym elementem. Urządzenia kopalniane, kombajny i dźwig, który opuszczał pojazdy na dno wyrobiska, stały szeregiem. Sama kopalnia wyglądała jak czarny kwadrat wryty w zboczu góry. Widać było jeszcze szeroki korytarz, który pod niewielkim kątem opuszczał się w ciemną czeluść. Kilkaset metrów dalej znajdowało się skupisko budynków: biur i domów dla personelu, który obsługiwał kopalnię w czasach, kiedy jeszcze działała. Dziś, opuszczone, chyliły się ku upadkowi.

Nieopodal był dworzec z placem załadunkowym. Prawie kilometrowe stalowe zadaszenie łączyło obie części kopalni w jeden kompleks. Szeroka droga gruntowa prowadziła na samo dno doliny, mijając szyby i zabudowania. Pociąg, który miał dotrzeć na miejsce dopiero następnego dnia, już stał niedaleko podłużnego magazynu: pomarańczowa lokomotywa TEM16 z napędem spalinowo-elektrycznym i osiem wagonów. Z komina unosiły się jasnoniebieskie spaliny, a koło lokomotywy kręciło się kilku mężczyzn. Kilkunastu kolejnych pracowało w pobliżu otwartych drzwi jednego z wagonów.

Mercer zerknął na Saszę. Nie spodobało mu się zaskoczenie na twarzy rosyjskiego kapitana. Przyjrzał się pociągowi i znów przeniósł wzrok na Fiedorowa. Chociaż helikopter właśnie podchodził do lądowania, szybko odpiął pasy.

- To nie jest twój pociąg! - krzyknął. - To pułapka!

Sasza kiwnął głową i warknął jakąś komendę do mikrofonu.

Wyrzutnia rakiet RPG-7 nie trafia w żaden cel znajdujący się ponad dwieście metrów od strzelającego, lecz tym razem potężny MI-8 znajdował się w jej zasięgu. Zamachowiec wystrzelił z rury na ramieniu w chwili, kiedy odwrócony tyłem helikopter był najbardziej bezbronny. Dwupółkilogramowa głowica przebyła tę drogę w niecałą sekundę i powinna była uderzyć w nasadę ogona. Na szczęście Mercer przygotował pilota na taką możliwość, więc pocisk trafił w podporę podwozia. Ułamek sekundy później nastąpiła potężna eksplozja.

Fala uderzeniowa, choć skierowana nie w sam helikopter, i tak mocno nim wstrząsnęła, wrywając dziurę w części towarowej. Gorący podmuch zmasakrował kobietę i mężczyznę w środku, zabił dwóch żołnierzy na końcu wąskiej ławeczki i ranił kolejnych trzech. Odłamek musiał uszkodzić wał napędowy tylnego śmigła, bo nagle maszyn straciła stabilność. Zaczęła się obracać wokół własnej osi.

Mercer przeleciał przez pół kabiny i wylądował na profesorze Sapożniku i dwójce naukowców z jego zespołu. Świat za malutkimi okienkami wirował jak szalony, kiedy korkociągiem spadali na ziemię. Alarmy na kokpicie piszczały zawzięcie, lampki migotały, a dym z przeciążonych silników wypełniałabinę.

Przez ogłuszający łoskot, krzyki i ryk uszkodzonych silników przebijały się uderzenia pocisków z karabinów. Ktokolwiek przygotował tę pułapkę, zrobił to dobrze i nie chciał ryzykować. Chociaż świadomy, że wielki helikopter za chwilę runie na ziemię, Mercer zastanawiał się gorączkowo. Wiedział, że rozkaz do ataku wydał Poli. Nie wiedział tylko, w jaki sposób za każdym razem, od pierwszego spotkania w Afryce, najemnik był zawsze o krok przed nim.

- Przygotować się do uderzenia! - ryknął Sasza.

Większość pasażerów była zbyt przerażona, żeby się ruszyć. Kilku żołnierzy objęło kolana i przycisnęło głowy do kolan. Tuż przed uderzeniem Mercer spojrział na Cali i się uśmiechnął. Przyjęła prawidłową pozycję, chroniąc najbardziej narażone kości kręgosłupa i tym samym zwiększając przynajmniej dwukrotnie szanse na przeżycie. On sam uczepił się pasa bezpieczeństwa Sapoźnika i przywarł do naukowca. W następnej chwili oba silniki rozpadły się na strzępy w zetknięciu z ziemią. Byli niedaleko głównego wejścia do kopalni. Pilot zdołał posadzić śmigłowiec na ziemię na tyle łagodnie, na ile pozwalały uszkodzenia. Tylko dzięki jego doświadczeniu nie zginęli i MI-8 powoli przechylił się na bok, wbijając w żwir wloty powietrza do silników. Zassane kamienie i pył niemal natychmiast zniszczyły mechanizmy. Nastąpiła cisza, ale kabina dalej wypełniała się dymem.

Przez chwilę Mercer był tak ogłuszony, że nie słyszał broni maszynowej, z której zamachowcy nie przestawali do nich strzelać. Domyślał się, że nie odpuszczają, jednak wykorzystanie wraku jako zasłony nie wchodziło w rachubę, bo z uszkodzonych zbiorników będzie wyciekać paliwo, a potem wystarczy jedna iskra, żeby wszyscy w środku zginęli.

Wstał. W kabinie leżały ciała. Przez moment nie był pewien, czy ktokolwiek przeżył. Na szczęście zauważył jakiś ruch. Spojrział na Cali. Leżała teraz na plecach, wciąż przypięta pasami do fotela. Była blada, a w kąciakach ust miała kropelki krwi. Na szczęście nie odniosła obrażeń wewnętrznych, tylko żołnierz obok uderzył ją łokciem, kiedy spadli na ziemię. Mercer popatrzył na profesora Sapoźnika. Miał rozchylone usta i szeroko rozwarte, martwe oczy. W chwili upadku jego kręgosłup nie wytrzymał przeciążenia i pękł, rozrywając rdzeń kręgowy. Naukowiec obok też nie żył. Kawałek skały, który przebił poszycie helikoptera, zmiażdżył mu potylicę. Mężczyzna wciąż na nim leżał, a dookoła powiększała się kałuża ciemnej krwi.

Mercer poszukał wzrokiem Fiedorowa. Kapitan wisiał na przeciwległej burcie na pasach bezpieczeństwa. Żył i walczył z zapięciem. Uznał, że Sasza szybko się uwolni i otworzy drzwi, więc ruszył na pomoc Cali.

- Wszystko w porządku? - zapytał, delikatnie ścierając palcem krew z jej ust.

- Po tym uderzeniu będą jeszcze większe - odparła i zakaszła. Dym stawał się coraz gęstszy.

- Pomyślę o tym, kiedy będziemy już bezpieczni - rzekł, odpinając jej pas.

Jeden z żołnierzy nie odniósł żadnych obrażeń, więc szybko się rozpiął i teraz marnował cenne sekundy na próby ratowania kolegi, który był martwy.

- Niet! - krzyknął Mercer, a kiedy chłopak na niego spojrział, dostrzegł w jego oczach przerażenie. Domyślił się, że dzieciak jeszcze nigdy nie brał udziału w walce. Wskazał złożoną broń i wykonał gest, jakby ją chwycił. Żołnierz był chyba zadowolony, że nie musi podejmować decyzji, bo tym razem na jego

twarzy pojawiła się ulga. Rozkaz to rozkaz, a w takich warunkach mógł posłuchać nawet Amerykanina w cywilu. Przeczodgał się nad ciałami kolegów i zaczął zbierać rozrzucone kałasznikowy. Chwycił też jedną ręczną wyrzutnię rakiet. Uzbrojenie przekazał Mercerowi w momencie, kiedy Sasza udało się uchylić drzwi do przestrzeni towarowej. Gęsty dym wystrzelił na zewnątrz, a świeże powietrze podsyciło tłący się ogień.

- Szybko! - krzyknął Sasza po rosyjsku. Złapał Cali za rękę i pomógł jej dostać się do drzwi. - Skacz, a kiedy znajdziesz się na ziemi, biegnij jakieś pięćdziesiąt metrów przed siebie. Kopalnia jest za nami, więc cię nie zobaczą. - Podał jej swój karabin. -Przeładowany. Wystarczy nacisnąć spust. Dasz sobie radę?

- Dotychczas dawałam - odparła.

Sasza pomógł jej się wspiąć, a w następnej chwili Cali zniknęła. Po niej pokład opuściła dwójka naukowców, kobieta i mężczyzna, którzy jakimś cudem nie odnieśli żadnych obrażeń. Mężczyzna był tak przerażony, że cały się trząsał i co chwila przewracał. Kobieta natomiast sprawiała wrażenie niewzruszonej. Spokojna, o dość obfitych kształtach, wyglądała jak typowa babuszka. Sasza powtórzył po rosyjsku to samo, co powiedział Cali, i podał jej karabin.

Musiał się zdrowo nameścić, żeby podsadzić jej obfitą pupę do wyjścia.

Mercer sprawdził resztę pasażerów. Pilot uciekł przez rozbitą przednią szybę. Drugi pilot nie żył. Jediną osobą, jaką udało mu się znaleźć żywą, była ładna młoda dziewczyna z zespołu Sapoźnika, która miała złamany obojczyk. Krzyczała, kiedy Mercer ją badał, a potem powiedziała coś po rosyjsku.

- Stolicznaja. - Uśmiechnął się, wyczerpując cały zasób słów, jakie znał w jej języku. Potem odpiął ją i postawił na nogi. Dziewczyna przycisnęła ramię do piersi. Żołnierz, który pierwszy się pozbierał, podszedł obładowany bronią i amunicją.

Sasza wydał jakiś rozkaz i we dwóch wyrzucili większość karabinów na zewnątrz, na ziemię. Potem chłopak wyskoczył z helikoptera, a Mercer spojrział na Fiedorowa i dał znak, żeby pomógł mu wysadzić dziewczynę.

- Niech twój człowiek poczeka na zewnątrz. Będzie musiał ją odebrać i osłaniać. Strzelają do nas.

Pomogli jej dojść do drzwi. Dziewczyna spojrzała niepewnie w dół na młodego żołnierza, który na nią czekał.

- Skacz! - syknął Sasza i sięgnął, żeby ją popchnąć.

W tej samej chwili przez drzwi towarowe przebiła się seria z karabinu maszynowego, dosłownie szatkując aluminiowe poszycie. Dźwięku kul przebijających ludzkie ciało nie dało się pomylić z niczym. Albo dziewczyna, albo chłopak, a najprawdopodobniej oboje byli martwi. Cali wychyliła się zza skały niecałe pięćdziesiąt metrów od wraku i kilkoma seriami uciszyła strzelca.

Sasza i Mercer już wiedzieli, że wyjście tamtędy byłoby samobójstwem, więc ruszyli biegiem w kierunku kabiny pilota. Przez kakofonię wystrzałów przebił się krzyk Cali:

- Rakiet!

Szczupakiem wyskoczyli przez rozbitą przednią szybę i spadli na ziemię. Chwilę później pocisk uderzył w ogon maszyny. Eksplozja rozerwała

helikopter na dwie części, a fala uderzeniowa wyrzuciła obu uciekinierów kilka metrów w powietrze i do rowu melioracyjnego. Wyciekające paliwo zapaliło się i pomarańczową chmurą wzniosło jak grzyb atomowy nad wrakiem.

- Kto to? - zapytał Sasza Fiedorow, sprawdzając kałasznikowa.

Mercer przeładował swoją broń.

- Najemnik, Poli Feines. Bułgar. Nie wiem, co ci powiedzieli o naszej misji, ale pluton, który mamy zabezpieczyć, występuje w naturze. Został wydobyty w kopalni w Afryce pod koniec lat czterdziestych zeszłego wieku. Feines był tam, kiedy z Cali przypadkowo odkryliśmy tę kopalnię. Potem dopadł nas w New Jersey, gdy szukaliśmy śladów Amerykanina, który pierwszy tam trafił, a dwa dni temu ze zgrają arabskich terrorystów zaatakował nas w pobliżu wodospadu Niagara.

- Jak to możliwe, że znów jest na waszym tropie?

- Nie mam pojęcia - odparł Mercer, wsuwając za pasek na plecach pistolet kaliber 9 milimetrów - ale domyślam się, że gdzieś musi być przeciek. - Pierwszy raz wypowiedział na głos swoje obawy, które męczyły go od dawna. Jeśli miał rację, wnioski były przerażające, bo jedynymi ludźmi wtajemniczonymi w akcję od samego początku, byli on sam, Cali, Ira Lasko i Harry. Admirałowi i Harry'emu ufał bezgranicznie, a Cali dostatecznie często znajdowała się w ogniu karabinów maszynowych, by miał pewność, że i jej może ufać. Taka teoria nie miała więc sensu. Zarazem jednak nie było innych możliwości.

Wysunął głowę nad krawędź wykopu. Widział skałę, za którą schowała się Cali. Była z nią para naukowców, a młody żołnierz kulił się nieco dalej, za stertą sprzętu górniczego. Ciało dziewczyny z zespołu Sapoźnika rozerwał wybuch.

Budynek, w którym znajdowała się maszynownia, miał cztery kondygnacje i ściany pokryte blachą falistą. Spawy z biegiem lat skorodowały, a ściekająca woda malowała rudą czerwienią utlenionego metalu dziwaczne kształty. Dookoła stały inne, mniejsze budynki z biurami, mieszkaniami i warsztatami. Teren kopalni zaśmiecały też sterty zużytego ciężkiego sprzętu - wagoniki kolejek z połamanymi oškami i bez kół, niewielkie elektryczne lokomotywy, pompy wodne i setki innych zniszczonych urządzeń. Wszystko pokryte rdzą i porośnięte trawą i krzakami. Ale przy samym zejściu do kopalni stały dwie nowe ciężarówki UAZ-5151s, spore pojazdy z napędem na cztery koła, większe od dżipów, a mniejsze od przemysłowych wywrotek. Najwyraźniej Poli był przygotowany do kradzieży plutonu i przetransportowania go do pociągu.

Przy samochodach kręciło się kilkunastu ludzi, z których większość miała broń. Nagle z kopalni wyjechał wózek widłowy z pojedynczą beczką na drewnianej palecie. Operator podnośnika miał kombinezon ochronny i maskę przeciwgazową. Przynajmniej Sowietci składowali pluton w miarę bezpiecznie, pomyślał Mercer. Beczka była bardzo masywna, większa niż zwykle beczki, prawdopodobnie przez dodatkowe zabezpieczenie przed promieniowaniem. Kiedy operator wózka ustawił paletę z pojemnikiem na ciężarówce, tył samochodu osiadł. Zawieszenie drugiego wozu było znacznie wyżej, więc musiał być jeszcze pusty. To wyjaśniało wykorzystanie pociągu. Dziurawe drogi Rosji nie nadawały się do transportu kołowego tak ciężkich materiałów.

Strażnicy nie zwracali uwagi na załogę rozbitego helikoptera. Chcieli jak najszybciej załadować towar i odjechać. Mercer spojrzął na Saszę.

- Masz radio albo telefon satelitarny? Rosjanin pokręcił głową.

- Radio zostało w helikopterze, a telefonu satelitarnego nigdy nie widziałem z bliska.

- Cholera, robi się coraz ciekawiej. - Mercer wyjął z kieszeni niewielką komórkę. W promieniu setek kilometrów nie było żadnej wieży przekaźnikowej, ale wybrał numer. Tak jak się spodziewał, nie było sygnału. - Czyli musimy załatwić to sami.

- Ty potrafisz o siebie zadbać - odparł Sasza. - Cali też. Ale jest nas tylko czworo przeciwko przynajmniej ośmiu uzbrojonym terrorystom.

- Pięcioro. Tamta kobieta wygląda na opanowaną. - Mercer nie przejął się jego obawami. - Ale to i tak bez znaczenia, bo nie mamy wyjścia. Nie wezwiemy pomocy, bo nie mamy radia, a kiedy pojemniki z plutonem znajdują się w wagonach, nie mamy rady ich zatrzymać. Zanim ktoś przyleci sprawdzić, co się z nami dzieje, oni będą już za granicą.

Sasza skinął głową.

- Masz rację.

Mercer rozejrzał się i nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Atak frontalny nie miał prawa zakończyć się sukcesem, bo siły terrorystów były zbyt duże. Nawet gdyby obeszlili budynek dookoła, wciąż pozostawała wolna przestrzeń, którą musieliby przebiec. Jeśli Poli był przezorny, a co do tego Mercer nie miał najmniejszych wątpliwości, to z obu stron są ukryci strażnicy. Najlepiej zatem obejść budynek po większym łuku, wdrapać się na górę nad wejściem do kopalni i stamtąd zaatakować. To zajmie nieco więcej czasu, ale Mercer nie widział alternatywy. Obrócił się, żeby omówić z Saszą szczegóły, ale Rosjanina już nie było.

Fiedorow czołgał się kanałem. Przez chwilę Mercer zastanawiał się, czy nie władować mu kuli w plecy, ale nagle sobie uświadomił, że Sasza po prostu przemieszcza się na lepszą pozycję do ataku. Chciał dotrzeć do rzędu porzuconych wagoników, a potem do stalowych kolumn podtrzymujących zadaszenie na urobek.

Potrzebował wsparcia, żeby dotrzeć na upatrzoną pozycję. Mercer wycofał się powolutku z rowu i zaczął się czołgać. Wózek widłowy znów zniknął w środku, a na zewnątrz pojawił się jakiś mężczyzna. Jeden z uzbrojonych terrorystów złapał wąż i obficie opłukał nowo przybyłego. Kiedy ten zdjął maskę przeciwgazową, Mercer natychmiast zauważył czarną opaskę na oku.

Gniew wybuchł w nim z niepokonaną mocą. Uniósł karabin, nie dbając o to, że ogień terrorystów dopadnie go w pół drogi do schronienia. Chciał zabić tego sukinsyna, tylko to się liczyło. Wycelował w szeroką klatkę piersiową Polego i pociągnął za spust. Natychmiast po strzale przeturlał się kilka razy w lewo, poderwał na nogi i popędził w kierunku miejsca, gdzie ukrył się młody rosyjski żołnierz. Ziemia za nim podniosła się zorana seriami ludzi najemnika. Mercer dopadł kryjówki, rzucił się na ziemię, zasłonił głowę rękoma i zaklął.

Poli wydawał rozkazy. Nie był nawet drażniony. Mercer był dobrym strzelcem, ale jeszcze nigdy nie strzelał z karabinku typu AK, więc nie wiedział, jaką poprawkę wziąć na wiatr przy lekkiej kuli kaliber 5.54.

Spojrzał w bok i zobaczył Saszę. Kapitan dobiegł do pierwszego rzędu wagoników, wsunął lufę karabinu w przerwę i strzelił do terrorysty, który schował się przed Mercerem. Położył trupem jeszcze jednego zamachowca, zanim poleciały w jego stronę pierwsze serie. Skulił się za starym żelastwem. Mercer i młody żołnierz, Iwan, też otworzyli ogień. Celowali w ciężarówki, nie zważając, ile zużyją amunicji. Iwan przyniósł ze sobą cały zapas magazynków i wyrzutnię rakiet.

Ledwo terroryści schowali się za samochodami, do ataku włączyły się Cali i tęga Rosjanka, Ludmiła. Dwóch przeciwników leżało martwych, a jeden stracił pół twarzy, ale żył. Wykorzystując natężenie ognia, Fiedorow wypadł zza wagonika i popędził w kierunku jednego ze stalowych filarów.

Z kopalni ponownie wynurzył się wózek widłowy. Oceniając po ugięciu zawieszania, Mercer uznał, że to ostatnia beczka, którą Poli każe załadować na platformę. Przez głowę przemknęła mu myśl o wyrzutni rakiet, ale miał tylko jeden pocisk. Mógł więc zniszczyć jeden pojazd, a drugi wciąż byłby podatny do użytku. Nie wiedział też, ile pojemników już czeka w wagonie na bocznicę.

Ludzie Polego nie mieli takich problemów. Zza jednej z ciężarówek odpalili dwie rakiety, które eksplodowały tuż obok ich kryjówek. Kilkunastometrowa hałda skały płonnej pochłonęła siłę eksplozji. Niby nic się nie stało, ale sekundę później szczyt hałdy się podniósł i zjechał lawiną w ich kierunku. Fala urobku zsuwała się po zboczu z taką prędkością, że Mercer nie miał czasu nawet krzyknąć. On odskoczył, ale Iwan nie zdążył. Chłopak uniósł głowę w chwili, kiedy odłamki skalne wielkości pięści były o centymetry od jego twarzy. Sama waga kamieni przygniotła go do ziemi, a ostre krawędzie rozdarły ubranie i ciało pod nim. Był martwy, zanim zniknął zasypywany. Mimo to Mercer rzucił mu się na ratunek. Błyskawicznie zatonał po kolana w osypującym się kruszywie, ale nic już nie mógł zrobić. Kawałek wyrzutni, który sterczał z osuwiska, był jedynym śladem po tym, co się wydarzyło.

Zza ciężarówki wyleciała kolejna rakietka. Mercer obserwował jej lot w zimnym górskim powietrzu. Sasza ukryty za jedną z kolumn miał ledwie kilka sekund na ucieczkę, zanim ładunek eksplodował od uderzenia w stalową konstrukcję. Siła podmuchu przeniosła go pięć metrów w powietrzu i rzuciła w końcu o ziemię. Kiedy dym się przerzedził, Mercer zobaczył nieruchome ciało z bezwładnie rozrzuconymi ramionami.

Próbował uwolnić się z lawiny. Gołymi rękami odgarniał kawałki skały, aż palce ociekały mu krwią. Ciężarówki ruszyły. Cali była zbyt daleko, żeby zagrozić Polemu. Najemnik miał wolną drogę do samej bocznicę. Mercer wiedział, że jeśli się nie uwolni, terroryści będą przejeżdżali kilka metrów od niego. To oznaczało pewną śmierć.

Spanikowany zaczął się szarpać. Serce waliło mu jak oszalałe. Samochody były coraz bliżej. Na razie terroryści ostrzeliwali pozycję Cali, żeby się nie podniosła. Mercer miał najwyżej kilka sekund, a osypisko zamiast się rozluźniać, było coraz bardziej zwarte. Co za idiotyczny sposób na śmierć - umrzeć zakopany po kolana w starej hałdzie. Równie dobrze mógłby być celem dla dzieciaków grających w paintball.

Desperackim ruchem uwolnił jedną nogę. Boleśnie wykręcił prawe kolano, by wyrwać się z pułapki. Pierwsza ciężarówka była już z drugiej strony hałdy. Mercer rzucił się płasko na ziemię. Gwałtowny ruch sprawił, że kolejna fala

kamieni osunęła się po zboczu, grzebiąc go pod kilkunastoma centymetrami urobku.

Ciężarówki minęły go, jadąc sześćdziesiąt na godzinę. Kilku terrorystów zauważyło osypujące się kawałki skały, ale żaden nie dostrzegł ukrytego pod nimi człowieka. Chwilę później samochody zniknęły za zakretem.

Mercer zaczął walczyć, żeby się wydostać spod ziemi. Był już niemal na powierzchni, kiedy dopadli go Cali oraz dwójka rosyjskich naukowców. Mę życzyna wyglądał, jakby miał zaraz paść na zawał, natomiast kobieta była nadal opanowana.

Cali złapała go za ramię; łzy spływające po jej osmalonych policzkach ż łobiły jaśniejsze ślady.

- Myślałam, że nie żyjesz.

- Chłopak zginął - odparł Mercer, przyciskając ją do piersi. Chciał tak zostać już do końca świata, z Cali przy boku. Zapomnieć o plutonie, Polim i wszystkim innym. Siłą woli odsunął ją od siebie. - Sasza?

- Jeszcze nie sprawdziłam.

- To lećcie. Ja spróbuję dorwać Feinesa.

- Jak? Będą gotowi do odjazdu, zanim się do nich zbliżysz.

Mercer rozejrzył się.

- To się jeszcze zobaczy.

Złapał wyrzutnię raket, sprawdził, czy nie ucierpiała od kamieni i zarzuci ł ją sobie na ramię. Głośny szum silnika lokomotyw spotęźniał, kiedy maszynista przygotowywał skład do wyjazdu z kopalni.

- Co chcesz zrobić?

- Zdażyć na pociąg.

Kolumny podtrzymujące zadaszenie dla urobku miały dospawane szczelbelki, żeby pracownicy mogli konserwować kilometrowy podajnik. Metal rynnny był pokryty rdzą, a pozostała gdzieniegdzie farba odchodziła płatami. Mercer wspiał się na górę z karabinem i wyrzutnią na ramieniu. Przy każdym kroku musiał zaciskać zęby, bo wykręcone kolano sprawiało mu ogromny ból. Na szczęście wciąż utrzymywało jego ciężar.

Jeszcze zanim dotarł na górę, poczuł za sobą ruch. Cali nie czekała na pozwolenie, tylko ruszyła razem z nim. Nie chciał jej odsyłać. Każda pomoc może się przydać.

Kolumna miała prawie trzydzieści metrów wysokości, potrzebowali więc niemal dwóch minut, żeby dotrzeć na jej szczyt. Ręce mieli obolałe i zmarzni ęte od ściskania lodowatego metalu, a wiatr wyciskał im łzy z oczu.

Z góry widać było pociąg i pojazdy do załadunku pojemników. Kąt, pod jakim patrzyli, nie pozwalał im jednak dojrzeć wszystkiego. Kręta droga do dolnego składu urobku wydawała się pusta. Poli miał dość czasu, żeby dotrze ć do bocznicy.

Mercer pomógł Cali wejść na niewielki podest obok pochylni.

- Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? Spojrzała na niego z uśmiechem.

- Tak pewna jak ty.

Pochylnia miała ponad siedem metrów szerokości i uniesione brzegi, żeby urobek nie spadał na ziemię. Dziesięciolecia deszczy i śniegu nie pokryły jej rdzą. Wciąż była błyszcząca i wypolerowana setkami tysięcy ton urobku zjeżd żającego nią w dół. Mercer przełożył wyrzutnię raket na pierś, a karabin wziął do ręki. Dopiero potem pomógł Cali przejść nad krawędzią pochylni. Jej dno

było strome, więc musieli się zapierać gumowymi podeszwami butów i trzymać brzegów. Gdy wreszcie wsiedli, z dołu dobiegł odgłos toczących się wagonów. Pociąg ruszył.

- Cholera!

Niewiele widzieli, bo krawędzie pochylni sięgały nad ich głowy. Mogli jedynie spoglądać przed siebie na błyszczącą płaszczyznę, która przypominała trochę tor saneczkowy. Mercer wziął Cali za rękę i jednocześnie podnieśli nogi. Natychmiast zaczęli zjeżdżać w dół; początkowo wolno, ale potem coraz szybciej i szybciej. Za szybko. Mercer spróbował przyhamować nogami. Cali zrobiła to samo. Metoda się sprawdziła, ale Cali trafiła butem na jakiś zadziór, fiknęła kozła i poleciała głową naprzód. Mercer złapał ją w ostatniej chwili i spróbował przyciągnąć do siebie, ale skutek był oślakany, bo oboje zaczęli się obracać.

Koziółkowali przez dwadzieścia metrów, aż w końcu Mercer zacisnął dłoń na kołnierzu Cali. Ten ruch spowodował, że przeleciał nad nią i wyrzwał plecami w pochylnię, wprawiając ją w drżenie, ale przynajmniej przestali koziółkować. Leżał płasko, nogami w kierunku jazdy. Zaryzykował ponowną próbę wyhamowania prędkości. Przyciskał pięty do metalu, a widząc spawy, na chwilę je odrywał, by nie ryzykować ponownej wywrotki. W końcu zdołał odzyskać kontrolę nad zjadem.

- Nic ci nie jest? - krzyknął do Cali, czując jej obecność tuż za sobą.

- Nie, nic - odpowiedziała.

- Jesteśmy już prawie na miejscu. - Mercer cieszył się, że nie zapytała, jak on się czuje. Plecy bolały go niemiłosiernie po uderzeniu, a jeśli przeżyje następnych kilka minut, na czole wyskoczy mu guz wielkości jajka.

Pokonali dwie trzecie drogi do zsyków na urobek. Wiedzieli już, jak kontrolować ślizg, więc bez obaw popędzili dalej. Zimny wiatr smagał ich twarze i wyciskał łzy z oczu. Kiedy znaleźli się dziesięć metrów od końca pochylni, przez otwarty zsyk zobaczyli pociąg. Jechał bardzo wolno, ale ostatni wagon właśnie opuszczał stanowisko załadownicze. Mieli ledwie sekundy, inaczej czekał ich upadek z ośmiu metrów na tory.

- Szybko! - zawołał Mercer i oboje podnieśli stopy. Ostatni fragment pochylni przebyli jak wystrzeleni z procy.

Nie rozglądali się na boki, tylko skupili na wagonie poniżej, na którym mieli wylądować. Cali wysunęła się nieznacznie naprzód.

Zsyk na urobek miał postać długiego metalowego lejka, którym pokruszona skała spadała prosto do wnętrza wagonu. Cali na ostatnich metrach przycisnęła stopy do metalu, by nie pchnął jej na przeciwległą ścianę, tylko płynnie skierował na przesuwający się poniżej pociąg.

Mercer w ostatniej chwili przesunął wyrzutnię rakiet na plecy. Był w bardzo niewygodnej pozycji, kiedy skończył się zjazd. Wyrzwał o przeciwległą ściankę lejka z impetem, który wydusił mu całe powietrze z płuc. Spojrzał w dół i zobaczył zbliżający się koniec wagonu. Odepchnął się od ściany, by jak najszybciej spaść przez otwór zsykowy.

Spóźnił się o ułamek sekundy. Upadł na samą krawędź dachu, boleśnie obijając sobie żebra. Wisząc nad torami, usiłował znaleźć jakiś punkt podparcia, ale trafił ręką w próżnię. Zaczął się ześlizgiwać. Spojrzał pod siebie. Szyny wysuwały się spod wagonu jak niekończąca się drabina, a skład jechał coraz szybciej i szybciej.

Mercer zawisł na łokciach, szukając jakiegokolwiek podparcia dla stóp. Wiedział, że długo nie wytrzyma, bo zbyt wiele przeszedł wcześniej - był obolały i coraz bardziej zrezygnowany. Zdobył się na ostatni wysiłek i jeszcze raz zaparł o tył wagonu, żeby choć na chwilę opóźnić to, co wydawało się nieuniknione. Nagle zobaczył Cali biegnącą w jego stronę. Musiał wytrzymać jeszcze tylko kilka sekund, ale nie był pewien, czy zdoła.

W przerwie między kolejnymi wagonami pojawiła się głowa jednego z terrorystów, a potem tułów mężczyzny i jego karabin.

- Za tobą! - sapnął Mercer. Cali biegną dalej. Zdobył się na jeszcze jeden, ochryply krzyk: - Za tobą!

Prawie nie zwalniając, płynnym ruchem obróciła się w biegu, jednocześnie unosząc kałasznikowa. Wyglądała, jakby ćwiczyła ten manewr latami. Strzeliła z biodra, trafiając mężczyznę w pierś. Nie przerywając biegu, dokończyła obrót i dopadła Mercera. Trzy kule, które wystrzeliła, wyrwały w ciele napastnika dziury wielkości pięści. Mężczyzna spadł na tory, pod koła pociągu.

Mercer czuł, jak Cali łapie go za kołnierz.

- Trzymaj się! - wydyszała, usiłując wciągnąć go z powrotem na dach.

- Skoro nalegasz - odpowiedział słabo, ale już wiedział, że nie spadnie. Pomogła mu wspiąć się przez krawędź. Przeturlał się na plecy, nie zważając na wyrzutnię rakiet i pistolet, które boleśnie wbijały mu się w kręgosłup.

Odpoczywał tylko sekundę, potem zerwał się na nogi. Poli na pewno nie wysłał na dach tylko jednego strażnika. A że pociąg przyspieszał, nie zostało im wiele czasu na realizację planu, który ułożył sobie w głowie.

- Jak się czujesz? - zapytała Cali. Widziała, jak się krzywi, opierając ciało na uszkodzonym kolanie.

- Teraz to bez znaczenia - mruknął ponuro. - Musimy się spieszyć.

Ruszyli na czworakach, a kiedy dotarli do przerwy między wagonami, Mercer ostrożnie wyjrzał znad krawędzi. Pusto. Razem przeskoczyli na drugą stronę, a potem znowu opadli na czworaki. Pociąg zaczynał się trząść. Jechali już około trzydziestu kilometrów na godzinę.

- Pilnuj tyłów - polecił Cali, bojąc się, że w każdej chwili kolejny strażnik może wytknąć głowę nad dach.

Przez kolejne cztery wagony udało im się przemknąć niepostrzeżenie i dopiero w połowie szóstego pojawiło się przed nimi trzech mężczyzn. Natychmiast zauważyli dwójkę Amerykanów. Mercer nie czekał, co zrobią. Sięgnął po broń i otworzył ogień, obserwując czerwoną mgielkę, którą natychmiast porwał wiatr. Jeden z terrorystów upadł, ale pozostali zniknęli w łączniku. Mercer obrócił się, złapał Cali za rękę i pociągnął ją na tył wagonu. Musieli zejść po drabince, zanim terroryści znów się pojawią, tym razem gotowi do ataku. Właśnie takiej sytuacji Mercer najbardziej się bał. Przystój, który marnował ich czas i pozwalał maszyniście na rozpędzanie składu.

Nie miał czasu na rozważanie opcji. Musiał działać. Złapał swój AK-47 i podał go Cali, a wyrzutnię rakiet zawiesił na śrubie wystającej ze ściany.

- Zachowuj się tak, jakbyśmy byli tu oboje. Strzelaj z obu karabinów, wystawiaj je jednocześnie nad krawędzią. Niech myśla, że nas zatrzymali.

- Co masz zamiar zrobić? - spytała.

- Okrążyć ich.

Mercer wyjrzał do przodu. Z wyjątkiem szklanych drzwi pośrodku wagonu cała boczna ściana została zrobiona ze stali.

Przed lokomotywą ciągnął się długi odcinek prostych torów z obu stron otoczonych górami.

- Zobaczą cię, jeśli któryś wystawi głowę! - jęknęła Cali.
- Wiem.

Nie mówiąc nic więcej, zszedł po drabince na sam dół i stanął na łączu między wagonami. Szyny były tylko nieco ponad pół metra pod jego stopami, a drewniane podkłady zamieniły się w rozmytą prędkością brązową plamę. Mercer nachylił się i zajrzał pod podwozie. Poza zawieszeniem, które łączyło osie koła z wagonem, przez środek bieły dwie grube stalowe belki połączone kratownicą, która usztywniała całą konstrukcję. Trudne, ale nie niemożliwe.

Wyciągnął pistolet zza paska na plecach, umieścił go na brzuchu i wsunął się pod wagon. Żdźbła traw wyrastających spomiędzy podkładów uderzały go w głowę. Starał się je ignorować. Sięgnął najdalej, jak mógł, i chwycił wózek zawieszenia. Przez zimny metal niosły się wibracje potężnego napędu lokomotywy. Przesunął się do przodu, mięśniami nóg i brzucha utrzymując się płasko pod podłogą wagonu, a potem ostrożnie prześlizgnął się nad wirującą osią.

Słyszał, jak Cali strzela z obu karabinów. Smar pokrywał niemal wszystkie elementy zawieszenia, lecz ze względu na wiek w dotyku był raczej lepki niż śliski. Za osią ustawił się w poprzek wagonu, nogami zaczepił o jedną belkę, dłońmi o drugą, a potem centymetr po centymetrze posuwał się naprzód. Ociekał potem, a mięśnie brzucha sprawiały mu nieznośny ból. Ziemia przesuwała się trzydzieści centymetrów od jego nosa. Nie słyszał już Cali, bo łomot starego żelastwa zagłuszał wszystko. Kiedy jednak dotarł do przedniego wózka, dobiegł go odgłos strzałów terrorystów. Przesunął nogę między osią a podłogą i równie szybko ją cofnął, kiedy poczuł, jak wirujący kawał żelaza boleśnie ociera mu skórę. Gwałtowny ruch pozbawił go równowagi i przez jedną przerażającą chwilę wisiał nad torami na jednej ręce i jednej stopie.

W końcu zdołał wyprostować drugą rękę i chyba tylko dzięki temu nie eksplodowało mu serce. Odetchnął kilka razy, żeby się uspokoić, i znów spróbował przełożyć nogę nad osią. Tym razem trafił stopą na jedną z podpór i z dużym wysiłkiem udało mu się dostać na wózek. Przód wagonu znajdował się już tylko kilka metrów dalej. Teraz wyraźnie słyszał każdy strzał oddany przez terrorystów. Co dziwne, przeszli na ogień pojedynczy, jakby musieli oszczędzać amunicję.

Przesunął się do przodu i sięgnął do łącza między wagonami, kiedy poczuł, że metal nad jego rękami zadrżał. Jeden z terrorystów zeskokczył na połączenie. Mercer zwiśł na jednej ręce i nogach jak leniwiec, a podkłady przesuwały się pięć centymetrów pod jego plecami. Wolną rękę wyciągnął. W tym samym momencie mężczyzna uklęknął, by sprawdzić, czy uda mu się wykonać ten sam trik, na który kilka minut wcześniej wpadł Mercer.

W ułamku sekundy, przez który patrzyli sobie w oczy, Mercer stwierdził, że to Arab, który przez kilka ostatnich dni się nie golił i ma wspaniale zadbane zęby. Potem władował kulę w jego czoło i odsunął się, kiedy ciało spadało na tory.

Drugi z napastników, wciąż na drabince, usłyszał strzał i spojrzał w dół w chwili, w której Mercer wyciągał w jego stronę pistolet. Strzelił niemal bez celowania, boleśnie czując odrzut w wyprostowanym łokciu. Musiał przyznać, że trafił na odważnego przeciwnika, bo mimo ostrzału Arab usiłował podnieść broń, żeby odpowiedzieć ogniem. Jego czas się skończył, kiedy był już gotów do pociągnięcia za spust. Dziewięćmilimetrowy pocisk przeszył jego żołądek i rozerwał lewe płuco, zanim opuścił ciało przez lewy bark, niemal odrywając ramię. Dwa następne wyrwały spore dziury w jego klatce piersiowej. Mężczyzna zaczął spadać. Ostatnia kula weszła czołem, a wyszła potylicą; potem iglica szcęknęła sucho, bo magazynek pistoletu był pusty.

Terrorysta zniknął pod wagonem, dołączając do swoich towarzyszy i śmieci porzuconych między szynami.

Mercer wciągnął się na podest i natychmiast zaczął wchodzić po drabince. Odczekał, aż Cali wypali kolejną serię, a potem krzyknął do niej:

- Już po wszystkim!

- Co?!

- Powiedziałem, że już jest czysto. Nie zapomnij wyrzutni! Patrzył, jak wchodzi na dach.

- Szybciej! - przynaglił ją.

- Chryste, aleś się uświł - powiedziała, kiedy stanęła obok niego. Oddała mu broń z w połowie pustym magazynkiem.

- To jeszcze nic - odparł. - Powinnaś zobaczyć tamtych. Uśmiechnęła się.

- Nie, dzięki. Wolę nie.

Na ostatnim wagonie przed lokomotywą Mercer zatrzymał się i odłożył karabin. Gorące spaliny drażniły im oczy i utrudniały oddychanie.

- Okej, tutaj chyba starczy - stwierdził.

Przed nimi szyny ciągnęły się prosto po sam horyzont. Sprawdził zabezpieczenia wyrzutni, upewnił się, czy wie, jak jej używać, i położył sobie na ramieniu.

- Pociąg jest chyba czysty, więc możesz zacząć uciekać. - A ty?

- Wysadzę tory kilkaset metrów przed nami. Pociąg się wykołoi, a my zeskoczymy, zanim ostatni wagon wpadnie na wrak lokomotywy.

Spojrzała mu w oczy.

- Nie. Poczekam na ciebie.

Chciał protestować, ale czuł, że pociąg z każdą chwilą jedzie coraz szybciej. Skok z ostatniego wagonu na ziemię jest niebezpieczny nawet przy małej prędkości, a jeśli będzie się wyklócał, czy powinna iść, czy nie, przyspieszą na tyle, że będzie równoznaczny z samobójstwem. Tak naprawdę zależało mu na wysadzeniu torów dostatecznie daleko, by maszynista zatrzymał pociąg, jeszcze zanim się wykołoi.

Zamilkł więc, wycelował w tory trzysta metrów przed lokomotywą i pociągnął za spust. Osiemdziesięćmilimetrowy pocisk wystrzelił z lufy i zanim upadł, odpalił silnik rakietowy, zalewając Mercera i Cali falą gorących gazów. Rozłożone stateczniki poprowadziły go prosto do punktu, w który celował strzelec. Ale Mercer tego nie zobaczył. Zanim pocisk dosięgnął celu, odrzucił wyrzutnię i rzucił się biegiem w kierunku końca pociągu. Eksplozja nastąpiła dwieście metrów przed lokomotywą, wyrzucając w powietrze chmurę kamieni, części podkładów i zerwane mocowania szyn.

Oboje biegli, lekko się zataczając, bo maszynista zgodnie z oczekiwaniami uruchomił hamulec awaryjny. Zablokowane koła wydawały dźwięk paznokci przesuwanych po tablicy, pomnożony razy tysiąc.

Mercer zignorował ból w kolanie. Biegł na palcach, oddychając ciężko. Cali pędziła z gracją wytrawnej sportswomenki, z uniesioną głową i lekko rozchyłonymi ustami. Wiedział, że mogłaby biec znacznie szybciej, ale nie chciała go zostawić. Prawie nie zwalniając, przeskoczyli na kolejny wagon.

Lokomotywa wciąż pędziła na spotkanie wyrwy w torach. Stare hamulce walczyły rozpaczliwie z gigantyczną bezwładnością ton żelaza, ale to była przegrana bitwa. Stutonowa lokomotywa TEM16 wjechała w miejsce, gdzie kończyły się szyny, z prędkością czterdziestu trzech kilometrów na godzinę. Kiedy koła z prawej strony dotknęły ziemi, natychmiast się w niej zagłębiły. Przez dziesięć metrów żłobiły coraz głębszy rów, aż w końcu lokomotywa runęła na bok. Pierwszy wagon uderzył w masywny wrak i złamał się na pół.

Cali i Mercer przeskoczyli na kolejny wagon. Biegli, nie odwracając się.

Sekundę później drugi wagon wjechał na pierwszy i przetoczył go jak duży pień. Oba uderzyły w lokomotywę, rozrywając jej zbiornik z paliwem. Dwanaście tysięcy litrów oleju napędowego utworzyło niewielkie jezioro.

Cali i Mercer biegli coraz szybciej. Słyszeli za plecami zgrzyt dartego metalu i choć uciekali, wcale się od niego nie oddalali.

Przeskoczyli na drugi wagon od końca na sekundę, zanim trzeci wpadł na resztki wcześniejszych. Wagon musiał mieć jakąś wadę w budowie, bo gdy zderzył się z innymi, jego przód złożył się w harmonijkę, a metal zaczął pękać jak papier.

Byli prawie metr przed półtorametrową przerwą między dwoma ostatnimi wagonami, kiedy Mercer krzyknął do Cali, żeby skakała.

Zrobiła, co kazał. Ledwo wybili się w powietrze, dach pod nimi zafalował, a przedostatni wagon dołączył do pogietych poprzedników. Łączenie pękło, uwalniając ostatni. Przedostatni zsunął się z szyn i zjechał z nasypu, wyrzucając w powietrze fontanny kamieni.

Wylądowali na dachu ostatniego wagonu i oboje padli na kolana. Mercer spojrzął za siebie. Przedostatni wagon zjechał na bok, więc mieli jeszcze kawałek szyn, ale droga kończyła się złomowiskiem. Uznał, że jada na tyle wolno, by można było zaryzykować. Objął Cali i przytulił do siebie, kiedy wpadli na pogniecione resztki składu. Większość energii uderzenia została wytracona przez pogiete części wagonów, więc mieli wrażenie, jakby po prostu w coś stuknęli.

Cali spojrzała na Mercera, który był równie zaskoczony jak ona i oboje Wybuchnęli śmiechem.

- To chyba nasza stacja. Wysiadamy. - Mercer zachichotał, a Cali aż się zakrztusiła.

Ale w tym samym momencie poczuli zapach rozlanego paliwa. Poderwali się na nogi i zaczęli biec. Cali pierwsza dopadła drabinki i zeszła na ziemię, a Mercer tuż za nią, z tym że on nie tracił czasu na schodzenie po szczeblach. Objął stopami rurki od zewnątrz i zjechał w dół jak marynarz na okręcie podwodnym. Dopiero kilkaset metrów dalej odważyli się odwrócić.

Miejscami kłębowski złomu sięgało na wysokość trzech wagonów. Dwa leżały do góry kołami, częściowo zanurzone w paliwie. Po chwili olej napędowy zajął się ogniem i wystrzelił potężną kulą płomieni i chmurą tłustego dymu.

Mercer objął Cali w pasie, a ona przyłgnęła do niego i w milczeniu obserwowali ogniste piekło, pewni, że Poli zginął w płomieniach.

POŁUDNIOWA ROSJA

Poli Feines nie wstawał zza kierownicy samochodu terenowego przez ostatnie dwadzieścia godzin. Był tak zmęczony, że zgasł drapieżny błysk w jego jedynym oku. Jechał z kopalni do Morza Czarnego bocznymi drogami i starymi szlakami przemysłowców, asfalt spotkał jedynie na M-27 w pobliżu Noworosyjska.

Część wybrzeża, do której zmierzał, była upstrzona modnymi kurortami, on jednak wybrał niewielką wioskę rybacką po drugiej stronie Zatoki Cemeckiej, Kabardinę.

Z początku podróży nie pamiętał absolutnie nic poza buzującym, oślepiającym gniewem. Najpierw Afryka, potem New Jersey, wodospad Niagara, a teraz to. Poli go nie widział, ale nie miał wątpliwości, że za incydem w kopalni stała ta sama osoba, czyli Philip Mercer. Mimo dwudziestu godzin, które miał na przemyślenie swoich strat, wciąż czuł kwaśny posmak złości. Z Gawrailem Skodą służył ponad dziesięć lat w bułgarskiej armii, a potem, kiedy zaczął karierę jako najemnik, razem wzięli udział w kilkunastu akcjach na całym świecie. Feines miał pięciu braci, w tym bliźniaka, lecz żadnego z nich nie kochał tak jak Gawraila. A teraz Skoda był martwy. Zabił go Philip Mercer na barce nad Niagarą.

Fakt, mieli za mało czasu, żeby odpowiednio przygotować tamtą akcję, ale przecież nie raz i nie dwa, właśnie ze Skodą, uczestniczyli w znacznie bardziej skomplikowanych operacjach i zawsze wychodzili z nich cało. Co więcej, wsparcie na Niagarze zapewnił oddział doświadczonych bojowników z Afganistanu i Iraku. Chcieli walczyć i ginąć za sprawę, więc ich udział miał być gwarancją sukcesu.

Znów jednak pojawił się Mercer. Poli zacisnął dłoń na kierownicy. Skóra na zbiegających kostkach była tak naciągnięta, że wydawała się bliska pęknięcia. Rozkoszował się bólem, a właściwie myślą, jakie cierpienia zada Mercerowi, jeśli ich drogi jeszcze raz się skrzyżują. Feines był profesjonalistą. Nigdy nie mieszał życia zawodowego z prywatnym. Ale tym razem było inaczej. Kiedy skończy zlecenie dla klienta, zajmie się tym Amerykaninem.

Dopadnie go, zabije wszystkich jego bliskich, a potem będzie powoli torturował, aż usłyszy błaganie o śmierć.

Światła jego samochodu wyłowiły z ciemności znak zjazdu. Skręcił z głównej drogi i powoli przetoczył się przez pogrążoną we śnie wioskę. Zapach morza mieszał się ze smrodem gnijących ryb i paliwa do kutrów. Dalej na północ droga biegła wzdłuż brzegu. Widział jasne światła Noworosyjska po drugiej stronie zatoki. Przy nabrzeżu stało kilka nowoczesnych supertankowców. Miały napęlić ładownie ropą z niedawno otwartego ropociągu z Kazachstanu. Później wyładowane tankowce przetną całe Morze Czarne i cieśninę Bosfor, jeden z najbardziej zatłoczonych szlaków morskich na ziemi, gdzie średnio co trzy dni dochodzi do wypadku. Zanim znajdą się na Morzu Śródziemnym, czeka je jeszcze nawigacyjny koszmar Morza Egejskiego.

Z ciemności wyłonił się niewielki budynek na palach, w którym przetwarzano ryby. Na parkingu przy brzegu stały samochody: luksusowe audi A8 z dwunastocylindrowym silnikiem i limuzyna. W biurze na końcu parkingu paliły się światła. Wzdłuż fabryczki ciągnęło się drewniane molo, przy którym cumował dwudziestopięciometrowy kuter. Poli widział przez szybę nadbudówki ekrany nawigacji.

Zaparkował UAZ-a obok audi. Sięgnął do tyłu i dotknął pojemników. Były ciepłe, ale nie gorące. Energia cieplna to jeden z produktów ubocznych wymiany cząsteczek między dwoma pojemnikami. W żadnym nie było dość plutonu, żeby mogła się rozpocząć reakcja łańcuchowa, lecz dwa w bezpośrednim sąsiedztwie pozwalały na stworzenie masy krytycznej. W kopalni zbiorniki składowano daleko od siebie, ale w samochodzie nie było do tego warunków. Gdyby zostawić je na dłużej, pluton w końcu by eksplodował, rozsypując dookoła śmiertelnie niebezpieczny pył, który w zależności od wiatru mógłby skazić kilkanaście do kilkudziesięciu kilometrów kwadratowych.

Z biura wyszło dwóch mężczyzn.

Starszy podszedł do Feinesa i go objął. Drugi nie ruszył się z miejsca. Poli nie odpowiedział uściskiem, więc mężczyzna cofnął się o krok. Był średniego wzrostu, miał gęste szpakowate włosy i bardzo zadbaną brodę, a spod krzaczastych brwi wyzierały intensywnie błękitne oczy, które nawet w ciemności parkingu emanowały diabelską siłą.

- Zaczniemy od najważniejszego - odezwał się po rosyjsku. - Czy nic ci się nie stało?

- Nie. Ale wszyscy Arabowie, których mi użyczyłeś, zginęli.

- Co tam się stało, Poli?

- Miałem za mało czasu - warknął najemnik.

- Nie mogłem dłużej zwodzić Amerykanów - wyjaśnił Grigorij Popow. - Ira Lasko siedział mi na głowie i nie dawał spokoju. Gdyby zaczął załatwiać to oficjalnie, zaraz rozpoczęto by śledztwo. A ja byłbym pierwszym podejrzanym. I tak będę miał się z czego tłumaczyć. Mogę jedynie mieć nadzieję, że przekonam moich szefów i Amerykanów, że to wszystko to zbieg okoliczności i może jakiś przeciek z biura Iry Lasko. A teraz mów, co się stało.

- Ładowaliśmy ostatnie pojemniki, kiedy pojawił się helikopter. Byliśmy na to przygotowani, ale idiota z wyrzutną spudłował. Chryste, przylecieli MI-8, wielkim jak stodoła, a ten skończony głupiec ledwie ich drasnął. Kiedy już

spadli, zaczęli się ostrzeliwać. Sądząc po sile ognia, większość żołnierzy musiała przeżyć, dlatego nie ryzykowałem bitwy, tylko dałem sygnał do odwrotu.

- Ale nie zdecydowałeś się na jazdę pociągiem? - zapytał Popow.

Poli się nie uśmiechał.

- Taki miałem plan od samego początku, na wypadek problemów. Chciałem mieć pewność, że część plutonu tak czy inaczej tutaj trafi. Okazało się, że słusznie, bo wykoleili lokomotywę i widziałem ogień. Nawet gdybym wrócił, nie byłoby jak uratować pojemników.

- Ile udało ci się przywieźć?

- Dwa.

Popow pokiwał z uznaniem głową.

- Więcej niż nam. trzeba.

- To dobrze, bo ja się wypisuję - poinformował go Feines.

- Nie będziesz z nami szukał alembiku?

- Ta operacja była zupełnie inna, niż się spodziewałem - odparł najemnik. - Myślałem, że już w Afryce znajdę to, czego szukamy, a tam się okazało, że ktoś wyprzedził mnie o pół stulecia. Pomyślałem, że w takim razie zdobędę próbki, które ten Amerykanin wywiózł do Stanów na „Wetherby”. Mam zdjęcie obelisku, który być może wskazuje miejsce ukrycia alembiku. Chciałem działać dalej, ale twoje informacje pomogły mi zlokalizować skład i dokończyć misję. Macie to, czego chcieliście. A ja już kończę.

- Nie winię cię za to - powiedział Popow. - Ale cieszę się, że mój udział ograniczył się do przekazania informacji o kopalni.

- Masz na myśli sprzedanie informacji. Popow uśmiechnął się obłudnie.

- Poli, znamy się od lat, ale biznes to biznes, a że pomoc w przemyśle materiałów radioaktywnych z Rosji nawet mnie było trudno zaakceptować, potrzebowałem nieco zachęty. Bogiem a prawdą, nikomu poza tobą nie przekazałbym takiej informacji, bo wiem, że tylko ty byś nie dopuścił, żeby ci idioci wykorzystali je przeciwko nam.

Chociaż z intonacji to nie wynikało, Popow zadał pytanie. Tyle że Poli nie mógł na nie odpowiedzieć, bo miał mgliste pojęcie, po co zleceniodawcom pluton, a biorąc pod uwagę kasę, jaką dostał za jego dostarczenie, zupełnie go to nie interesowało. Wątpił, by mała wioska w Bułgarii, do której zamierzał wrócić, była celem terrorystów, więc tak czy inaczej ich akcja nie dotknie go osobiście. Niech sobie wysadzają Stany Zjednoczone. Nie jego problem.

- Co z Mercerem i pozostałymi? - zapytał.

- Raporty Fiedorowa trafiają na moje biurko. Jutro mam tam jechać, bo dopiero jutro odjeżdża pociąg. Ale powiem maszynieście, żeby nieco się wstrzymał, bo Fiedorow potrzebuje więcej czasu. Przez kilka dni zostaną tam odizolowani i bez kontaktu.

- To dobrze. - Feines pomyślał, że mógłby tam wrócić ze snajperką i sprzątnąć przynajmniej Mercera, ale w końcu uznał, że lepiej spokojnie odczekać. I tak dopilnuje, żeby się z nim spotkać szybciej, niż Amerykanin przypuszcza.

Popow skinął na drugiego mężczyznę, żeby się przyłączył.

- Nie sądzę, żebyście kiedykolwiek spotkali się osobiście. Poli Feines, to saudyjski minister do spraw ropy naftowej, obecnie na plaćwce przy

Organizacji Narodów Zjednoczonych. Kontroluje dystrybucję pomocy humanitarnej. Pan Mohammad bin Al-Salibi, twój pracodawca.

Al-Salibi podał najemnikowi rękę, lecz jego przystojna twarz wyrażała chłodną rezerwę.

- Jak rozumiem, wpadliście w zasadzkę - mówił z lekkim brytyjskim akcentem studenta elitarnego uniwersytetu w Anglii.

- Philip Mercer.

- Tym razem nie było janczarów?

- Nie, tylko on.

- Ma dojścia.

- Żyje już tylko na kredyt.

- On nie ma dla mnie znaczenia - oznajmił saudyjski dyplomata.

- To sprawa osobista - warknął Poli.

- Przejdźmy do biura - wtracił się Popow. - Kawa nikomu nie zaszkodzi.

Biuro niewielkiej fabryczki było równie brudne, jak ona sama. W środku śmierdziało tranem, a meble były poplamione od brudnych ubrań rybaków, którzy na pieniądze i spotkania czekali w roboczych strojach, opierając się o wszystko, co dawało podparcie. Popow uruchomił ekspres i sięgnął po szklanki, kiedy kawa była gotowa.

- Ile towaru pan przywiózł? - zapytał Al-Salibi.

- Dwa pojemniki w UAZ-ie. To mniej więcej pięćset kilogramów.

- A ile było tego w kopalni?

- Tony. Załadowaliśmy do pociągu sześćdziesiąt osiem pojemników, zanim pojawił się Mercer.

Na twarzy dyplomaty pojawił się cień żalu, kiedy pomyślał, co można by osiągnąć, mając taką ilość zabójczej materii.

Nawet bezdusznemu mordercy taka perspektywa wydała się niepokojąca.

- Chcecie wykorzystać ten kuter? - spytał Poli, wskazując łódź przy pomoście.

- Tak. Ukradziony tydzień temu w Albanii. Zmieniliśmy nazwę, więc nikt nie będzie go mógł zidentyfikować.

- A załoga?

- Gotowi na podróż do Turcji i zostanie męczennikami.

Cali i Mercer obwiązali twarze materiałem, na wypadek gdyby któryś z pojemników z plutonem został uszkodzony, i gdy tylko przygasły płomienie, zabrali się do przeszukiwania wraku. Nie byli zaskoczeni, że nikt nie przeżył wypadku i eksplozji, ale poczuli ulgę, kiedy okazało się, że pojemniki z plutonem są całe.

Uspokojeni ruszyli pieszo z powrotem do kopalni. Mercer znalazł grubą gałąź i podpierał się nią jak kulą. Przed zachodem słońca rozpalili ognisko i ucieli sobie drzemkę w jego blasku. Cali wtuliła się w ramię Mercera, łaskocząc go miękkimi włosami po twarzy. Dwie godziny po zachodzie słońca dotarli do kopalni. Rosjanie przygotowali prowizoryczny obóz niedaleko rozbitego helikoptera. Ludmiła gotowała na ognisku posiłek z racji żywnościowych wydobytych z pogiętego wraku, a pilot Jurij z drugim naukowcem zajmowali się rannym. Kiedy podeszli bliżej, okazało się, że to Sasza Fiedorow.

Mercer przyklęknął obok kapitana i się uśmiechnął.

- Do diabła, a ja byłem przekonany, że ta rakietka miała wypisane twoje imię.

- Eh - Fiedorow udał lekceważenie. - Jakiś marny odłamek, nic więcej. Tylko głowa mi pęka. Udało wam się zatrzymać pociąg?
- Wykoleiliśmy go jakieś trzydzieści kilometrów stąd. Nikt nie wysiadł na tym przystanku.
- Ale niestety ktoś do niego nie wsiadł.
- Ulga, że Fiedorow żyje, natychmiast zamieniła się w obawę.
- O czym ty mówisz?
- Wczoraj wysłałem Jurija na rekonesans. Przy torach stał UAZ z uszkodzonym silnikiem. Drugiego nie było.
- Skurwysyn! - Mercer zerwał się na równe nogi. - Cholerny Poli. Zwiął ci ężarówkę, bo wiedział, że będziemy ścigać pociąg.
- Sądzisz, że ma ze sobą jakieś pojemniki?
- Oczywiście, że tak! Nie zdążyli załadować ostatnich dwóch. Ale ja głupi myślałem, że Poli zwiął bez nich.
- Co teraz? - zapytała Cali.
- Ile czasu musi minąć, żeby ktoś zainteresował się brakiem kontaktu z naszej strony? - Mercer zwrócił się do Fiedorowa.
- Nie przejmuj się tym. Jeszcze dziś powinien dotrzeć prawdziwy pociąg.
- Dzięki Bogu!
- Ale to daje Polemu ponad dzień przewagi - zauważyła trzeźwo Cali. - W takim czasie pojemniki mogą dotrzeć w każde miejsce na świecie.

Radość Mercera prysła jak bańka mydlana. Cali miała rację. Dopiero teraz zaczynał rozumieć stres, jaki odczuwała w pracy. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent skuteczności w robocie, w której na szali leżały materiały rozszczepialne do budowy bomb atomowych, to o jeden za mało. Owszem, zapobiegli wywózce ton plutonu, ale dwa pojemniki umknęły ich uwagi. Ilu ludzi umrze z powodu ich błędu? Poli miał dość materiału, żeby skazić dziesiątki kilometrów kwadratowych powierzchni, obszar ujęcia wody czy spore miasto.

Co się stanie, jeśli podniesiony poziom promieniowania zostanie wykryty przy ujęciu wody dla Manhattanu? Tysiące ludzi zginie tylko w wyniku zamieszek, szabrownictwa i potyczek z policją. A ilu straci życie podczas ewakuacji? Ilu ucierpi na skutek wdychania radioaktywnego pyłu? Nowotwory zabijają dziesiątki, jeśli nie setki tysięcy osób w późniejszych latach.

Co się stanie z Nowym Jorkiem, kiedy każda rura i każda studzienka stanie się potencjalnym źródłem skażenia? Wyludni się. Na lata zostanie strefą zamkniętą.

Mercer był z siebie dumny, że wysadził tory i wykoleił pociąg. Teraz poczuł się gorzej niż kiedykolwiek. To wszystko było jego winą. Wszystko. Odpowiedzialność za śmierć tysięcy ludzi spocznie na jego barkach.

- Dopadniemy go - powiedziała Cali, widząc rozpacz w jego oczach.
- A jeśli nie?
- ZRZN nie uznaje istnienia nieudanych akcji.
- Fajnie to wygląda w informacji dla prasy, ale bądźmy ze sobą szczerzy. Sprawa jest przegrana. - Nie chciał, żeby zabrzmiało to niegrzecznie, ale był bliski załamania. - Wariat z pół tysiącem kilogramów plutonu jedzie sobie spokojnie w jakieś nieznanne nam miejsce, a my tkwimy uwięzieni na tym

zadupiu. Zanim pojawi się pociąg Saszy, Paryż, Londyn albo Rzym mogą zamienić się w radioaktywne pustkowia.

- Albo Nowy Jork, Chicago czy Waszyngton - dodał ktoś z drugiej strony wraku.

Mercer natychmiast rozpoznał ten głos.

Janczar, który uratował ich w Afryce, a potem przyjechał do jego domu i ostrzegł, żeby się wycofał. Mężczyzna wyszedł z ukrycia. Miał na sobie czarny garnitur i nie był sam.

- Jednak osobiście uważam, że ich głównym celem będzie Ankara, Stambuł lub Baku.

Mercer stał z pistoletem wycelowanym w głowę janczara.

- Podaj mi jeden powód, dlaczego nie miałbym cię zastrzelić. Mężczyzna się uśmiechnął.

- Jak na kogoś, kto przez tydzień zamęczał mnie telefonami, nie wyglądasz na zbyt zainteresowanego tym, co mam do powiedzenia.

Przez chwilę Mercer nie mógł pojąć, co to ma znaczyć. Wreszcie zrozumiał.

- Profesor Ibriham Ahmad z uniwersytetu w Stambule. Ahmad uklonił się uprzejmie.

- Do usług. Można mnie również tytułować generałem Oddziałów Janczarskich Armii Najwyższego Sułtana, będących ostatnią strażą alembiku Skenderbega.

Mercer opuścił pistolet.

- A to Devrin Egemen - Ahmad przedstawił swojego towarzysza. - Jeden z moich najlepszych studentów i jednocześnie zaufany porucznik.

Egemen skinął głową.

Ahmad rozejrzał się i zauważył ciała.

- Wiedzieliśmy, że Rosjanie wrócili do Afryki, by wydobyć resztę adamantu Aleksandra, ale myśleliśmy, że zużyli wszystko do budowy pierwszych bomb. Ile tego mieli i ile udało się im wywieźć?

- Nie mam dokładnych danych. Zatrzymaliśmy pociąg. W zniszczonych wagonach naliczaliśmy kilkadziesiąt pojemników, a pewnie i tak nie wszystkie znaleźliśmy. Poli Feines uciekł z mniej więcej pięciuset kilogramami plutonu.

- To więcej niż potrzebują do realizacji swojego planu. - Ahmed zaczął iść, zmuszając Cali i Mercera do dotrzymywania mu kroku. Zrozumieli, że chce powiedzieć im coś ważnego na osobności.

Wreszcie zatrzymał się, usiadł, krzyżując nogi i dotknął ziemi obok siebie.

- Proszę, siadajcie. To trochę potrwa.

Mercer widział jego zdolność do przemocy, ale źródła prawdziwej siły Ahmada upatrywał w jego intelekcie. Pewność, z jaką mówił, spokój i opanowanie były imponujące. Mercer usiadł, odkładając na bok kulę.

- Jak wszyscy janczarowie, Gjergi Kastrioti został wyszkolony w najlepszej szkole wojskowej w Stambule. Był świetnym studentem, który intuicyjnie pojmował wszelkie zagadnienia taktyczno-strategiczne. Kiedy uznał, że sułtanat pogrąża się w zepsuciu i zbuntował się przeciwko Muradowi II, nikt nie był zaskoczony, że jego ludzie stanęli za nim murem.

- Potem wyniósł się do Albanii i odpierał armię sułtana przez ćwierć wieku - dokończył Mercer.

Ahmad pokiwał z uznaniem głową.

- Bardzo dobrze. Widzę, że nie próżnowaliście.

- Krążyły pogłoski o talizmanie, który swego czasu należał do Aleksandra Wielkiego - ciągnął Mercer. - Domyślam się, że to właśnie jest alembik?

- Tak. Ostatni przekaz dotyczący alembiku pochodzi z Syrii, od skryby, który napisał, że generałowie armii Aleksandra kłócili się po jego śmierci, który będzie go nosił. Nie doszli do porozumienia, więc wrócili do Egiptu i mieli pochować talizman z wodzem, ale po drodze zawiązała się grupa żołnierzy, którzy zdołali go wykraść i uciekli z nim na pustynię. Mogę się tylko domyślać, co się z nimi stało. Wystarczy powiedzieć, że alembik był wart fortunę, jeśli znajdował się we właściwych rękach. Przez kilka stuleci wędrował z rąk do rąk. W końcu trafił do władców najpotężniejszego państwa tamtych rejonów, czyli Cesarstwa Bizantyjskiego, a kiedy ono upadło, dostał się władcom imperium osmańskiego. Nikt jednak nie wiedział, jak go używać, bo przez stulecia leżał zapomniany w skarbcu.

- A Skenderbeg wykombinował jak?

- Tak, jemu się udało. Legenda głosi, że został przyłapany w sypialni córki pewnego dostojnika i za karę wysłany do jednego z magazynów wojskowych, by skatalogować wszystkie przechowywane tam przedmioty. Ponoć spędził tam miesiąc i znalazł dziwną brązową urnę z niezrozumiałymi napisami. W końcu trafił na kogoś, kto mu je przetłumaczył, i w ten sposób dowiedział się o sekretnej broni Aleksandra Wielkiego. Musiał pomyśleć, że los spletał mu figła, bo wśród swoich ludzi był zwany Skenderbegiem, czyli Aleksandrem Wielkim.

- A kiedy postanowił wzniecić bunt przeciwko Muradowi II, wykradł alembik.

- I dzięki niemu zdołał powstrzymać wojska Murada przez tyle lat - dokończyła Cali.

- Czegoś tu nie rozumiem - powiedział Mercer. - Skoro Aleksander wykorzystywał alembik przez wiele lat, podobnie jak potem Skenderbeg, to ile plutonu mogło w środku zostać?

- Niewiele - odpał Ahmad. - Ale to nie ma znaczenia. Alembik nie służył do rozpylania radioaktywnego pyłu.

- Nie? To jak działał?

- Składał się z dwóch komór. Po uruchomieniu mechanizmu podnosiła się rozdzielająca je przegroda, umożliwiając połączenie obu próbek rudy. W przeciwieństwie do plutonu znalezionej w Afryce ten był oczyszczony, bo alchemicy Aleksandra znaleźli jakiś sposób, by tego dokonać, i zamiast emitować słabe promieniowanie gamma, dla którego skóra człowieka stanowi granicę nie do przebycia, alembik emitował intensywne promienie alfa i beta, które wywołują chorobę popromienną w kilka sekund, a zabijają w kilka minut.

Skenderbeg korzystał z alembiku, tylko kiedy nie miał innego wyjścia - ciągnął profesor - ale pamiętajmy, że Aleksander eliminował za jego pomocą całe armie. Są wiarygodne przekazy o armiach w sile pięćdziesięciu tysięcy żołnierzy zabitych jednej nocy. Niewątpliwie szpiegzy Aleksandra zakradali się do obozu wroga i uruchamiali tam mechanizm alembiku. Kiedy oblężenie miasta Qumfar nie przynosiło rezultatów, Aleksander kazał uruchomić alembik i zostawić go pod murami na cały tydzień. Po tym czasie wszystko,

co żyło w mieście, łącznie ze zwierzętami, było martwe. Kronikarz zapisał, że poczerniała skóra zmarłych odchodziła od ciała i była tak gęsto pokryta pęcherzami, że z trudem dało się w nich rozpoznać ludzi. Wiele matek podcinało dzieciom gardła, by skrócić ich cierpienia. Potem same popełniały samobójstwa.

- Jeśli coś zostanie tak silnie napromieniowane, to przez tygodnie, a nawet miesiące będzie emitować takie samo promieniowanie - zauważyła Cali.

Ahmad pokręcił głową.

- Jestem historykiem, a nie fizykiem jądrowym. Mogę wam jedynie przekazać, co znajduje się w źródłach na temat alembiku. Może alchemicy Aleksandra znaleźli jakiś sposób na to, żeby efekty napromieniowania były krótkotrwałe? Ja się na tym nie znam.

- A może miejsca, gdzie użyto alembiku, po prostu przestawały istnieć - podsunął Mercer.

- To mogoby wyjaśnić, dlaczego Aleksander zmał tak młodo - dodała Cali.

- Wiem na pewno - powiedział Ahmad - że w niewłaściwych rękach alembik jest znacznie bardziej niebezpieczny niż pluton, z którym uciekł Feines.

- Co się stało z alembikiem po śmierci Skenderbega?

- Jego generałowie wiedzieli, że w końcu będą musieli ulec armii Murada. Przywódca rewolty, ulubieniec ludu, nie żył, więc ostatecznie klęska była tylko kwestią czasu. Nie chcąc ryzykować utraty alembiku, postanowili spełnić życzenie Aleksandra, i swojego wodza i schować go w grobowcu Macedończyka.

- Udało im się? - spytała Cali.

Podeszła Ludmiła z talerzami jajecznicy i kawą. To był pierwszy posiłek Mercera od lotu z Niemiec do Samary, więc chociaż raczej żywnościowe rosyjskiego wojska nie smakowały jak cordon bleu, zajadali się nimi z Cali, jakby były przyrządzone przez samego szefa kuchni.

- Udało im się? - powtórzyła Cali z pełną buzią. Ahmad spojrzał na nią i się uśmiechnął.

- Pewnie tak.

- A wiecie, gdzie to jest?

Przez kilka sekund profesor milczał.

- Zginęlibyście w Afryce, gdybyśmy się nie pojawili na czas. Podobnie w Atlantic City. Dotarliście do próbek Chestera Bowiego i zabezpieczyliście je przed Polim Feinesem, ale w ostatniej chwili. Czy tak było? - Mercer przytaknął. - A teraz przybyliście tutaj, żeby zabezpieczyć pluton, który od czasów sowieckich spoczywał w starej kopalni. Mimo to Poli ucieka z dwoma pojemnikami, a wielu ludzi ginie. Doktorze Mercer, nawet gdybym wiedział, gdzie jest grób Aleksandra, nie zdradziłbym tego panu.

- Czyli nie wiecie?

- Nie, panno Stowe. Ale dziś każdy gimnazjalista uczy się, że prawdopodobnie gdzieś w Egipcie. Uznaliśmy, że najłatwiej dochować sekretu, samemu go nie znając. Janczarowie zniechęcają każdego, kto jest nim zainteresowany, jeszcze zanim się do niego zbliży.

- A skąd w takim razie wiecie, kiedy się zbliżają? - zapytał Mercer z irytacją.

- Są pewne znaki i przesłanki. Jak myślicie, skąd wiedzieliśmy o Feinesie?

- No skąd?

- Popęłnił ten sam błąd, który popełnił pan, doktorze, tyle że nieco wcześniej. Jestem największym specjalistą od Skenderbega na świecie. Każdy zainteresowany jego osobą kontaktuje się najpierw ze mną. Tak samo jak ja przejąłem schedę po moim mentorze, tak samo obecny z nami młody Devrin pewnego dnia zostanie strażnikiem sekretu Skenderbega. Każdy, kto się zainteresuje losami alembiku, najpierw zgłosi się do niego.

- Czyli Poli skontaktował się z panem?

- Więcej, spotkaliśmy się. - Ibriham Ahmad pokiwał głową.

Mercer był wściekły.

- Co pan sobie myślał, dając mu dostatecznie dużo wskazówek, by trafił do Afryki?

- Niestety, był już w posiadaniu informacji o kopalni, choć na początku o tym nie wiedziałem. Staralem się nawet wysłać go w zgoła odmiennym kierunku. Okazał się jednak znacznie sprytniejszy, niż zakładałem. Kiedy tylko dowiedzieliśmy się, że wynajął lokalnego awanturnika, żeby eskortował go na miejsce, natychmiast zrobiliśmy wszystko, aby być tam przed nim i go powstrzymać. Uciekł i zaczął was śledzić, ale o tym sami doskonale wiecie.

- Jak dowiedział się o kopalni?

- Mój poprzednik popełnił błąd - w głosie profesora pojawiła się nuta goryczy. - Zdradził nasz sekret pewnej studentce, pięknej i niezwykle bystrej, którą spotkał podczas wykopalisk archeologicznych w Palestynie w 1920. Po ojcu, nader oświeconym biznesmenie, odziedziczyła pasję do nauki. Mój poprzednik zakochał się w owej kobiecie i wierząc, że ona odwzajemnia to uczucie, wyjawiał jej wszystkie tajemnice, by ich syn mógł kontynuować jego dzieło. Powiedział jej o Aleksandrze i o tym, jak wracając z pustyni w Egipcie z zabójczą bronią, ogłosił się bogiem. Wyjawiał, że wielki wódz wierzył, jakoby była ona z adamantu, mitycznego metalu, z którego wykuto łańcuchy Prometeusza. Zdradził nawet, że po śmierci Aleksandra jeden z jego najwierniejszych generałów wrócił do tej afrykańskiej wioski i ustawił w niej na pamiątkę wielkiego wodza kamienny obelisk opisujący jego największe triumfy, które zawdzięczał alembikowi.

Mercer zdusił uśmiech, zadowolony, że wysłał Sykesa, by przywiózł dokładną dokumentację fotograficzną obelisku. Jeśli został ustawiony po śmierci Aleksandra, była szansa - choć niewielka - że zapisano na nim również, gdzie pochowano jednego z największych wodzów w dziejach.

- Chyba widziałem go przed atakiem - powiedział do Cali, jakby nigdy nic.

- Piękna rzecz, nieprawdaż?

- Nie gustuję w starych kolumnach - odparł, a Ahmad uśmiechnął się, nieświadomy, że Amerykanin stara się odwrócić jego uwagę. - Poza tym nie mieliśmy okazji mu się przyjrzeć.

- To szkoda, bo był w doskonałym stanie - rzekł profesor. - Hieroglify były wyraźne i łatwe do odczytania, choć nie mam pojęcia, co mogły oznaczać.

Mercer poczuł, że robi mu się słabo.

- Był?

Ahmad spojrział na niego jak doświadczony naukowiec na początkującego badacza, który uważa, że uda mu się podejść starego mistrza.

- Drogi doktorze, czy sądzi pan, że zostawiłbym go tam, żeby następny taki Poli Feines go znalazł i, nie daj Boże, odczytał hieroglify? Nie miałem innego wyjścia. Musiałem go zniszczyć. Ale przyznam, iż czułem się podle, niszcząc taką świętość, jeśli to poprawi panu humor.

- Nie - odparł słabo Mercer. - Nie poprawi.

REPUBLIKA ŚRODKOWOAFRYKAŃSKA

Hej, Book, co o tym myślisz? - spytał półgłosem sierżant Paul Rivers.

Booker Sykes przyglądał się przez gogle noktowizyjne ruinom miasta Kivu.

- Myślę, że miałem cholerne szczęście, że mój przodek nie należał do najszybszych biegaczy w wiosce - odparł. - Nie wiem, co bym zrobił, gdybym urodził się w takiej dziurze.

Razem wysforowali się naprzód, zostawiając sierżanta Berniego Cieplickiego na straży przy samochodzie. Choć Caribe Dayce wydawał się największym zagrożeniem dla stabilności w regionie, po jego śmierci nie zapanował oczekiwany spokój. Bandy uzbrojonych wyrostków włóczyły się po Kivu i okolicznych wioskach, upijając się na umór i ćpając do tego stopnia, że z czasem stracili poczucie rzeczywistości. Ale dzięki nim Sykes w miarę łatwo zdobył broń dla siebie i zespołu.

Po drodze z Rafai zostali zatrzymani na improwizowanym posterunku. Czwórka dzieciaków szukała frajerów, którzy na podróż wybrali sobie to wstrząsane rebeliami miejsce. Punkt kontrolny znajdował się w miejscu, gdzie drzewa zbliżały się do drogi, więc nie dało się go ominąć. Amerykanie zostali zmuszeni do opuszczenia samochodu. Jeden z małoletnich żołnierzy celował do nich z kałasznikowa, a reszta zabrała się do plądrowania dzipa, którego Sykes kupił w stolicy kraju, Bangui, za pieniądze od Mercera.

Sykes był na to przygotowany; prawdę mówiąc, nawet cieszył się, że tak dobrze im idzie, bo potrzebowali broni na wyprawę do buszu.

Dzieciak pilnujący trójki komandosów z oddziałów Delta Force miał szesnaście lub siedemnaście lat, głęboko osadzone, przekrwione oczy i arogancki wyraz twarzy, a karabin trzymał z obojętnością, jakby był to zwykły kawałek drewna. Jeńcy byli potężnymi mężczyznami, lecz on miał już do świadczenia i wiedział, że kule w magazynku wyrównują szanse. Bardziej interesowały go kartony papierosów i inne użyteczne przedmioty w samochodzie, które - o czym nie wiedział - znalazły się tam celowo. Sykes

dobrze przemyślał, co załadować. Chciał, żeby napastnicy sięgnęli jak najgłębiej do środka.

- Wow! - krzyknął podniecony jeden z dzieciaków w bagażniku. Po chwili wyskoczył z nowiutką piłką do nogi i zaczął ją podbijać, kopać, a w końcu podał do strażnika.

Sykes obserwował oczy partyzanta. W tym samym ułamku sekundy, w którym skierowały się na piłkę, mężczyźni ruszyli do ataku. Booker skoczył naprzód, złapał kałasznikowa za lufę i skierował ją w niebo. Bernie Cieplicki trzymał ciasno zwiniętą gazetę. W środku ukryty był piętnastocentymetrowy gwóźdź, oszlifowany i ostry jak iga. Zamachnął się gazeta, uwalniając ostrze. Gwóźdź trafił chłopaka, który znalazł piłkę, w ramię i zagłębił się do połowy. Gdyby Cieplicki uznał, że sytuacja tego wymaga, trafiłby dzieciaka w oko i rozwaliby mu mózg. Tym razem wystarczył ból. Dzieciak padł na kolana i zawył.

Paul Rivers, dwumetrowy olbrzym, najwyższy z trójki komandosów, minął rannego rebelianta i całym ciałem rzucił się na klapę bagażnika. Dwóch chłopaków z tyłu jeszcze się nie zorientowało, że przed chwilą role się odwróciły. Uderzenie drzwi i masa Riversa złamały trzy z czterech wystających ze środka nóg.

Sykes jedną ręką trzymał wycelowany w niebo karabin, a drugą wyrzucił napastnika w twarz. Rebeliant padł bez przytomności. Bernie kopniakiem z półobrotu w głowę uciszył partyzanta z gwóździem w ramieniu.

Cała akcja trwała cztery sekundy.

Zanim ruszyli w dalszą drogę, Cieplicki, sanitariusz zespołu, wyciągnął gwóźdź z ramienia Afrykanina, posmarował ranę maścią antybiotykową i założył opatrunek. Niewiele mógł zrobić z połamanymi nogami poza dopasowaniem kilku kawałków drewna jako łupków i uspieniu rannych zastrzykami z morfiny. Nastolatek ogłuszony przez Bookera nie potrzebował narkotyków, żeby jeszcze jakiś czas pozostać bez przytomności.

Sykes sprawdził zdobyczną broń. Karabiny, choć brudne, nadawały się do użytku. Booker często słyszał pogląd, że Stany Zjednoczone są największym eksporterem broni na świecie. I rzeczywiście, jeśli spojrzeć na same liczby, jego rzecznicy mieli rację, ale zapominali dodać, że na te miliardy dolarów składały się głównie koszty samolotów, takich jak AWAC czy F-16, okrętów, które wyszły już z użycia i trafiały do innych krajów, systemów obronnych oraz innego oprzyrządowania, które poza szkoleniem i manewrami na poligonach nie było wykorzystywane.

Tymczasem trzymał w dłoniach wszechobecnego kałasznikowa AK-47. Na świecie krążyło ich ponad sto milionów. Na bazarach Trzeciego Świata sprzedawano je po pięćdziesiąt dolarów. Sykes rozważał nawet kupno AK-47 w Bangui, ale zrezygnował, bo nawiązanie kontaktów z handlarzami zajęłoby zbyt wiele czasu.

Widział kałasznikowy na czterech kontynentach i wierzył, że spowodowały śmierć większej liczby ludzi niż jakakolwiek inna broń od czasów, kiedy jaskiniowcy wpadli na pomysł, że można okładać się kijami. Bomby atomowe zgładziły sześćdziesiąt tysięcy istnień w Hiroszimie i Nagasaki. AK-47 tylko w Afryce zabiły dziesiątki razy więcej niewinnych ludzi.

Gdzie byli ci gorliwi krytykanci, kiedy Rosja i państwa powstałe po rozpadzie Związku Radzieckiego zalewały świat bronią, nie zważając na to,

jak będzie wykorzystywana? Gdy USA próbowały sprzedać Tajwanowi kilka samolotów cystern KC-135 do tankowania w powietrzu, wszyscy natychmiast podnosili lament.

Ależ go to wkurzało!

Związali luźno niedoświadczonych rabusiów, zostawili im kilka paczek papierosów i dość jedzenia, żeby przeżyli kilka dni, a następnie wsiedli do dżipa i ruszyli w stronę Kivu. Zbliżał się wieczór, kiedy byli prawie u celu. Booker uznał, że nie warto ryzykować. Zostawił Cieplickiego, by przypilnował wóz, a sam z Riversem poszedł na zwiady.

- Ależ metropolia, ważniaku - powiedział Rivers do przełożonego. W oddziałach Delta Force stopnie wojskowe nie miały wielkiego znaczenia.

- Co chcesz, wygląda całkiem przyjaźnie - zaśmiał się Book.

Hotel, w którym mieszkała Cali, był zamknięty, od kiedy właściciel uciekł z rodziną. Za to na werandzie siedziało kilku wyrostków. Alkohol z baru i jedzenie z restauracji już dawno zostały rozkradzione, więc po prostu siedzieli i gapili się na rzekę. Ożywiali się tylko, gdy kawałek podmytego brzegu spadał do wody. Przy porzuconym land-roverze krzątało się dwóch mężczyzn. Z tego, co powiedziała Cali, jej wóz potrzebował tylko nowych opon, więc Sykes był zaskoczony, że jeszcze tam stoi. Poprawił ostrość lornetki i znalazł wyjaśnienie. Na ziemi pod silnikiem zobaczył czarną plamę oleju; widać któraś z kul jednak go uszkodziła, unieruchamiając samochód już na zawsze. Dostrzegł kilka rodzin, które usiłowały jakoś pozbierać swoje życie do kupy, i staruszkę z dzieckiem na rękach na ławeczce przed lepianką. Domyślił się, że matka malucha została pewnie zgwałcona i zamęczona na śmierć.

Chryste, jakże on nienawidził Afryki! Błędne koła przemocy nie dało się już przerwać.

- Jaki masz plan? Przejedziemy środkiem tej dziury czy czekamy?

- Mercer powiedział, że wioska jest dwie godziny jazdy stąd. Nie widzę wprawdzie żadnych samochodów, którymi mogliby nas ścigać, ale lepiej poczekać, aż się ściemni, żeby nie wiedzieli, że jesteśmy w pobliżu.

- Rozumiem.

Booker wolałby ominąć Kivu szerokim łukiem, lecz jedyna droga przechodziła przez środek miasteczka. Wysłał Riversa z powrotem do wozu i rozkazał, by wyruszyli o trzeciej nad ranem. Sam został, żeby obserwować, czy sytuacja się nie zmieni, zanim dotrą do Kivu.

Nie pamiętał, ile nocy spędził w ukryciu, obserwując podobne miasta i wioski. W Iraku, Afganistanie, Pakistanie, Somalii, Sudanie i wielu innych krajach. Ale fakt, że ta wyprawa ma związek z Philipem Mercerem, powodowała, iż była jakby ważniejsza.

Mercer był bez wątplenia najbystrzejszym gościem, jakiego kiedykolwiek spotkał. Potrafił odnaleźć się w każdej, sytuacji, na każdym polu walki, choć nigdy nie przeszedł formalnego szkolenia w wojsku. W głębi duszy samotnik, ale przyciągał ludzi jak magnes. Wyczuwali w nim wewnętrzną siłę, spokój i ogromny hart ducha. Booker zauważył, jak na Mercera patrzy Cali Stowe, choć on sam zdawał się tego jeszcze nie dostrzegać. Znał go i wiedział, że wciąży opłakuje Tisę Nguyen. Mimo to uważał, że będzie żałował kolejnej straty, jeśli w porę się nie otrząśnie.

Mercer był bliskim przyjacielem doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego, ale zadawał się też z gośćmi z zupełnie innego świata, na przykład takim zapijaczonym Harrym. Forsy miał jak lodu, lecz nigdy nie obnosił się z bogactwem. Booker nigdy nie rozgryzł, co sprawiało, że Mercer reagował zaangażowaniem w sytuacjach, kiedy inni uciekali. Podejrzewał, że on sam nie miał pojęcia. Wiedział to i owo na temat tego nieświadomego mechanizmu, bo sam unikał odpowiedzi na pytanie, dlaczego wstąpił do armii i zgłaszał się na ochotnika do najtrudniejszych i najniebezpieczniejszych zadań. Gdyby poznał prawdę, pewnie musiałby znaleźć sobie inne zajęcie.

Pozbawione elektryczności miasteczko poszło spać równo ze zmierzchem. Partyzanci z hotelowego tarasu wzięli karabiny i podreptali do przydzielonego im pokoju. Staruszka z dzieckiem zniknęła w chatynce. Jedyna ulica i centralny plac wyludniły się, zanim wybiła dziewiąta.

Booker czuwał. Insekty walczyły z barierą ochronną środka na komary i wygrywały, ale nawet nie drgnął. Siedział nieruchomy jak skała i obserwował śpiące Kivu.

Kwadrans przed trzecią wywołał przez radio Riversa, powiedział, że wszystko gotowe, i wycofał się sto metrów w górę ulicy. Kiedy przez bzyczenie insektów i wrzaski nocnych zwierząt przebił się dźwięk silnika dżipa, kazał go zgasić. Cofnął się o kolejne sto metrów i podszedł do samochodu.

Bez słowa stanął z Riversem z tyłu, a Cieplicki zajął miejsce przy otwartych drzwiach kierowcy i razem popchnęli dwutonowy wóz. Wierny swojej roli dowcipnisią Bernie pozwolił kolegom się wysilać, sam zaś tylko trzymał kierownicę. Przemknęli przez Kivu bezgłośnie jak duchy. Dopiero dwieście metrów dalej wsiedli do dżipa. Sykes i Rivers ociekali potem i dyszeli jak konie.

- Jakoś słabo wyglądacie - zauważył Cieplicki. - Chyba zapomniałem zwolnić ręczny.

- Goń się, palancie - jęknął Paul.

- Ciągłe to słyszę, ale nie wiem, co to znaczy - błaznował Cieplicki.

Rivers poczuł przemożną chęć, żeby mu dać w twarz.

- Dalej, ruszamy - rozkazał Sykes.

Nie włączali świateł, tylko Cieplicki włożył gogle noktowizyjne i pojechali. Początkowo bardzo powoli, żeby silnik pracował jak najciszej, ale po dwóch kilometrach przyspieszyli do sześćdziesiątki. Wiatr wpadał do środka przez otwarte okna, a z nim duszny smród pobliskiej rzeki. Book i Paul obserwowali dżunglę po obu stronach drogi z bronią gotową do strzału.

Dwie i pół godziny później dotarli do miejsca, gdzie Scilla łączyła się z Chinko. Ktoś zniszczył prowizoryczny prom wspomniany przez Mercera. Beczki leżały rozrzucone na brzegu, a blacha, z której zrobiono pokład, zniknęła bez śladu.

- Dalej pójdziemy na piechotę - powiedział Sykes, wysiadając. - Wóz ukryjcie w krzakach. Ale poczekamy na świt. Nie mam zamiaru włóczyć się nocą po dżungli i potykać o korzenie, kiedy nie wiem, czy ktoś się tam nie czai.

- Raczej coś - poprawił go Bernie.

- To też.

O pierwszym brzasku ruszyli w stronę wioski, w której Mercer widział kolumnę. Nocne zwierzęta poszły już spać, aienne dopiero się budziły. Wkrótce minęli starą kopalnię. W świetle wstającego dnia widać było wyrwę w tamie, którą Mercer i Cali spłynęli do rzeki. Gdy dotarli do wioski, Sykes ruszył przez pusty teren, a Cieplicki i Rivers osłaniaли go zza linii drzew. Z samej wioski nic nie pozostało, ale kupy popiołu i niedopalonych belek wyznaczały miejsca, gdzie niegdyś stały domy. Powietrze pachniało rozkładającymi się zwłokami.

Spustoszenie i atmosfera śmierci przyprawiały Bookera o mdłości.

Szukał wzrokiem kamiennego obelisku. Mercer powiedział wyraźnie, że kolumna ma dwa metry wysokości, nie było więc mowy, żeby ją przeoczyć. A jednak Sykes nie mógł jej znaleźć. Na dodatek nie potrafił pozbyć się wrażenia, że cały czas ktoś go obserwuje. Rozpoczął metodycznie przeszukiwać teren. W trawie walały się setki łusek. Podniósł jedną z nich i powąchał. Wci aż pachniała prochem. Cofnął się do strefy luźnych kamieni, które początkowo zignorował, i przyjrzał się dokładniej. Światło poranka było tak słabe, że musiał podnieść jeden z większych fragmentów, by zobaczyć na nim starożytnie hieroglify.

- Mercer nie będzie zadowolony - mruknął i truchtem wrócił do swoich ludzi.

- I jak, szefie?

- Obelisk został rozbity na drobne kawałki. Tylko kilka jest większych niż cegła.

- Ładunek? - spytał Cieplicki.

- Nie. Raczej młot albo kolby karabinów. Poza tym mam przeczucie, że nie jesteśmy tu sami.

- Wracający lokalsi?

- O piątej rano? Mowy nie ma. - Sykes zaczął intensywnie myśleć. Złapał trochę snu podczas lotu do Afryki, trzydzieści sześć godzin temu. Był bardzo zmęczony. Kiedy mrugał, wydawało mu się, że pod powiekami ma papier ścierny. Ale potrafił ignorować takie niedogodności. Szybko ułożył plan i wydał rozkazy. Cieplicki i Rivers ruszyli biegiem, a on został w ukryciu i obserwował teren. Nie słyszał żadnych pokasywań, żadnego szelestu ubrań o roślinność, lecz mimo to miał pewność, że nie jest sam.

Bezgłośnie jak skradająca się pantera zaczął okrażać wioskę. Uważał, by nawet na chwilę nie wychylić się z zarośli. Niczego nie znalazł.

Rivers i Cieplicki wrócili po jedenastu minutach. Gdyby Sykes nie był skupiony na czymś innym, ochrzaniłby ich, że tak długo zajęło im przebycie półtora kilometra tam i z powrotem do dżipa. Przynieśli trzy wojskowe plecaki - nylonowe worki, które mogły unieść ponad siedemdziesiąt kilogramów ładunku. Cieplicki został, żeby osłaniać tyły, a Sykes i Rivers podeszli do rumowiska i zaczęli ładować kamienie do worków.

Kiedy napełnili pierwszy, Rivers podniósł go z ziemi.

- Ile? - zapytał Book.

- Osiemdziesiąt, osiemdziesiąt pięć kilo.

- Dzięki Bogu to tylko półtora kilometra - powiedział Sykes i gwałtownie podniósł głowę, bo z jednego z drzew niespodziewanie poderwały się ptaki. Zamarł na chwilę, ale nic poza tym się nie wydarzyło.

Zapakowali wszystkie większe części i właśnie zbierali drobne kawałki, kiedy Cieplicki otworzył ogień. Odpowiedzią na jego pojedynczy strzał była seria z automatu. Sykes i Rivers padli płasko na ziemię, przesuając worki, by mieć jakąkolwiek zasłonę. Odbezpieczone karabiny oparli o bezcenne resztki obelisku.

Chwilę później Cieplicki wypadł spomiędzy drzew, długą serią zmuszając napastników do szukania schronienia. Dołączył do kolegów, przeskoczył nad wyładowanymi worami i obrócił się, by na muszce mieć dżunglę.

Zapadła cisza.

- Nie jest dobrze.

Komandosi mieli tylko po dwa zapasowe magazynki, zdecydowanie za mało nawet na dłuższą potyczkę z kilkoma rebeliantami.

- Uważajcie na siebie - powiedział Sykes.

Strzelił krótką serią w kierunku drzew, wsunął ramiona pod paski, napiął mięśnie nóg i dźwignął plecak z ziemi. Cieplicki i Rivers zrobili to samo, a potem razem ruszyli w kierunku dżipa, zaparkowanego półtora kilometra dalej.

Plecaki były potwornie ciężkie. Po niecałych stu metrach biegu Sykes poczuł, że jego ścięgna i przyczepy mięśniowe na plecach zaczynają się poddawać. Chwilę później naderwał któryś z mięśni. Ból był niemiłosierny i promieniował do czaszki, ale komandos nie zwolnił. Zaciśnął zęby i biegł dalej.

Strzelcy, kimkolwiek byli, ścigali ich, nie wychodząc spomiędzy drzew. Też biegli, więc nie mogli dobrze celować, ale zmuszali trójkę Amerykanów do kluczenia, co dodatkowo obciążało zmęczone kolana i kręgosłupy.

Wykrzywiając twarz przy każdym kroku, Sykes powtarzał w duchu, że ma ignorować ból. A był on niewyobrażalny. Promieniował z dołu pleców i niemal sparaliżował mózg. Złapał karabin jedną ręką i na oślep posłał po kilka kul za siebie.

Kiedys w Afganistanie niósł lokalnego bojownika z poharatanym od łamkami brzuchem, ale to nie mogło się równać z obecnym wysiłkiem. Kamienie w plecaku nie reagowały na ruch, tylko ciągnęły go w dół. Spojrzał na swoich ludzi. Też cierpieli. Mieli ból wypisany na twarzach. Nawet Paul Rivers, gigant nawet jak na siłacza, ledwo dyszał.

Mimo to biegli.

Dotarli do kopalni, zsunęli się po wyrwie w tamie i nie zwalniając, pognali na drugą stronę. Tuż przed szczytem Sykes zachwiał się, ale Bernie natychmiast chwycił go pod ramię i pomógł pokonać kilka ostatnich metrów.

Mimo obciążenia wyprzedzali napastników, którzy przedzierałi się przez gęstą dżunglę. Jeden z nich musiał zdać sobie sprawę, że ofiary mogą umknąć, i wyskoczył na otwartą przestrzeń. Rivers, który biegł ostatni i osłaniał tyły, co kilka chwil obracał się przez ramię. Gdy zobaczył chudego Afrykanina, bez zmieniania tempa wystrzelił w jego kierunku krótką serią. Napastnik padł, jakby zahaczył nogami o rozciągniętą linę.

- Ostatni... - wydyszał Cieplicki i przerwał, by przełknąć ślinę. - Ostatni przy dżipie ten trąba.

Zakrzuszył się i zwymiotował trochę żółci na koszulę khaki.

Z dżungli wypadło kilku kolejnych partyzantów. Zwarta grupka szybko się do nich zbliżała.

Świadomi, że jeśli się zatrzymają, nie ruszą już z miejsca, zwolnili i zalali pościg falą automatycznego ognia. Nie dbali o celność, lecz mimo to jeden z rebeliantów wyładował na ziemi z przestrzelonym ramieniem, a dwaj pozostali skoczyli między drzewa w poszukiwaniu osłony.

Ostatni odcinek prowadził z górki. Sykes miał lzy na twarzy, kiedy zbiegał tych kilkaset metrów w dół do dżipa. Płakał po raz pierwszy od bardzo dawna - od czasu, kiedy zmarła jego babcia, gdy miał dwanaście lat.

Samochód był ukryty w krzakach obok drogi. Rivers nie bawił się w odgarnianie gałęzi, które położyli na karoserii. Otworzył tylne drzwi i obrócił się, by wrzucić do środka ciężki plecak. Jego koszulka była na ramionach przesiąknięta krwią.

Rivers podbiegł do drzwi kierowcy, a Sykes przepuścił Cieplickiego. Bernie zrzucił swój worek do bagażnika i zamiast pomóc Bookerowi zdjąć plecak, wepchnął go do środka, wskoczył za nim i zamknął drzwi.

Rivers uruchomił silnik, wrzucił wsteczny i ruszył. W tej samej chwili trójka rebeliantów dotarła do połaci błota przy ujściu wartkiej Scilli do zamulonej Chinko. Widząc samochód wyjeżdżający z zarośli, zaczęli strzelać. Tylne okno eksplodowało, zasypując dwójkę komandosów tysiącem odłamków. Cieplicki szarpał się z plecakami, które ściągnęły gumową płachtę na podłodze, a Sykes błyskawicznie wysunął karabin i odpowiedział ogniem.

Jedna z kul napastników przebiła tylną oponę. Rivers wiedział, że dłuższa jazda zerwie resztki opony z felgi i uszkodzi metal.

- Mówcie, jak to wygląda! - krzyknął.

- Jeszcze minuta! - odkrzyknął Bernie, nie odrywając się od pracy.

- Cholera! - Trzech kolejnych napastników wyskoczyło z dżungli przed maskę wozu. - Nie mamy minuty!

Serie z karabinów maszynowych dziurawiły dżipa. Z przebitej chłodnicy z sykiem ulatniała się para, rozpadły się lusterka wsteczne i szyby po jednej stronie.

- Musimy jechać! - wrzasnął Rivers. Kierownicą szarpało tak mocno, że miał wrażenie, jakby zaciskał dłonie na elektrycznym pastuchu.

- Jedź! - odpowiedział mu Bernie.

- Trzymajcie się!

Szarpnął kierownicę w lewo. Przedzierali się przez dżunglę, aż dotarli na skraj półtorametrowego urwiska. Rivers wcisnął gaz do dechy. Zmęczony silnik zawył, jakby wiedział, że nikt niczego nie będzie już od niego wymagał.

Dżip podskoczył na garbie i wystrzelił nad wodę. Był jak szarżujący hipopotam, kiedy wbił się w fale. Ściana wody pochłonęła maskę i zalala przednią szybę. Nurt niemal natychmiast porwał dżipa, obrócił i zniósł w tył. Samochód zaczął tonać.

- Wracamy? - spytał Paul, kiedy woda sięgała mu do pasa.

- Mógłbyś mi pomóc - powiedział Bernie, walcząc z plecakami, które zderzenie z wodą przesunęło do przodu.

Sykes też chętnie by pomógł, ale plecy tak go bolały, że prawie nie mógł się ruszać.

Rivers Przeczolgał się nad oparciem siedzenia, klęknął na tylnej kanapie i razem z Cieplickim dokończył pakowanie. Woda sięgała dolnej krawędzi wybitego okna. Gdy podniesie się o kilka centymetrów, już nic jej nie zatrzyma i wóz pójdzie na dno jak kamień.

- Czy tu są piranie? - spytał Bernie, nie odrywając się od pracy.
- One żyją w Ameryce Południowej, jęlopie. Ale tu mają krokodyle wielkości ślizgaczy.

Woda przelała się przez wybite okno, zatapiając cały przedział bagażowy. Bernie sięgnął do klamki. Chwilę później dżip zniknął, zostawiając tylko małą falkę na powierzchni.

Partyzanci na brzegu wznieśli zwycięskie okrzyki. Co prawda nie zdobyli żadnych łupów, ale ofiary utonęły, mieli więc na koncie trzy kolejne trupy.

Nagle trzydzieści metrów od miejsca, w którym zniknął dżip, spod wody wynurzyła się para potężnych szczęk z zębami wielkości haków i czerwonymi dziąsłami. Rebelianci zaczęli coś wykrzykiwać i odskoczyli, kiedy reszta cielska wychynęła na powierzchnię. Potem wypłynęły ciała. Ku zaskoczeniu partyzantów, pierwsza głowa uniosła się, a jej właściciel wskoczył na grzbiet potwora. Potem dołączył do niego drugi i razem wciągnęli trzeciego.

- Szybko! - powiedział Bernie, pomagając Riversowi wyciągnąć Sykesa z wody.

Trzyosobowa nadmuchiwana łódź to był pomysł Mercera. Uznał, że skoro będą jechać wzdłuż rzeki, na wypadek, gdyby droga okazała nieprzejezdna, dobrze mieć jakąś alternatywę. Sykes kupił ponton jeszcze w Wirginii. Wybrał model z zębiskami rekina wymalowanymi na burtach, a potem zapłacił za nadba-gaż. Zanim dżip osiadł na dnie, wypchnęli go z kabiny. Cieplicki odczekał, ile tylko się dało, zanim uruchomił mechanizm napełniania pontonu sprężonym powietrzem z butli. O której, nawiasem mówiąc, zapomnieli powiadomić linie lotnicze.

Jeszcze zanim Sykes wylądował w środku, Paul zaczął zmagania z pięciokonnym silnikiem spalinowym. Nie bawił się w montowanie go na burcie - kiedy tylko ożył, zanurzył wirującą śrubę i dodał gazu. Ponton nie był łodzią wyścigową, ale wkrótce nabrał prędkości. Partyzanci na brzegu patrzyli, jak zniknął za zakrętem, i kompletnie nie pojmowali, co takiego zobaczyli.

- A teraz wszyscy razem! - zawdał rozpromieniony Bernie. - Hynie łódź moja wzburzonym morzem...

Mimo bólu Booker wybuchnął śmiechem.

KOPALNIA SAMARSKAJA, PO ŁUDNIOWA ROSJA

Ciepłe słoneczne światło przegoniło poranną mgłę, która wypełniała dolinę jak śnieg. Z rosnących tu i ówdzie sosen odzywały się nieliczne ptaki, a bezchmurne niebo ciągnęło się po sam horyzont.

Ludmiła i drugi naukowiec, którego imienia Mercer nie pamiętał, włożyli kombinezony antyradiacyjne, a ze skrzynki, która nieuszkodzona przetrwała katastrofę śmigłowca, wyjęli sprzęt do prowadzenia pomiarów. Pod zsypanymi do urobku stała niewielka ręczna drezyna. Dzięki niej dostali się na miejsce katastrofy i po dokładnym sprawdzeniu kłębówiska pogniętego metalu ustalili, że nie doszło do uszkodzenia żadnego z pojemników.

Sasza Fiedorow odpoczywał, a pilot Jurij starał się zgromadzić w jednym miejscu ich skromne zapasy.

Kiedy profesor Ahmad powiedział Mercerowi o zniszczeniu kolumny Aleksandra Wielkiego, ten zerwał się na równe nogi i zdenerwowany zaczął chodzić tam i z powrotem, ściskając głowę rękami. Wysłał Bookera Sykesa i dwóch komandosów na bezsensowną misję do jednego z najniebezpieczniejszych miejsc na ziemi. Wprawdzie Book potrafił o siebie zadbać, więc Mercer nie musiał się martwić o przyjaciela, ale nie potrafił pogodzić się z myślą, że zabrnął w ślepy zaułek.

W trakcie wcześniejszej rozmowy nabrał pewności, że dzięki hieroglifom z kolumny uda mu się odnaleźć grobowiec, zwłaszcza że obelisk został ufundowany po śmierci wielkiego wodza. Archeolodzy szukali miejsca pochówku Aleksandra Wielkiego przez setki lat, więc bez nowych wskazówek Mercer był na przegranej pozycji.

Najgorzej znosił świadomość, że profesor nie kłamał. Nie miał pojęcia o lokalizacji grobowca. Janczarowie wypracowali system, który eliminował pojawianie się pokusy wśród członków organizacji. Genialne posunięcie.

Mercer wrócił do Ahmada i Cali, i usiadł w milczeniu.

- Co się stało z ukochaną pańskiego protektora? - zapytała Cali profesora.

- Kiedy jej ojciec dowiedział się o romansie - odpowiedział, zapalając papierosa - nie zgodził się, by poślubiła Turka, i zmusił do powrotu do domu. Był oświecony, ale jak widać, do pewnej granicy. Obiecał rękę córki komuś innemu, członkowi rodziny panującej.

- To smutne.

- To były inne czasy, choć podejrzewam, że gdyby dziś miała miejsce podobna sytuacja, pewnie zakończyłaby się tak samo. Małżeństwa między osobami różnych ras i narodowości to współczesny wymysł, który przyszedł do nas z Zachodu.

- Różnych ras i narodowości?

- Nie potrafię lepiej tego wyrazić. Chodzi mi o to, że dla Amerykanina ślub z Francuzką albo Niemką, białą czy czarną jest akceptowalny. Natomiast na Bliskim Wschodzie małżeństwo szyitki z sunnitą, czy też Turczynki z Kurdem nie jest możliwe. A po 1980 szanse na połączenie różnych sekt, grup etnicznych czy wyznań jeszcze bardziej zmalowały.

- A co się wtedy stało? - zainteresowała się Cali.

- Irak napadł na Iran - wyjaśnił Ahmad. - Wasze gazety pisały o tym na trzecich czy czwartych stronach, ale dla Bliskiego Wschodu to było trzęsienie ziemi. Irańczycy nie byli przygotowani do inwazji i na początku niewiele brakowało, by kraj upadł. Ajatollah Chomeini, chcąc wesprzeć duchowo swoich rodaków, przywołał przykład bitwy pod Karbalą, gdzie w 680 roku Husajn ibn Ali, wnuk proroka Mahometa, został pokonany przez wojska kalifa Umajjadów Jazida. Rocznicą tej bitwy wciąż jest świętem dla szyitów. Chomeini cynicznie posłużył się tamtym wydarzeniem, żeby nadać walce o ziemię i ropę charakter świętej wojny.

- Czyli? - spytał Mercer, który mimo podłego samopoczucia dał się wciągnąć w rozmowę.

- Husajn i jego armia, wybita pod Karbalą do nogi, stali się pierwszymi muzułmańskimi męczennikami. Chomeini wyjaśnił rodakom, że Saddam Husajn, sunnita, jest współczesną inkarnacją Jazida. Żeby go pokonać, każdy Irańczyk powinien być gotów poświęcić się dla ojczyzny, jak swego czasu ibn Ali. Przechodząc od słów do czynów, ajatollah wydał dekret, że każdy, kto zginie w walce z wrogiem, ma zapewnione miejsce w raju. Jednym ruchem pióra zaprzeczył słowom Koranu, który mówi, że samobójstwo to grzech śmiertelny przeciwko Allahowi. I stąd właśnie wzięli się zamachowcy samobójcy.

Jeszcze w czasie wojny z Irakijczykami - ciągnął profesor - Chomeini wysłał swoich ludzi do Libanu, ogarniętego wojną domową i okupowanego przez Izrael. Ich zadaniem było tłumaczenie muzułmanom, że samobójcze zamachy bombowe nie są grzechem, tylko wyrazem poświęcenia się dla Allaha. Chociaż Koran jednoznacznie potępia takie metody, udało mu się przekonać zdesperowanych ludzi, że jego słowo jest ważniejsze niż słowa przekazane przez Boga bezpośrednio Mahometowi. Jego fatwa dotarła także na Zachodni Brzeg i do Gazy, gdzie muzułmanie również walczyli. W ten sposób nasi młodzi ludzie uwierzyli, że wysadzenie się w powietrze w autobusie pełnym ludzi czy zatłoczonej restauracji jest działaniem na chwałę Boga.

- Potem był jeszcze jedenasty wrzeźnia - dodała Cali.

- Nie tylko. Madryt, Londyn, Indonezja, Pakistan, Irak... można by długo wyliczać. - Ahmad zaciągnął się papierosem i skrzywił, jakby czuł fizyczny

ból. - Sunnici i szyici od zawsze mieli dość burzliwe relacje, ale nigdy nie było tak źle jak dzisiaj. Teraz sunnita uważa, że powinien załadować pod ciuchy piętnaście kilogramów plastiku i pójść do sunnickiego meczetu w czasie modłów, żeby zabić jak najwięcej ludzi. Chomeini wyzwolił w ludziach prymitywną agresję, która podzieliła islam. A zrobił to tylko po to, żeby zwyciężyć w lokalnej wojence z sąsiadem.

- Myśli pan, że to się da zatrzymać?

- Nie, dopóki duchowni mają taką władzę. Nie ma nikogo, kto miałby dość autorytetu, by znieść fatwę Chomeiniego i samobójstwo na powrót uczynić grzechem. Naprawdę brak słów, by opisać, jakie szkody wyrządził Chomeini tym dekretem. Obawiam się też, że wasza inwazja na Irak nie tylko nie pomogła, ale nawet zaszkodziła. - Uniósł dłoń, kiedy zobaczył złość w oczach Cali. - Nie twierdzę, że Saddam Husajn nie był tyranem i powinien być zostać przy władzy. Przed inwazją Francja i Rosja walczyły o zniesienie embarga, więc wcześniej czy później Irak zdobyłby broń atomową, do której poszukiwał dojścia. Inwazja była więc w pewnym sensie nieodzowna, ale to wcale nie oznacza, że cokolwiek naprawiła. Wręcz przeciwnie.

Mercer nagle przypomniał sobie pierwsze słowa profesora Ahmada, kiedy pojawił się w obozie.

- Powiedział pan, że najbardziej prawdopodobnymi celami Feinesa są Stambuł, Ankara albo Baku. Dlaczego pan tak sądzi?

- Widzę, że uważnie pan słucha. Cieszy mnie to - pochwalił go jak studenta, którego przed chwilą musiał zganić. - O ile dobrze was zrozumiałem, trwacie w mylnym przeświadczeniu, że Poli Feines działa na zlecenie al Kaidy, która chce skazić plutonem jedno z amerykańskich miast, żeby świat pogrążył się w strachu i chaosie. Mylicie się. Nie ma czegoś takiego jak terroryzm dla samego zabijania. Każda akcja terrorystów jest obliczona na osiągnięcie bardzo konkretnego celu.

- Na przykład wyparcia Stanów Zjednoczonych z Iraku czy Izraela z Zachodniego Brzegu - wtrąciła Cali.

- Niezupełnie - odpowiedział. - To cele niewątpliwie ważne, ale prawdziwym zamiarem zleceniodawców jest przejęcie władzy, kiedy Amerykanie już się wycofają. Biedacy ginący w samobójczych zamachach myślą, że walczą o wyzwolenie. A ludzie, którzy dają im materiały wybuchowe, traktują ich jak narzędzia realizacji swoich ambicji politycznych. Samobójcy z Londynu i Madrytu nawet nie byli Irakijczykami i w ogóle nie myśleli o wycofaniu się Amerykanów z Iraku. Oni chcieli tylko zostać męczennikami i trafić do raju. Niestety, wasze media skupiają się na żołnierzach, a generałów zostawiają w spokoju.

Mercer dostrzegł nieścisłość w wywodzie Ahmada.

- Jeśli to prawda, to kim chce rządzić Osama bin Laden? W końcu to on stał za zamachami z jedenastego września.

- On je zaplanował - przyznał Ahmad. - Ale kto za nie zapłacił?

- Osama to milioner. Idę o zakład, że sam wyłożył kasę.

- No dobrze, a skąd miał te pieniądze?

- Jego ojciec był deweloperem w Arabii Saudyjskiej, prawda?

Ahmad nie odpowiadał. Cekał w milczeniu, aż Mercer sam dostrzeże związek. Był pewien, że nie będzie musiał czekać długo.

- Sugeruje pan, że to Saudyjczycy? Przecież nie ma żadnych dowodów ich udziału w organizacji tych zamachów. No, może poza tym, że większość terrorystów pochodziła z Arabii Saudyjskiej.

- A to mało? - zapytał naukowiec.

- Oczywiście. Taki tok myślenia doprowadziłby do wniosku, że to rząd Stanów Zjednoczonych stał za zamachem w Oklahoma City, bo Timothy McVeigh był Amerykaninem. Przykro mi, ale nie kupuję pańskiej teorii.

- Może za bardzo to uprościłem - zgodził się Ahmad. - Ale w rządzie saudyjskim istnieje frakcja, która chciałaby zobaczyć, jak USA upada. I właśnie teraz wynajęli kogoś, kto jest gotów wprowadzić ich plan w życie. Przed nim był bin Laden. Teraz mają Polego Feinesa do odwalenia czarnej roboty. Ze strony rządu osobą zaangażowaną osobiście w organizację misji jest reprezentant Arabii Saudyjskiej w OPEC, obecnie pracujący w ONZ w Nowym Jorku Mohammad bin Al-Salibi.

W ciszy, jaka zapanowała, Mercer i Cali wymienili spojrzenia. Czego jak czego, ale tego się nie spodziewali. Poza eksportem ekstremistów na cały świat, Arabia Saudyjska nigdy nie zagrażała swoim sąsiadom. Tymczasem Ibriham Ahmad uważał, że jest odpowiedzialna za największy i najkrwawszy zamach w historii, a teraz ich człowiek przygotowuje atak na ich sąsiada za pomocą brudnej bomby.

- I jeszcze jedna sprawa, żebyście mogli zrozumieć część naszej odpowiedzialności za to, co się dzieje - dodał Ahmad. - Babcią Salibiego była kobieta, w której zakochał się mój mistrz. Mogę jedynie przypuszczać, że opowiedziała wnukowi o alembiku i jego potencjale.

Mercer miał to w nosie. Wci aż zastanawiał się, czemu ktokolwiek z Arabii Saudyjskiej mógłby chcieć przeprowadzić taki zamach.

- Wciąż nie rozumiem, dlaczego - odezwał się w końcu.

- Niech pan pomyśli tak, jak myślał Chomeini - odparł Ahmad. - Ta wojna, doktorze Mercer, jak zresztą każda inna, toczy się o władzę. Proszę zdobyć się na więcej cynizmu niż zazwyczaj.

- Ropa - Cali wpadła mu w słowo. - Ropa kaspijska.

- Proszę mi wybaczyć, doktorze, ale prymusem klasy została panna Stowe.

Cali spojrzała na Mercera.

- To jest to, o czym rozmawialiśmy u ciebie w domu. Jedynym sposobem pokonania fundamentalizmu jest wyeliminowanie ropy z użycia. A dla saudyjskiego dworu jedynym sposobem zachowania władzy jest pozostanie naszym największym źródłem ropy. Jeśli zaczniemy kupować ropę z Morza Kaspijskiego, Saudyjczycy poczują się zepchnięci na margines.

- Istnieją już dwa duże rurociągi. Jeden do Noworosyjska, rosyjskiego portu na Morzu Czarnym. Drugi, o wydajności miliona baryłek rocznie, do tureckiego miasta Ceyhan na brzegu Morza Śródziemnego - dokończył Ahmad.

- Poli dostał rozkaz zniszczenia infrastruktury ropociągu kaspijskiego? - zapytał Mercer, a potem sam sobie odpowiedział. - Nie da rady, nawet jeśli zdobył znacznie więcej plutonu. Nic mniejszego od bomby nuklearnej albo inwazji na cały kraj nie zmiecie z powierzchni ziemi wszystkich rafinerii, portów, rurociągów i terminali dookoła Morza Kaspijskiego. Jako geolog nie

zajmuję się ropą, ale nieraz widziałem zdjęcia z Baku. Już sama miejska część infrastruktury naftowej jest przeogromna.

- Nie jest pan wystarczająco cyniczny. Nie trzeba przecież niszczyć tego wszystkiego. Wystarczy wysłać kilku samobójców w kluczowe punkty i namówić duchownych, żeby podburzyli wiernych. W krótkim czasie pojawią się setki fanatyków gotowych poświęcić się za wiarę. Przekonani, że umierają w imię walki z chrześcijaństwem, będą ginęli dla spełnienia ambicji naftowych Saudyjczyków. Po kilku miesiącach ropa z ropociągu kaspjskiego przestanie płynąć, a interesy Arabii w OPEC będą chronione.

- Myśli pan, że mają wielu tego typu duchownych?

- Słyszałem ich w meczetach w Baku, Stambule i Groznm, gdzie Czeczeni wykorzystują metodę samobójczych zamachów do własnych celów.

- Co się dzieje z tym światem... - westchnął Mercer i ogarnęło go przygnębienie, bo to, co właśnie usłyszał, było całkiem logiczne.

- Ja często zastanawiam się - odparł Ahmad - czy zostało jeszcze na nim cokolwiek dobrego?

Mercer nie pozwolił sobie wpaść w taką pułapkę. Całe życie spędził na poszukiwaniu okruczeństwa w oceanie zła. Obraz, który miał pozostać w nim na zawsze, nie dotyczył mordów, gwałtów i biedy, których świadkiem był w Afryce. To było wspomnienie uciekiniera, który dał mu pomidor, żeby podziękować za uratowanie jego rodziny. Akt przyjaźni i wdzięczności, który do końca życia będzie miał ważne miejsce w jego sercu.

Tak łatwo poddać się rezygnacji i nienawiści. Cierpiał po śmierci Tisy i wciąż za nią tęsknił. Ale właśnie teraz zdał sobie sprawę, że przez ten ból zapominał, jakim człowiekiem naprawdę jest. Będzie wspominał Tisę do końca życia, ale nie w taki sposób, by jej strata go zatruwała.

Harry White od dawna usiłował mu wytłumaczyć, że żałoba nie polega na rozmyślaniu, jak śmierć bliskiej osoby nas zmienia i jak nas boli. Żałoba to pamiętanie miłych chwil spędzonych ze zmarłą osobą i pielęgnowanie tych wspomnień.

- Musimy ich powstrzymać - w głosie Mercera zabrzmiała nuta zdecydowania, wzmocniona pewnością siebie, którą odzyskał, choć jeszcze przed chwilą nie wiedział, że wcześniej ją stracił.

Cali zauważyła tę zmianę i obrzuciła go uważnym spojrzeniem.

- Obowiązki janczara każą mi bronić alembiku Skenderbega - powiedział Ahmad. - Poza tym zadaniem nie mam innych. Jeśli Feines spróbuje go odnaleźć, zareagujemy. Ale pluton i to, co zamierza z nim zrobić, to nie nasze zmartwienie.

- A co z czysto ludzkim poczuciem odpowiedzialności, na Boga?

- Nie na Boga, panno Stowe, bo nie dla niego robię to, co robię. Poświęciłem życie, by chronić ludzi na ziemi przed śmiertelnie groźną bronią, tak jak moi poprzednicy. Myślę, że to wystarczająco duża odpowiedzialność.

- Gówno prawda! - zachnął się Mercer.

Ahmad uniósł brwi i wykrzywił usta w czymś na kształt uśmiechu.

- Dawaliście nam masę wskazówek - Mercer aż buzował - żebyśmy nie przestawali szukać. Chcieliście naszego zaangażowania, bo potrzebowaliście pomocy. Nie mieliście środków i możliwości, by zrobić na Niagarze taką akcję, jaką myśmy przeprowadzili. Ale tak naprawdę to zaprowadziliście nas tam niemal za rączkę. Choćby podrzucając menażkę w Afryce.

Ahmad aż otworzył usta ze zdumienia.

- Jak pan się domyślił?

- Po pierwsze, kobieta, która nam ją przekazała, wyglądała na dziwnie dostojną. Taka menażka byłaby jej bardzo przydatna, bo w Afryce to kobiety są odpowiedzialne za przynoszenie wody; mimo to zachowywała się, jakby nigdy wcześniej jej nie widziała. Po drugie, nie ma mowy, żeby płótno, w które była zawinięta, przetrwało siedemdziesiąt lat w dżungli. To wy dalszcie ją tej kobiecie na kilka dni, przed naszą wizytą w wiosce, bo wiedzieliście, że tam będziemy.

Cali nie mogła wydusić słowa. Ahmad również był szczerze zaskoczony.

- Zaraz, doktorze Mercer. A niby skąd mieliśmy wiedzieć, że dotrzecie do wioski?

- Pamięta pan, jak wspominałem, że trafiłem tam na prośbę jednego z pracowników ONZ? I że szukałem minerałów, których nie miało prawa tam być? Adam Burke z ONZ poprosił mnie, żebym tam pojechał i znalazł kopalnię plutonu. - Spojrzał na profesora. - Domyślam się, że się znacie.

- Źle pan wymawia jego nazwisko - oznajmił Ahmad. - To nie jest Adam Burke, tylko Ahdham Berk z niemym r. Piętnaście lat temu studiował u mnie.

Mercer nigdy go nie spotkał. Kilka razy rozmawiał z nim przez telefon, lecz nigdy nie wyczuł obcego akcentu. Nigdy by nie zgadł, że Berk, z niemym r, jest Turkiem.

- Tak, przygotowaliśmy to. - Ahmad wyglądał na bardzo zmęczonego i jednocześnie bardzo zadowolonego, że prawda wyszła na jaw. - Ma pan unikalne zdolności i kontakty, których nikt z janczarów nie posiada. Pani, panno Stowe, co przyznając ze wstydem, jest w równym stopniu ofiarą moich działań, co doktor Mercer.

- Co?! - zawołała.

- A jak pani myśli, skąd się nagle wzięła informacja o podwyższonej zachorowalności na nowotwory w tej wiosce? Niewiele ze sobą rozmawialiście, ale może rozpozna pani głos mojego ucznia Devrina, kiedy tylko wróci. To on zadzwonił do pani i podał się za archiwistę z Centrum Kontroli Chorób.

- A gdybyśmy się tam nie spotkali? - spytał Mercer.

- To akurat było nieuniknione - odparł Ibriham.

- Właśnie, że nie - zaproponowała Cali. - Pojechałabym do wioski sama, gdyby jakiś gówniarz nie uszkodził mi wozu. - Ahmad obrzucił ją znaczącym spojrzeniem, ale nic nie powiedział. - To też pan?

Skinął głową.

- A gdybym odmówił pomocy? - drażył Mercer.

- Drogi doktorze, nie wybraliśmy pana na ślepo, zapewniam pana. Pańska odmowa była równie prawdopodobna jak wepchnięcie staruszki pod nadjeżdżający samochód. Uczynność to jedna z pana najcenniejszych zalet.

- Chryste - jęknął Mercer, łapiąc się za głowę. Cały czas dawał się wodzić za nos, choć nie zdawał sobie z tego sprawy. Jak kura, której ktoś ułożył ścieżkę z ziarenek. Ahmad go wykiwał, licząc na jego uczynność. Raczej przewidywalność, pomyślał Mercer. - To co się stało w wiosce? - spytał oskarżycielskim tonem. - Pozwoliliście, żeby Dayce i Feines wymordowali niewinnych ludzi.

Na twarzy uczonego pojawił się cień poczucia winy.

- Czy uwierzylibyście, że przy tak starannie zaplanowanej akcji mogła nas zatrzymać zwykła guma? Jadąc za wami z Kivu, przebiliśmy oponę. Kiedy dotarliśmy na miejsce, było już po wszystkim.

- A Serena Ballard? - zapytała Cali. - Wtedy też złapaliście gumę?

- Panna Ballard spędziła cały dzień w hotelu w Filadelfii pod naszą ochroną. Nie mogliśmy pozwolić, żeby wpadła w łapy Feinesa i przekazała mu jakieś ważne informacje. W jej domu zrobiliśmy trochę bałaganu i pochlapaliśmy krwią jednego z naszych ludzi. Panna Ballard wróciła już do siebie. Musiałem dać wam jakoś znać, że Poli jest w Atlantic City i poluje na was. Nie wiedziałem tylko, że tak szybko dotrze do hotelu.

Mercer i Cali wymienili spojrzenia pełne ulgi. Oboje polubili Serenę, a jej bezsensowna śmierć ogromnie ich poruszyła.

Na drodze do kopalni pojawił się nowszy model UAZ-a, którym Poli przewoził pluton do pociągu. Za kierownicą siedział młody Devrin. Jeszcze zanim się na dobre zatrzymał, otworzył drzwiczki szoferki i zaczął wykrzykiwać coś po turecku do Ahmada. Wymachiwał telefonem satelitarnym, a sądząc po wyrazie jego twarzy, wiadomości, które przywoził, nie były dobre.

- Co się stało? - zapytał Mercer, czując lodowatą obręcz zaciskającą się na jego żołądku.

- Spóźniliśmy

NOWOROSYJSK, ROSJA

Noworosyjsk, powstały w XIII wieku jako kolonia włoskiej Genui, potem został jedną z wielu fortec imperium osmańskiego, a w 1808 roku znalazł się w granicach Rosji. Po rozpadzie Związku Radzieckiego wiele portów Morza Czarnego przypadło Ukrainie i Gruzji. Noworosyjsk pozostał w Rosji i stał się jednym z największych portów, odwiedzanym przez tysiące tankowców, kontenerowców i frachtowców rocznie. Połowa eksportowanych zbóż i jedna trzecia ropy opuszczały Rosję właśnie przez Noworosyjsk. Ćwierćmilionowe miasto otoczone z trzech stron górami Kaukazu znajdowało się na północnym krańcu głębokiej zatoki noszącej taką samą nazwę.

Statki o wyporności ponad dwóch tysięcy ton musiały zgłaszać się do kapitanatu kilka dni przed wpłynięciem do portu i mogły się poruszać jedynie z pilotem. Cały ruch morski w pobliżu portu bardzo dokładnie monitorowano, co było konieczne, biorąc pod uwagę tankowce o nośności ponad trzystu tysięcy ton regularnie podpływające do terminalu. Dwudziestokilkumetrowy kuter rybacki zbliżył się do wejścia do portu nieniekajony przez nikogo. Tylko kilka mew zwróciło uwagę na niewielką jednostkę; przyciągnięte zapachem ryb kołowały nad nim i przysiadły na pokładzie, po czym zrywały się zawiedzione, nie znalazły nic do jedzenia.

Trzech mężczyzn na skradzionym kutrze miało na nauczanie się jego obsługi tylko tyle czasu, ile zajęła podróż z Albanii do cieśniny Bosfor i przez Morze Czarne. Tam zawodowi złodzieje dostali zapłatę i wrócili do kraju. Najstarszy z marynarzy miał dwadzieścia trzy lata i był Saudyjczykiem. Mimo że to on dowodził, znacznie więcej o prowadzeniu kutra wiedział nastolatek z Syrii Hasan.

Nawet gdyby chcieli, nie potrafiliby przepłynąć przez Bosfor i wzdłuż Turcji do portu Ceyhan, choć Al-Salibi taki plan przedstawił Popowowi. Obsada kutra miała poważne problemy z przebyciem trzydziestu mil morskich przez spokojne wody Zatoki Noworosyjskiej.

Hasan miał delikatne, niemal kobiece dłonie. Z trudem utrzymywał koło sterowe, obserwując morze przed dziobem spod długich rżęs. W sterówce za jego plecami stała pozostała dwójka. Jeden trzymał niewielkie wydanie

Koranu, drugi bawił się koralikami, które dostał od swojego nauczyciela w madrasie w Pakistanie. Tam właśnie został zwerbowany.

Wierzyli, że dzisiejsze męczeństwo zapewni im miejsce w niebie, gdzie już na nich czeka harem dziewcząt. Dowiedzieli się też, że cios, jaki zadadzą krzyżowcom, będzie tak potężny, że ich imiona pozostaną na zawsze w pamięci muzułmanów na całym świecie. I że wszyscy wyznawcy ich wiary zjednoczą się dzięki nim w dżihadzie przeciwko Ameryce.

Hasan jeszcze nigdy nie spotkał Amerykanina, lecz nauczono go nienawiści do nich. Nie rozumiał, dlaczego, ale był posłuszny. Jego nauczyciel, przyjaciele i imam w meczecie twierdzili, że Ameryka chce zniszczyć islam. Ze względu na to wywołali tsunami w Indonezji, które zabiło kilkaset tysięcy ludzi, jego braci w wierze. Że celowo rozprzestrzeniają różne choroby wśród muzułmanów w Afryce i że to oni zniszczyli budynki WTC w Nowym Jorku, by mieć pretekst do ataku na świat arabski.

Był bystry i dobrze się uczył, ale nie kwestionował niczego, co mówiono mu o USA. Żaden z jego przyjaciół nigdy o nic nie pytał, więc Hasan nie chciał, żeby koleżdy się z niego śmiali. We własnym gronie wymyślali coraz większe i bezczelniejsze kłamstwa, licytując się nienawiścią do Ameryki. Ich opowieści, jakoby Amerykanie uprawiali seks ze zwierzętami i jedli własne odchody, były wytworem fantazji, ale w ten sposób budowali swoją nienawiść. W końcu Hasan poczuł, że musi zrobić coś wyjątkowego, żeby zatrzymać Amerykę, będącą obrazą dla jego Boga. Presja rówieśników sprawiła, że postanowił wysadzić się w powietrze.

Im głębiej byli w porcie, tym więcej mijali supertankowców. Niektóre miały ponad trzysta metrów długości i przypominały bardziej stalowe wyspy niż statki. Obok terminalu naftowego znajdował się port kontenerowy, nad którym dominowały wysokie dźwigi do rozładunku wielkich kolorowych pojemników. Sterty kontenerów na nabrzeżu przypominały układanki z klocków. Mimo wczesnej pory przy dźwigu stał długi rząd ciężarówek czekających na wyładunek.

Dostali konkretne rozkazy. Mieli wpłynąć do portu, jak najbardziej zbliżyć się do terminalu naftowego i zdetonować pół tysiąca ton zmieszanej z nawozem ropy. Pojemniki, które wczorajszej nocy przywiózł jednooki mężczyzna, spoczywały na pokładzie.

Właśnie mijali zewnętrzną boję terminalu. Hasan nie potrafił się skupić, więc spróbował wyobrazić sobie raj, ale jedyną rzeczą, jaką widział, były łzy na twarzy jego młodszej siostry, kiedy opuszczał Damaszek, by dołączyć do uczniów w madrasie w Pakistanie. Został do niej zwerbowany przez wielkiego saudyjskiego kalifa Mohammada bin Al-Salidiego. Przypomniawszy sobie ojca, który do końca nie zrozumiał, dlaczego jego syn woli umrzeć, niż przejąć rodzinny sklep. Matka płakała cały ranek, zamknięta w sypialni.

Abdullah, Saudyjczyk o twarzy poznaczonej trądzikiem, pierwszy zauważył kłopoty i klepnął Hasana w ramię. Zwinna łódź patrolowa okrążała dziób pustego tankowca, który czekał na ładunek ropy z rafinerii w Kazachstanie.

Hasan, zaskoczony na widok patrolu, spanikował. Otworzył przepustnicę silnika, przesuwając rączkę na całą naprzód, i najszybciej, jak potrafił, zakręcił kołem sterowym.

Burty i nadbudówka kutra były stare i zniszczone, ale miał zamontowany nowy silnik firmy Volvo. Z rur wydechowych wystrzeliły pióropusze czarnego dymu, kiedy dotarła do niego nieprzemyślana komenda Hasana.

Łódź osiadła na rufie i zaczęła przyspieszać, coraz bardziej zacieśniając zakręt, bo sternik nie puszczał koła. Po chwili płynęli w takim przechyle, że lewa burta znalazła się pod wodą. Sieci ułożone na rufie i przyłączone do wyciągarki zsunęły się do wody.

- Hasan! Beczki!

Dwie beczki na pokładzie dziobowym przewróciły się i zaczęły turlać.

Obsada łodzi patrolowej zauważyła dziwaczne zachowanie kutra. Reakcja była natychmiastowa. Na dachu nadbudówki ożyły czerwone i niebieskie światła. Łódź zawyła silnikami i żwawo skoczyła do przodu, a syreny na pokładzie rozpoczęły ogłuszający koncert.

Hasan dopiero teraz zauważył, że mogą stracić cenny ładunek. Błyskawicznie zakręcił kołem w drugą stronę, ale nie zmniejszył obrotów silnika. Kuter przechylił się na prawą burtę, zanim pojemniki spadły z pokładu. Tyle że po sekundzie ruszyły w przeciwną stronę. Hasan pomyślał o grze, z którą kiedyś się nie rozstawał. W plastikowym pudełeczku z przezroczystym wieczkiem znajdowały się metalowe kulki, które, odpowiednio przechylając pudełko, trzeba było wprowadzić do niewielkich wgłębień w dnie.

Tę partię przegrał. Był za wolny i nie potrafił zatrzymać toczących się pojemników. Pierwsza ćwierćtonowa beczka uderzyła w osłabiony rdzą reling. Metal wygiął się, ale nie pękł. Kiedy jednak do pierwszej dołączyła druga i razem napały na poręcz, skorodowane rury puściły. Po chwili obie beczki zniknęły pod wodą.

Przeżaszony Hasan spojrział na Abdullaha.

- Co teraz?! - krzyknął.

Motorówka straży portowej była już tylko kilkaset metrów od nich i szybko się zbliżała. Na pokładzie stało trzech mężczyzn w mundurach. Jeden z nich miał w ręku strzelbę, drugi trzymał ster, a trzeci mówił coś przez walkie-talkie.

Abdullah zaklął. Nie chciał umrzeć podczas ucieczki przed rosyjską łodzią.

- Zawracaj - warknął.

Hasan znów zakręcił kołem. Kuter złożył się w zwrot, przecinając własny ślad torowy. Zaczęli płynąć w stronę terminalu.

Kiedy łódź patrolowa znalazła się niecałe pięćdziesiąt metrów od nich, jeden ze strażników podniósł do ust megafon. Widząc, że go ignorują, dał znak drugiemu, który strzelił w dziób kutra.

- Strzelają do nas! - zawył Hasan. - Musimy się zatrzymać. Nie jesteśmy jeszcze dość blisko.

- Nie! - Abdullah trzymał w ręku detonator, który odpalał niewielki ładunek plastiku umieszczony między beczkami z saletrą amonową i paliwem.

Kuter był ponad półtora kilometra od najbliższego tankowca, kiedy eksplodował. Wybuch wyrwał w morzu dziurę szeroką na osiemset metrów i głęboką na trzydzieści. Marynarze z łodzi patrolowej w ułamku sekundy przestali istnieć, a naddźwiękowa fala uderzeniowa rozbiła wszystkie szyby w porcie. Mniej masywne budynki na nabrzeżu złożyły się pod wpływem

podmuchu. Dźwig wytrzymał napór powietrza, ale kontenery za nim rozsypały się jak klocki.

Fala wywołana eksplozją przypominała tsunami. Masywny taran wodny uderzył w urządzenia na nabrzeżu. Trzystumetrowy tankowiec czekający na ładunek przewrócił się na bok. Naprężenia, na jakie kadłub nie był przygotowany, rozerwały powłoki i statek zaczął tonać. Podwodna rura zasilająca pływający terminal urwała się i ropa naftowa popłynęła pod dużym ciśnieniem prosto do zatoki.

Ognista kula, która uniosła się nad portem, zdawała się konkurować ze słońcem. Dotarła tysiąc metrów w górę, ciągnąc za sobą kolumnę gęstego dymu. Z daleka wyglądała jak grzyb atomowy. Po chwili niszczycielska fala popłynęła z powrotem, wyrывая pływające doki z nabrzeża, porywając wycieczkowce oraz kutry i gwałtownie je z sobą zderzając. Frachtowiec, który już opuszczał port, cofnęła o sto metrów i rzuciła nim o drugi, wpływający do środka. Obie jednostki zaczęły tonać.

Echo eksplozji słabło, ale zostawiało po sobie kakofonię wszystkich możliwych alarmów, łącznie z samochodowymi, w całym mieście.

Na dnie, głęboko pod powierzchnią, spoczęły dwie beczki, które przed wybuchem stoczyły się z pokładu. Wprawdzie nie pękły, wylądowały jednak na tyle blisko siebie, że pluton z jednej zaczął reagować z plutonem z drugiej. Minie jeszcze sporo czasu, ale w końcu wymiana naładowanych cząsteczek doprowadzi do powstania masy krytycznej i nastąpi wybuch znacznie bardziej morderczy od tego, który przed chwilą zniszczył port.

- Co się stało? - zapytał Mercer, nie czekając, aż Devrin i Ahmad przestaną rozmawiać ze sobą po turecku.

- Eksplozja w Noworosyjsku.

- To ten port, o którym pan mówił! - wykrzyknęła Cali.

- Jak wygląda sytuacja?

- Nie mamy jeszcze pełnych raportów, ale z tego, co wiem, port został doszczętnie zniszczony. Cały czas płoną statki i wiele budynków. Media szacują liczbę ofiar na tysiące. Niektórzy świadkowie mówią o wybuchu atomowym.

- Poli nie miał szans, żeby tak szybko oczyścić pluton i zbudować bombę. Jeśli już, była to brudna bomba.

- Co wcale nie poprawia sytuacji - zauważyła Cali. - Rozpylenie plutonu nad morzem uniemożliwia jego zebranie i neutralizację. Miną dziesięciolecia, zanim te tereny znów staną się bezpieczne.

- Musimy jak najszybciej powiadomić władze o plutonie - uznał Mercer, wiedząc, jakie kroki podejmą Rosjanie. Do portu zjadą wszystkie ekipy ratunkowe z kraju, strażacy i lekarze. Będą biegali w niewidzialnej chmurze atomów plutonu, a już odrobina wystarcza, by wywołać nowotwór o niespotykanej normalnie złośliwości. - Muszą jak najszybciej ewakuować miasto.

Ahmad powiedział coś do Devrina, a ten podał Amerykaninowi telefon.

- Nie wiem, z kim rozmawiać, żeby ewakuowali miasto - wyjaśnił profesor.

Mercer poczekał na połączenie z satelitą i wybrał numer Iry. Odebrała jego sekretarka.

- Carol, tutaj Philip Mercer. Muszę natychmiast rozmawiać z Iry.

- Przykro mi, ale jest na spotkaniu z zespołem do spraw bezpieczeństwa. Domyślam się, że słyszał pan, co się stało w Rosji? Czy chce pan zostawić wiadomość?

- Mam wyjątkowo ważne informacje na temat tej eksplozji. Musisz natychmiast połączyć mnie z Irą.

- Spotkanie powinno się skończyć za godzinę. Przekażę, że pan dzwonił.

- Dzwonię z telefonu satelitarnego i w każdej chwili mogę stracić zasięg - powiedział, z trudem powstrzymując gniew. - Wiem, że umiesz prawidłowo reagować w sytuacjach kryzysowych, ale jeśli mi go zaraz nie dasz, skażesz tysiące ludzi na straszną śmierć.

Minęło kilka sekund, w czasie których Mercer słyszał tylko delikatne buczenie głośniczka.

- Postaram się przekazać połączenie - odparła wreszcie sekretarka.

Połączyła go z pułkownikiem pilnującym drzwi do sali narad mieszczącej się pod Białym Domem. Gdy tylko Mercer powiedział „brudna bomba”, oficer natychmiast wszedł do środka i poprosił Irę do telefonu.

- O co chodzi? - zapytał admirał zniecierpliwionym tonem.

- Spóźniliśmy się. Przejąłem większość plutonu od Feinesa, ale on sam zdołał zwać z dwiema beczkami zawierającymi około pół tony materiału. Właśnie ten pluton wybuchł w Noworosyjsku.

- Dowody?

- Żadnych, ale Feines ukradł dwie beczki plutonu, a dwadzieścia cztery godziny później wylatuje w powietrze miasto znajdujące się w odległości, którą mógł pokonać samochodem. Nie wierzę, żeby to był przypadek.

- Jesteśmy w kontakcie z Roskami. Greg Popow był przerażony, że ekstremiści mogli zrealizować scenariusz, o którym mówisz, ale sprawdzili już port licznikami Geigera i okazał się czysty.

Tego Mercer się nie spodziewał.

- Nie wierzę. Może pojemniki nie pękły albo ich czujniki różnią się od naszych. - Zastanawiał się chwilę. - Jak wyglądała ta eksplozja?

- To był kuter rybacki wyladowany materiałem wybuchowym, najprawdopodobniej saletrą amonową pomieszaną z olejem napędowym. Podpływali do terminalu dla tankowców, kiedy zauważyła ich łódź patrolowa. Ostatni meldunek strażników dotyczył rozpoczęcia pościgu za przemytnikami, którzy na ich widok zaczęli zawracać i wyrzucać kontrabandę za burtę. Minutę później trzy kilometry kwadratowe portu i nabrzeża zostały zrównane z ziemią.

- Ta kontrabanda to nasz pluton w beczkach. Sturla ły się z pokładu, kiedy zawracali. Zmusz Popowa, żeby je wyłowili.

- Już raz się z nim poprzytykałem, kiedy zacząłem rozmowę o tym plutonie. Mówiłem ci, że jest ostrożny jak diabli.

Mercera coś tknęło. Przypomniał sobie radę Ahmada, że powinien być bardziej cyniczny. Może cynizm rodzi się ze złości, ale bywa przydatny. Zaczął mówić, a właściwie głośno myśleć:

- Do eksplozji doszło dziś rano, prawda? Zorganizowanie jakiegokolwiek pomocy zajmuje kilka godzin, tymczasem Popow twierdzi, że już wszystko zbadali licznikami Geigera. Czy to standardowa procedura?

- Nie mam zielonego pojęcia - odparł poirytowany Ira. - Ale do czego zmierzasz?

- Powiedziałeś mi, że Rosjanie nie wiedzieli o plutonie, dopóki się z nimi nie skontaktowałeś. A jednak Feines pojawił się w kopalni, gdy my dopiero byliśmy w drodze. Miał wyrzutnie raket, którymi strącił nasz helikopter, i dobrze uzbrojonych ludzi, którzy mogli powstrzymać niewielką armię. A jeśli to Popow sprzedawał mu informacje?

- I pozwolił mu wysadzić jeden z najważniejszych portów Rosji? Z całym szacunkiem, Mercer, ale pleciesz bzdury. Popow jest trochę dziwny, ale nie szalony.

- Ira, posłuchaj mnie uważnie. Mam wiadomość z pewnego źródła, że za tą sprawą stoi Arabia Saudyjska, która chce za wszelką ceną zapobiec eksportowi kaspijskiej ropy. Gdyby Popow myślał, że zamierzają zaatakować inny terminal, na przykład gdzieś w Turcji, miałyby to gdzieś. Ba, byłoby to nawet korzystne dla Rosji, bo eliminowałyby konkurencję.

- Sugerujesz, że jeden lis przechytrzył drugiego?

- Popow miał dzisiaj przyjechać do kopalni. Co w takim razie robił w Noworosyjsku?

- Wspomniał, że jest tam od wczoraj.

- Poczekaj chwilę. - Mercer podbiegł do Fiedorowa, który gawędził z pilotem, i spytał: - Sasza, po co Grigorij Popow miałby jechać wczoraj do Noworosyjska?

Kapitan wyglądał na zbitego z tropu.

- Do Noworosyjska? Nie mam pojęcia. Miał być w Samarze, żeby osobiście nadzorować pociąg. Który, nawiasem mówiąc, się spóźnia.

Mercer podziękował mu i wrócił do rozmowy z Iram.

- Popow miał być w Samarze, a nie nad Morzem Czarnym. Czy byłby skłonny pomóc Feinesowi, gdyby myślał, że pluton opuści Rosję? - Milczenie admirała powiedziało Mercerowi wszystko, czego potrzebował. - Zastanów się, Ira. Poleciał tam, żeby wydobyć beczki, przetransportować je z powrotem tutaj i zamieść całą sprawę pod dywan.

- Cholera, to całkiem prawdopodobne - przyznał Lasko.

- Pamiętasz Ibrihama Ahmada, profesora z Turcji, z którym chciałem się skontaktować? Jest tu teraz ze mną. Okazało się, że to on jest szefem janczarów. I uważa, że najważniejsza teraz sprawa to uniemożliwienie fundamentalistom przejęcia odpowiedzialności za atak, bo to zainspiruje kolejnych i w całym regionie wybuchnie wojna. Oni się karmią nienawiścią. Jeśli uda nam się przerwać błędne koło, oszczędzimy sobie wielu kłopotów na przyszłość.

- Co w takim razie powinniśmy zrobić?

- Przekonaj Rosjan, aby nie ujawniali, że to był zamach terrorystyczny. Niech wymyślą jakiś wypadek przy pracy, wybuch gazu czy coś w tym guście.

Ahmad powiedział coś bezgłośnie. Mercer zasłonił mikrofon dłonią i poprosił o powtórzenie.

- Niektóre organizacje terrorystyczne i tak ogłaszają w Internecie, że są sprawcami zamachu. Władze muszą natychmiast dementować takie informacje - doradził profesor.

- Dobry pomysł - ocenił Mercer. Ahmad pokiwał głową i się uśmiechnął.

- Żyję z dobrych pomysłów - odparł. Mercer wrócił do rozmowy z admirałem.

- Zaczynjcie też monitorować sieć i zamykajcie strony terrorystów, którzy będą się przyznawać do zamachu.

- Co jeszcze? - spytał Lasko.

- Nie mam pojęcia. To ty jesteś szefem, nie ja. Masz jakieś wieści od Bookera?

- Na razie żadnych. Daj mi swój numer. Zadzwoń, gdy czegoś się dowiem. A, i jeszcze jedno. Nie obwiniaj się. Zrobiłeś, co mogłeś, i zrobiłeś to dobrze.

Ira się rozłączył. Chociaż jego ostatnie słowa miały pocieszyć Mercera, poczuł się jeszcze gorzej. Oddał telefon Saszy.

- Dzwoni do swoich przełożonych. Pociąg nie przyjedzie. Niech przyślą nam kolejny śmigłowiec, bo Grigorij Popow zdradził.

- Co?!

- To on sprzedawał informacje Feinesowi. Początkowo myślałem, że po naszej stronie jest przeciek, ale teraz wszystko zaczęło się układać w spójną całość. Popow zdradził nas, mojego szefa i swój kraj. Co o nim wiesz?

- Niewiele - przyznał Sasza. - Jest wiceministrem, byłym admirałem. Słyszałem, że uwielbia zachodnie wozy sportowe. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że ma kontakty z przestępczym podziemiem. W dzisiejszej Rosji to jedyny sposób na zdobycie władzy.

- Myślisz, że byłby zdolny do sprzedaży materiałów rozszczepialnych?

Oczy Saszy zrobiły się okrągłe, kiedy uświadomił sobie sens tego pytania.

- Nie wiem. Ale w tych zasranych czasach wszystko jest możliwe.

Ludmiła i jej kolega wrócili na dreźnie i zatrzymali się na bocznicy. Ona nadal zachowywała stoicki spokój, a on wciąż wyglądał, jakby groził mu rozległy zawał serca. Ludmiła przez pięć minut rozmawiała z Saszą. Dopiero kiedy skończyli, poszła coś zjeść.

- Co powiedziała? - spytał Mercer.

Cali stanęła obok niego, a Ibriham Ahmad i Devrin Egemen odeszli na bok i naradzali się.

- Wygląda na to, że żadna z beczek nie została uszkodzona - odparł Fiedorow.

- Dzięki Bogu!

- Załadowali je do dwóch wagonów. Pozostałe jechały puste. Ludmiła naliczyła sześćdziesiąt osiem beczek, co ze skradzionymi przez Feinesa daje siedemdziesiąt. Na razie nie grzeją się zbyt mocno, ale trzeba je jak najszybciej zabrać, bo w końcu pluton osiągnie masę krytyczną i eksploduje.

- Racja - przyznał Mercer. - Macie jakiś spis rzeczy przechowywanych w magazynie?

- O ile wiem, nie - odpowiedział Fiedorow. Mercer westchnął.

- W takim razie musimy zrobić remanent.

Gumowane kombinezony ochronne śmierdziały potem i nieświeżym oddechem. Mercer miał wrażenie, że cuchnęły także moczem. Ten jedyny w swoim rodzaju bukiet zapachów sprawiał, że rosyjski posiłek z puszki, który leżał mu na żołądku, podnosił się coraz wyżej w kierunku przetyku.

- Jak się czujesz? - zapytał Cali, kiedy połączyła kaptur z maską.

- Paskudnie. Mój kombinezon cuchnie jak niesprzątana szatnia drużyny koszykówki.

- W moim wali sikami i nieświeżym oddechem. Zamienisz się?

- Mowy nie ma.

Stali przed wejściem do starej kopalni. Towarzyszyli im Ahmad, Devrin i Ludmiła. Rosjanka sprawdziła ich kombinezony, rękawice uszczelniła za pomocą taśmy klejącej, a potem to samo zrobiła z butami i nogawkami. Na koniec przesunęła dłońmi po całości, szukając naderwań i rozcięć, które mogły powstać, kiedy przeszukiwała wrak pociągu. Mercer nie był pewien, czyją pupę sprawdziła dokładnie, jego czy Cali, ale jedno nie ulegało wątpliwości - inspekcja tamtych rejonów była nad wyraz dokładna.

- Może powinien pan zostawić to Rosjanom? - profesor Ahmad oponował już któryś raz z rzędu. - Devrin i ja zamierzamy stąd zniknąć, zanim pojawi się helikopter, który wezwał kapitan Fiedorow. Możemy zabrać was do Samary.

- Już mówiłem - Mercer musiał podnieść głos, żeby przebił się przez żółty kombinezon. - Człowiek częściowo odpowiedzialny za kradzież będzie się starał zatuszować swój udział. Na razie jest jeszcze w Noworosyjsku i szuka dwóch zaginionych beczek. Kiedy je znajdzie, podrzuci je do wraku pociągu i będzie udawał, że nic się z nimi nie działo.

- Czyli słowo przeciw słowu.

- Mogę dać głowę, że ta sprawa nigdy nie trafi do sądu. Mercer sprawdził latarki główną i zapasową, schowaną w worku przewieszonym przez ramię. Nie zamierzał zostawać w kopalni na tyle długo, żeby zużyć baterię z pierwszej, ale ponieważ spędził większość życia, włócząc się po różnych kopalniach, wiedział, że trzeba być przygotowanym na każdą ewentualność.

- Panno Stowe - powiedział z udawaną galanterią, uroczystym gestem podał jej dłoń i poprowadził w kierunku niewielkiego wózka widłowego, który Poli przywiózł i porzucił. - Karoca czeka.

Wdrapali się razem na siedzenie kierowcy i usiedli przyciśnięci ciasno biodrami. Mimo bliskości Mercer nic nie czuł przez gruby kombinezon. Uruchomił silnik elektryczny, którego pracą sterowało się za pomocą jednego pedału, a niewielkie kółko z tyłu kierowało wózkiem. Włączył światła i sprawdził, ile mają prądu w akumulatorach. Z ulgą stwierdził, że sporo.

Pomachał Ludmile i Turkom, a potem ruszył do tunelu. Po kilkunastu metrach pograżyli się w ciemnościach, a temperatura zaczęła spadać. Korytarz miał ponad dziesięć metrów szerokości i pięć wysokości - był znacznie większy, niż Mercer przypuszczał. Światła podnośnika oświetlały jedynie fragmenty ścian i kilka metrów drogi przed nimi. Szyny, po których kiedyś kursowały wagoniki ze skałą płonną i urobkiem, zdążyły przez lata pokryć się rdzą, czemu sprzyjała wysoka wilgotność w tej części kopalni.

Główna pochylnia prowadziła prosto w dół. Przejechali ponad półtora kilometra, zanim dotarli do pierwszej odnogi. Mercer wyłączył silnik, żeby oszczędzać energię, i zeskoczył na ziemię. Cali zrobiła to samo i ruszyła za nim w głąb tunelu. W rękę trzymała wykrywacz promieniowania gamma i uważnie wpatrywała się w jego wskazania.

Po pięćdziesięciu metrach dotarli do komory, w której górnicy prowadzili tak zwaną eksploatację komorowo-filarową. Polegała ona na tym, że w wyrobisku pozostawały wysokie i grube kolumny, które podtrzymywały strop.

Mercer powiódł latarką dookoła, oświetlając kolumny, i w pewnym momencie aż gwizdnął z wrażenia, widząc, na co padł krąg światła. Rozpoznał rekini dziób ME-262, jedyne w swoim rodzaju myśliwca odrzutowego,

wprowadzonego do walki przez Niemców w ostatnich miesiącach II wojny światowej. Skrzydła maszyny zostały zdemontowane i oparte o filar obok. Nieco dalej stał kolejny myśliwiec, a potem jeszcze jeden. Dostrzegł też samoloty, których nie rozpoznał. Były zaawansowane nawet na obecne czasy. Niewielkie opływowe myśliwce przeznaczone dla jednego pilota. Po kształcie domyślił się, że mogą rozwijać nieprawdopodobne prędkości.

- To pewnie prototypy niemieckich maszyn. Nazistom zabrakło czasu, żeby je dokończyć - powiedział.

- I dzięki Bogu. Inaczej pewnie by nas tutaj nie było.

- Jakież odczyty gamma?

- Tło nieco za wysokie, ale nie gorzej niż na „Wetherby”. Krażyli po wyrobisku jeszcze kwadrans, upewniając się, że wszystko jest w porządku. Znaleźli kilkanaście kolejnych samolotów, wszystkie w doskonałym stanie. Trafili też na skład wczesnych pocisków raketowych. Niektóre, zamontowane w prowadnicach, najprawdopodobniej miały być pierwszymi na świecie raketami ziemia-powietrze. Inne, znacznie mniejsze, przygotowano do wykorzystania w bezpośredniej walce powietrznej. Wszystkie były znacznie bardziej zaawansowane niż jakakolwiek broń, którą dysponowali alianci w tamtych czasach.

- Niech ich diabli. Bystrzy byli - uznał Mercer, przyglądając się wyrzutni rakiet z kilkoma małymi niesterowanymi pociskami.

- Tylko pomyśl, jak dziś mógłby wyglądać świat, gdyby zwrócili swój geniusz na potrzeby ludzkości, zamiast usiłować ją zniszczyć.

Zadowoleni, że pluton był składowany gdzieś głębiej w kopalni, wycofali się do podnośnika i ruszyli dalej. Kolejna odnoga prowadziła do komory wypełnionej zdobycznym sprzętem przywiezionym z Niemiec. Były tam karabiny maszynowe, których Mercer nie był w stanie rozpoznać; ręczne wyrzutnie granatów, które po wystrzeleniu pocisku odwijają cienki przewód, żeby można było nim kierować już w locie, oraz strzelby z zakrzywionymi lufami, z których, jak się domyślali, można było strzelać zza narożników. Naprzeciwko wejścia stał największy czołg, jaki Mercer kiedykolwiek widział, chyba ze trzy razy większy niż współczesny M-1 Abrams. Gąsienice miały metr szerokości, a zamiast pojedynczego działa na wieżyczce zamontowano dwie lufy.

- To Maus - powiedział Mercer, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. - Mój dziadek był modelarzem. Zbudował taki z resztek z innych pojazdów, ale tylko na podstawie rysunków. Hitler zamówił prototypy, ale ktoś mu zasugerował, że tak wielkie czołgi będą podatne na atak z dział kolejowych. Oczywiście do głowy mu nie przyszło, że alianci nie mieli ani jednego takiego działa. Nie wiedziałem, że jeden z prototypów przetrwał.

Cali spojrzała na niego z szacunkiem.

- Myślałeś o starcie w Milionerach?

- Nie śmiej się. Fotograficzna pamięć to jednocześnie dar i przekleństwo. Chcesz, żebym ci podał wszystkie parametry techniczne tego cacka? - Klepnął się w głowę. - Nic stąd nie wylatuje.

- Może innym razem - odparła. - Chyba coś znalazłam.

- Gdzie?

- Tutaj. - Wskazała przed siebie.

Mimo przenikliwego zimna Mercer pocił się jak mysz. Jego niemyte ciało nie pachniało zbyt ładnie, a w połączeniu ze smrodem gumowego

kombinezonu do jego nosa docierał odór przyprawiający o mdłości. Szli za wskazaniem czujnika, ostrożnie zagłębiając się w kolejną komorę.

- Spójrz. - Mercer wskazał na ziemię. W świetle latarki było widać ślad opon wózka widłowego odcisnięty w kilkudziesięcioletnim kurzu.

- Jesteś jak indiański tropiciel - zakpiła Cali. - Dlaczego po prostu nie poszliśmy po śladach?

Mercer wzruszył ramionami. Przy kolejnym kroku poczuł, że coś dotknęło jego nogi na wysokości kostki. Przez mikrosekundę żałował, że nie przemyślał tego ruchu. Powinien był się domyślić, że Poli zostawi im małą niespodziankę. Rzucił się na Cali i zbił ją z nóg, ochraniając własnym ciałem.

Pułapka należała do najprostszych z możliwych. W przejściu został rozciągnięty drut przyczepiony do dwóch granatów z częściowo wyjętymi zawleczkami. Ładunki znajdowały się za masywną kolumną podtrzymującą wejście do głównego wyrobiska.

Kombinezon wygłuszał wszystkie dźwięki, ale Mercer nie miał wątpliwości, że nogą wyrwał zawleczki do końca i uruchomił zapalniki.

- Otwórz usta! - krzyknął na sekundę przed wybuchem.

Granaty eksplodowały niemal jednocześnie. Kamienne ściany odbiły falę uderzeniową w kierunku środka wyrobiska, a potem z powrotem w stronę Cali i Mercera, boleśnie uderzając i napinając ich kombinezony. Gdyby Cali na czas nie posłuchała rady, fala uderzeniowa momentalnie rozerwałaby jej bębni uszne.

Mercer zsunął się z niej, dopiero kiedy fala po wybuchu przetoczyła się nad nimi. Komora wypełniła się kurzem i dymem, więc nie widział dalej niż na półtora metra. Uklęknął, a potem wstał, trzęsąc się, jakby miał gorączkę. Był ogłuszony eksplozją i miał trudności z utrzymaniem równowagi. Spojrzał na Cali. Leżała nieruchomo, prawdopodobnie nieprzytomna.

Kulejąc, bo znów uraził kolano, podszedł do wyjścia do głównej sztolni. Przesunął latarkę po sklepieniu. Granaty zniszczyły drewnianą kolumnę, która podpierała strop przez ostatnie pół wieku. Nadproże z podkładu kolejowego też spadło, a jego oczom ukazały się pokruszone wybuchem skały. Pęknięcia się powiększały. Na ziemię spadł fragment wielkości kowadła. Mercer po raz ostatni spojrział za siebie i wybiegł do głównego korytarza, zostawiając Cali kamiennej lawinie, która pochłonęła ją żywcem.

BIAŁY DOM, WASZYNGTON, DYSTRYKT KOLUMBII

Musisz mi uwierzyć, Władimirze, że w najlepiej pojętym interesie naszych krajów jest, by ten wybuch nie został uznany przez opinię publiczną za atak terrorystyczny - prezydent Stanów Zjednoczonych mówił spokojnie, chociaż z trudem panował nad irytacją. Wysłuchał odpowiedzi swojego rosyjskiego odpowiednika. - Zastanów się więc, czy wolisz udać, że to wypadek przy pracy i zwalić wszystko na niekompetencję, czy raczej zachęcić legion kolejnych fanatyków?

Ira Lasko i John Kleinschmidt, jego bezpośredni przełożony, słuchali tej rozmowy z sofy w Gabinetcie Ovalnym. Jako doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, Kleinschmidt miał nieograniczony dostęp do prezydenta, niezależnie od pory dnia czy nocy. Ustalenia Mercera przedstawił mu niecałą godzinę temu. Administracja wiedziała, ile zawdzięcza Philipowi Mercerowi, więc kiedy poprosił prezydenta o interwencję, ten uważnie go wysłuchał.

- Tu nie ma co porównywać - powiedział teraz do swojego rozmówcy. - Jeden samolot wbijający się w wieżowiec może być wypadkiem, ale trzy tego samego dnia, dwa w Nowym Jorku i jeden w Pensylwanii, i to wszystko na oczach widzów, to fakt, któremu nie da się zaprzeczyć i udawać, że nie miał miejsca. Ty natomiast masz pole manewru. - Znów chwilę słuchał i mówił dalej: - Władimirze, przecież już o tym rozmawialiśmy. To jest wojna. Każde zwycięstwo skłania kolejnych fanatyków do wstąpienia w ich szeregi. A taki wybuch zachęci setki, jeśli nie tysiące, do wystąpienia przeciwko nam. Co? Nie, to nie ma znaczenia. Jeśli uważają kaspijską ropę za zagrożenie, to się tym zajmą. Przecież znacznie prościej jest wykorzystać jakieś dzieciaki po praniu mózgu, które wierzą, że taki akt otworzy im drogę do nieba. A potem usiądą do rozmów z nami i będą narzekać, że to straszne i nieludzkie, że jakiś odsetek ich obywateli nienawidzi Zachodu. Tak, Władimirze. Przyzwyczaj się do myśli, że też należysz do Zachodu, czy ci się to podoba, czy nie.

Prezydent zrobił wulgarny gest, kiedy przez kilka kolejnych minut musiał wysłuchiwać tyrady rosyjskiego przywódcy.

- Tak, Grigorij Popow. - Amerykanin roześmiał się po raz pierwszy od początku rozmowy. - Też mam setki wiceministrów, sekretarzy i asystentów. I wiesz, co? Połowy z nich nie znam. Nie oczekuję więc, że będziesz wiedział, o kim mówię. Ale ja wiem z pewnego źródła, że to on był odpowiedzialny za

wydanie plutonu w ręce zamachowców. Nie mam pojęcia, dlaczego o tym nie słyhać, ale Popow jest tam na miejscu, choć powinien właśnie spotkać się z jednym z moich ludzi ponad osiemset kilometrów na północ. Jeśli możesz, wyślij kogoś do Noworosyjska, ale kogoś, komu ufasz. Niech wybada, co ten Popow kombinuje. Jeśli to zbieg okoliczności, osobiście cię przeproszę, ale jeżeli gość przeszukuje port, żeby wydobyć dwie beczki z plutonem, a reszta usiłuje pomóc rannym, to sam zrozumiesz, że mam rację. - Głos prezydenta opadł o oktawę i zrobił się przyjazny. Tak zdobywał zaufanie każdego rozmówcy. Wyznawcy teorii spiskowych uważali, że właśnie ten ton dał mu dodatkowe dziesięć procent poparcia w wyborach. - Władimirze, wiem, że to tragedia narodowa, ale może się przekształcić w światowy konflikt, jeśli źle to rozegramy. Jeżeli chodzi o Stany Zjednoczone, masz nasze pełne wsparcie na wszystkich polach. Nie daj sukinsynom satysfakcji odtrąbienia zwycięstwa. Załatw to tak, żeby oszczędzić naszym narodom trudnej walki w przyszłości. Tu chodzi także o serca i umysły, nie tylko o ropę i władzę - znów przerwał na chwilę, a jego przystojna twarz nie wyrażała żadnych uczuć. - Dziękuję, panie prezydencie.

Kiedy tylko odłożył słuchawkę, John Kleinschmidt podniósł głowę.

- No i?

- Obiecał, że to przemyśli.

- Nie ma na to czasu - wtrącił się Ira. - Za godzinę lub dwie cały Internet będzie huczał od informacji, że terroryści zniszczyli terminal naftowy i zatrzymali przepływ ropy z Kazachstanu.

Prezydent spojrział na admirała.

- Postawiliśmy go w trudnej sytuacji. Poprosiliśmy, żeby okłamał naród w najpoważniejszej sprawie od czasu ataków z jedenastego września. Jednocześnie twierdzimy, że jeden z jego najbardziej zaufanych doradców jest w to zamieszany.

- Co pan zamierza, panie prezydencie?

- Chciałbym mieć pewność, że my wyjdziemy z tego bez szwanku, a wióry poleca tylko tam, gdzie rąbią drwa. Ale mój rosyjski przyjaciel jest znacznie bardziej pragmatyczny niż ja. Coś mi mówi, że zrobi dokładnie to, o co go poprosiłem, a kiedy będzie po wszystkim, on poprosi o przysługę.

Mercer chciał zerwać ciężki i lepki kombinezon i gołymi rękami rzucić się na zwały kamieni. Pewnie Cali musi myśleć, że zostawił ją samą na śmierć. Uspokoił oddech, bo filtr w masce nie był w stanie za nim nadążyć. Czuł pierwsze objawy hiper-wentylacji. Plastikowe szybki hełmu pokryły się parą, choć ona nie przeszkadzała tak jak pył, który wypełnił główną sztolnię i ograniczył widoczność do pół metra.

Po omacku znajdował drogę wzdłuż ściany. Latarkę wyłączył, bo i tak nic nie dawała.

Jedną z pierwszych zasad ratownictwa podziemnego, jakiej się nauczył jeszcze od ojca, brzmiało, że nigdy, przenigdy nie zostawia się przyjaciół, jeśli dojdzie do zawału. Przeżyjesz albo umrzesz - to bez znaczenia, bo i tak los o tym decyduje, ale nie możesz nikogo zostawić samego. Właśnie dlatego górnicy dawali sobie radę, czekając na ratunek. I właśnie dlatego Mercer z łamał tę zasadę i wyskoczył na zewnątrz, kiedy waliło się przejście. Zostawił Cali, bo wiedział, że pomoc nie nadejdzie.

Wybuch nie był dostatecznie silny, żeby ktoś go odczuł na powierzchni. A gdyby nawet, to ani Sasza, ani Ludmiła, ani inni pozostali na zewnątrz nie mogli pomóc, bo Mercer i Cali mieli ze sobą wszystkie latarki. Żołnierze z helikoptera, usiłując przekopać się przez kamienie, zrobiliby więcej szkody niż sam zawał. Z drugiej strony, wezwanie zawodowców i czekanie na profesjonalny ratunek trwałoby kilka dni. Na to Mercer nie mógł pozwolić. Nie mieli tyle czasu.

Pod grubą gumą rękawic wyczuł coś gładkiego. Wózek widłowy. Wskoczył na siedzenie i uruchomił silnik. Uspokajające wibracje natychmiast poprawiły mu humor. Wkrótce dotarł do miejsca, gdzie leżały pierwsze kamienie zawału. Zamiast atakować najbliższą górę odłamków, zaczął usuwać największe głazy, przygotowując sobie miejsce do pracy. Podnosił je widłami wózka i wywoził w dół szybu.

Kiedy skończył oczyszczać podłogę, pył na tyle się przeredził, że mógł dostrzec usypisko rumoszu. Tyłem latarki postukał kilka kamieni, a potem zamarł w oczekiwaniu. Na podstawie wibracji oceniał stabilność stoku i jego grubość. Czytał je jak niewidomy pismo Braille'a i równocześnie planował, w jakiej kolejności usuwać głazy. Obliczał w myślach wpływ wyciągania poszczególnych kamieni na stabilność całości niczym mistrz bierek przygotowujący się do finałowej rozgrywki. Każdy błędny ruch będzie wykorzystany przez przeciwnika. A Mercer znał swojego przeciwnika aż za dobrze. Kilkanaście razy spotykał się z nim na żywo i tysiące razy w koszmarach. Starał się nie myśleć, kogo będzie ratował. Bał się, że zanim do niej dotrze, zginie samotna w czarnym i zimnym łonie ziemi.

Przez dwadzieścia minut obserwował poszczególne fragmenty osypiska. Kiedy w końcu był gotowy, sięgnął po niewielki odłamek, wielkości może pięści, a potem się odsunął i obserwował, jak całe zbocze zjeżdża w dół. Uklęknął i oparł się na dłoniach, żeby sprawdzić, jak nowa lawina ułożyła się na ziemi. Zadowolony z efektów swojej pracy, sięgnął po większy kawałek i znów przeczekał reakcję przeciwnika, a potem przeanalizował rezultaty.

Tym razem nie było dokładnie tak, jak przewidywał, więc nieco zmodyfikował swój plan i zabrał się do roboty. Ostrożnie wyciągnął ręce, niczym jubiler, który zdaje sobie sprawę, że za chwilę dotknie najcenniejszego brylantu w swojej karierze. Nawet jedno cięcie, jeden ruch decyduje o sukcesie lub porażce całości. W jego przypadku ruchów musiało być kilkanaście. Powoli odsuwał wybrane fragment skały, tak by żaden kamień się nie zachwiał. Centymetr za centymetrem drażył tunel.

Następnie wrócił do wózka i wykorzystując podnośnik, odsunął na bok wydobyty rumosz. Po godzinie mozolnej pracy dotarł do połowy osypiska. Tam trafił na fragment tak duży, że nie mógł go ruszyć. Zakleszczony głaz nawet nie drgnął.

Spróbował zawołać Cali, ale kombinezon tłumiał jego głos. W tym momencie Mercer powinien był ją zostawić i powrócić z ekipą ratowniczą. Ale spędził w kopalniach dość czasu, by wiedzieć, na ile może sobie pozwolić. Wrócił do wózka i uśmiechnął się do siebie. Zęby podnośnika były przyцепione do ramy za pomocą grubych bolców. Wyciągnął jeden z nich i podniósł pięćdziesięciokilogramowy ząb. Potem umieścił go na drugim, wciąż przyцепionym do wózka. W ten sposób zyskał dwa razy dłuższą dźwignię.

Ostrożnie, żeby nie uszkodzić brzegów, wsunął przedłużone widły do wydrążonej dziury. Opuścił podnośnik o kilka centymetrów i wsunął go głębiej.

Zastanowił się, zaklął, a potem zerwał z głowy niewygodny hełm.

- Cali, słyszysz mnie? Jeśli tak, uderz czymś metalowym w skałę. - Nagle uświadomił sobie, do czego to może doprowadzić. - Tylko nie za mocno!

Minęła sekunda, potem kolejnych pięć. Po dziesięciu Mercer zaczął się martwić. Jeśli została ranna w wybuchu, może się właśnie wykrwawiać na śmierć, choć dzieliło ich ledwie kilka metrów.

Puk. Puk. Puk.

Odetchnął z ulgą.

- Trzymaj się. Idę po ciebie.

Usiadł wygodniej i wsunął przedłużony ząb podnośnika pod kamień. Po wibracjach wyczuwał, że silnik wózka jest przeciążony. Instynktownie reagował na zmiany środka ciężkości skały i osypujące się fragmenty.

Nagle coś przeskoczyło w osypisku. Mercer zdjął nogę z pedału i zabezpieczył łańcuch przed samoczynnym opadaniem. Zajrzał do dziury, wylawiając światłem latarki dziwaczne kształty, jakie przybrał zwalony kamień. Pod największym kawałkiem skały pojawiła się trzydziestocentymetrowa przerwa, ale widać było, że biegnie pod kątem; od strony Cali zaczynała się przy samej ziemi. Rękami usunął kilka fragmentów, porzucając wcześniejszy plan. Teraz to nie była już gra w bierki, tylko szybka partia warcabów.

Wrócił do wózka i spróbował wsunąć podnośnik głębiej pod kamień. Bez skutku. Gumowe kółka ślizgały się po kamiennej posadzce. Wizja wyciągnięcia stamtąd Cali oddalała się z każdą minutą.

Wściekły, już chciał się poddać, ale zanim zdjął nogę z gazu, podnośnik przesunął się o kolejne kilkadziesiąt centymetrów. Mercer podniósł widły tak wysoko, jak tylko zdołał, zabezpieczył łańcuch, zeskoczył na ziemię i zanurkował głową naprzód do otworu. Światło ze środka niemal go oślepiło. Zobaczył fragment jasnożółtego kombinezonu Cali, która przeciskała swoje szczupłe ciało przez ciasną szczelinę. Kiedy ich dłonie się spotkały, Mercer chciał krzyczeć z radości. Ostrożnie zaczął ją przeciągać na swoją stronę.

Gdy tylko Cali stanęła na nogach obok niego, zerwała hełm. Mercer chciał ją ostrzec, że kopalnia może być przecież skażona, ale nie zdążył wypowiedzieć nawet jednego słowa, bo jej niewiarygodne usta przywarły do jego ust w gorącym pocałunku.

- Wybacz, że cię zostawiłem - wyszeptał. - Musiałem.

- Och, zamknij się - powiedziała i pocałowała go jeszcze goręcej.

Długą chwilę stali tak przytuleni w słabym świetle reflektora wózka widłowego. Kiedy wreszcie oderwali się od siebie, Cali rzekła z uśmiechem:

- Profesor Ahmad miał rację. Jesteś niezawodny. Nie zostawiłeś mnie.

- Gdybym nie wyskoczył, oboje bylibyśmy uwięzieni.

- Tak właśnie pomyślałam, kiedy się zorientowałam, że cię nie ma.

- To musiało być przerażające.

- Nie. Przecież ci powiedziałam, że byłam pewna, że wrócisz. Czekałam więc, a dla zabicia czasu sprawdziłam resztę wyrobiska.

Mercer nie wierzył własnym uszom. Większość ludzi reagowała na zasypanie paniką. Ale nie Cali. Ona poszła zwiedzać wyrobisko.

- Znalazłam pomieszczenia, gdzie przechowywali pluton. Tak jak myślałam, jest tam jeszcze siedemdziesiąt beczek. Pomieszczenie jest całkiem

spore. Chyba specjalnie je wybrali, żeby pluton nie osiągnął masy krytycznej. Ściany przyjęły trochę promieniowania, ale nie jest źle. Przez rok będę unikała prześwietleń i nie powinno być problemów.

- Jesteś niesamowita - orzekł Mercer, a duma niemal rozsadzała mu pierś.

Uśmiechnęła się szerzej.

- Czasem pewnie tak. - Znów go pocałowała, ale tylko przelotnie. - Nie ryzykujemy już. Wracajmy na powierzchnię.

W wózku skończył się prąd, zanim dotarli do wyjścia. Ostatnie kilkaset metrów przebyli więc na piechotę. Cali pomagała Mercerowi, bo jego kolano coraz bardziej odmawiało posłuszeństwa. Ludmiła była jedyną osobą, która czekała na zewnątrz. Chyba się ucieszyła na ich widok, ale wyraz jej twarzy nie zmienił się nawet na jotę.

- Tak, też się cieszę, że cię widzę - odezwał się Mercer, chcąc sprowokować jakąś reakcję. Nie udało mu się.

Pomogła im zejść do wraku helikoptera. Sasza siedział oparty o drzewo, a pilot i drugi naukowiec na ziemi.

- Wygląda na to, że nieźle wam poszło - powiedział Fiedorow.

- Owszem. - Cali się uśmiechnęła.

- A gdzie profesor Ahmad i Devrin Egemen?

- Wyjechali, kiedy dostaliśmy wiadomość, że z Samary rusza po nas drugi helikopter. - Sasza podał Mercerowi pojedynczą kartkę. - Profesor poprosił, żebym ci to przekazał.

Mercer rozłożył liścik i przeczytał:

„Drogi Doktorze,

jeszcze raz chciałbym przeprosić za manipulację, jakiej się dopuściłem na Pannie Stowe i Panu, zmuszając Was niejako do pomocy. Janczarowie bronili alembiku przez wieki i gdyby nie bezmyślna rozmowa kochanków kilkadziesiąt lat temu, dziś nie musielibyśmy walczyć z takim kryzysem. Niemal udało nam się go zażegnać, ale tylko dzięki Panu. Teraz odpowiedzialność spoczywa na Pańskich barkach. Będę się modlił, abyście Pan i Panna Stowe powrócili do swojego życia sprzed tej przygody, zadowoleni ze swojego wkładu po właściwej stronie”.

List był niepodpisany.

- I co myślisz? - zapytała Cali, kiedy skończyła czytać. Zgniółł papier w rękach.

- Bez kamiennego obelisku z Afryki niewiele nam pozostaje. Musielibyśmy przekopać pół Egiptu. Rosjanie zajmą się plutonem i Popowem, jeśli, rzecz jasna, miałem rację co do jego udziału. Profesor słusznie to ujął. Wrócimy do swojego życia sprzed tej przygody.

- I wszystko będzie po staremu? - droczyła się. Wziął ją za rękę.

- Może jedna czy dwie zmiany. Nie więcej.

ARLINGTON, WIRGINIA

Od momentu, kiedy helikopter rosyjskiej armii przyleciał po Mercera i Cali, do lądowania na lotnisku Dullesa, na które dostali się po przesiadce we Frankfurcie, minęło trzydzieści sześć nerwowych godzin. Poza torbą z Jackiem danielsem ze sklepu wolnocłowego, mającym uzupełnić uszczuplone zapasy w barku Mercera, nie mieli bagażu, więc błyskawicznie przeszli kontrolę i odprawę. Ira wysłał po nich na lotnisko rządową limuzynę. Wcześniej ustalili, że najpierw pojedą do mieszkania Cali, a potem Mercer sam wróci do siebie. Mieli za sobą kilka bardzo męczących dni i nawet perspektywa budowy bliższego związku nie zmieniała faktu, że przede wszystkim musieli się ogarnąć i doprowadzić do porządku.

Mercer odprowadził Cali pod same drzwi i na wszelki wypadek sprawdził, czy nikt nie włamał się do mieszkania w czasie, kiedy jej nie było. Czuli się jak nastolatka na pierwszej randce, gdy ca łowała go na pożegnanie. Jej ciało było smukłe, niemal pozbawione kobiecych krągłości, ale doskonale pasowało do jego ramion. Nie musieli się schylać, żeby spojrzeć sobie w oczy, i żadne nie zamykało powiek.

- Zobaczmy się jutro? - zapytała.

- Aha. I pojutrze - obiecał.

- Z samego rana muszę przygotować raport dla ZRZN. Potem biorę kilka dni urlopu.

- A ja nie mam żadnego zlecenia na najbliższe dwa tygodnie.

- Widzimy się jutro w południe.

Dwadzieścia minut później Mercer był pod domem. Kiedy wszedł do środka, zobaczył zapalone światła i usłyszał głosy. Zamarł, ale po chwili rozpoznał dudniący śmiech Harry'ego White'a. Wspiął się po schodach na piętro. Kolano wciąż mu dokuczało, choć i tak było o niebo lepiej. Minał bibliotekę i zbliżył się do przeszklonych drzwi. Wtedy usłyszał drugi głos i roześmiał się serdecznie.

- Kogo my tu mamy! Booker Sykes! Widzę, staruszkę, że też polubiłeś moją bimbrownię!

Book i Harry siedzieli przy barze, na którym stał rząd ekopróżnionych szklanek i leżała prawie pusta torebka precelków. W telewizji leciał mecz. Drag wpatrywał się w biegające postacie, jakby rozumiał, o co może im chodzić.

Mercer klepnął komandosa w ramię.

- Już wiem, że wysłałem was niepotrzebnie. Przepraszam, nie mogłem tego przewidzieć. Wszyscy cali i zdrowi? Kiedy wróciliście?

- Kilka godzin temu - odpał Sykes. - W komplecie. Nie odnieśliśmy obrażeń, których dobry chiropraktyk nie potrafiłby wyleczyć. Ale co miałeś na myśli, mówiąc, że jechaliśmy tam niepotrzebnie?

- Rozmawiałem z gościem, który rozwalił kolumnę.

- Nie bądź takim pesymistą. - Book uśmiechnął się i machnął butelką z piwem. - Popatrz tam.

Mercer obrócił się i zobaczył na podłodze obok kanapy trzy bardzo duże plecaki transportowe. Podeszedł i rozsznurował pierwszy. W środku były szare kamienie. Wyczerpany przeżyciami ostatnich dni nie skojarzył, na co tak naprawdę patrzy. Wziął do ręki kawałek skały. Granit, całkiem typowy. Ot, zwykły odłamek wielkości gąbki do tablicy. Z jednej strony lekko chropowaty. Uniósł go do oczu i z wrażenia aż otworzył usta. Trzymał w dłoni kawałek granitu pokrytego starożytnymi hieroglifami.

- Rozwalili go, to fakt - wyjaśnił Booker. - Użyli chyba młotów albo kolb karabinów. Załadowaliśmy więc wszystkie kawałki większe od wiśni i przywieźliśmy ci.

Mercer uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Booker, od dziś możesz u mnie pić bez ograniczeń. Bierz, co chcesz i ile chcesz. - Spróbował podnieść plecak. - Chryste, to musi ważyć ponad pięć dych!

- Najlżejszy waży osiemdziesiąt osiem kilogramów, zgodnie z rachunkiem na czterysta doliców za nadbagaż. To dlatego gdy stoję, wyglądam jak znak zapytania.

Mercer sięgnął do plecaka i wyjął kolejny, mniejszy fragment. Przestał się uśmiechać, kiedy zdał sobie sprawę, że trzyma w dłoniach kawałki największych trójwymiarowych puzzli świata. Miał z nich złożyć dwumetrową kolumnę o wadze trzystu kilogramów. Jeśli to w ogóle wykonalne, potrwa co najmniej miesiąc.

- Aha, Mercer, zajrzyj jeszcze za bar - powiedział Harry.

- Po co? - spytał i nie czekając na odpowiedź, odłożył oba kawałki do plecaka i wszedł za mahoniowy bar. Nic nie przykuło jego uwagi. - O co chodzi?

- O nic. Ale skoro już tam jesteś, nalej mi drinka.

- Goń się - mruknął, lecz napełnił szklanke przyjaciela jackiem danielsem z syropem imbirowym. Sobie nalał wódki z sokiem z limonki. - Jak mamy poskładać te kawałki do kupy?

- To ponad pół tysiąca odłamków - stwierdził Harry. - Większość bardzo drobna. Niektóre wyglądają tak samo.

- Rano zadzwonię do Iry - oznajmił Mercer. - Może zna kogoś, kto sobie da z tym radę. Na pewno są jakieś zespoły śledczych, którzy robili już coś podobnego, rekonstruuując kości.

- Myślisz, że powinniśmy mu powiedzieć? - Booker popatrzył na Harry'ego.

- No, nie wiem... kazał mi się gonić. Przetzymajmy go jeszcze trochę. Niech się pomęczy.

- Powiedzieć mi co?

Booker nie odrywał wzroku od staruszka. W końcu Harry uniósł ręce.

- Poddaję się. Z wami nie ma zabawy.

- Już rozmawiałem z admirałem Lasko - rzekł Sykes. - Jutro o dziewiątej mamy spotkanie w Centrum Lotów Kosmicznych Goddarda w Greenbelt.

- A czym się tam zajmują?

- Z tego, co mówił Ira, wynika, że magią.

Aby dotrzeć z Arlington do Greenbelt w stanie Maryland, trzeba było przejechać przez Waszyngton. Dwie godziny zmagali się z korkami, zanim wreszcie się tam znaleźli. Na szczęście Centrum Goddarda było tylko kilka kilometrów od autostrady, więc Mercer podjechał do szlabanu za pięć dziesięć minut. Przed centrum dla zwiedzających za główną bramą stało kilka wczesnych rakiet NASA.

- Nieźle te rzeźby ogrodowe - zauważył Booker.

- Lepsze niż krasnale - przyznał Mercer.

Po sprawdzeniu dokumentów i upewnieniu się, że ich nazwiska figurują na liście gości, strażnik podał im przepustki i skierował ich do budynku na końcu Drogi Odkrywców, naprzeciwko rządowego ośrodka naukowego. Mercer zostawił jaguara na dużym parkingu obok stawu. Trzy kaczki płynęły leniwie, rozkoszowały się porannym słońcem.

Weszli do niepozornego ceglanego budynku z zaledwie kilkoma oknami na wysokiej fasadzie. W holu czekał na nich dwudziestokilkuletni mężczyzna w białym kitlu, spod którego było widać czarne spodnie i czarną koszulkę. Mercer pomyślał, że pewnie do niego należy czarna mazda miata, którą zauważył między terenowymi samochodami i minivanami na parkingu. Czarne włosy miał zaczesane do tyłu, a wszystko to w połączeniu z modnymi okularami sprawiało, że zupełnie nie pasował do wyobrażenia, jakie panowało o rządowych naukowcach.

- Doktor Jacobi?

- Alan Jacobi. Pan to zapewne doktor Mercer?

- Mów mi Mercer. - Philip wyciągnął rękę. - A to Booker Sykes.

- Cześć. Mówcie mi Alan. - Jacobi rozejrzał się. - Gdzie są te próbki?

- W samochodzie. Macie jakiś wózek?

- Pewnie.

Dziesięć minut później trzy plecaki znalazły się w laboratorium doktora Jacobiego. Niewielkie pomieszczenie było zatłoczone stacjami roboczymi, komputerami i buczącymi urządzeniami, których przeznaczenia Mercer nawet się nie domyślał.

- Powiem szczerze, że kiedy zadzwonili wczoraj z Białego Domu, o mało nie zemdlałem. No, może trochę przesadzam, ale nie zajmujemy się tu żadnymi superważnymi sprawami.

- To co robicie?

- Centrum Goddarda jest jednym z najnowocześniejszych laboratoriów badawczych w kraju. Prowadzimy różne projekty badawcze na Ziemi i poza nią. Moje laboratorium to przede wszystkim trójwymiarowe hologramy i analiza materiału.

Pracujemy nad wykorzystaniem tej technologii w badaniach medycznych i archeologii.

- I uważasz, że moglibyście nam pomóc.

- Bez wątplenia. Pokażcie, co przywieźliście.

Mercer otworzył pierwszy plecak. Zaczął wyjmować kamienie i kłaść je rzadkiem na stole. Jacobi podniósł jeden z większych, niemal dziesięciokilogramowy odłamek przypominający kształtem brokuł.

- Ten nam się przyda do demonstracji. - Włożył kamień do czegoś, co wyglądało jak Kuchenka mikrofalowa, zamknął drzwiczki i podszedł do komputera. Wpisując komendy, tłumaczył im, co robi. - Ta maszyna skanuje trójwymiarowe obiekty. Obraz trafia do komputera jako wierne cyfrowe odwzorowanie każdego centymetra kwadratowego próbki. Z dokładnością do jednego mikrometra, czyli jednej milionowej metra.

- Imponujące - stwierdził Mercer.

- To jeszcze nic! Takie maszyny wykorzystują w Hollywood. Robią skany figurek potworów i statków kosmicznych i potem zamieniają je w efekty cyfrowe. Ale moja zabawka jest znacznie dokładniejsza.

Obrócił ekran, żeby pokazać rezultat skanowania. Obiekt na monitorze wyglądał idealnie jak kawałek kamienia, tyle że był zielony. Jacobi wcisnął kilka klawiszy i po chwili skała stała się naturalnie szara.

- Voila!

- I co teraz? - zapytał Booker.

- Teraz będę musiał włożyć każdy fragment do skanera i przerzucić obrazy do komputera. Gdy skończę, wprowadzę przybliżony kształt obiektu docelowego i wirtualnie go poskładam. Napisanie rozmytego algorytmu logicznego zajęło mi większość trzech lat, które poświęciłem na ten projekt. Zmuszam komputer do wykonania dziesiątków milionów operacji i podjęcia tyluż decyzji samodzielnie. Inaczej mówiąc, każę mu poskładać ten obelisk. To absolutnie najnowsze rozwiązanie na świecie. - Jacobi się roześmiał. - A co, myśleliście, że będę tu siedział i sklejał wszystko ręcznie?

- Nie, aż tak naiwni nie jesteśmy - skłamał gładko Mercer. - Obraz komputerowy jest doskonały. Ile to potrwa?

- Ściągnę kilku doktorantów i praktykantów, żeby poskanowali kawałki. To zajmie trochę czasu, bo skanery są dość wolne i nie mamy ich wiele. Poza tym każdą część trzeba skatalogować i oznaczyć, żeby wiedzieć, który obraz jej odpowiada. Chyba że to nie jest konieczne?

- Niestety jest, bo może się okazać, że potrzebujemy kolumny sklezionej w jedną całość. - Mercer pomyślał, że już po wszystkim będzie świetnie wyglądała w jego barze.

- W takim razie zrobimy to. - Jacobi wzruszył ramionami, bo wiedział, że i tak nie będzie się zajmował tym osobiście. - Po drodze tutaj minęliście restaurację. Może skoczcie coś zjeść, a my za kilka godzin będziemy gotowi.

Mercer i Sykes wrócili do laboratorium Jacobiego o wpół do dwunastej.

- Doskonale wycucie czasu - powitał ich młody naukowiec. - Właśnie skończyliśmy, została nam ostatnia część. - Kawałki kolumny leżały na wszystkich płaskich powierzchniach w pomieszczeniu, każdy w osobnym plastikowym woreczku, jakich policjanci używają do gromadzenia dowodów.

- Świetna robota - stwierdził Mercer.

- Zapomniałem tylko zapytać, jak to coś wyglądało, zanim zostało rozdrobione. Ponoć ma to być stela, ale nic więcej nie wiem.

- Niewielki obelisk, około dwumetrowy.

- Komputer potrafi wykonać obraz cyfrowy bez znajomości założeń końcowych, łącząc kawałki, które najlepiej do siebie pasują. Ale znajomość wymiarów i kształtu przyspieszy jego pracę.

- Skończyłem - oznajmił jeden z asystentów, wyjmując kamień ze skanera. Wrzucił go do torebki z numerem 863.

Mercer zmienił zdanie. Nie będzie sam sklejał kolumny. Zapłaci komuś.

- Dobrze - mruknął Jacobi i bezprzewodowym piórkiem narysował kolumnę. - Podobna?

- Nasza miała trochę mniejszy obwód.

- Rozumiem. - Wklepał orientacyjne wymiary. - Dwa metry. Możemy zacząć.

Mercer ledwo zdążył mrugnąć, a na ekranie pojawił się wierny obraz kolumny. Widział hieroglify pokrywające wszystkie cztery strony obelisku.

- Jasna cholera.... Ile by wam zajęło, gdybyście nie znali wymiarów i kształtu?

- Nie wiem dokładnie, ale przynajmniej minutę - odpowiedział Jacobi.

Powiększył powierzchnię pokrytą hieroglifami. Mercer wyraźnie widział miejsca, na które spadły uderzenia ludzi Ah-mada. Brakowało kilku niewielkich fragmentów, których albo Booker nie zapakował, albo rozpadły się w pył pod uderzeniami. Zdecydowana większość była jednak czytelna.

Mercer pokręcił głową.

- Dzięki. Niesamowita robota. Teraz rozumiem, jak mogłoby to pomóc lekarzom w odbudowywaniu pogruchotanych kości i archeologom w składowaniu skorup. Naprawdę niewiarygodne.

- Chętnie bym wam powiedział, po co rządowi taki system, ale to ściśle tajne - odparł Jacobi.

Booker Sykes się uśmiechnął.

- Zadaniem takiego systemu jest analiza strefy wybuchu w celu ustalenia zastosowanego ładunku lub rodzaju bomby.

Jacobi zbladł.

- Ale... skąd... jak... przecież.... Sykes położył mu dłoń na ramieniu.

- Nie denerwuj się, Alan. To przecież oczywiste.

Mercer i Booker pojechali prosto do Instytutu Smithsonian. W czasie skanowania fragmentów kolumny Mercer zadzwonił do kilku znajomych z Białego Domu i wykorzystując te kontakty, umówił się z najlepszym specjalistą od historii starożytnego Egiptu. Skontaktował się też z ZRZN i zostawił wiadomość dla Cali, że wcale nie skończyli dochodzenia.

W Muzeum Historii Naturalnej powitała ich niewysoka kobieta, na oko sześćdziesięcioletnia. Była w wełnianym swetrze, choć na dworze robiło się coraz cieplej.

Kiedy ich zobaczyła, podbiegła się przywitać. W jej ruchach było coś ptasiego.

- Gdzie panowie ją macie? - zapytała, nie mogąc złapać oddechu. - Jesteście pewni, że ufundował ją sam Aleksander Wielki? Zdajecie sobie sprawę, co to oznacza? Muszę natychmiast zobaczyć tę kolumnę! - Była tak podekscytowana, że ledwo dało się ją zrozumieć. - Doktor Mercer i pan Sykes, tak? - opanowała się w końcu.

Mercer się uśmiechnął.

- We własnych osobach. Pani Emily French?

- Witam panów, witam serdecznie. Proszę mi wybaczyć, ale napadłam już dwie grupy zwiedzających, bo myślałam, że to panowie. Po prostu nie mogę w to uwierzyć. Tak mało jest nowych odkryć w egiptologii ptolemejskiej, w każdym razie sami Egipcjanie niczego nie publikują.

- Ptolemejskiej?

- Tak. To okres, kiedy Egipcjanie byli pod panowaniem Greków, od 331 do 30 roku przed naszą erą. Skończył się panowaniem Kleopatry, która tak naprawdę była Kleopatą VII, tylko że nikt nie kręci filmów o sześciu wcześniejszych, więc nikt o nich nie pamięta. Proszę mnie nie słuchać, plotę bez sensu. Zapraszam do mojego biura, muszę zobaczyć to znalezisko na własne oczy. W jaki sposób może to dotyczyć bezpieczeństwa narodowego? - dopytywała się, prowadząc ich przez muzeum do części zamkniętej dla zwiedzających. - To przecież antyczny zabytek, a nie plany bomby atomowej.

Mercer omal się nie roześmiał.

- Przykro mi, ale nie możemy udzielić pani takich informacji - powiedział Brook głębokim barytonem.

- Szkoda. - Wpuściła ich do zagraconego biura, przepaszając za nieporządek, jakby kiedykolwiek było tam mniej książek, zabytków i notatek.

307

- Proszę pamiętać, pani French - odezwał się Mercer - że tej sprawy pod żadnym pozorem nie wolno pani z nikim omawiać. To, co prawdopodobnie znajduje się na kolumnie, może odmienić losy świata i doprowadzić do jednego z największych odkryć archeologicznych w historii. Jeśli mam rację i uda się doprowadzić sprawę do końca, wszystkie publikacje pójną na pani konto, gwarantuję to pani.

Wyjął płytę CD, wsunął do komputera i po chwili na ekranie pojawiła się kolumna. Emily French włożyła okulary o bardzo grubych szklach. Mercer pokazał jej, jak przybliżać i oddalać fragmenty obrazu i jak obracać wirtualną kolumnę. Wcześniej sam się tego nauczył od Jacobiego, który objaśnił mu działanie programu.

- Niewiarygodne! - Kobieta była pod wrażeniem. - Spójrzcie. To znak bitwy. A tutaj coś o pochówku. Prawdopodobnie królewskim. - Przyglądała się kolejnym grupom hieroglifów, nie odrywając oczu od ekranu. - Niektóre fragmenty są w starożytnej grece, ale na przykład tu mamy wolutę. Zaraz. Tak, to dotyczy królewskiego pochówku. To... o mój Boże! - Oszołomiona spojrzała na gości.

- Tak, tak, Aleksander Wielki, wiemy - powiedział z uśmiechem Booker.

- Mamy podstawy sądzić - rzekł Mercer - że zapisano tu dokładną lokalizację jego grobu. Kolumna stała w pewnej wiosce w Republice Środkowoafrykańskiej krótko po jego śmierci.

- Grobowiec Aleksandra?! - Jej entuzjazm jeszcze wzrósł. - Prawdziwy?! Wicie, ilu ludzi poświęciło całe życie, żeby go znaleźć?

- Tak, wiemy.

- Mogłaby pani przetłumaczyć cały tekst z kolumny? - poprosił Mercer.

- Oczywiście. To zajmie trochę czasu, bo hieroglify trzeba raczej interpretować, niż tłumaczyć. One opowiadają historię, a nie przekazują słów i zdań.

Mercer podał jej wizytówkę z futerału z onyksem oprawionym w złoto. Dostał go kiedyś od pewnej spadkobierczyni fortuny naftowej, z którą się

przez pewien czas spotykał. Pod numer telefonu stacjonarnego dopisał numer swojej komórki.

- Proszę dzwonić niezależnie od pory - rzekł.

Cali przygotowała na obiad makaron z sosem carbonara. Oznajmiła, że to jej popisowe danie, co przyprawiło mężczyzn o pewne obawy. Jak się okazało, nieuzasadnione. Początkowo Cali była zawiedziona, że nie spędzi popołudnia sam na sam z Mercerem, ale rozczarowanie ustąpiło miejsca ekscytacji, kiedy się dowiedziała, czego dokonał doktor Jacobi.

Po posiłku wszyscy usiedli w barze, każdy ze szklaneczką w dłoni, i zaczęli rozmawiać o tym, co ich jeszcze czeka. Niezależnie od alembiku, grobowiec Aleksandra Wielkiego był sam w sobie łakomym kąskiem. Krążyły legendy o zgromadzonych w nim skarbach, a kryształowozłoty sarkofag Macedończyka miał być najwspanialszym dziełem sztuki starożytnej.

Mercer sacył drugiego drinka, kiedy zadzwonił telefon. Nie zdążył się nawet przywitać, bo Emily French od razu przeszła do rzeczy.

- Mam dwie wiadomości, dobrą i złą.

- Słucham. - Mercer bał się złych wiadomości, choć starał się panować nad emocjami.

Po pięciu minutach wyjaśnień Emily powiedziała, że całe tłumaczenie wyśle mu e-mailem. Podyktował jej swój adres, odstawił telefon na stolik i wybuchnął głośnym śmiechem. Pozostali po prostu chwilę patrzyli na niego bez słowa, ale jego wesołość była tak zaraźliwa, że chcąc nie chcąc, przyłączyli się do niego.

- Dobra, już się pośmialiśmy, a teraz pora, żebyś nam opowiedział ten dowcip - uznał Harry.

Mercer musiał kilka razy głębiej odetchnąć. Dopiero wtedy uspokoił się na tyle, by zacząć mówić.

- Wszystko było na kolumnie.

- To znaczy lokalizacja grobowca.

- Tak. Macedończyk nie został pochowany ani w Aleksandrii, ani w oazie Sawi, jak niektórzy sądzili. Jego ciało przetransportowano Nilem na południe i pochowano w grocie przy wejściu do doliny Shu'ta.

- Więc znajdziemy tę dolinę, zabierzmy alembik i skończmy wreszcie ten koszmar - powiedziała Cali.

- Nie tak szybko. - Mercer znów zachichotał. - Emily French sprawdziła kilka rzeczy i znalazła dolinę Shu'ta. Okazało się, że w 1970 została zalana wodą, kiedy budowano Tamę Asuańską. Powiedziałem, że i tak chciałbym tam pojechać, ale ona twierdzi, że to strefa zamknięta. - Ironia sytuacji, w jakiej się znaleźli, przyprawiła Mercera o kolejny paroksyzm śmiechu.

ASUAN, EGIPT

Mercer przypomniał sobie ostatnią wizytę w Egipcie. Kilka lat temu spędził dwa tygodnie na rejsie w górę Nilu w towarzystwie pewnej dyplomatki z Erytrei, imieniem Salome. Po powrocie już więcej się nie spotkali. Uśmiechnął się na wspomnienie tamtych wakacji.

- O czym myślisz? - zapytała Cali. Siedzieli przy basenie luksusowego hotelu na wyspie Elefantynie pośrodku rzeki. Na stały ląd, do Asuanu, kursowały łodzie turystyczne i żaglowe feluki.

- Byłem tu kiedyś z pewną kobietą. - Mercer zdecydował, że niezależnie od konsekwencji nie powinien jej okłamywać.

- Szczęściara. - Cali się uśmiechnęła. - Przyjechała na romantyczny wypoczynek, a ja trafiłam tu w poszukiwaniu starych grobowców i brudnych bomb.

Powinien był się domyślić, że nie będzie zazdrosna o jego wcześniejsze życie.

Do ich stolika podszedł Booker. W czarnym podkoszulku i bojówkach khaki uciętych nad kolano wyglądał imponująco. Zajął wolne krzesło, uważając na obolałe plecy.

- Mamy łódź - oznajmił.

- Super - stwierdził Mercer.

Kiedy opowiedział Irze o grobowcu, admirał natychmiast skontaktował się z prezydentem. Dwie godziny później oddzwonił do Mercera i powiedział, że na razie nie chcą powiadamiać strony egipskiej, a gdyby istniała taka możliwość, woleliby w ogóle ich nie angażować. W świetle prawa międzynarodowego grobowiec i wszystko, co się w nim znajdowało, należy do Egiptu, ale nie można dopuścić, by kolejne państwo Bliskiego Wschodu weszło w posiadanie broni atomowej. Stosunki z Kairem były dobre, to jednak nie oznaczało, że będą takie w przyszłości. Egipt, jak każdy arabski kraj, borykał się z grupami fundamentalistów, którzy najchętniej wprowadziliby teokrację.

Postanowiono, że Mercer, Cali i Booker pojedą tam jako turyści i przeprowadzą rozeznanie. Jeśli pojawi się taka możliwość, spróbują wykraść alembik. Jeden z krążowników z wyrzutniami rakiet kierowanych miał za kilka dni przepływać przez Kanał Sueski, gdyby więc zdobyli alembik, będą mogli opuścić Egipt na jego pokładzie. Lokalizacja grobu Aleksandra zostanie ujawniona stronie egipskiej, a Stany Zjednoczone zyskają na tym również

politycznie. Jeżeli zaś nie uda się zdobyć alembiku, amerykańscy dyplomaci rozważą inne rozwiązanie.

Chociaż dolina Shu'ta zaczynała się kilometr od brzegu Jeziora Nasera, Mercer wolał nie korzystać z samolotu ani helikoptera. Musieli przewieźć sporo sprzętu, a niespecjalnie wierzył w dyskrecję lokalnych firm transportowych.

Sykes z samego rana udał się na poszukiwanie odpowiedniej jednostki.

- Co masz? - zapytał Mercer. Book uśmiechnął się szeroko.

- Mam nadzieję, że zapisujesz, ile rząd jest ci winny. Bo jedyne, co nam pasowało, to oryginalna Riva.

Mercer znalazł legendarną markę luksusowych włoskich motorówek, mógł więc sobie wyobrazić cenę za wynajem.

- Aż tak źle?

- Dwudziestometrowy mercurius. Miejsca dla czterech osób. Kompresor do butli płatny ekstra. Gość, który podpisywał wszystkie papiery, twierdzi, że to cudeńko potrafi się rozpędzić do czterdziestu węzłów. Nie mielibyśmy jej, gdyby pewna para z Niemiec nie odwdąła dziś rano rezerwacji. Mąż zastał żonę w łóżku swojego partnera biznesowego i uznał, że romantyczna podróż nie jest dobrym pomysłem. A że nie chcemy korzystać z usług ich załogi, stawka wyniesie dwa tysiąki za dobę.

Cali jęknęła.

- Admirał Lasko będzie musiał się popisać wyjątkową kreatywnością na najbliższym przesłuchaniu w sprawie budżetu.

Mercer zsunął z czoła okulary przeciwsłoneczne.

- Kiedy możemy ruszać?

- Właśnie kończą tankować paliwo.

Wymeldowali się z hotelu, płacąc za trzy pokoje kartą kredytową Mercera, i promem dopłynęli na deptak w Asuanie, gdzie natychmiast dopadła ich chmara lokalnych handlarzy. Oferowali figurki, pocztówki, koszulki i mnóstwo innej tandety, jaką sprzedaje się turystom na całym świecie. Niedaleko poczty czekała taksówka. Dziesięć minut później mijali Tamę Asuańską - trzypółkilometrową betonową zaporę, która spiętrzała wody Nilu.

Powstała w latach sześćdziesiątych XX wieku, kosztowała miliard dolarów. Część tej sumy wyłożył Związek Radziecki, chcąc w ten sposób zyskać przychyłność regionu, a część egipski rząd, przeznaczając na budowę przychody z opłat za korzystanie z Kanału Sueskiego. Żeby zrobić miejsce na sztuczne jezioro o powierzchni ponad pięć tysięcy kilometrów kwadratowych, wysiedlono niemal sto tysięcy ludzi, oferując im w zamian często nieurodzajne ziemie i trudne warunki. Dwadzieścia antycznych świątyń - w tym słynną Abu Simbel na południu i File pod Asuanem - przeniesiono w inne miejsca, ale mnóstwo stanowisk archeologicznych zniknęło na zawsze pod wodą, a jeszcze więcej miejsc pozostało nieodkrytych.

Tama spełniła swoje zadanie zapobiegania powodziom, lecz zablokowała również transport żyznych osadów, które dawniej trafiały na zalewane pola, i teraz rolnicy musieli sprowadzać miliony ton nawozów rocznie. Delta Nilu zaczęła erodować, bo woda nie niosła już ze sobą piasku, który przez tysiąclecia osadzała tam rzeka, a słona woda z Morza Śródziemnego zaczęła się ęgać Kairu.

Zatrzymali się przy niewielkiej marinie nad Jeziorem Nasera, piętnaście kilometrów na południe od Asuanu. Mercer zapłacił kierowcy, a Booker wyjął bagaże. Wody jeziora miały piękny błękitny kolor i skrywały potężne głębiny, sięgające prawie dwustu metrów. Mercer pomyślał, że podobnie wygląda Jezioro Powella w Utah, gdzie rzeka Kolorado trafia na przeszkodę w postaci Glen Canyon Dam. Nie minęła jeszcze dziesiąta rano, ale słońce grzało już niemiłosiernie, torturując spaloną ziemię.

Egipcjanin z wypożyczalni przywitał się z Bookerem, jakby byli dawno rozdzielonymi braćmi, i polecił dwóm pracownikom zanieść bagaże gości na pirs. Wśród łodzi mieszkalnych, ślizgaczy i stateczków turystycznych ich riva wyglądała jak koń pełnej krwi między szetlandzkimi kucami.

Była duża, ale sprawiała wrażenie lekkiej jak piórko. Miała małą platformę dla nurków z tyłu i otwarty kokpit nad głównym salonem. Kadłub pomalowano na czarno, a wszystko nad nim, łącznie z podstawą radaru i samą anteną, było nieskazitelnie białe. Złote litery na burcie układały się w imię „Isis”. Pod tylnym pokładem znajdowała się maszynownia z dwoma potężnymi silnikami MAN o mocy tysiąca trzystu koni mechanicznych. Mercer uznał, że agent nie kłamał, mówiąc o maksymalnej prędkości.

Cali poklepała Bookera po policzku.

- Przynajmniej ty wiesz, jak należy traktować kobiety. Mercer wybrałby łódź wiosłową.

- A ja bym robił za napęd - zaśmiał się komandos.

Pracownik wypożyczalni oprowadził ich po jachcie. Pokazał, jak zdjąć biały ponton z haków, jak uruchomić kompresor i gdzie jest schowany sprzęt do nurkowania. Potem zeszli pod pokład. Meble w kabinach zostały wykonane z drewna i naturalnej skóry, a pościel na łóżkach powleczono w jedwabne poszewki. Były tam dwie łazienki i kuchnia, niezbyt duża, ale za to bardzo funkcjonalna i z lodówką wypełnioną po brzegi. W salonie ustawiono szafki z zapasami. Mercer znalazł w jednej z nich dobrze wyposażony barek i uznał, że jest już zadowolony.

Egipcjanin, który miał ze sobą przenośny terminal, przesunął przez niego kartę kredytową. Jeśli nawet tygodniowa wyprawa dwóch mężczyzn i kobiety na tym ociekającym luksusem jachcie dla milionerów budziła jego obiekcje, zatrzymał je dla siebie.

- Pomyśl, ile zyskasz punktów za przeloty w te wszystkie fajne miejsca - pocieszył Mercera Booker.

- Gdy to się wreszcie skończy, będę miał dość punktów, żeby mi za darmo odpalili miejsce na promie kosmicznym.

Główna kabina, wyposażona w duże łóżko i osobną łazienkę, znajdowała się pod pokładem dziobowym. Zajęła ją Cali. Book już wcześniej wrzucił swoje bagaże do mniejszej kabiny, więc Mercer musiał się zadowolić niewielkim łóżkiem w ciasnym pomieszczeniu w rogu. Sykes spojrzął na niego i rzekł z uśmiechem:

- Do cholery, chłopie, idź tam i rób swoje. - Wskazał drzwi kabiny Cali.

Mercer się skrzywił.

- Gdybyś się nie przypałał - burknął - już dawno zostałbym tam zaproszony.

Booker tylko pokręcił głową i ruszył na górny pokład.

Mercer rzucił swoje rzeczy na łóżko i włożył krótkie spodenki i T-shirt. Cali wyszła z kabiny. Była w szortach i górze od bikini. Rude włosy opadały jej falą na ramiona. Mercer, który jeszcze nie widział jej tak skąpo ubranej, musiał się przyznać, że jego wyobraźnia nie nadała za doskonałością jej ciała. Piersi były niewielkie, ale jędrne i proporcjonalne, a nogi zdawały się nie mieć końca. Gładką skórę znaczyły punkciki piegów.

- Wybacz za te kabiny - powiedziała z przeproszającym uśmiechem - ale sam rozumiesz, z Bookerem na pokładzie czułabym się niezręcznie.

- Nie ma sprawy - odparł, stając tak blisko, że poczuł zapach jej kremu przeciwśłonecznego. - Gdybym nie doprowadził cię do orgazmu po pierwszych pięciu sekundach, nabijałby się ze mnie do powrotu do Stanów.

- Świntuch - skwitowała ze śmiechem.

Egipcjanin z wypożyczalni wciąż stał na nabrzeżu. Nie odrywał wzroku od roznegliżowanej Cali, nawet kiedy zrzucał cumy.

Mercer odpalił silniki, poczekał, aż się rozgrzeją, a potem otworzył przepustnice i wycofał łódź z miejsca przy pirsie. W porcie panował spory ruch. Mijali łodzie rybackie, małe stateczki turystyczne wracające z sześciodniowych wycieczek po jeziorze i nieliczne jachty. Mercer utrzymywał prędkość poniżej dziesięciu węzłów i obserwował reakcje łodzi na ruchy sterem. Nie zdziwiło go, że była zwrotna i szybka jak skuter wodny.

Kilkoro turystów pomachało im, kiedy wychodzili z portu, natomiast rybacy albo ich ignorowali, albo spoglądali z pogardą. Gdy znaleźli się na otwartej wodzie, Mercer dodał gazu. Wielka łódź zareagowała błyskawicznie. Po kilku minutach przecinali taflę jeziora z prędkością trzydziestu ośmiu węzłów.

Usłyszał śmiech Cali przebijający się przez ryk silników i świst wiatru.

- Kocham jachty! - zawołała. Miała rumieńce na twarzy i patrzyła na niego rozszerzonymi źrenicami. Prędkość wyraźnie ją podniecała. Mercer znów przeklął obecność Bookera. Zerknął przez ramię. Sykes wszystko obserwował i kiedy zauważył spojrzenie Mercera, posłał mu wymowny grymas.

Trzymali się z dala od najbardziej uczęszczanych szlaków wodnych, więc mieli wrażenie, że całe jezioro należy tylko do nich. Mercer przygotował lunch i rozkoszował się smakiem tostów posmarowanych humusem, którym karmiła go Cali. Chociaż piwo warzono w Egipcie już przed tysiącami lat, obecnie - jak przystało na kraj muzułmański - nie było tu żadnych browarów. Zdecydował się więc na włoskie piwo Peroni z lodówki.

Kolejno stali na mostku i tak mijali im dzień. Kiedy przyszła kolej Cali, włożyła długie lniane spodnie, lekką koszulkę i czapkę z daszkiem, żeby chronić się przed słońcem.

O wpół do siódmej skręcili na zachód, jakby gonili słońce chowające się za horyzontem. Wieczór zalał krajobraz zatoki, do której właśnie wpływali, setką odcieni czerwieni. Mercer pomyślał, że Cali będzie wyjątkowo pięknie wyglądać w takim świetle.

Zgodnie z GPS-em, dolina Shu'ta zaczynała się na końcu tej właśnie zatoki, wcinającej się w Pustynię Nubijską. Brzeg, głównie z piaskowca, stromo opadał do wody. Okolice była bezludna, nie widzieli też śladów dawnych domostw. Jedyne rośliny w zasięgu wzroku, kolczaste akacje na okolicznych wzgórzach, wodę czerpały z tego, co odparowało z jeziora. Teren

dookoła był równie nieprzyjazny jak powierzchnia Księżyca, tyle że Księżyc jest znacznie lepiej zbadany.

Kilka kilometrów od nadbrzeża Mercer zdecydowanie zwolnił.

- Co się stało? - spytała Cali, zaniepokojona zmianą prędkości.

Wskazał łódź zbliżającą się w ich kierunku z zachodu. Z tej odległości nie dało się stwierdzić, co to za jednostka, ale Mercer wątpił, by byli na niej rybacy albo turyści.

- W każdym horrorze - rzekł - jest taka scena, w której główny bohater mówi, że ma złe przeczucia. Kojarzysz?

- Aha.

- Mam złe przeczucia.

Booker wyszedł z kuchni, gdzie przygotowywał kolację.

- Jesteśmy na miejscu?

- Mamy towarzystwo.

- Poli?

- Całkiem możliwe. Miał czas, żeby zrobić dokładne zdjęcia obelisku, kiedy ludzie Dayce'a zajmowali się mordowaniem mieszkańców wioski. A to jest ostatnie miejsce na ziemi, gdzie może zdobyć naturalny pluton.

- Jaki masz plan?

Mercer schował się pod pokładem, żeby ludzie na łodzi nie mogli go zobaczyć.

- Poli nie wie o tobie, więc może jak zobaczy czarnego, nie będzie niczego podejrzewał. Jesteście turystami i spędzacie tutaj podróż poślubną. Ja znikam. - Doszedł do schodów i już go nie było.

Booker objął Cali, kiedy druga łódź była sto metrów od nich. Teraz widzieli wyraźnie, że to zwinna ośmiometrowa motorówka w barwach wojskowych. Na pokładzie stało dwóch mężczyzn w mundurach. Sykes natychmiast dostrzegł kabury z bronią.

Jeden z nich powiedział coś, czego nie zrozumieli, ale gest był nader wymowny. Kazał zgasić silniki. Komandos zmniejszył obroty.

- Joł, ziomy, co tam?! - ryknął, zachowując się jak czarny raper.

Mężczyźni znowu odezwali się po arabsku.

- Nie czaję cię, kolo! Mów jak człowiek, to będzie gadka.

- To teren manewrów wojskowych, musicie stąd odpłynąć - jeden z mundurowych przeszedł na angielski.

Booker rozejrzał się po pustym wybrzeżu.

- Nie widzę żadnych wojskowych, gościu.

- Ile osób jest na pokładzie?

- Tylko ja i moja dupa.

Łodzie zbliżyły się do siebie na tyle, że jeden z Egipcjan przeskoczył na platformę nurkową.

- Co ty, kurwa, wyprawiasz?! - ryknął Booker. Wojskowy na łodzi sięgnął po broń i wycelował w niego.

Sykes podniósł ręce i uśmiechnął się.

- Wyluzuj, koleś, na żartach się nie znasz? I schowaj tego gnata. Chcesz obejrzyć porządną łódkę, to wskakuj.

Żołnierz był już na pokładzie. Zszedł do salonu, zaglądał do kolejnych szafek. Sprawdzał prysznice, spiżarnię i wszystkie schowki, w których mógłby schować się człowiek. Riva była dużą łodzią, ale z otwartym pokładem, więc

poszukiwania nie trwały dłużej niż minutę. Potem wszedł na mostek, przyjrzał się Bookerowi i Cali, a następnie zeskoczył na platformę, wrócił do swojego kompana i pokręcił głową. Sternik chwycił radio i powiedział coś po arabsku.

Kiedy skończył, spojrzął na Bookera.

- Możecie płynąć. Komandos się uśmiechnął.

- Już spadamy, bro.

Przesunął dźwignię przepustnic niemal do końca i zakręcił kołem. Potężna fala podrzuciła małą łódeczką Egipcjan, musieli więc ucześcić się relingu, żeby nie spaść do wody. Booker wyrównał i zmniejszył obroty. Ruszyli z powrotem, a Cali uważnie obserwowała, co się za nimi dzieje. Przez kilka minut wojskowi krążyli w miejscu, prawdopodobnie żeby się upewnić, czy nikt nie wyskoczył z jachtu w akwalungu. Wreszcie odpłynęli.

Mercer wyszedł spod pokładu, dopiero gdy znaleźli się poza zasięgiem wzroku tamtych.

- Gdzie się schowałeś? - zapytała Cali. - Przecież on przetrząsał całą łódź.

- Pod pontonem na rufie. Minał mnie, bo nie wiedział, że można tam zajrzeć. I co o nich myślicie?

- Mówili coś o manewrach, ale na pewno nie byli żołnierzami - odparł Booker.

Cali spojrzała na niego zdziwiona.

- Nie? No to mnie nabrali.

- Armia egipska ma mundury podobne do brytyjskich. Ci goście mieli mundury polowe armii amerykańskiej, ale żaden nie miał naszytych insygniów. No i pasy nie były od kompletu. Łódkę tylko pomalowali w wojskowe kolory, bo to cywilna jednostka. Poniżej linii wody była biała.

Mercer zastanawiał się chwilę. Plan, żeby wszystko załatwić po cichu, spalił na panewce. Poli znów był o krok przed nim. Prawdopodobnie wysłał swoich ludzi na pustynię tuż po znalezieniu kolumny. Mieli dość czasu, by znaleźć się o krok od grobowca.

- Musimy się tam dostać i zobaczyć, jak daleko zaszli.

JEZIORO NASERA, EGIPT

Powtórz - rozkazał Poli, wysłuchawszy meldunku.

- Na jachcie było tylko dwoje ludzi - powiedział dowódca łodzi. - Kobieta i mężczyzna.

- Narodowość?

- Amerykanie.

- Mercer - syknął Poli. - Metr osiemdziesiąt pięć, umięśniony, ale nieprzypakowany, ciemne włosy i szare oczy.

- Nie. Znacznie wyższy. Co najmniej dwa metry. Bardzo muskularny. I czarny, kaffir.

Feines nie wiedział, co o tym myśleć. Był pewien, że Mercer musiał zdawać sobie sprawę ze znaczenia obelisku. Bez wątpienia kazał porobić jego zdjęcia i dał do przetłumaczenia hieroglify. Ale przecież wtedy byłby już tutaj. Czyżby więc jednak się poddał?

- Jesteś pewien, że nikogo więcej nie było na pokładzie? -zapytał strażnika na łodzi.

- Tak. Tawfiq dokładnie przeszukał łódź.

- Dobra, niech płyną i nie wracają.

- Zrozumiałem.

Poli rozłączył się i odwiesił radio. Dookoła niego wyrastała z piasku mała osada pięćdziesięciu robotników i strażników, których zorganizował Mohammad bin Al-Salibi. Większość była Saudyjczykami lub Irakijczykami wyszkolonymi w obozach al Kaidy w Pakistanie i Syrii. Poli zyskał ich szacunek już pierwszego dnia, kiedy jeden ze strażników splunął mu pod nogi, słysząc jakiś rozkaz. Feines spokojnie wyciągnął pistolet, zastrzelił strażnika, a innym przekazał przez tłumacza, że nie jest on męczennikiem, tylko skończonym idiotą, który powinien był zobaczyć w nim sprzymierzeńca, nie zaś wroga.

Gdy atak na Noworosyjsk zakończył się kląpą i nie przyniósł pożądaných efektów, Salibi zaczął dosłownie żebrać, żeby Poli odnalazł dla niego alembik Skenderbega. Błagania Saudyjczyka nie odniosły skutku, ale obietnica dodatkowych dwudziestu milionów dolarów - tak. Feines zgodził się, choć zastrzegł, że nie może niczego zagwarantować.

Pojechał do Odessy, a stamtąd samolotem do Kairu. Salibi skontaktował go z łącznikiem al Kaidy w regionie, który zorganizował wszystko, co było

potrzebne, łącznie z tłumaczem hieroglifów. Oczywiście naukowiec potem zginał, żeby tajna misja pozostała tajna. Największe opóźnienie było spowodowane koniecznością znalezienia doświadczonych nurków, bo Feines szybko zdał sobie sprawę, że grób musi się znajdować pod powierzchnią Jeziora Namera.

Kiedy już rozpoczęli prace na miejscu, okazało się, że nurkowanie nie będzie konieczne. Jakies pięćset lat po tym, jak ludzie Skenderbega umieścili alembik w grobowcu Aleksandra Wielkiego, trzęsienie ziemi rozpołowiło skałę z piaskowca, która górowała nad doliną Shu'ta. Jedna ze szczelin była zbyt prosta, by powstała naturalnie. Poli zbadał ją bliżej i odkrył, że to tunel prowadzący z dna doliny i zavalony wskutek trzęsienia ziemi. Wysłał więc kilka ekip, by zaczęły kopać w miejscu, gdzie, jak zakładał, sklepienie było wciąż całe. Zagłębili się już na dwa metry w skałę.

Niedaleko brzegu stała kilkunastometrowa barka, którą kupił w Asuanie i planował wykorzystać jako platformę nurkową. Kupił też dwie motorówki, które miały odpędzać inne łodzie, gdyby zapuściły się zbyt blisko miejsca prac.

Z jednego z namiotów wyszedł Mohammad bin Al-Salibi. Smągła twarz o poważnym wyrazie i tradycyjna śnieżnobiała galabija sprawiały, że wyglądał wyjątkowo dostojnie. Wszyscy ustępowali mu z drogi i pozdrawiali go z szacunkiem lub dotykali z namaszczeniem skraju jego szaty. Może i byli fanatykami, ale wiedzieli, kto im płaci.

- Z kim rozmawiałeś przez radio? - zapytał Salibi.

- Ze strażnikami na łodzi. Zatrzymali jacht motorowy osiem kilometrów stąd. Turyści.

- To dobrze. - Salibi rozejrzał się po obozie. W krótkim czasie udało im się wykonać wspaniałą robotę. Wszystkie namioty stały prosto, kuchnie polowe regularnie wydawały posiłki, a robotnicy posłusznie wykonywali swoje zadania. - Ile to jeszcze potrwa?

- Nie mam pojęcia. Tunel może być kilka centymetrów lub kilka metrów pod nami. Ale mogłem też całkowicie się pomylić co do założeń. Wtedy trzeba będzie nurkować i szukać wejścia pod wodą. No i musimy być przygotowani na taką ewentualność, że grobowiec się zawalił w czasie któregoś z trzęsień ziemi i nigdy go nie znajdziemy. Ani my, ani nikt inny.

- Allan patrzy na nas przychylnym okiem, wiem o tym. - Salibi spojrział na zatokę i mówił dalej: - Zawiedliśmy w Noworosyjsku tylko dlatego, że Jemu ten plan się nie spodobał. To nie było na miarę naszych możliwości i umiejętności. Kiedy znajdziemy alembik, uderzymy w samo serce naszego wroga.

- Czyli gdzie? - spytał Poli. Doskonale wiedział, że Saudyjczyk robił to wszystko dla własnych korzyści, a nie dla chwały Bożej, ale to, jak ukrywał prawdziwe pobudki za natchnionym bełkotem, było naprawdę fascynujące.

- Kluczem jest Turcja. Jej przywódcy to bezbożnicy, którzy za nic mają szariat, święte prawo islamu. Jeśli pokażemy tureckiemu ludowi, że jego przywódcy nie są w stanie go obronić, naród powstanie, obali bezbożników za ślepionych zachodnimi wpływami i powróci do prawdziwej wiary.

Tak, pomyślał Poli. Lud wróci do wiary swoich ojców, a ty dostaniesz do ręki narzędzie, dzięki któremu odetniesz dopływ ropy wędrującej rurociągami

przez Turcję i uniemożliwisz tankowcom wpływanie na Morze Czarne przez Bosfor.

- Walczymy o rząd dusz, bo Turcy zaczęli wierzyć, że kobiety powinny mieć swoje prawa, a państwo i Kościół nie są jednością. Oni muszą odzyskać wolność postępowania według zasad swojej wiary. Muszą wiedzieć, że Bóg ich kocha. Moim marzeniem jest dołączenie do męczenników, którzy poświęcą swoje życie w Stambule, by doprowadzić do rewolucji, która przywróci islamowi należne mu miejsce.

- Czyli pluton zostanie wykorzystany do ataku na Stambuł?

- Tak. Tak samo jak w Rosji, tyle że tym razem nie zawiedziemy.

Feines pomyślał o czterestu milionach mieszkańców tego miasta i wzruszył ramionami.

- Róbcie, co chcecie.

W niewielkiej zatoczce trzydzieści kilometrów dalej Mercer zgasił silniki i rzucił kotwicę. Po kilkunastu godzinach hałasu cisza wydawała się aż gęsta. Wcześniej za pomocą telefonu satelitarnego połączyli się z admirałem Lasko i przekazali mu najnowsze wiadomości. Ustalili, że zanim raport trafi na biurko prezydenta, dokładnie się przyjrzą, co się dzieje w zatoce.

Zjedli kolację, a potem włożyli ciemne ubrania. Mercer pomyślał, że pod świadomie przewidzieli taki rozwój sytuacji, bo wszyscy spakowali rzeczy odpowiednie na nocną operację. Oczekali jeszcze godzinę, aż ostatnie promienie słońca znikną za horyzontem, i dopiero wtedy spuścili na wodę niewielki ponton.

Kiedy wsiedli do niego i załadowali zestaw do nurkowania, łódeczka niemal poszła pod wodę. Jedyłą bronią, jaką mieli, były piętnastocentymetrowe noże dla nurków i kilogramowy młotek, który Booker znalazł w skrzynce z narzędziami.

Kierując się wskazaniem przenośnego GPS-u, przepłynęli trzy kilometry w stronę miejsca, gdzie zostali zatrzymani przez łódź patrolową terrorystów. Potem Book zwolnił obroty i pokonali jeszcze kilometr.

Wreszcie dotarli do brzegu i wspólnymi siłami wyciągnęli ponton z wody.

- Bierzymy butle ze sobą czy zostawiamy? - spytał Sykes. Mieli ponad trzydzieści kilogramów wyposażenia i perspektywę kilkukilometrowego spaceru przez pustynię.

- Zostawiamy - zdecydował Mercer. - Weźmiemy je, jak wrócimy.

Szli gęsiego, w sporych odstępach. Booker na przodzie, Cali w środku, a Mercer zamykał pochód. Komandos wybrał drogę nieco naokoło, żeby uniknąć strażnicy, które Poli bez wątplenia wystawił. Mieli ze sobą GPS, więc nie było obawy, że zabłądzą w ciemnościach. Poruszali się jednak bardzo wolno, bo musieli uważać, żeby nie potknąć się o któryś z kamieni rozrzuconych tu i ówdzie na piaszczystym podłożu. Przyspieszyli, dopiero kiedy wzeszedł księżyc i zalał ziemię srebrzystą poświatą.

Panowała cisza, którą rozpraszały jedynie szum wiatru i odgłos ich kroków.

Po godzinie marszu Book uniósł dłoń i położył się na ziemi. Wyglądało to, jakby nagle zniknął. Jeszcze sekundę wcześniej Mercer go widział, a teraz nie dostrzegał nawet śladu przyjaciela. Razem z Cali przykucnęli, zeszli do niewielkiego wąwozu po wyschniętym strumieniu i wyjrzeli nad krawędzią na drugą stronę. Zobaczyli srebrzystą taflę jeziora, które sięgało po sam

horyzont. I namioty, przynajmniej dwanaście. Przy brzegu stała przycumowana motorówka, taka sama jak ta, która ich zatrzymała, a obok niej znacznie większa jednostka, ni to barka, ni to łódź mieszkalna. Nawet z tej odległości widać było, że na pokładzie jest strażnik z ciężkim karabinem maszynowym.

Przez szum generatora przebił się odgłos kroków.

Przez lornetkę, którą podał mu Book, Mercer dostrzegł patrol. Dwóch mężczyzn z karabinami okrężyło obozowisko, a trzeci strażnik stał w pobliżu łodzi, na brzegu. Przy ognisku siedziało półkolem kilku ludzi i słuchali jakiegoś mężczyzny. Na ich twarzach Mercer dostrzegł fascynację.

- Chyba tylko uderzenie lotnictwa mogłoby cokolwiek dać - szepnął Booker.

Mercer pokiwał głową, wpatrzony w miejsce, gdzie ludzie Polego rozkopywali brzeg wzgórza górującego nad zatoką. Stanowisko, oświetlone halogenami na kratownicach, znajdowało się w połowie pęknięcia, które biegło w stronę wody. Mercer narysował w myślach linię łączącą pęknięcie, wykopaliska oraz wodę i uświadomił sobie, że jeśli jest tam tunel, to prowadzi na samo dno doliny, czyli do miejsca, gdzie według inskrypcji na kamiennym słupie miał się znajdować grobowiec Aleksandra Wielkiego. Podczas pobytu w Egipcie przed kilkoma laty zwiedził z Salome Dolinę Królów. Egipcjanie kopali bardzo długie tunele wewnątrz gór i chowali tam zmarłych faraonów. Wyobraził sobie, jak musiała wyglądać dolina Shu'ta, zanim zalano ją wodą. Przypominała miejsce pochówku wielu faraonów, więc zapewne i tutaj pochowano wielkiego władcę. Jedyna różnica polegała na tym, że egipskie tunele schodziły coraz głębiej w środek góry, a ludzie Aleksandra wykuli tunel z dna doliny w kierunku szczytu.

- Dotrą do alembiku jutro, najpóźniej pojutrze - szepnął. - Jeśli po zawaleniu się tunelu zostało takie pęknięcie, korytarz nie może być głębiej niż cztery, pięć metrów pod powierzchnią.

- To co robimy?

- We trójkę nic tu nie zdziałamy. Oni mają całą armię.

- A jeśli będzie nas więcej niż troje?

Pytanie dobiegło zza jego pleców. Mercer obrócił się płynnym ruchem, jednocześnie wyciągając nóż. Ibriham Ahmad zbliżył się tak cicho, że nawet Booker go nie usłyszał. Ubrany był jak zwykle w czarny garnitur i, nietypowo, czarną koszulę. Koło niego stało jeszcze pięciu mężczyzn. Wszyscy mieli ubrania maskujące, uprząż taktyczną z magazynkami amunicji i bardzo nowoczesne karabiny automatyczne. Był wśród nich uczeń Ahmada Devrin Egemen. Kiwnął głową na powitanie, kiedy zauważył spojrzenie Mercera.

- Powinienem być się domyślić - powiedział Ahmad ze szczerym podziwem.

- A ja powinienem być wiedzieć, że kłamaliście, twierdząc, że nie znacie położenia grobu Aleksandra - odparł Mercer. - Od dawna tu jesteście?

- Dwóch moich ludzi pilnowało wejścia do grobowca, od kiedy Feines po raz pierwszy skontaktował się ze mną kilka miesięcy temu. Ja przyjechałem dziś wieczorem.

- Czyli wiecie, że lada dzień znajdą wejście? Ahmad pokiwał głową.

- Nigdy nie sądziłem, że tak łatwo im pójdzie. Dopiero gdy Poli zaczął wykopy, zdałem sobie sprawę, jaki byłem naiwny. Żałuję, że nie mam więcej ludzi, bo musimy zaatakować dziś w nocy.

- Zwariowaliście? - syknęła Cali. - Przecież ich jest pięćdziesięciu albo i więcej, a was dziesięć razy mniej.

- Caribe Dayce miał ponad stu ludzi.

Mercer przypomniał sobie skuteczność ataku janczarów. Z jego szacunków wynikało, że Caribe dysponował przynajmniej stu pięćdziesięcioma żołnierzami, a zespół Ahmada położył ich trupem w ciągu kilku minut, nie tracąc ani jednego człowieka.

- Wtedy też was było sześciu? - spytał z niedowierzaniem.

- Nie. Devrin był wtedy w Stambule, więc zaatakowaliśmy w piątkę. Janczarowie to wojownicy, doktorze Mercer.

- Mercer wspomniawszy mi o waszym wyczynie w Afryce - wtrącił Booker. - Ale rozwalenie zgrai zapijaczonych i naćpa-nych nastolatków to zupełnie co innego niż walka z pięćdziesięcioma wyszkolonymi terrorystami.

- Nie mamy wyboru - Ahmad nie widział pola do dyskusji.

- To samobójstwo - powiedziała Cali. - Wiecie, do czego oni są zdolni. Będą się wysadzali w powietrze, jeśli uznają, że w ten sposób zabijają choćby jednego z was.

- Profesor ma rację, Cali - przerwał jej Mercer. - Nie ma innego wyjścia. - Nie mógł uwierzyć, że to powiedział, a jeszcze bardziej w to, co zamierzał zrobić. - Idę z wami. Jaki jest plan?

Zanim Ahmad zdążył odpowiedzieć, z obozu terrorystów dobiegły głośne krzyki. Rzucili się do krawędzi wąwozu i popatrzyli w tamtą stronę. Kilku robotników tańczyło z radości, wrzeszcząc i wymachując łopatomi. Strażnicy, kiedy zorientowali się, że przebili strop tunelu do grobowca, rozpoczęli tryumfalną kanonadę. Jeden popędził w stronę namiotów. Zanim dotarł do celu, na zewnątrz wyszedł Poli ubrany tylko w spodnie i wysokie buty. Szerokość jego klatki piersiowej przekraczała wszelkie wyobrażenie, a umięśnione ramiona wyglądały jak kloce drewna. Rzucił się biegiem w kierunku wykopu.

Mężczyzna, który wcześniej przemawiał do grupki terrorystów, ruszył za nim.

- Cholera, przebili się - mruknął Mercer.

Ahmad nie patrzył na świętujących robotników. Przyglądał się mężczyźnie w białej galabii, a jego twarz wykrzywiła nienawiść.

- Al-Salibi.

- Sponsor operacji? - zapytała Cali. - Ten, który pracuje dla OPEC?

- Wykorzystuje islam jako narzędzie do zdobycia władzy i pieniędzy - wyjaśnił Devrin, spoglądając na Araba z równie wielką nienawiścią jak nauczyciel.

Poli wpadł między wiwatujących, rozepchnął bojowników al Kaidy i stanął na brzegu wykopu. Chwilę później dołączył do niego Al-Salibi. Klepnął potężnego najemnika w ramię i uśmiechnął się szeroko.

- Udało ci się, przyjacielu! - zawołał.

Poli nigdy by nie wybrał kogoś takiego na przyjaciela, ale nie powiedział tego głośno.

Otwór był kwadratowy i miał ponad półtora metra po przekątnej. Ściany tunelu poniżej ułożono z dopasowanych kamiennych bloków. Poli przesuwiał po nich światłem latarki. Były całe poryte hieroglifami. Nie widział dna, bo tunel został częściowo zalany. Woda musiała sączyć się przez piaskowiec, a

kiedy wpadała do środka, nie mogła już się wydostać. Krzyknął, żeby ktoś podał mu linę. Jednym jej końcem obwiązał pobliski głaz, a drugi zrzucił do wnętrza wykopu i, wykorzystując jedynie siłę ramion, zszedł do środka. Kiedy dotarł do powierzchni wody, ostrożnie zaczął szukać stopami dna. W końcu, zanurzony po pierś, stanął na podłodze. Tunel miał około pięciu metrów wysokości i tyle samo szerokości. Poli poświecił latarką za siebie i zobaczył miejsce, w którym zapadł się sufit. Poświecił w drugą stronę, ale światło nie znalazło żadnej przeszkody i ginęło w ciemności. Korytarz wspinał się kolejne sto metrów w górę, zanim docierał do szczytu wzniesienia.

Poli kazał opuścić reflektory do tunelu i przynieść więcej liny, a następnie wysłał jednego z terrorystów do swojego namiotu po koszulę, licznik Geigera i zestaw do nurkowania, gdyby się okazał potrzebny. Dziesięć minut później wszystko było gotowe. Al-Salibi przebrał się w praktyczniejsze rzeczy i dołączył do najemnika, biorąc ze sobą tylko dwóch najbardziej zaufanych ludzi.

Każdy centymetr kwadratowy ścian i sklepienia był pokryty gęstą siatką hieroglifów. Przekaz miał ponad dwa tysiące lat i opowiadał historię życia Aleksandra. Naturalne barwniki w niektórych miejscach wciąż wyglądały świeżo, jakby zostały nałożone całkiem niedawno. Jeden z terrorystów podszedł do ściany i nożem zdrapał twarz kogoś z bogów. Pozostali zaczęli się śmiać.

Poli przywiązał butle do liny i ruszył przed siebie, unosząc reflektor wysoko nad głową. Niższy z Arabów musiał częściowo płynąć, żeby dotrzymać mu kroku.

- Nie mamy czasu do stracenia - powiedział Ibriham. - Alembik trafi na łódź, gdy tylko go znajdą.

- My też mamy łódź.

- Macie? To doskonale. Ile wam zajmie dostanie się do niej?

Mercer obliczył, dodał na wszelki wypadek pół godziny zapasu i spojrzał na zegarek.

- Do drugiej nad ranem.

- Łódź może się okazać niezbędna - stwierdził Ahmad. Mercer spojrzał na Cali.

- Zajmiesz się tym?

- Chyba nie próbujesz mnie chronić? - zapytała z lekką irytacją.

No cóż, próbował. Nie chciał, żeby trafiła w ogień walki. Na razie mieli szczęście, ale nie było sensu teraz jej narażać.

Zastanowił się, czy robi to dla niej, czy raczej dla siebie. Pamiętał, jak trzymał w ramionach zakrwawione ciało Tisy, kiedy helikopter ratunkowy podnosił ich z tonącego statku. Nie zdążył jej powiedzieć, że ją kocha.

- Naprawdę chcesz tu być, jeśli nam się nie uda?

- A ty?

- Nie, ale jestem za to odpowiedzialny.

- Ja też czuję się odpowiedzialna - odparowała.

- Cali, tu nie chodzi o chronienie cię. Straciłem kogoś, kto był dla mnie bardzo, ale to bardzo ważny. Nie chcę przeżyć czegoś takiego jeszcze raz.

Pogładziła go po policzku.

- W porządku, Mercer, zajmę się tym. Ale pamiętaj, że ja to nie ona i nie musisz być moim rycerzem w błyszczącej zbroi, dobra?

- Dzięki - więcej nie przeszło mu przez gardło.

- Przyplynie tu na pełnym gazie punktualnie o drugiej. Ibriham zwrócił się do Cali.

- Jeśli zobaczy pani, że któraś z ich łodzi próbuje uciec, proszę za wszelką cenę ją zatrzymać. - Na wydany szeptem rozkaz jeden z jego ludzi podał jej karabin, a pozostali uzbroili obu Amerykanów.

Cali ostatni spojrzała na Mercera, ale go nie pocałowała.

- Trzymaj się - powiedziała.

- Ty też.

- Człowieku, ależ ty masz szczęście - stwierdził Booker, kiedy Cali zniknęła w ciemnościach. - Ognista kobieta.

Mercer nie odpowiedział, próbując skupić się na tym, co ich czekało za kilka minut. Oto stali się świadkami prawdopodobnie jednego z najdonioślejszych odkryć archeologicznych w historii ludzkości, którego wartości nie sposób przecenić. A jeszcze ważniejsza niż skarby zgromadzone wewnątrz była możliwość zbadania grobu największego bodaj geniusza militarnego wszech czasów. Aleksander Wielki stworzył mapę antycznego świata i wyznaczył na niej granice, które w nieco tylko zmienionej postaci obowiązywały do dziś. Teraz jednak przede wszystkim nie mogli dopuścić, żeby Poli i jego sponsor zdobyli alembik Skenderbega. Musieli zapobiec ludobójstwu. Archeolodzy wkroczą do akcji, dopiero kiedy oni skończą swoją robotę.

- Jaki jest plan? - powtórzył.

- Na dziesięć minut przed powrotem panny Stowe ruszamy do ataku.

- Do frontального ataku?

Ibriham przytaknął, a Mercer i Book pokręcili głowami.

- Możemy to lepiej rozegrać - rzekł Sykes i przedstawił swoją propozycję.

O pierwszej trzydzięści w obozie terrorystów zapanował względny spokój. Bojownicy rozmawiali w małych grupkach, wyraźnie zniecierpliwieni. Zapewne ktoś im obiecał, że zadadzą śmierć wielu wrogom. Tylko kilku poszło do namiotów, ale raczej nie zasnęli, bo raz po raz pohukiwały tryumfalne serie z kałasznikowów. Mercer i Devrin zajęli pozycję oddaloną o pięćdziesiąt metrów od kuchni. Booker okrążył obozowisko i zszedł na brzeg jeziora. Jego zadaniem było unieszkodliwienie strażnika na łodzi, by w czasie ataku nie zamienił pola walki w rzeźnię, prując z wielgaśnego karabinu zamontowanego na relingu.

Po raz pierwszy w życiu Mercer czuł, że jest gotów do walki. Pragnął zemsty na Polim i Al-Salibim. Adrenalina, która krążyła w jego żyłach, była jego ulubionym narkotykiem. Dzięki niej widział doskonale mimo ciemności, słyszał najlżejszy szept i szum fal na plaży, wyczuwał zapachy z kuchni, jakby stał nad garnkami.

Od Ibrihama dostał HK416, karabinek automatyczny kaliber 5,56, z dołączanym miotaczem czterdziestomilimetrowych granatów. W kieszeni spodni miał cztery dodatkowe magazynki po dwadzieścia kul każdy i dwa granaty. Nie znał tej broni, ale był pewny, że da sobie radę.

Sprawdził czas. Odruchowo robił to co kilkanaście sekund, bardziej z ciekawości niż z nerwów. Booker powinien być już w wodzie. Spojrzał na jezioro, ale nie dostrzegł przyjaciela, którego ciemna skóra stapiała się z mrokiem nocy.

Sykes płynął, wystawiając tylko czubek głowy i oczy nad powierzchnię. Duża łódź była niecałe pięćdziesiąt metrów od brzegu. Strzelec nie spał, ale i nie

rozglądał się dookoła. Patrzył na kolegów w obozie, żałując, że go tam nie ma.

Book zatoczył spore koło, aby zbliżyć się do łodzi od strony jeziora. Z okien barki wylewały się światło i arabska muzyka puszczana z kaset. Podpłynął do rufy, jak najdalej od strażnika. Chwycił się relingu i przywarł do burty. Nie chciał robić najmniejszego hałasu, więc zamiast podciągać się, przesunął nogę pod relingiem i wturlał się na pokład. Zrobił to bezgłośnie, a jego ruchy były tak płynne, że nawet nie zakolysał płaskodenną barką.

Wokół kwadratowej nadbudówki z trzech stron pozostawały tylko wąskie przejścia wzdłuż relingów. Jedynie na tylnym pokładzie, gdzie stał strzelec, było trochę otwartej przestrzeni. Booker ruszył na palcach, a kiedy dotarł do oświetlonego okna, przykucnął i przeszedł pod spodem. Milimetr po milimetrze ustawił się tak, by móc zajrzeć do środka. Zobaczył trzech Arabów. Dwaj siedzieli przy stole i czytali Koran, a trzeci spał na sofie.

Booker ponownie przykucnął. Spodziewał się, że na łodzi będzie więcej niż jedna osoba, ale nie spodziewał się aż czterech. Co gorsza, nie mógł sprawdzić, czy w kabinach nie ma kolejnych terrorystów. Sykes miał tak doskonale wycucie czasu, że nie musiał patrzeć na zegarek, by wiedzieć co do sekundy, ile minut minęło. Za sto dwadzieścia sekund Ahmad i jego ludzie rozpoczną atak.

Już dawno przestał liczyć zabitych wrogów. Kiedyś w ciągu jednej nocy w Mogadiszu zastrzelił około stu. Tych nie pamiętał. Ale doskonale pamiętał każdego z jedenastu ludzi, których zabił nożem. W koszmarach sennych przeżywał ich śmierć w najdrobniejszych szczegółach, od zapachu ich ostatniego posiłku do ciepła skapującej krwi. Wciąż czuł na dłoni twardy zarost wartownika, którego zlikwidował podczas operacji przeciwko wielkiemu handlarzowi narkotyków. Wciąż słyszał syk powietrza uchodzącego z przeciwnej tchawicy północnokoreańskiego marynarza, który pilnował niewielkiego okrętu podwodnego wyładowanego materiałami wybuchowymi. I widział ich oczy. Te oczy towarzyszyły mu zawsze, nawet na jawie.

Ostrożnie, żeby nie wywołać najłżejszego szelestu, wyciągnął nóż, który dostał od jednego z janczarów.

Mercer prześlizgnął się pod krawędzią namiotu kuchennego. Odczekał chwilę, żeby przyzwyczaić oczy do ciemności, i rozejrzał się. W namiocie znajdowały się dwie kuchenki, kilka dużych beczek z wodą i stoły, przy których jadano posiłki. Pod ścianą stało pojedyncze łóżko, a na nim spał męczyzna przykryty kocem. Ubranie kucharza leżało obok dywanika modlitewnego, a jego AK-47 zwisał z masztu pośrodku namiotu.

Mercer ostrożnie zbliżył się do łóżka i podniósł turban terrorysty. Nie miał pojęcia, jak go nosić, więc po prostu włożył go na głowę, a luźnym końcem zasłonił twarz. Zerknął na zegarek. Została minuta.

Popatrzył na śpiącego kucharza i przemknęło mu przez myśl, że chociaż to terrorysta, dostał takie zadanie, bo nie potrafił walczyć. Zdawał sobie sprawę, że tak byłoby lepiej, ale nie mógł zabić go z zimną krwią. Ogłuszył męczyznę kolbą karabinu, związał mu ręce za plecami i właśnie wkładał mu jakąś brudną szmatę do ust, kiedy wyczuł za plecami jakiś ruch. Obrócił się błyskawicznie, unosząc broń. Na szczęście to był Devrin.

- Za długo się z nim bawisz - powiedział Turek i podszedł do łóżka. Gdy zobaczył, że kucharz jest tylko nieprzytomny, spojrzął na Mercera z

niedowierzaniem. - Właśnie dlatego nigdy ich nie pokonacie. - Wbił Arabowi nóż w serce. - Jeśli nie błagają o litość, to jej nie okazuj.

Wytarł ostrze o koc, schował nóż do pochwy i razem wyszli z namiotu.

Booker dotarł do narożnika nadbudówki. Przed nim były jeszcze dwa metry odkrytego pokładu. Atak rozpocznie się za dwadzieścia sekund. Ruszył naprzód i po chwili znalazł się zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od strażnika. Ten wciąż nie wyczuł jego obecności. Stał oparty o barierkę i przyglądał się świętowaniu w obozie. Sykes był zadowolony, że nie musi spoglądać w oczy kolejnej ofierze.

W ostatniej sekundzie ani nie przyspieszył, ani nie zwolnił. Zrobił ostatni krok i wyciągnął ręce, by złapać terrorystę za głowę i poderżnąć mu gardło.

Wtedy ktoś coś zawołał z wnętrza nadbudówki. Strażnik oderwał się od barierki, obrócił i ujrzał obcą twarz czarnego człowieka. Lata treningu sprawiły, że komandos zareagował szybciej, niż Arab zrozumiał; co zobaczył. Ostrze noża przecięło szyję terrorysty, rozrywając chrząstki, żyły i mięśnie. Niewiele brakowało, a Sykes odciąłby mu głowę. Z głębokiej rany trysnęła krwawa fontanna, plamiąc pokład i skapując do wody.

Gdy ciało strażnika osunęło się na pokład, złapał za kolbę ciężkiego karabinu. Chciał go obrócić w kierunku nadbudówki, ale lufa poruszała się tylko o trzydzieści stopni w każdą stronę.

W drzwiach nadbudówki pojawił się drugi strażnik. Sykes rzucił nożem, prawie nie celując. Rękojeść uderzyła Araba w środek nosa, miażdżąc kości. Mężczyzna cofnął się, wyjąc z bólu. Booker z wściekłością kopnął karabin i musiał złamać jakieś zabezpieczenie, bo tym razem obrócił się dookoła. Aby strzelać pod właściwym kątem, Sykes musiał wyskoczyć za reling i znalazł spust w chwili, kiedy trzeci strażnik pojawił się w drzwiach. Wyprowadził atak o jedenaście sekund, ale nic nie mógł na to poradzić. Broń ożyła, zasypując pokład pustymi łuskami. Ciężkie pociski wepchnęły strażnika z powrotem do nadbudówki, wyrwały drzwi i poszatkowały cienkie deski ścian.

Nie widział, gdzie jest trzeci terrorysta, więc puścił reling i zawisł tylko na karabinie - mimo potężnej przewagi ognia był zbyt odkryty, a nie chciał stać się łatwym celem dla gościa wewnątrz czy jakiegoś snajpera na brzegu. Drugą ręką wyciągnął berettę, którą dostał od Ahmada, i wycelował w karabin. Zanim strzelił, z nadbudówki odezwały się dwa kałasznikowy. Booker pięć razy szybko pociągnął za spust. Ciężki karabin ucichł, kiedy jedna z kul trafiła w podajnik. Trzeba było go uszkodzić, żeby ludzie Polego nie mogli użyć go przeciwko nim. Sykes nabrał głęboko powietrza i wskoczył do wody, a potem zanurkował i półtora metra pod powierzchnią, by nie wywoływać fal, zaczął płynąć w kierunku brzegu.

W chwili, kiedy nad zatoką uniósł się dźwięk karabinu, Mercer ruszył biegiem przez środek obozu. Nie był ubrany tak jak Arabowie, ale liczył na to, że turban kucharza zapewni mu anonimowość. Terrorysty przestali wiwatować. Rzucili się do broni i spoglądali zdziwieni na łódź.

Mercer był w połowie drogi do osłoniętego wykopu, kiedy Ahmad i jego janczarowie zaatakowali obóz. Dwóch rozpoczęło ostrzał ze wzgórze za namiotami. Wykorzystując zaskoczenie, zastrzelili kilku terrorystów, zanim ktokolwiek się zorientował, z której strony nadlatują kule.

Po trzech sekundach odezwało się trzydzieści kałasznikowów naraz; szczyt wzgórze zniknął w chmurze ziemi i pyłu wyrzucanego w powietrze kolejnymi

trafieniami. Mercer miał nadzieję, że ludzie Ahmada są naprawdę dobrze wyszkoleni i wezmą Arabów w ogień krzyżowy. Tak jak się spodziewał, pociski zaczęły latać we wszystkie strony. Miał jeszcze do pokonania trzydzieści metrów, kiedy dowódcy bojowników zaczęli wydawać rozkazy i posyłać swoich ludzi do ostrzału napastników z ukrycia. Ogień terrorystów robił się coraz bardziej uporządkowany, a Mercer mógł się doliczyć tylko trzech janczarów biorących udział w walce. Na razie nikt nie zwracał na niego uwagi, ale zauważył, że wykopu pilnuje dwóch strażników na tyle zdyscyplinowanych, że nie opuścili swoich stanowisk.

Kiedy go zobaczyli, spróbował schować twarz pod chustą, lecz obaj terroryści podnieśli broń. Biegł więc dalej, dziko gestykulując i wykrzykując jakieś bzdurne słowa. Ten sposób działał tylko w pewnym stopniu. Co prawda nie zastrzelili go, ale i nie opuścili broni. Mercer był już dwa metry od nich. Udał, że się potknął, i wykorzystał zaskoczenie, by trafić jednego z Arabów w pierś. Drugi zareagował o ułamek sekundy za późno. Mercer wpadł na niego i razem potoczyli się po ziemi w kierunku zejścia do korytarza. Karabiny znalazły się między nimi, więc żaden nie mógł ich użyć. Ich twarze dzieliły centymetry. Mercer widział fanatyzm w oczach przeciwnika. Miał wrażenie, że to oczy kogoś bardzo chorego, z wysoką gorączką. Terrorysta krzyknął coś o Allahu i pociągnął za spust.

Gorące gazy wylotowe poparzyły mu skórę na brzuchu, a krew podziałała jak smar. Na początku się uśmiechnął, ale po chwili w jego oczach pojawił się strach. Mercer odepchnął go od siebie. Arab miał ubranie przesiąknięte krwią, ale poza poparzeniem nie odniósł żadnych obrażeń. Spojrzał w dół, zobaczył lufę swojego kałasznikowa przy własnej piersi i sekundę później zgasł fanatyczny błysk w jego oczach. Terrorysta nie żył.

- Nie możesz być męczennikiem, jeśli twój przeciwnik żyje - powiedział Mercer i ruszył w stronę tunelu.

Był przygotowany, że na dnie będzie woda, bo widział, jak Poli zabiera ze sobą sprzęt do nurkowania. Skoczył. Kamienne ściany wygłuszały odgłosy bitwy toczącej się na powierzchni. Nawet wybuch granatu nie robił tu na nim wrażenia.

Szedł przed siebie, trzymając karabin nad głową. Po kilkunastu krokach nic już nie słyszał. To oznaczało, że Poli i Salibi nie mieli pojęcia o ataku, i dawało mu przewagę zaskoczenia.

Jakieś pięćdziesiąt metrów dalej potknął się o ukryte pod wodą schody. Wszedł na nie i daleko przed sobą zobaczył światło. Odruchowo mocniej chwycił karabin.

Na szczycie schodów nie było wody, a tunel skręcał pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Mercer ostrożnie wyjrzał zza rogu.

Zobaczył obszerne pomieszczenie z dużym reflektorem pośrodku. Miało jakieś dziesięć metrów wysokości, a sufit wspierał się na rzędach kolumn w kształcie palmowych pni. Typowa architektura starożytnego Egiptu. Budowniczo wieździeli, że nie potrzeba tylu kolumn, ale chodziło o to, by stworzyć wrażenie przebywania w gęstym lesie. Ściany tonęły w mroku, ale fragmenty, które mógł dostrzec, były pokryte hieroglifami.

Mercer nadstawił uszu. Mało brakowało, a roześmiałby się na głos, bo pomyślał, że w grobowcu panuje martwa cisza.

Wszedł do pomieszczenia, lecz trzymał się ścian. Minał dwadzieścia rzędów kolumn, kiedy zauważył coś błyszczącego. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w ciemność, zanim rozróżnił kształty. Miał przed sobą marmurowy posąg mężczyzny z krótkim mieczem w jednej dłoni i zwojem liny przeciętym na pół w drugiej. Zdał sobie sprawę, że to pomnik Aleksandra Wielkiego, który właśnie przeciął węzeł gordyjski.

Ruszył dalej. Sala kończyła się dużym przejściem do następnej, znacznie mniejszej i niższej. Nie było w niej tylu kolumn, a w kilku naczyniach z brązu palił się ogień. Poli musiał nalać do nich olej ze starej amfory. Zaskakujące, że po tylu wiekach wciąż się palił. Mercer rozejrzał się i natychmiast pomyślał o Chesterze Bowiem i jego szalonych pomysłach.

Przed nim znajdowało się osiem dioram, każda przedstawiająca jakiegoś dziwnego stwora. Był tam gigant o ludzkich kształtach, ale z klatką piersiową dużego zwierzęcia, chyba konia albo krowy, i głową zrobioną z miednicy innego, którego Mercer nie potrafił rozpoznać. Rozpoznał za to gryfa, mityczne stworzenie o ciele lwa i z głową oraz skrzydłami orła. Szkielet należał do jakiegoś wymarłego gatunku kotów, a głowa do triceratopsa. Łby trójgłowego węża wykonano z czaszek jakichś dinozaurów, sądząc po zębach, mięsożernych.

Kości trzymały się razem dzięki brązowym opaskom i drutom. Starożytni połączyli je z pieczołowitością, jaką nie wykazywali się nawet współcześni pracownicy muzeów.

Bowie słusznie zakładał, że mitologiczne stworzenia były efektem prób zrekonstruowania zwierząt, których nikt nigdy nie widział, na podstawie znalezionych kości. Starożytni nie mieli pojęcia, które części pochodziły z jakiego szkieletu, więc łączyli zgodnie ze swoimi wyobrażeniami, tworząc fantastyczne bestie.

Mercer sam nie wiedział, co zrobiło na nim największe wrażenie - niesłychana wyobraźnia starożytnych artystów czy raczej fakt, że zwariowany profesor z niewielkiego college'u na Wschodnim Wybrzeżu odkrył prawdę.

Nagle ziemia zadrżała i z sufitu oderwały się drobne fragmenty piaskowca. Mercer w pierwszej chwili pomyślał, że to Cali wróciła i ktoś wysadził łódź za pomocą rakiety. Po zastanowieniu uznał, że to nie mogło być to. Eksplozja nastąpiła stosunkowo blisko. Gdyby to była łódź, wybuchłaby na wodzie, czyli znacznie dalej.

W sąsiednim pomieszczeniu rozległy się głosy. Mercer schował się za jedną z dioram, potężnym szkieletem z kłami słonia zamiast żeber. Kilka sekund później przez salę przebiegł brodaty terrorysta i oświetlając sobie drogę latarką, wpadł do tunelu prowadzącego dalej. Mercer odczekał kilkanaście sekund i już chciał ruszyć za nim, ale brodacz wrócił. Wrzeszcząc coś po arabsku, wbiegł do innego pomieszczenia.

- Mów po angielsku! - ryknął Poli. Mercer ledwie rozróżniał słowa.

- Ktoś wysadził tunel. Jesteśmy w pułapce.

Jakieś dwieście metrów od obozu terrorystów Booker potrząsnął karabinem, który dostał od janczarów, wyczołgał się z wody i szybko odnalazł broń ukrytą wśród suchych traw. W tej samej chwili zapaliły się szperacze na pokładzie łodzi i jeden z terrorystów zaczął przeszukiwać oświetlony fragment brzegu, cały czas trzymając karabin gotowy do strzału.

Book nic nie mógł zrobić z mokrym śladem, który zostawił, wychodząc z wody. Cekał więc, świadomy, że zostanie odkryty. Światło przesunęło się po śladzie, zatrzymało i wróciło. Dwóch mężczyzn na pokładzie zaczęło coś wykrzykiwać, wskazując mokrą smugę. Z nadbudówki wyszedł trzeci mężczyzna. Wszyscy unieśli broń.

Sykes strzelił pierwszy. Niecelnie. Odpowiedź była natychmiastowa. Kule wyrzucały fontanny piasku, kiedy Booker turlał się, żeby uniknąć trafienia. Ruch zdradzał jego pozycję, ale nie mógł nic zrobić.

Co gorsza, zdawał sobie sprawę, że nie ma szans.

Nagle ze wzgórza nad obozem wystrzelił pióropusz ognia, a powietrze przeciął ostry gwizd. Granat z ręcznego miotacza nie trafił w łódź, ale fala spowodowana eksplozją zalała trójkę terrorystów. Book wykorzystał ten moment, by uciec.

Arab obsługujący reflektor zorientował się, że ofiara im umyka, i zaczął strzelać. Booker poczuł kulę, która przeleciała mu między nogami, i wiedział, że następna trafi go w plecy. Rzucił się w lewo i wylądował na twardym kamienistym podłożu. Przeturlał się kilka razy i zerwał na nogi, ale nadwężone mięśnie pleców dały o sobie znać nagłą eksplozją bólu. Zamiast popędzić jak najdalej od wody, biegł jak pijak, który ma problem z utrzymaniem się na nogach. Znow zaczęli do niego strzelać.

Drugi pocisk z miotacza granatów trafił w pokład tuż przed mostkiem. Wybuch dosłownie rozerwał łódź. Nadbudówka przestała istnieć, zamieniła się w deszcz kawałków drewna i metalu. Dwóch Arabów z karabinami zginęło natychmiast. Trzeci został zdmuchnięty z pokładu siłą eksplozji. Mógłby nawet przeżyć, gdyby ta sama eksplozja nie wbiła mu w brzuch piętnastokilogramowego łańcucha. Wpadł do wody i poszedł na dno jak kamień.

Booker zawrócił i, kulejąc, ruszył w stronę obozu. To była najbardziej zażarta bitwa, jaką widział. Obie strony praktycznie nie przerywały ognia. Ale janczarowie mieli tylko tyle amunicji, ile przynieśli ze sobą - czyli po kilkaset sztuk każdy, Arabowie natomiast dysponowali niemal nieograniczonymi zapasami. Smutna prawda była taka, że ludzie Ahmada wystrzelają wszystko na długo, zanim terroryści wyczerpią swoje zapasy.

Sykes przystanął za skałą, żeby zorientować się w rozkładzie sił. Przynajmniej dwudziestu terrorystów ostrzeliwało wzgórze, a kolejnych dziesięciu zamierzało zająć janczarów od flanki. Z sześciu ludzi Ahmada walczyło już tylko trzech. Po chwili zauważył czwartego. To był Ibriham. Jakimś cudem znalazł lukę między Arabami i czołgał się w stronę tunelu. Ze swojej pozycji nie widział, że wejścia do środka broni dwóch strażników. Sam pchał się im w łapy.

Za Bookerem wznosił się kilkumetrowy klif. Przełożył karabin na plecy, chwycił wystający kawałek skały i podciągnął się w górę. Zaciśnął zęby, żeby nie krzyknąć z bólu. Czuł strugi potu na plecach i łzy na policzkach.

Znalazł kolejny chwyt. Znow się podciągnął. Jęknął i poczuł w ustach smak wymiocin. Wiedział, że może trwale uszkodzić kręgosłup, ale nie dbał o to. Jeszcze pięć minut walczył z bólem i klifem, a gdy wreszcie przetoczył się przez krawędź, był półprzytomny z wyczerpania.

Mimo to wstał i przyjrzał się polu bitwy z nowej perspektywy. Ahmad, choć od strażników dzieliła go tylko kupa piachu, wciąż ich nie widział. On był

w odległości prawie dwustu metrów. Uniósł karabin, ale tak drżały mu ręce, że nie mógł celować.

Jeden ze strażników właśnie zauważył janczara.

- Boże, nie zawieź mnie teraz. - Booker napiął każdy mięsień, uniósł broń i strzelił.

Dwie pierwsze kule poleciały za wysoko. Trzecia trafiła strażnika w łydkę. Czwarta i piąta powaliły drugiego Araba i rykoszetując o kości, zrobiły mu sieczkę z wnętrzości. Kolejna rozerwała głowę rannego strażnika w momencie, kiedy Ahmad Sturlał się na ich stronę z góry piachu.

Profesor nie widział, kto jest jego aniołem stróżem. Zrzucił plecak, który niósł, i wskoczył do tunelu.

Lada chwila powinna pojawić się Cali. Booker spojrział na ciemną powierzchnię zatoki i dostrzegł białe nadbudówki rivy. Zwolniła na tyle daleko od brzegu, by móc zareagować na motorówkę odpływającą z obozu i jednocześnie nie przyciągać uwagi. Ta kobieta wie, jak przyjmować rozkazy i jak je wykonywać, pomyślał.

Znow popatrzył na pole bitwy, oceniając, gdzie jego pomoc będzie najpotrzebniejsza, ale zanim podniósł karabin, eksplodował plecak pozostawiony przez Ahmada. Wybuch był potężny; przynajmniej piętnaście kilogramów plastiku, ocenił fachowo. Kula ognia oświetliła na kilka sekund zatokę. Wszyscy terroryści w promieniu dwudziestu metrów zginęli, a pozostali zostali zasypani odłamkami skał i ogłuszeni.

W świetle dogasających płomieni Booker zobaczył, że wejście do tunelu zniknęło. Ahmad zamknął grobowiec, żeby Poli z niego nie uciekł.

Poli i Al-Salibi wybiegli z komory i ruszyli w stronę wyjścia. Za nimi popędziło dwóch strażników. Mercer nie był pewien, czy zdoła położyć wszystkich naraz, więc nie strzelał. Kiedy znaleźli się w pierwszej sali, wszedł do pomieszczenia, w którym byli przed chwilą.

Niewielką komorę oświetlały lampy oliwne wzdłuż wszystkich ścian. Nie było tu kolumn, ale całe pomieszczenie wypełniały przedmioty, których Aleksander miał potrzebować po śmierci Drewniane łodzie, namioty i meble; kilka rydwanów i niezliczona liczba skrzyń, misy, dzbany i inne sprzęty codziennego użytku. Inaczej niż w grobowcu Tutenchamona tu nie było wiele złota, bo Aleksander nie przywiązywał wagi do dóbr materialnych. Zamiast tego na ścianach wisiało mnóstwo mieczy, włóczni, oszczepów, łuków i proc. Wierni generałowie zostawili wodzowi broń, dzięki której mógł prowadzić podboje w zaświatach.

Na podwyższeniu pośrodku stał złoty sarkofag z kryształowymi panelami obrobionymi tak wspaniale, że były przejrzyste jak szkło. Mercer nie poświęcił mu wiele uwagi. Stwierdził tylko, że w środku znajduje się z mumifikowane ciało, i skupił się na dużej brązowej wazie w niszy wykutej w ścianie. Była cała pobijana, bo zwiedziła przecież cały starożytny świat i przesądziła o wyniku wielu ważnych bitew tamtych czasów.

Alembik Skenderbega miał półtora metra wysokości, metr średnicy i pokrywały go greckie inskrypcje. Dwie komory w środku rozdzielono skomplikowanym mechanizmem, który zapobiegał reakcji dwóch porcji plutonu. Mercera ogarnęło dziwne wrażenie, że talizman chciał być odnaleziony, że chciał opuścić to miejsce i znów porazić świat śmiertelnym

promieniowaniem. Poczuł gęsią skórę, kiedy uświadomił sobie, że oto znalazł się w obecności czystego zła.

W tym momencie grobowiec wypełniła kanonada. Mercer obrócił się o ułamek sekundy za późno. Arab, który wbiegł do pomieszczenia, strzelił, rozbijając sarkofag Aleksandra i zamieniając mumię w suchy pył.

Mercer rzucił się na ziemię, Przeczoiłgał kawałek i schował za kołem rydwanu. Nie czekając na kolejną serię napastnika, strzelił pierwszy. Kule przeszły drewniane koła i trafiły terrorystę w nogi. Upadł, ale nie przestał strzelać. Pociski uderzały o kamienną podłogę, wyrzucając snopy iskier. Jeden okazał się celny. Wyrwał Mercerowi karabin z rąk i zniszczył zamek.

Po chwili kałasznikow Araba zamilkł. Terrorysta wystrzelał cały magazynek.

Mercer zerwał się na nogi i zanim tamten zdążył przeładować, złapał starożytny miecz. Przez chwilę nie rozumiał, co robi ranny, bo to, co trzymał w ręku, nie wyglądało jak magazynek do kałasznikowa. Było okrągłe. Dopiero gdy zobaczył jego uśmiech, pojął, że Arab przyciska do piersi granat z wyrwaną zawleczką.

Miał pięć sekund i wiedział, że to za mało, by wydostać się poza pole rażenia. Zamachnął się i ciał mieczem, oddzielając głowę terrorysty od ciała.

Błyskawicznie wyciągnął granat spomiędzy martwych palców i wrzucił za sarkofag. Eksplozja doszczętnie zniszczyła zmumifikowane ciało wielkiego wodza, ale Mercerowi nic się nie stało, bo fala uderzeniowa przeszła nad nim.

Wstał lekko oszołomiony i rozejrzał się po pomieszczeniu. Odetchnął z ulgą, kiedy zobaczył, że alembik stoi nieuszkodzony na swoim miejscu. Podniósł kałasznikowa i przeszukał martwego Araba. Zaklął głośno, bo terrorysta nie miał zapasowego magazynku.

Broń zgromadzona w grobowcu, zapewne bardzo nowoczesna w chwili pochówku wodza, po setkach lat na niewiele się zdawała, zwłaszcza w konfrontacji z karabinami automatycznymi. Mercer mógł tylko mieć nadzieję, że janczar, który pobiegł za nim, da sobie radę z terrorystami. I wtedy spojrział na łuki.

Szczególnie jeden przyciągał wzrok. Smukły, ze lśniącego drewna inkrustowanego kością słoniową. Niesamowita broń, bez wątpienia należąca do samego Aleksandra. Ciężka wisiała zwinięta z jednego końca, więc Mercer sięgnął po łuk i spróbował go wygiąć, żeby zahaczyć sznurek o drugi koniec. Ledwie zdołał nagiąć łączysko, choć napał całym ciałem. Podwoił wysiłki.

Pętka była coraz bliżej końca łączyska, ale wciąż brakowało kilku centymetrów. Czuł, jak słabnie, a odległość zwiększa się, zamiast zmniejszyć. To nie jest broń dla niego, pomyślał. Tylko Aleksander Wielki potrafił ją napiąć. Zwykły śmiertelnik nie może się posłużyć bronią syna bogów. Nie poddał się jednak. Wziął głęboki oddech i znów napał całym ciałem. Po chwili pętka dotknęła końca łączyska i łagodnie zsunęła się w przygotowane gniazdo. Łuk był gotowy do użycia.

Mercer sięgnął po kołczan ze strzałami. Wykonano go z brązu, ale skórzany pas rozpadł się setki lat temu. Odpiął pasek od karabinu i zawiesił na nim kołczan.

Załóżył strzałę i spróbował naciągnąć łuk, ale nie mógł odwieść cięciwy dalej niż do połowy policzka.

Obawiając się okrażenia w pomieszczeniu bez wyjścia, przeszedł do sali z dioramami. W ciemności zobaczył języki ognia - to Poli strzelał do niewidocznego janczara.

Ruszył wzdłuż ściany sali, trzymając się w cieniu. Kolejna seria z kałasznikowa rozległa się nieco dalej na lewo. Mercer uniósł łuk, ale zawahał się, bo nie wiedział, do kogo celuje. To przecież mógł być Booker albo Ahmad.

Strzelec poruszył bronią i w błysku gazów wylotowych Mercer dostrzegł jego twarz. To był Mohammad bin Al-Salibi.

Trzy stwory zrekonstruowane przez starożytnych artystów uniemożliwiały Mercerowi czysty strzał. Musiałby wycelować między szkielety, a ostatni raz strzelał z łuku na obozie skautów, kiedy miał trzynaście lat.

Mimo to postanowił spróbować. Gniew dodawał mu sił - odciągnął cięciwę dalej niż za pierwszym razem i poczuł pierzaste lotki na policzku. Salibi stał za szkieletem cyklopa. Mercer widział między kośćmi jaśniejszą plamę jego twarzy.

Poprawił swoją pozycję i zwolnił strzałę. Zaśpiewała, tnąc powietrze. Przeleciała między biodrami a żebrami hydry, kolejny szkielet też przeszła bez dotknięcia i ledwie musnęła ząb stworzenia w kształcie węża.

Salibi musiał usłyszeć świst, bo w ostatniej sekundzie się odwrócił. Grot trafił go w policzek, złamał się na kości szczęki, ale miał dość impetu, żeby przebić mózg. Saudyjczyk był martwy, zanim upadł na podłogę.

Gdy Mercer sięgnął po kolejną strzałę, kanonada nagle ustała. Przykucnął za jedną z kolumn i kątem oka dostrzegł jakąś postać przy wejściu do komory grobowej. Ruszył z powrotem wzdłuż ściany, wpatrując się w wejście. Chciał mieć pewność, że ktokolwiek tam wszedł, na pewno nie wyjdzie.

Z ciemności wynurzyła się czyjaś ręka i złapała go za kostkę. Uwolnił się jednym szarpnięciem i uniósł łuk. Na ziemi leżał Ibriham Ahmad.

Mercer przyklęknął obok niego.

- Jest pan ranny?

- Jestem martwy, doktorze Mercer - wychrypiał profesor. - Ale odchodzę, wiedząc, że alembik nie opuści tego miejsca.

- Wysadził pan wejście i zamknął nas tutaj. Ahmad skinał głową.

- Tak, bo tylko Devrin i jeszcze jeden janczar żyli. Nie mogłem ryzykować. Gdyby nie był umierający, Mercer udusiłby go gołymi rękami.

- Do jasnej cholery! Mógł mnie pan ostrzec!

- Nie mogłem. Nasza ofiara ocali miliony.

Na tym polegała różnica między nimi. Mercer mógł świadomie ryzykować życie, jeśli istniał choć cień szansy na powodzenie, ale nie wtedy, gdy nie było już żadnych szans!

- Udało mi się załatwić jednego z nich - szepnął Ibriham.

- Polego?

- Nie, strażnika.

- Ja zabiłem Al-Salibiego.

- Niech Allah obdarzy cię swoimi łaskami. A ten drań niech smaży się w piekle.

Byli uwięzieni, to fakt. Ale dopóki istniała nadzieja, Mercer nie zamierzał

się poddawać. Najpierw zajmie się Polim, a potem pomyśli, jak wydostać się z pułapki i wyciągnąć Ahmada.

- Gdzie jest pana broń? - spytał.

- Nie mam amunicji. Nikt już nie ma. Dlatego Poli przestał strzelać.

- Cholera! - zaklął Mercer. - Ale skoro Al-Salibiego zdjąłem strzałą, to samo da się zrobić z Polim. Wytrzyma pan jeszcze kilka minut?

- Nie, doktorze, ja już jestem martwy. Mercer położył dłoń na ramieniu Ahmada.

- Vaya con Dios - rzekł cicho.

- Co to znaczy?

- To po hiszpańsku, idź z Bogiem.

- Nie mógł mnie pan lepiej pożegnać. - Ibrahim uśmiechnął się i po prostu nie wziął kolejnego oddechu.

Mercer delikatnie zamknął mu powieki.

- Rozkoszuj się swoimi dziewczycami, przyjacielu. Zasłużyłeś na raj.

Wstał i przeszedł całą promenadę, trzymając strzałę opartą o cięciwę. W wejściu do komory z sarkofagiem przystanął i rozejrzał się, ale nikogo nie zobaczył. Ostrożnie wszedł do środka.

Ostrze z brązu zatoczyło krótki łuk i uderzyło w łączysko. To ocaliło mu życie. Poli stał tuż za wejściem uzbrojony w miecz.

Siła uderzenia była potężna. Mercer zatoczył się w tył. Miecz utkwiał w łączysku, więc próbował wyrwać go, żeby mieć jakąś broń, ale nie dał rady. Poli wyszedł zza rogu. Jego jedyne oko połyskiwało złowroźnie w świetle płomieni. Mercer cofnął się jeszcze kawałek. Kiedy naciągnął cięciwę, osłabione drewno pękło i łuk złożył mu się w dłoniach.

Potężny najemnik ruszył na znacznie drobniejszego Mercera. Ten rzucił łukiem, ale nie zrobił tym na Polim żadnego wrażenia. Najemnik poruszał się jak maszyna.

- Jesteś trupem - warknął.

- Zabawne - odparł Mercer - właśnie chciałem to samo powiedzieć o tobie.

Poli zaatakował. Mercer odskoczył w lewo, starając się uniknąć potężnych łapsk, i prawie mu się udało - Bułgar w ostatniej chwili złapał go za nadgarstek. Mercer się nie zatrzymał. Zrobił krok, zachodząc Polego z boku, i wyprowadził cios pod ramię. Miał wrażenie, że wyrzwał pięścią w oponę cię żarówki.

Poli ścisnął go za nadgarstek i zmusił do przykłonienia, a potem uderzył w twarz. Mercer poczuł, jak pękają kości jego nosa i krew zalewa mu twarz. Na kilka sekund stracił przytomność. Poli lekko go uniósł i uderzył jeszcze raz. Tym razem mocniej.

Rzucił go na ścianę i chciał kolanem zmiażdżyć mu jądra, ale Mercer zdołał się przekreślić i cała siła uderzenia poszła w łydkę. Natychmiast stracił czucie w nodze.

- Zabijanie nigdy nie sprawiało mi przyjemności - powiedział Poli. Nawet nie dyszał. - To po prostu coś, czego się nauczyłem i co dobrze mi wychodzi.

- Może czas na emeryturę? - Mercer splunął krwią.

- Nie, jeszcze nie. Ciebie zabiję z prawdziwą przyjemnością. Minie kilka godzin, zanim nas wykopią, więc mamy trochę czasu. - Od niechcienia uderzył go w bok głowy.

Kiedy cofnął rękę, Mercer nie był w stanie utrzymać się na nogach. Upadł. Poli chwycił go za włosy i pociągnął za sobą do komory grobowej. Mercer z łapał obiema rękami nadgarstek oprawcy, bo miał wrażenie, że zaraz zerwie mu skórę z głowy.

Poli postawił go na nogi i podtrzymując jedną ręką, drugą uderzał. Chociaż zmieniał jego twarz w krwawą miazgę. Mercer nie mógł nic zrobić. Walczył i nawet zwyciężał z ludźmi silniejszymi od siebie, ale w przypadku jednookiego najemnika nie było takiej możliwości. Był on nie tylko olbrzymi, ale i nieludzko silny. Mercer czuł się kompletnie bezradny.

Kiedy Poli przestał go bić, znów wylądował na podłodze. Najemnik podszedł do stosu antycznej broni, a kiedy wrócił, trzymał w ręku miecz. Sprawdził, czy jest naostrzony, i pokazał Mercerowi krwawy ślad na palcu.

- Jak myślisz, czy bez skóry będzie ci do twarzy? Mercer milczał. Poli na chwilę odłożył miecz i podniósł przeciwnika.

- Myślałem, że jesteś twardszy. Mógłbyś się bardziej postarać. - Trzymając Mercera za ramię, obrócił się jak dyskobol i cisnął nim przez całe pomieszczenie.

Amerykanin wyrznął w rydwan i niewiele brakowało, a by go przewrócił. Nie zdążył nic zrobić, bo Poli znów go złapał i cisnął w drugą stronę. Tym razem wylądował na długim drewnianym czółnie, na którym Aleksander miał żeglować po rzekach zaświatów.

Bułgar podszedł, ponownie zacisnął łapsko na ramieniu Mercera, ale kiedy go podniósł, ten się odwrócił i wbił mu w oko koniec wiosła.

Feines zawył z bólu. Krew i białko spłynęły mu po policzku. Mercer wcisnął kawałek drewna w oczodół najemnika jeszcze głębiej. Poli zaczął kwiczeć.

Mercer wyrwał wiosło i pozwolił Feinesowi upaść na ziemię. Olbrzym przyciskał dłonie do zalanej krwią i białą mazią twarzy.

- Oślepiłeś mnie! - wrzasnął.

Mercer chwycił jedną z lanc, żeby mieć się czym podeprzeć.

- Dobrze ci tak, sadystyczny skurwysynu. Może to nie dokładnie oko za oko, ale mam nadzieję, że łapiesz aluzję.

Poranek powoli przejmował pustynię we władanie, kiedy Cali Stowe podpłynęła do brzegu. Booker Sykes i Devrin Egemen stali na plaży i machali do niej. Obóz za ich plecami był usłany ciałami terrorystów. Janczarowie zabili pięćdziesięciu wrogów, ale za jaką cenę? Rozejrzała się, szukając Mercera, ale nie było go w pobliżu.

- Nic mu nie jest - szepnęła przez łyzy. - Powiedzcie, że nic mu nie jest. Albo że jest lekko ranny. Że będzie dobrze.

Kiedy znalazła się w zasięgu głosu, zawołała do Sykesa:

- A gdzie Mercer?

Booker i Devrin patrzyli na nią poważnym wzrokiem. Rzuciła kotwicę i zeskoczyła na platformę za rufą. Nie zdjęła nawet butów, tylko tak jak stała, popłynęła do brzegu.

Wybiegła z wody i prawie się zderzyła z Bookerem.

- Gdzie Mercer?! - krzyknęła.

Booker miał zakrwawione ubranie i chwiał się na nogach z wyczerpania. Devrin wyglądał jeszcze gorzej. Dostał postrzał w nogę i miał przesiąkniętą krwią spodnie.

- Był w grobowcu, kiedy profesor wysadził wejście - wyjaśnił jej.

Cali opadła na kolana i zaczęła płakać.

- Czy był tam ktoś jeszcze? - Nie odpowiedzieli, więc domyśliła się najgorszego. - Ilu?

- Czterech, w tym Poli Feines - rzekł Booker.

- Może już nie żyć! - zaczęła spazmatycznie płakać. Ogrom nieszczęścia ją przytłoczył. - Boże, Boże!

Booker ukląkł obok niej.

- Nie mamy pewności. Mercer to twardziel. Wykopiemy go. Potrzebujemy ludzi i ciężkiego sprzętu.

- To zajmie kilka dni. A jeśli jest ranny? Może właśnie się wykrwawia?

- Naprawdę niewiele możemy teraz zdziałać - Broker próbował ją uspokoić. - Im szybciej ruszymy, tym szybciej tu wrócimy. Zadzwoń do admirała Lasko, a on poruszy niebo i ziemię. Musimy się spieszyć. Devrin powinien trafić do szpitala.

- Ale... - głos uwiązł jej w gardle.

- Cali, wiem, uważasz, że powinnaś tu zostać, ale wpatrywanie się w kupę piachu niewiele mu pomoże. Możemy wrócić jutro z samego rana, helikopterem i z ludźmi do pomocy.

- Nie. Ja nie mogę. On...

- Nie możesz mu inaczej pomóc. Musimy się spieszyć. Cali pozwoliła Bookerowi postawić się na nogi. Motorówką terrorystów dostali się na riwę i przenieśli rannego janczara na luksusową łódź. Młody Turek był w szoku i zaczynał tracić przytomność. Ułożyli go w kabinie Cali i owinęli kocami, bo trząsał się z gorączki. Booker założył Devrinowi świeży opatrunek, poprosił Cali, żeby z nim została, aż zaśnie, a sam stanął za sterem. Cali pogłaskała Devrina po rozpalonej twarzy. Była w takim stanie, że nic poza tym prostym gestem nie przychodziło jej do głowy.

Gdy potężne silniki ożyły i riva zaczęła oddalać się od brzegu, Cali podeszła do okna. Booker gwałtownie dodał gazu i wyrównał, a po chwili biała fala torowa w kształcie litery V dotarła do obu brzegów zatoki.

Już miała się odwrócić, kiedy zauważyła coś na powierzchni wody. W pierwszym momencie chciała to zignorować, ale ciekawość zmusiła ją do działania. Wyskoczyła na tylny pokład i podbiegła do Sykesa.

- Book! - krzyknęła, ale jej nie usłyszał. Klepnęła go w ramię. - Zawracaj. Ktoś jest w wodzie.

- Co?

- Ktoś jest w wodzie. Zawracaj!

Spojrzał na nią z niedowierzaniem, ale posłusznie zakręcił sterem. Przepłynęli kilkadziesiąt metrów, powoli, żeby niczego nie przeoczyć.

- Jesteś pewna, że coś widziałaś? Cali sama zaczęła wątpić.

- Tak mi się wydawało.

- Słuchaj, nie mamy czasu. Devrin musi trafić do szpitala. - Znów zakręcił sterem i dodał gazu, ale wtedy Cali wrzasnęła dziko i wyciągnęła rękę. W wodzie, twarzą w dół, leżał mężczyzna. Booker zmienił kurs. Kilka sekund później dopłynęli do ciała.

Cali złapała koło ratunkowe i wyskoczyła z łodzi. Machnęła kilka razy rękami, wypłynęła na powierzchnię i ruszyła w stronę rozbitka, pchając koło przed sobą. Uderzyło w ciało mężczyzny i przewróciło go na plecy. Jedna ręka

uniosła się i złapała pływaka. Potem z wody wynurzyła się wciąż przystojna, ale solidnie poobijana twarz Mercera. Uśmiechał się.

- Nigdy nie sądziłem, że Book będzie mi chciał odbić dziewczynę.

Cali zasypała go pocałunkami, ale Mercer musiał ją odepchnąć. Jego usta były krwawą miazgą.

- Jak się wydostałeś? - spytała.

- Tunel był tylko częściowo zasypany - wyjaśnił. - Poli zniósł na dół sprzęt do nurkowania, więc go wykorzystałem. Znalazłem miejsce, gdzie trzęsienie ziemi uszkodziło sklepienie na tyle, żebym mógł się wydostać. Reszta to kwestia wyporności.

ARLINGTON, WIRGINIA

Kochanie, wróciłem! - zawołał Mercer, wchodząc do domu.

Harry najwyraźniej zrozumiał aluzję, bo warknął w odpowiedzi:

- Nie myśl sobie, że przylecę z fajką i kapciami.

- A dla mnie? - spytała z uśmiechem Cali.

- Fajki są mało kobiece, a poza tym jestem fetyszystą, więc chętnie bym cię obejrzał bez kapciuszków. - Zmienił ton. - Możecie tu przyjść? Musicie czegoś posłuchać.

Ze względu na problemy z kolanem Mercer chodził o kulach, więc pokonanie schodów zajęło mu chwilę. Kiedy dotarli na górę, Harry wstał z za baru.

- Pięćdziesiąt lat temu straciłem nogę, ale dopiero co zacząłem chodzić o lasce, a ty przy byle kuku potrzebujesz kul? - zakpił.

- I leków przeciwbólowych - odparł Mercer rozmarzonym głosem. - Całej góry leków, które zamierzam popić alkoholem i natychmiast odpłynąć.

Harry cmoknął Cali w policzek i powiedział:

- Nikt nie miałby ci za złe, gdybyś go rzuciła i umówiła się ze mną.

- Nie wiem, czy dałabym ci radę - odparła.

- Dałbym ci fory - zapewnił. - A teraz poważnie: kiedy Mercer zadzwonił z Egiptu, kamień spadł mi z serca, że nic ci się nie stało. I Bookerowi. Naprawdę go lubię.

- A ja? - odezwał się Mercer.

- Widziałem twój testament. Jak odwalisz kitę, dostanę dom, więc sercem byłem z terrorystami.

- Przyjemniaczek. - Mercer usiadł na sofie i odłożył kule na podłogę. Kanapę naprzeciwko zajmował Drag. Leżał z wyciągniętymi sztywno łapami i gdyby nie chrapanie, Mercer mógłby przysiąc, że nie żyje. - Mówiłeś, że musimy czegoś posłuchać.

Harry stanął za barem. Przygotował wszystkim drinki, a następnie ustawił aparat telefoniczny na lśniącym blacie. Cali podała Mercerowi wódkę z sokiem z limonki i usiadła obok.

- Owszem, kilku rzeczy. Po pierwsze, dzwonił Ira z raportem z Rosji. Zdołali odzyskać siedemdziesiąt baryłek plutonu z tego pociągu. Są w drodze do magazynu.

- My naliczyliśmy sześćdziesiąt osiem - zauważyła Cali. Harry uniósł palec.

- Sprawdzili i okazało się, że dwie niedawno zatopiono w morzu.

- A więc mieliśmy rację co do Popowa - stwierdził Mercer. - Był w Noworosyjsku, żeby je znaleźć i się wyłgać.

- Ira powiedział, że wczoraj odbyło się jego aresztowanie, proces i egzekucja.

- Rosyjska sprawiedliwość w najlepszym wydaniu - skwitował Mercer. - A ta druga wiadomość?

- Kiedy wczoraj rozwiązywałem krzyżówkę, zadzwonił jakiś facet. Włączyła się sekretarka, ale kiedy dotarło do mnie, o czym ten gość mówi, podniosłem słuchawkę. Sami posłuchajcie. - Nacisnął przycisk „play”.

- „Witam, doktorze Mercer. Przepraszam, że dzwonię dopiero teraz, ale wróciłem z wykopalisk w okolicach Efezu. - Głos nie brzmiał znajomo, ale mężczyzna miał chyba turecki akcent i musiał być starszy. - Mówi profesor Ibriham Ahmad z uniwersytetu w Stambule. Domyślam się, że chciał pan porozmawiać o alembiku Skenderbega. Właściwie nie ma o czym mówić, ale chętnie zamienię z panem słowo. Proszę...” - Rozległo się piknięcie i rozmowa się urwała.

- Wtedy odebrałem - wyjaśnił Harry.

Mimo przyjemnego ciepła po drinku Mercerowi zrobiło się zimno.

- I rozmawiałeś z nim - stwierdził po prostu.

- Przez jakieś dwadzieścia minut. Mogę cię zapewnić, że to nie on porwał Cali, uratował nasze tyłki w Atlantic City i zginął w grobowcu Aleksandra.

Mercer i Cali patrzyli na siebie bez słowa.

- Jest profesorem, do którego zadzwoniłeś w sprawie Skenderbega - ciągnął Harry. - Wie o nim wszystko, łącznie z rozmiarem kapelusza, i twierdzi, że nie posługiwał się bronią należącą do Aleksandra Wielkiego, bo żaden alembik nie istnieje. To tylko mit.

- Profesor się myli. Widziałem alembik na własne oczy.

- Ja tylko powtarzam jego słowa. Dodał jeszcze, że nigdy nie słyszał o odrodzonych janczarach.

Mercerowi wystarczył ułamek sekundy, żeby pojąć znaczenie słów przyjaciela.

- Więc facet w Egipcie i Rosji...

- Nie był Ibrihem Ahmadem, ekspertem w dziedzinie Skenderbega i profesorem uniwersytetu w Stambule - dokończył za niego Harry.

- Więc kim był?

- Skąd mam wiedzieć? - Harry wzruszył ramionami. - Nikt z nas go nie wylegitymował.

- Podaj mi telefon. - Mercer wyjął z portfela niewielką kartkę i powiedział: - To numer dyżurki pielęgniarek w szpitalu w Asuanie. - Wybrał numer, poczekał, aż ktoś odbierze, a potem jeszcze trochę, aż znalazł się ktoś mówiący po angielsku. Harry zdążył wypalić papierosa, a Cali poszła do kuchni po lód do obłożenia kolana Mercera. - Chciałbym rozmawiać z Dev-rinem Egemenem - poprosił lekarza władającego angielskim. - To młody Turek przywieziony przed kilkoma dniami z raną postrzałową nogi. - Kręcił głową, słuchając wyjaśnienia po drugiej stronie linii. Potem podziękował lekarzowi i się rozłączył. - Wczoraj Devrin opuścił szpital na własne żądanie i nie mają pojęcia, dokąd się udał.

- Co to oznacza? - chciała wiedzieć Cali

- Na pewno nie to, że poświęcił się, by powstrzymać Polego i Al-Salibiego - odrzekł Mercer. - Nigdy się nie dowiemy, kim był.

- Tylko pomyśl - powiedział Harry. - Działali w tak ścisłej tajemnicy, że nawet światowy ekspert nie miał o nich pojęcia, a teraz z powrotem zeszli do podziemia.

- Nasz rząd prowadzi pertraktacje z Egiptem w kwestii grobowca Aleksandra i alembiku, więc pewnie już na zawsze pozostaną w ukryciu.

- Jest jeszcze coś - dodał Harry nieco weselszym tonem. - Kiedy spisałem notatki Chestera Bowiego na temat adamantu, zająłem się resztą jego listu. Jak wiemy, miał trochę racji co do mitologicznego metalu i był święcie przekonany, że starożytni Grecy tworzyli potwory ze skamielin. Ale miał jeszcze jedną teorię.

- Jaka? - zapytał Mercer.

- Wierzył w prawdziwość opowieści o Jazonie i argonautach. Uważał, że z łote runo, którego szukali, było w rzeczywistości barką pełną skarbów przeznaczonych na zapłatę za opiekę nad dziećmi królowej Tesalii, wysłanymi przez matkę do królestwa Kolchidy. Według Chestera barka ta zatoniła podczas burzy na Morzu Czarnym niedaleko dzisiejszego wybrzeża Turcji.

Mercer i Cali zanieśli się śmiechem.

- Co jest? - spytał Harry, patrząc to na jedno, to na drugie.

- Koniec z przygodami, mój drogi - odparł Mercer. - Chester Bowie ma swoje miejsce w podręcznikach do historii. Jeśli ktoś chce udowodnić prawdziwość jego tez, proszę bardzo, ale na pewno nie ja.

- Ani ja - dodała Cali. - Nie chcę mieć więcej do czynienia ani z Bowiem, ani ze starożytnymi mitami.

- Nie żartujcie. - Harry nie dawał za wygraną. - To może być fortuna. Tylko pomyślcie; barka wypełniona po brzegi złotem. Moglibyśmy być bogaci.

- Mam wszystko, czego mi trzeba. - Mercer otoczył Cali ramieniem, a ona przytuliła się do niego.

- No tak - obruszył się Harry - ty masz dziewczynę, a ja?

- A ty masz satysfakcję, że pomogłeś ludzkości - odparła słodko Cali.

- Z tego nie wystarczy na drinki - mruknął.

- Oddam ci te dwadziścia tysięcy, które pożyczyłem w New Jersey - rzekł Mercer.

- Eee, nie zwracaj sobie głowy. - Harry wyglądał, jakby miał ochotę znaleźć się całkiem gdzie indziej.

- Dlaczego? - spytał Mercer, tknięty nagłym niepokojem.

- Pamiętasz, jak wtedy przy grze w kości świetnie mi szło? A jak masz fart, to trzeba iść za ciosem, prawda? No więc Tiny zna gościa, który wyklada kasę na grę. To był pewniak, więc, jakby to powiedzieć, pożyczyłem sobie coś twojego na zabezpieczenie.

- Nie zrobiłeś tego.

- Zrobiłem.

- Co zrobił? - zainteresowała się Cali.

Harry popatrzył na nią wzrokiem bardziej żalonym niż Drag.

- Pożyczyłem jaguara Mercera. - Zwrócił się do przyjaciela: - Jeśli przez to poczujesz się lepiej, straciłem też swoje trzydzieści tysięcy. Ale Ira zobowiązał się pokryć wszystkie twoje wydatki, więc bez problemu odzyskamy samochód albo najlepiej kupimy nowy. I przysięgam na moją duszę, że ani Tiny, ani ja nigdy, przenigdy go nie pożyczymy.

Mercer ukrył głowę w dłoniach.

- Harry, kiedy minie działanie wódki i leków, odbędziemy bardzo długą rozmowę o ustaleniu pewnych granic. Przepicie w ciągu wielu lat dwudziestu patoli to nie to samo co przehandlowanie mojego auta. - Popatrzył na przyjaciela ze smutnym uśmiechem. - I nie wmawiaj mi, że masz duszę.

Wiedząc, że zostało mu wybaczone, staruszek wzniósł toast:

- Zdrowie Mercera, który jest wielki.

- Za to chętnie wypiję - dołączyła się Cali. Kiedy spełnili toast, poszła za bar napełnić szklaneczki. - Jest coś, czego nie rozumiem - powiedziała.

- Co takiego? - zapytał Mercer.

- Jesteśmy prawie pewni, że janczarowie zatopili „Wetherby”, ale wątpili śmy, czy to oni stali za katastrofą „Hindenburga”. Czy w takim razie Rosjanie wysadzili go w powietrze, czy może sami naziści?

- Coś mi się wydaje, że już się tego nie dowiemy. W gruncie rzeczy to mógł być nawet wypadek.

- Nie sędzę.

Ja też nie, pomyślał Mercer. To nie był wypadek. Ktoś chciał za wszelką cenę powstrzymać Chestera przed przekazaniem światu informacji o plutonie. Po prostu nigdy nie dowiemy się, kto.

POSTSCRIPTUM

6 MAJA 1937 ROKU

PRINCETON, NEW JERSEY

Zapadła noc, a deszcz nie przestawał padać. Nie był to ciepły wiosenny deszcz, tylko ponura ulewa, która sprawia, że człowiek nie ma ochoty wysunąć nosa spod kołdry. Ulica w mieszkalnej części kampusu była pusta i cicha. Tylko gałęzie drzew poruszały się na wietrze i słychać było szelest mokrych liści.

Zza zaparkowanego auta wychynał jakiś mężczyzna i podszedł do piętrowego budynku oznaczonego numerem 112. Dom miał czarne okiennice i małe trawnik od frontu. Mężczyzna był tu po raz pierwszy, choć korespondował z jego gospodarzem od lat.

Wszedł po schodkach na ganek i zapukał do drzwi. Był przemoknięty do suchej nitki, a że nie włożył kapelusza, długie włosy opadały mu w strąkach na ramiona.

Drzwi otworzyła szczupła szpakowata kobieta koło pięćdziesiątki, o ostrych rysach i przenikliwym spojrzeniu. Bez słowa przyglądała się gościowi.

- Jest? Muszę z nim porozmawiać - nieznajomy mówił z dziwnym akcentem; bardziej gardłowym niż ojczysty niemiecki kobiety.

- Dziś nie przyjmuje. Proszę odejść. - Chciała zamknąć drzwi, ale mężczyzna pchnął je z całej siły, tak że zabrzęczały szybki.

- Nie może pan wejść - powiedziała z naciskiem.

Głuchy na jej protesty stanął w korytarzu i rozejrzał się, mrużąc oczy.

- Jesteś? - zawołał.

- Wer ist, Helen? - z głębi domu dobiegł męski głos.

- Jakiś nieznajomy, herr Doktor - odparła Helen Dukas po niemiecku. - Nie wiem, kto to, i zupełnie mi się nie podoba.

Najsłynniejszy uczonego na świecie wyszedł z kuchni w luźnych spodniach i zapinanym na guziki swetrze. Był potargany i pachniał tytoniem.

Popatrzył na mężczyznę w przemokniętym ubraniu i dopiero po dłuższej chwili go rozpoznał.

- Nicola, jak mogłeś to zrobić? - zagrział Albert Einstein.

Nicola Tesla wytrzymał oskarżycielskie spojrzenie kolegi.

- Musiałem cię powstrzymać, Albercie. Nie mogłem pozwolić, żebyś rozparzył piekło na ziemi.

- Kiedy usłyszałem wiadomości, od razu wiedziałem, że to twoja sprawa.
- Pewien anarchista, emigrant z Chorwacji, bardzo chętnie mi pomógł - oświadczył Tesla. - Nie zostawiłeś mi wyboru. Mój list o transuranowcach był tylko ćwiczeniem intelektualnym. Nigdy nie miałeś ich szukać.

- Czyś ty stracił rozum?! - wykrzyknął Einstein. - Naprawdę uważasz, że wysadzenie sterowca pełnego ludzi powstrzyma innych przed szukaniem tych metali? Mój Boże, za kilka lat one będą powstawać w laboratoriach.

- W jakim celu? - odburknął Tesla. - Obaj wiemy, jaki byłby rezultat takich badań. Jesteśmy jedynymi ludźmi na świecie, którzy są w stanie przewidzieć, że te badania spowodują tylko śmierć i zniszczenie. Nie wolno nam przekazać tej wiedzy dalej.

- Zrozum, Nicola, że zbliża się wojna, wojna o duszę ludzkości. To tylko kwestia czasu, kiedy Hitler sięgnie po ziemie, które Niemcy straciły po wielkiej wojnie, i równie nieuchronne jest starcie między Ameryką i Japonią na Pacyfiku. Teller, Fermi, Szilard i ja zdajemy sobie sprawę, że to się stanie lada moment, dlatego chcemy stworzyć bombę wcześniej od nazistów. Moglibyśmy powstrzymać wojnę, jeszcze zanimby się na dobre zaczęła, ale do tego niezbędny nam pluton. Bez niego skonstruowanie bomby zajmie dziesięć lat. Zamierzaliśmy przedstawić prezydentowi nasz plan po weryfikacji próbki, którą Bowie miał przywieźć z Afryki. Teller uważa, że gdybyśmy natychmiast zabrali się do pracy, bomba byłaby gotowa już za trzy lata. Teraz musimy czekać i mieć nadzieję, że Bowiemu jakimś cudem udało się wysłać trochę plutonu. Jeśli nie, wszystko diabli wzięli, bo tylko on znał lokalizację kopalni. Bez czynnika odstraszaającego w postaci bomby atomowej już nic nie powstrzyma tego austriackiego tapeciara przed przejęciem całej Europy ani Japończyków przed ekspansją. Zabiłeś nie tylko pasażerów „Hindenburga”; skazałeś na śmierć miliony ludzi.

Tesla nie mógł wykrztusić słowa. Kiedy wreszcie pojął wagę swojego czynu, z jego oczu popłynęły łzy.

- Wejdz, proszę, i ogrzej się - powiedział miękko Einstein. - Musisz włożyć suche ubranie.

Położył dłoń na ramieniu Tesli, ten jednak odepchnął ją z szaleństwem w oczach i bez słowa wybiegł z domu.

- Kto to był? - zapytała wieloletnia sekretarka profesora.

- Człowiek, który uniemożliwił mi zapobieżenie II wojnie światowej.

OD AUTORA

Od chwili, kiedy w dziewiątej klasie przeczytałem Odyseję Homera, byłem zdania, że to archetyp nowoczesnych thrillerów, wyznaczający kierunki. Jest więc bohater, który musi pokonać wiele przeciwności, są egzotyczni miejscowi, niesamowite pościgi, niewiarygodne pojedynki i - tak jest - nawet seks. Choć nie zdecydowałem się na przejęcie całego pomysłu Homera, traktującego o mężczyźnie próbującym wrócić do domu (kto by w to uwierzył, skoro jedynymi osobami, które czekały na Mercera, byli Harry i Drag), pragnąłem swoją powieścią oddać cześć temu arcydziełu. Myślę, że mając to na uwadze - jeśli nie byliście na bakier z polskim - spostrzeżecie analogie z łatwością.

Jednooki olbrzym nazwiskiem Poli Feines to naturalnie nikt inny jak cyklop Polifem. Odyseusz przechytrzył Polife-ma, oślepiając go i chowając siebie i towarzyszy pod brzuchami baranów, a ucieczka Mercera z Afryki ma miejsce w towarzystwie owiec. Nimfa Kalipso zakochuje się w Odyseuszu i wreszcie ratuje go przed utonięciem, rzucając czarodziejską przepaskę, mając ją utrzymać go na powierzchni wody - do tego nawiązuje końcowy fragment książki, kiedy Cali Stowe ratuje Mercera.

Inne analogie nie są już tak oczywiste. Jedna z przygód Odyseusza zaprowadziła go między Scyllę a Charybdę, dwa potwory morskie. W mojej książce Mercer znajduje się między Scyllą (rzeką Scilla) a Charybdą, którą jest przywódca rebeliantów Caribe Dayce. Aluzji do Odysei jest znacznie więcej w całej powieści i mam nadzieję, że będziecie dobrze się bawić, szukając ich w tekście; a może - jak moja żona - uznacie, że marnuję wasz czas?

Skoro już mowa o czasie, szyfr, za pomocą którego Chester Bowie kodował wiadomości przesyłane do Einsteina, stosując dublety Lewisa Carrolla, to gra słowna, która kosztowała mnie mnóstwo godzin. Naprawdę świetna zabawa, kiedy gra się udaje. Może chodzić o to, by zamienić krowę w worek, wór w car albo raz w dwa; to oczywiście tylko przykłady, ale można wymyślać własne pary.

Co do Chestera Bowiego: jeśli podoba się Wam jego teoria o tym, że potwory z mitologii greckiej zostały stworzone na bazie kości wymarłych zwierząt, szczerze polecam książkę Adrienne Mayor *The First Fossil Hunters* (Pierwsi łowcy skamielin), która z niezwykłą precyzją wyklada ideę powstania mitologicznych stworów.

Chciałbym również wyjaśnić zamierzoną nieścisłość. Słynna naoczna relacja Herberta Morrisona dotycząca tragedii „Hindenburga” nie była

nadawana przez radio, lecz nagrana, żeby sprawdzić, czy da się ją potem odtworzyć. Postanowiłem jednak umieścić te wiekopomne słowa w prologu. Reszta informacji na temat katastrofy jest już zgodna z prawdą. Prawdopodobnie impregnat, którym pokryto powłoki, zajął się ogniem od iskry z silnika. Skenderbeg jest albańskim bohaterem, znanym jako ten, który zbuntował się przeciwko Osmanom. A naukowcy wciąż głowią się nad naturalnymi reaktorami jądrowymi w Oklo w Gabonie, choć z geologicznego punktu widzenia nie jest możliwe, by złoża o dużej radioaktywności przetrwały do dnia dzisiejszego, tak jak to ma miejsce w książce. Choć oczywiście naturalny reaktor również był niemożliwy z geologicznego punktu widzenia do momentu, kiedy został odkryty w 1972 roku.

A co z grobowcem Aleksandra Wielkiego? To wciąż wielka niewiadoma. Jak zatem można twierdzić, że w środku nie ma dowodu na to, jak Macedończyk zdołał podbić niemal cały starożytny świat?

Prawda jest zawsze ciekawsza od fikcji.